

Emilio Salgari

Góra Światła

Rozdział I - Napad pantery

Było to w roku 1843. W upalne lipcowe popołudnie olbrzymich rozmiarów słoń, mogący współzawodniczyć z wielkimi okazami Afryki środkowej jeżeli nie pod względem kształtów, to przynajmniej pod względem wielkości, wspinał się mozolnie na najwyższe złomy skalne ogromnego płaskowzgórza Pannah,¹ jednej z najdzikszych, a zarazem najbardziej malowniczych okolic Indii środkowych.

Jak wszystkie gruboskórce indyjskie, które tylko bogacze mogą utrzymywać, miał na grzbiecie wspinały niebieski czaprak z czerwonym brzegiem, wielkie kokardy przy uszach, naczolek z połączanego metalu i szerokie pasy do przytrzymywania haudy - rodzaju skrzyni, w której mieści się nawet sześć osób.

Olbrzym wiozł troje ludzi: kornak, czyli przewodnik, siedział okrakiem na grubej szyi zwierzęcia z nogami ukrytymi pomiędzy jego ogromnymi uszami, trzymając w ręku krótki hak z czubkiem ze stali, dwóch innych, sądząc po szatach, należało do wysokiej warstwy społecznej.

I kiedy kornak prażył się w słońcu nie zwracając na to uwagi, tamci spoczywali wygodnie na jedwabnych poduszkach haudy, osłonięci małym namiotem zrobionym z błękitnego perkalu ze złotymi frędzlami. Starszy z nich, człowiek mniej więcej czterdziestoletni, był wspinałym typem indyjskim: wysoki, chudy, jednakże z szerokimi ramionami i muskularnymi członkami, o śmiałym profilu, który długa, czarna, nieco siwiejąca broda i dwoje oczu czarnych i niezmiernie ruchliwych czyniły jeszcze bardziej imponującym. Ubrany był w obszerne dhoti² z żółtego jedwabiu w czerwone kwiaty, spływające dookoła niego w luźnych fałdach, ściągnięte w pasie szeroką wstęgą, haftowaną złotem; głowę miał owiniętą chustką z nansuku, czyli tkaniny podobnej do batystu, która ma połysk jedwabiu i jest prawie przezroczysta.

Jego towarzysz natomiast wyglądał najwyżej na trzydzieści lat; był on zupełnie pozbawiony tej postawy pańskiej, jaka cechuje wysokie warstwy indyjskie. Był to człowiek niskiego wzrostu, o członkach raczej słabych, ciemniejszej skórze, rysach nieregularnych i niesympatycznych, twarz pooraną miał szerokimi bliznami, może wywołanymi chorobą, przez co wygląd raził jeszcze bardziej. I w oczach jego, małych, niespokojnych, przymykających się często, jak gdyby znieść nie mogli blasku słońca, było coś fałszywego i budzącego nieufność.

Mimo że był tak samo ubrany jak jego towarzysz, z łatwością odgadywało się w nim człowieka należącego do niższej kasty. Skulony jak małpa w kącie haudy, żuł z widocznym

¹ Pannah - miasto i prowincja w stanie Madhja Pradeś

² Dhoti - rodzaj stroju męskiego, pas materiału obwiązywany dookoła bioder, przechodzący między nogami, jeden

zadowoleniem szczyptę betelu - mieszaniny składającej się z orzecha tej samej nazwy, z liścia palmy areka oraz z odrobiny niegaszonego wapna, która wywołuje obfitą, czerwoną ślinę.

Zaden z tych trzech ludzi nie przerywał milczenia, nawet kornak, który pozwalał, aby słoń dawał sobie sam radę, nie zachęcając go ani jednym łaskawym słowem. Tylko od czasu do czasu wyciągał rękę, aby posmarować i natrzeć tłuszczem wielką głowę zwierzęcia, chroniąc w ten sposób skórę od popękania wskutek działania palących promieni słonecznych.

Brodaty Indus drzemał. Gdyby nie lekkie zmarszczenia czoła, można by sądzić, że spał, ponieważ nie poruszał się.

Słoń tymczasem podwajał wysiłki, aby wdrapać się na urwiska, które stawały się coraz bardziej strome. Sapał, dysząc silnie, wstrząsał nagle haudą, wymachiwał trąbą wciągając głośno powietrze i badał ostrożnie grunt pod nogami, bojąc się nagłego osunięcia się ziemi.

Ghaty³ wyżyny Pannahu są najtrudniejsze do przebycia z powodu spadistości oraz z powodu bardzo źle utrzymywanych ścieżyn; znajduje się tam bowiem tylko jedna droga godna tej nazwy, ta mianowicie, która łączy się z drogą do Marwa Ghat, jedyną możliwą do przebycia, a i to nie zawsze.

Cała wyżyna wznosi się w kształcie olbrzymich złomów zaczynających się od Kenu, jednej z największych rzek Bundelkhandu⁴ wschodniego, która wypływa z gór Dżahgarh i wpada potem, przepłynąwszy sto pięćdziesiąt kilometrów, do Jamuny. Wąwozów jest tam tysiące, wszystkie pokryte bujną roślinnością, ogromnymi tektoniami wznoszącymi się na pięćdziesiąt metrów i wyżej, kolosalnymi platanami, drzewami mangowymi, tulipanowcami i krzakami, strojnymi w kiście złotych i purpurowych kwiatów.

Jednakże pomimo tylu przeszkód słoń wspinał się śmiało w górę, pragnąc dotrzeć do lasów na szczycie wyżyny i użyć trochę cienia. Już doszedł był do pierwszych drzew, kiedy zatrzymał się nagle, wydając głuchy ryk i przejawiając niepokój.

Kornak, zdziwiony tym niespodzianym zatrzymaniem się, podniósł hak, mówiąc:

- Naprzód, Bangavadi!

Zamiast usłuchać, słoń uczynił kilka kroków wstecz, zwijając ostrożnie trąbę, tak że ją chroniły dwa silne kły.

Brodaty Indus, przebudzony nagle tym ruchem wstecz, który gwałtownie wstrząsnął haudą, otworzył oczy, pytając:

koniec czasem przerzucony przez ramię.

³ Ghaty - góry oddzielające półwysep Dekanu od oceanu. Tutaj, ze względu na podobieństwo, nazwa przedgórza gór Windhja (w hindi - ghat: stopnie, terasy).

⁴ Bundelkhand - historyczna kraina w północnych Indiach, na południe od Delhi.

- Co się dzieje, Bandharo?

- Nie wiem, panie - odpowiedział kornak. - Zdaje się, że Bangavadi zwietrzył jakieś niebezpieczeństwo, bo nie chce iść naprzód.

- Czyżby tu mieli być dakoici (bandyci)? - zapytał człowiek niskiego wzrostu. - Jesteśmy w kraju tych łotrów.

- Czy mówisz o sekcie trucicieli? - spytał jego towarzysz?

- Tak, Indri.

- I myślisz, że mieszkają w tych okolicach, Dhundio?

- Żyją w lasach i na wyżynach Bundelkhandu.

- Ale my nie możemy być daleko od Pannahu.

- Ci zbóje zapuszczają się często w okolice zaludnione, aby dopuszczać się łotrów. Bacność, Indri! Uważają oni za zasługę zabijać lub truć osoby, które uda im się zobaczyć.

- Mamy karabiny i będziemy się bronili - odparł brodaty Indus. - Indri nigdy nie bał się nikogo.

- Z wyjątkiem Gaikwara⁵ Barody - rzekł Dhundia lekko drwiącym tonem.

- Milcz! - rzekł Indri rozkazująco. - Otrzymałeś polecenie towarzyszenia mi, a nie...

- I pilnowania ciebie.

- Więc dobrze, ale teraz dosyć tego. Bangavadi zwietrzył nieprzyjaciela, musimy przygotować broń.

Indus nachylił się i odczepił od jednego z czterech filarków haudy wspaniałą karabin z lufą polerowaną, ozdobioną arabeskami i kolbą z intarsjami ze srebra i masy perłowej.

Bandharo - rzekł, zwracając się do kornaka, który badał uważnie drzewa - popędź Bangavadiego.

- Postaram się panie.

- Czy domyślasz się, jakie grozi nam niebezpieczeństwo? Czy to ze strony ludzi, czy zwierząt?

- Tygrysy i pantery nie są rzadkie w tej okolicy, Sahibie.

- Wszakże mój przyjaciel Toby mieszka na tych wyżynach i chyba ich nie zostawił wiele

- szepnął Indri, a głośno zapytał:

- Czyś gotów, Dhundio?

- Karabin mój i pistolety są nabite.

- Zobaczymy, kto się odważy zastąpić drogę mojemu słoniowi.

⁵ Gaikfar - ród książęcy w Barodzie. Tutaj używane w znaczeniu "władca".

Bandhara, jako wytrawny kornak znający swoje zwierzę, zaczął głaskać Bangavadię, szepecząc mu pieśczętliwe słowa, na które mądry gruboskórzec zdawał się być bardzo wrażliwy. Najpierw odsapnął, rozwijając trąbę, potem ruszył z niezmierną ostrożnością naprzód, spoglądając na prawo i na lewo i rycząc głucho.

Jeżeli Bangavadi, jeden z najlepszych słoń gajkwar Barody, przyzwyczajony do zapasów w cyrkach potężnego radży tego państwa, gdzie stawiał czoła dzikim zwierzętom, okazywał taki niepokój, to widocznie musiał zwietrzyć poważne niebezpieczeństwo.

Indri, stojąc z karabinem w ręku na przodzie haudy, obserwował brzeg lasu, składający się z drzew pipalu⁶ o olbrzymim pniu i ciemnych, niezmiernie gęstych liściach, oraz z zarośli kalamu - twardej trzciny dochodzącej często do piętnastu stóp wysokości, a będącej doskonałym schronieniem dla dzikich zwierząt.

Indus, jakkolwiek był pewny, że znajduje się w obliczu niebezpieczeństwa, zachowywał podziwu godny spokój, jaki się u jego ziomków, niezmiernie wrażliwych i bojaźliwych, dosyć rzadko widzi. Jednakże i jego towarzysz nie okazywał lęku, a nawet wziął do ust nowy kawałek betelu, nie zadając sobie trudu nabicia karabinu.

Doszedłszy do zarośli utworzonych z traw kalamu, słoń zatrzymał się znowu, zwijając trąbę.

- Naprzód - odezwał się kornak, spojrzawszy na Indriego. Słoń, zamiast usłuchać, rozparł się na potężnych nogach, wydając głośny ryk.

- Widzisz coś? - zapytał Indri kornaka.

- Nie, panie- odpowiedział tenże.

- Czy nie ruszają się zarośla kalamu?

- Ani trochę.

- Czyżby jakieś zwierzę się tam ukryło? Wciągnij powietrze, Bandharo.

Kornak wysunął się naprzód prawie aż na czoło słonia i węszył na rozmaitych wysokościach od ziemi.

- Nic - rzekł.

- Gdyby tam był tygrys, to wiatr, który wieje od strony lasu, przyniósłby do nas zapach dziczyzny - szepnął Indri. - Co myślisz o tym, Dhundio?

- Bangavadi zaczyna być nudny - odparł zapytany.

- Spróbuj strzelić w środek zarośli.

Dhundia wziął karabin jakby od niechcenia, wycelował w stronę wysokich traw i strzelił

⁶ Pipal - figowiec indyjski.

na chybił trafił.

Zaledwie rozległ się huk wystrzału, z gęstwiny kalamu wydobył się chrapliwy, stłumiony ryk.

- Panie, to ryk pantery! - wykrzyknął kornak drżącym głosem.

- Tak - odparł Indri. - Bangavadi nie omylił się.

- Nigdy bym nie przypuszczał, że tutaj są pantery - rzekł Dhundia, który stracił całą zuchowatość.

- Jest ich tutaj więcej, niż myślisz - odparł Indri. - Ponieważ rozpuszczamy o sobie wieść, że jesteśmy łowcami dzikich zwierząt, widzę doskonałą sposobność, aby to potwierdzić.

- I ukryć lepiej nasze zamiary - dodał Dhundia.

- I uspić czujność radży Pannahu. Ale dosyć gadania, myślimy o zwierzu, który nas niepokoi.

- Panie - odezwał się w tej chwili kornak - podaj mi dzidę.

- Tak, popędź słonia.

- Bangavadi pójdzie, panie. Czuję, że za chwilę ruszy.

Słoń, wciągnąwszy ponownie powietrze, zaczął kroczyć naprzód, potężną pierśią torując sobie drogę przez wysokie trawy.

- Dhundio - odezwał się Indri - czy nabiłeś karabin?

- Jestem gotów wypalić. Strzał będzie pewny, ręka mi nie zdrzy.

Chrapliwy, przerażający ryk rozległ się ponownie wśród kalamu, a drugi odpowiedział mu nieco dalej.

- Jest ich dwie - rzekł Indri, nie tracąc spokoju. - Ach, gdyby tu był Toby! Ale zobaczymy go już niedługo.

Bangavadi szedł wciąż naprzód, ciągle okazując niepokój. Sapał głośno, potrząsał ogromną głową, od czasu do czasu przebiegały go silne dreszcze. Jakkolwiek słonie są obdarzone niezmierną siłą i jednym uderzeniem trąby potrafią nawet obalać drzewa, a skóra ich jest tak gruba, że nieraz mogą narażać się na kule nie odnosząc najmniejszych obrażeń, to jednak boją się tygrysów i panter. Nawet jeżeli są przyzwyczajone do tego rodzaju polowania, wahają się, a czasem też uciekają przed okrutnym nieprzyjacielem, narażając ludzi znajdujących się w haudzie na ogromne niebezpieczeństwo.

Bangavadi należał do najodważniejszych okazów; dał tego dowody w dżungli Barody, tratując liczne tygrysy ciężkimi nogami lub druzgocząc je potężną trąbą, a jednak w tej chwili był bardzo niespokojny. Posuwał się nadzwyczaj ostrożnie, rozgarniał trawy długą trąbą i cofał ją

natychmiast pomiędzy ogromne kły.

- Nie wydaje mi się, aby czuł się zbyt pewny siebie - zauważył Indri, który spostrzegł był wahania gruboskórca. - Takie zachowanie tego odważnego słonia dziwi mnie bardzo.

Zaledwie przestał mówić, kiedy jakiś czarniawy kształt wyskoczył z kalamu, opadając natychmiast na ziemię.

Była to jedna z panter; przed rozpoczęciem walki chciała wymierzyć odległość dzielącą ją od przeciwników.

- Spokojnie, celujcie dobrze - polecił Indri.

Zwierzę ukryło się znowu w lesie, jednakże co minuta dawało znać o sobie chrapliwym, groźnym rykiem.

- Musi być bardzo głodna, skoro nas napada - dodał potem. - Nie da nam spokoju, póki nie zabije jednego z nas.

Indri znał zbyt dobrze pantery wyżyn indyjskich, aby się mylić.

Zwierzęta te, jeszcze bardzo liczne w całym Hindustanie,⁷ w Chinach i na Archipelagu Malajskim, nie są mniej niebezpieczne od tygrysów, a nawet czasami okazują się groźniejsze i śmielsze od nich. Są trochę mniejsze od tygrysów, długości najwyżej dwumetrowej, ale mięśnie mają tak samo potężne i równie błyskawicznie skaczą.

Głowę mają stosunkowo dużą, nieco podłużną, korpus niezmiernie silny, nogi krótkie i mocne, a sierść żółtoczerwonawą, ciemniejszą na grzbiecie, a jaśniejszą na brzuchu, z czarniawymi plamami i cętkami, przybierającymi także kształt półksiężyca.

Ponieważ doskonale potrafią się wdrapywać i mają bardzo szybkie ruchy, udaje im się prawie zawsze runąć na zdobycz, już to spuszczać się z niskich gałęzi drzew, już to błyskawicznie wyskakując z kryjówek. Nie boją się a ni człowieka, ani słonia i mają odwagę zaatakować równocześnie jednego i drugiego, z większą stanowczością i śmiałością od tygrysów.

Indri, który zabił już niejedną panterę, czynił zatem dobrze mając się na baczności i gotując się do walki, aby nie być zaskoczonym.

Bangavadi dostrzegłszy, gdzie się pantera ukryła, szedł znowu odważnie naprzód, podniecany przez kornaka, który nie szczędził mu uderzeń hakiem i pieścotliwych słów. Jednakże słoń drżał ciągle i przeraźliwie ryczał. Nie czuł się pewnym i nie ośmielał się już usuwać traw trąbą bojąc się, aby mu jej nie poszarpały pazury krwiożerczej bestii.

Indri i Dhundia, wychyleni z haudy, z karabinami w ręku, spoglądali na kalam mając nadzieję, że dojrzą zwierzę i zabiją je celnym strzałem.

⁷ Hindustan - historyczna nazwa północnej części Indii, od Himalajów na północy po góry Windhja na południu.

Nagle Bangavadi zatrzymał się, przyjmując postawę obronną i wystawiając długie kły.

- Bacność, panie! - krzyknął kornak. - Pantera tuż!

Ledwo wymówił te słowa, gdy rozsunęły się trawy niby pod przemożnym naporem i wielka pantera rzuciła się olbrzymim skokiem na słońca, spadając mu na czoło.

Indri wystrzelił natychmiast, a wysmukły i silny kornak, przechyliwszy się w tył, wymierzył jej potężny cios dzidą.

Zwierz, jakkolwiek dwukrotnie raniony, nie cofnął się od razu. Wbił pazury w skórę słońca, rozszarpując ją, potem wykonał drugi skok, unikając strzału Dhundii, a mignawszy ponad haudą, opadł znowu w trawy.

Bangavadi, jako słoń naprawdę przyzwyczajony do tych niebezpiecznych polowań, wykonał nagły obrót, nastawiając kły.

Indri nie stracił spokoju. Widząc, że pantera gotuje się ponownie do skoku, rzucił wystrzelony karabin, chwytając drugi nabity. Pomimo szybkości tego ruchu, pantera skoczyła ponownie na grzbiet słońca i uczepiła się górnego brzegu haudy, ukazując krwawą paszczkę.

Dhundia, który schylił się w tej chwili, by schwycić dzidę, chciał się właśnie podnieść. Zwierzę ujrzawszy pod sobą głowę Indusa, wyciągnęło łapę do ciosu.

- Nie wstawaj, Dhundio! - krzyknął Indri.

Indus zrozumiał niebezpieczeństwo i osunął się w głąb haudy. Chwila ta wystarczyła: Indri wypalił z bliska, druzgocząc czaszkę pantery.

Bangavadi słysząc, że pantera spadła, obrócił się natychmiast, a postawiwszy na niej prawą nogę, zmiażdżył ją jednym uderzeniem.

- Zabity! - krzyknął kornak.

W tej samej chwili wśród kalamu rozległ się okropny, przeraźliwy krzyk ludzki, potem ryk drugiej pantery, ów ryk chrapliwy i krótki, jaki wydaje ona, kiedy rzuca się na łup i rozdziera go pazurami ze stali.

Rozdział II - Tajemnica Dhundii

Noc zaczynała zapadać niezmiernie szybko, ponieważ w gorących strefach zmrok wieczorny trwa zaledwie kilka chwil. Bociany o nadmiernie wysokich nogach i długim dziobie, kruki, jastrzębie, sępy spadały w stadach na drzewa szukając schronienia, a wielkie latające lisy, podobne do nietoperzy o lisich pyskach, zaczynały opuszczać kryjówki i latać w ciemnościach. Tysiączne odgłosy lasu cichły z wolna. Nie było już słyhać wrzasku mały, krzyku ptaków ani syku gadów. Cisza obejmowała panowanie, jednakże tylko na kilka godzin, a nawet mniej, ponieważ tygrysy i pantery, bardzo liczne także na wyżynach Pannahu, miały niebawem wyjść na łowy.

Po owym krzyku ludzi, nie rozlegał się żaden odgłos, ani w lesie, ani wśród olbrzymich traw. Nawet Bangavadi przestał ryczeć i słuchał, ruszając ogromnymi uszama, jak gdyby starał się uchwycić jakiś dźwięk, który by mu lepiej wyjaśnił, co się stało w kalamie.

- Czyżby druga pantera rozszarpała jakiego biednego górala? - zapytał wreszcie Indri z pewnym wzruszeniem. - Co o tym sądzisz, Dhundio?

- Nie możemy tu pozostać beczynnie - odparł zagadnięty tonem bardzo niespokojnym. - Co zamierzasz zrobić?

- Poszedłbym zbadać kalam.

- Noc zapada i nieostrożnie zapuszczać się w głąb tych traw. Nawet Bangavadi nie ma najmniejszej ku temu ochoty.

- Słoń wzdraga się iść dalej, panie - rzekł kornak. - Zwiertzył drugą panterę i nie ma odwagi stawić jej czoła w tych ciemnościach.

Dhundio, boisz się pójść ze mną? - zapytał Indri.

- Co chcesz uczynić?

- Wejść w kalam.

Dhundia skrzywił się i nic nie odpowiedział.

- Przecież Sikhowie⁸ uchodzą za odważnych - odezwał się znowu Indri ironicznie.

- Idę z tobą - odparł Dhundia, dotknięty do żywego. - Nie wiem jednak, czy uda nam się zabić także drugą panterę i czy wyjdziemy żywi z kalamu.

- Mój karabin nie zawodzi.

- Wiem o tym, ale...

- Dosyć, jeżeli jesteś rzeczywiście Sikhiem, chodź ze mną. Zapal pochodnię i idziemy.

⁸ Sikhowie - sekta religijna w Indiach.

Odważny Indus nabił strzelbę, zabrał naboje, kazał kornakowi spuścić drabinkę sznurową i bez wahania zszedł na ziemię.

Dhundia poszedł za nim, niosąc długą pochodnię żywiczną i własny karabin.

- Panie, czy mam cię oczekiwać tutaj? - zapytał kornak.

- Nie ruszaj się z miejsca - odparł Indri. - Weź mój drugi karabin, a jak zobaczysz panterę, strzelaj.

- Dobrze, panie.

- Uważaj, żeby się słoń nie położył.

- Bangavadi będzie w pogotowiu.

Indri, zarzuciwszy karabin na ramię, zaczął iść szybko w stronę kalamu, nachylając się do ziemi.

- Mam zapalić pochodnię? - zapytał Dhundia drżącym głosem

- Jeszcze nie - odpowiedział Indri. - Na widok światła pantera mogłaby uciec zabierając swoją ofiarę, a mnie zależy na tym, by zobaczyć tego człowieka.

- Dlaczegoż to jakiś biedny góral budzi w tobie takie zainteresowanie? - żywo zapytał Dhundia.

- Mam pewne podejrzenie, ale... to nie pora na wyjaśnienia. Myślmy teraz o panterze. Gdzie rozległ się krzyk Na prawo od strony tych ogromnych platanów, prawda?

- Tak - odpowiedział Dhundia.

- Te kalamy sprawią nam dużo kłopotu, jednakże przebrniemy je. Trzymaj się za mną i osłaniaj mnie z tyłu.

W tej chwili Indri dotarł do kalamów, wysokich w tym miejscu na więcej niż sześć metrów i bardzo gęstych. Zatrzymał się na chwilę, wytężył słuch, potem ruszył dalej, odsuwając wysokie trawy lufą karabinową i krocząc ostrożnie naprzód. Człowiek ten musiał być obdarzony nadzwyczajną odwagą, skoro zapuszczał się nocą w gęste zarośla, gdzie czyhało na niego najdziksze i najpodstępniejsze zwierzę. Lada chwila pantera mogła go zaskoczyć i rzucić na ziemię jednym straszliwym uderzeniem łapy. Z pewnością wiedział, że te bestie wolą zasadzkę niż bezpośredni napad oraz że mają szaloną siłę, pozwalającą im skoczyć na zdobycz nawet z odległości kilku metrów. Pomimo to zachowywał ciągle spokój i nie przejmował się zbytnio grożącym mu poważnym niebezpieczeństwem.

Dhundia natomiast, mimo że należał do najbardziej wojowniczej sekty w Hindustanie, nie wykazywał bynajmniej podobnego opanowania. Nerwowy dreszcz wstrząsał jego ciałem. Od czasu do czasu zgrzytał głucho zębami. Jakkolwiek wiedział, że Indri był śmiałkiem rzadko

ulegającym wzruszeniom, o czym się sam nie raz przekonał, nie czuł się zbyt bezpieczny.

Uszli już trzysta lub czterysta kroków zagłębiając się coraz dalej w olbrzymie trawy, kiedy nagle w ciszy nocnej rozległ się ów dźwięk krótki, ostry, gardłowy, którego nie zapomina się nigdy, gdy się go raz usłyszy.

Była to druga pantera, uprzedzająca ich o swej obecności i niebezpieczeństwie, na jakie się narażali, idąc dalej.

- Jest blisko nas - szepnął Dhundia, wymawiając z trudnością wyrazy.

Indri stanął. Ów pełen groźby ryk rozlegający się w ciemnościach wywarł na chwilę pewne wrażenie nawet na tym nieustraszonym myśliwym.

- Widzisz platany? - zapytał po chwili.

- Tak - odpowiedział Dhundia. - Księżyc wschodzi i prześwieca przez gęste liście.

- A więc jesteśmy na dobrej drodze.

- Albo na zły. Nie polegaj zbyt na swej odwadze. Pantera może obejść dookoła i rzucić się na nas z tyłu.

- Zdradziłyby ją trawy. Widzisz, żeby się chwiały?

- Nie - odparł Dhundia.

- Ty patrz na prawo, a ja będę patrzył na lewo.

- Mogliśmy poczekać do świtu.

- Mówiłem ci, że chcę zobaczyć człowieka, którego pantera napadła.

- Niech tak będzie; ale obyś tego nie żałował.

Indri wzruszył ramionami i podążył znowu naprzód. Posuwał się niezmiernie ostrożnie, zatrzymując się co trzy lub cztery kroki, aby nadłuchiwać i wciągać powietrze w nadziei, że poczuje ów ostry zapach dziczyzny, który świadczy zawsze o obecności tych okrutnych zwierząt.

Grupa platanów była niedaleko i zdawało się, że wysokie trawy nie mogą ciągnąć się aż do tych ogromnych drzew. Jeżeli człowiek ów został napadnięty w tym miejscu, to musiał się tam jeszcze znajdować, ponieważ pantera nie odeszła.

Już Indri zaczynał dostrzegać olbrzymie pnie, kiedy od lewej strony doszedł go lekki szelest, wywołany przez jakieś stworzenie pełzające wśród traw.

- Stój - rzekł do Dhudni. - Nie ruszaj się.

Szelest słychać było jeszcze przez kilka sekund, potem nagle ucichł.

- Czyżby pantera się tu zaczęła? - zapytał Indri, chwytając za karabin. - Może jest blisko i gotuje się do skoku!

Zaledwie wyszeptał te słowa, kiedy jakaś czarniawa masa wysunęła się z traw, mignęła jak

błyskawica ponad jego głową i spadła w kalam po drugiej stronie. Pojawiła się tak nagle, że myśliwi nie zdążyli wypalić.

Spomiędzy traw wydobył się znowu krótki, gardłowy pomruk zwierzęcia, po czym ucichł i żaden odgłos nie zakłócił już ciszy panującej na wyżynie.

- Uciekła! - wykrzyknął Indri głosem nieco zmienionym ze wzruszenia.

- I nie udał jej się skok - rzekł Dhundia przez zaciśnięte zęby, ocierając zimny pot zraszający mu czoło.

- Tak - odparł Indri, który szybko odzyskał spokój. - Słyszysz coś?

- Nie, a ty?

- Zdaje mi się, że kalamy są nieruchome. Odnajdziemy są jutro, jeżeli Bangavadi będzie usposobiony do polowania. Nie miałbym nic przeciwko temu, aby wjechać do Pannahu z dwiema wspaniałymi skórami panterzymi. A teraz podejźmy do platanów.

W tej chwili usłyszeli przeraźliwy jęk, płynący ku nim właśnie z ogromnych zarośli.

- Słyszałeś? - spytał Indri.

- Tak - odparł Dhundia. - Człowiek napadnięty przez panterę nie umarł jeszcze.

- Biegnijmy!

- Ostrożnie; pantera może nas śledzić i znowu na nas napaść.

Jednakże Indri rzucił się ku brzegowi kalamu. Dalej rozciągała się mała polanka sięgająca aż do kępy platanów.

Pośród niskiej trawy, którą oświetlał wschodzący księżyc, widać było postać ludzką wyciągniętą na ziemi. Kilkoma skokami Indri dobiegł do niej.

Jakiś Indus, prawie całkiem nagi, mający tylko króciutką spódnickę na biodrach, leżał na ziemi w kałuży krwi. Był to młodzieniec najwyżej dwudziestoletni, niezmiernie chudy; głowę miał ogoloną, członki namaszczone niedawno olejem kokosowym, a pierś pokrytą tatuażem przedstawiającym kwiat lotosu. Straszliwy cios pazurów rozdarł mu brzuch, tak że wychodziły wnętrzności, a zęby zwierzęcia rozszarpały lewą łopatkę.

Indri pochylił się nad nieszczęśnikiem, mówiąc:

- Ten człowiek jest zgubiony!

Na dźwięk jego głosu Indus otworzył oczy wpatrując się w Indriego, potem spostrzegł Dhundię, wykonał ruch jak gdyby zdziwienia i otworzył usta daremnie starając się wybełkotać kilka słów.

- Znasz tego człowieka? - zapytał Indri, zdumiony tym ruchem, który nie uszedł jego uwagi, jakkolwiek był prawie niedostrzegalny.

- Nie - odparł Dhundia, ani na chwilę nie odrywając wzroku od ranionego.

- To dziwne! Zdawało mi się, że nie jesteście sobie obcy.

- Powtarzam ci, że nie widziałem nigdy tego człowieka - odparł Dhundia gwałtownie. - A zresztą, jakie stosunki mogą istnieć pomiędzy mną, oddanym sługą gaikwara Barody, a tym dakoitą?

- Ten człowiek jest dakoitą? Trucicielem? - wykrzyknął Indri.

- Milcz, może nie być sam. Zostaw go i odejźmy natychmiast. Życie nasze znajduje się może w niebezpieczeństwie, a zresztą człowiek ten jest stracony i za kilka chwil umrze.

Była to prawda. Indus, zupełnie wyczerpany utratą krwi, dogorywał.

Oczy jego, płonące ponurym ogniem nie odwracały się od Dhundii, a wargi poruszały się jeszcze, jak gdyby pragnął coś powiedzieć.

Nagle opadł, zamykając oczy.

- Chodźmy! - powtórzył Dhundia.

Nachylił się, aby podnieść broń, którą upuścił, ale skoro tylko spostrzegł, że towarzysz jego oddala się w stronę kalamu, zbliżył się błyskawicznie do konającego, kładąc mu rękę w okropną ranę.

Pod wpływem dotknięcia nieszczęśnik otworzył znowu oczy, a ciało jego drgnęło kurczowo.

Otworzył usta raz jeszcze i umierając, wymówił kilka słów:

- Sitama... fakir...

- Umieraj w spokoju - rzekł Dhundia, żegnając go ruchem ręki. - Zrozumiałem cię.

Indus zamknął powtórnie oczy; nowy dreszcz wstrząsnął jego ciałem, po czym wyprężył się, zastygając w bezruchu.

Skonał.

Dhundia dogonił Indriego, który już się zapuszczał w kalam.

- Umarł - odezwał się do niego.

- Gdybym wiedział, że to dakoita, nie starałbym się dotrzeć tak daleko - odparł Indri. - Czyżby ten łotr czekał na nas, aby dopuścić się jakiegoś zbrodniczego czynu?

- Prawdopodobnie: może nas dostrzegł z wyżyny i zaczął się, aby nas zaskoczyć we śnie i zabić.

- Czyżby był sam?

- Gdyby miał towarzyszy, nie zostawiliby nas w spokoju.

- Może był szpiegiem jakiejś szajki.

- Będziemy się mieli na baczności - dodał Dhundia, któremu ta rozmowa nie była do

smaku. - Tymczasem zajmijmy się panterą.

- Zdaje mi się, że sobie poszła.

- Ech, nie polegaj na tym!

Indri zagłębił się w kalam idąc tą samą trasą co przedtem, zupełnie widoczną, ponieważ wysokie trawy jeszcze się nie podniosły.

Szczęśliwie przebyli drogę powrotną, nie spotkawszy pantery. Przypuszczalnie chytre zwierzę, pewne, że zdobycz mu się nie wymknie, oddaliło się, aby uniknąć niebezpieczeństwa i wrócić później ku platanom.

Kiedy Indri wraz z towarzyszem dotarli do krańca wyżyny, zastali Bangavadię stojącego w postawie bojowej, z trąbą zwiniętą pomiędzy kłami, opartego o skałę.

Kornak, z karabinem w ręku, nie opuścił stanowiska.

- Widziałeś drugą panterę? - zapytał go Indri.

- Tak, panie - odparł kornak. - Minęła mnie w odległości dwustu metrów, okrążając kalam.

- A nie spostrzegłeś ludzi?

- Nie, nikogo.

Każ się położyć Bangavadiemu i przygotuj obozowisko.

Kornak zsunął się na ziemię, trzymając się trąby mądrego zwierzęcia, po czym udał się w zarośla, aby nazbierać suchego drewna.

Tymczasem Dhundia wrócił do haudy, wyjął zapasy i wielki kawał nieprzemakalnego płótna, mający służyć za namiot. A gdy przygotowywał wieczerzę, Indri poszedł znowu do kalamu, idąc wolno brzegiem zarośli. Od czasu do czasu przystawał i nadsłuchiwał. Szukał pantery czy też chciał się przekonać, czy inni dakoici nie byli zaczajeni w zaroślach? Prawdopodobnie oni to zajmowali jego myśli, a niepokój ten był uzasadniony. Indie bowiem są nie tylko ojczyzną dzikich zwierząt i węży, ale i ojczyzną zbrodniczych sekt, dążących tylko do zagłady rodzaju ludzkiego.

Thagowie,⁹ czyli dusiciele, stanowią jedną z nich, mającą ponurą sławę; drugą tworzą dakoici, którzy pod względem nikczemności nie ustępują pierwszemu, a których nazwa sama przejmuje lękiem mieszkańców całego Hindustanu.

Dakoici żyją w szajkach, czasami licznych, czasami maleńkich, współzawodniczących między sobą w mordowaniu ludzi. Ale gdy thagowie zabijają posługując się arkanem lub chustką jedwabną, ci stosują trucizny i narkotyki. Bundelkhand i wyżyna Pannahu są ich ulubionymi okolicami. Ukryci w lasach, czekają na ofiary i prawie zawsze udaje im się wykonać

to, co zamierzali. Czasami jednak przyłączają się do karawan, czekając na chwilę odpowiednią, aby nalać trucizny już to do studzien, z których podróżni muszą czerpać wodę, już to do potraw. Często wysyłają przed sobą szpiegów, zwykle starców lub dzieci, a ci, podając się za pielgrzymów, chodzą po wsiach z ich polecenia, aby wywiedzieć się, kto i dokąd wybiera się w podróż. Zabijają z tą samą zaciekłością co thagowie, ale gdy ci duszą powodując się fanatyzmem religijnym, dakoici mordują, aby rabować ofiary. Przebiegli i odważni, nie dają się prawie nigdy schwytać. Zupełnie nadzy, namaszczają się zawsze olejem kokosowym, aby wysliznąć się z rąk ofiar, a mając giętkość węży, wsuwają się wszędzie, nie zwracając niczyjej uwagi. Nawet bungalowy, te solidne a wdzięczne budynki zamieszkiwane przez bogaczy i Anglików, nie zabezpieczają przed ich napadami. Łotrom tym wystarczy okno lub jakikolwiek otwór, aby zakraść się do domów i pozabijać mieszkańców pogrążonych we śnie.

⁹ Thagowie - kasta zawodowych morderców.

Rozdział III - Fakir

Gdy Indri wrócił, wieczerza już była gotowa; namiot został umieszczony tuż przy olbrzymim złomie skalnym, wznoszącym się samotnie na skraju wyżyny.

Posiłek składał się z ziarna rośliny zwanej niti, bardzo cenionego i używanego w wielkich ilościach przez mieszkańców płaskowyżu, którzy z powodu niedostatku wody nie uprawiają ryżu; potrawę tę gotują razem z karri, czyli mieszaniną mięsa i rozmaitego rodzaju warzyw, korzeni, masła i cukru; wieczerzę urozmaicały nadto banany i doskonałe mango.

Co prawda był to bardzo skromny posiłek, jednakże potrawy podano z wielkim przepychem, gdyż talerze, łyżki, noże, widelce oraz dzbany zawierające todi - napój z pewnego gatunku palmy - były z delikatnie cyzelowanego srebra.

Indri i jego towarzysz spożyli z apetytem wieczerzę, potem wyciągnęli się w pobliżu ognia, paląc papierosy z liści palmowych, a kornak, który posilił się był na uboczu, krzątał się około słonia, domagającego się swojej porcji głośnym rykiem.

Wszyscy Indusi dbają niezmiernie o to, aby utrzymać słonie przy siłach i w dobrym humorze.

Codzienna porcja tych kolosów składa się zwykle z dwudziestu pięciu funtów najlepszej mąki urobionej z wodą, pół kilograma sklarowanego masła, zwanego ghi, i pół funta soli. Do tego dodaje się jednakże zawsze, zwłaszcza jeżeli słonie znajdują się w drodze, pewną ilość cukru. Ponadto pochłaniają one ogromną moc liści i kory drzewnej, szukając przede wszystkim figowców oraz pewnych traw rosnących na moczarach, szerokich jak brzeszczot szabli, zwanych przez botaników "tapha elephantina".

Bangavadi pochłonawszy ciasto, które kornak rozrobił w żelaznym naczyniu, położył się na boku, opierając się o skałę. Jego opiekun wylał mu na głowę kilka wiader wody, a potem natarł olejem uszy, nogi i wszystkie części ciała, gdzie skóra najłatwiej pękała.

Indri milczał, Dhundia również nie otwierał ust. Obaj byli pod wpływem głębokiego niepokoju, wywołanego spotkaniem fakira. O panterze chyba nawet wcale już nie myśleli, mimo że znajdowali się w tak małej odległości od kalamu.

Wypaliwszy papierosa, Indri wstał i odezwał się:

- Wiesz, jestem niespokojny.
- Dlaczego? - zapytał tamten.
- Ten dakoita nie wychodzi mi z pamięci.
- Jeden jedyny człowiek!...

- A gdyby był szpiegiem?

- Nie żyje.

- To nic nie znaczy; jego towarzysze mogą się domyślać celu naszej wyprawy i przypuszczać, że jesteśmy już w posiadaniu Góry światła - rzekł Indri.

- To niemożliwe, żeby mogli o tym wiedzieć. Tylko my i Gaikwar znamy powód tej podróży.

- A gdyby nas kto zdradził? - zapytał Indri, wpatrując się w niego badawczo.

- Co za myśl! - odparł Dhundia. - Nikt nie miałby w tym interesu.

Indri milczał przez chwilę, potem odezwał się znowu:

- Ech, co tam! Jutro przebędziemy wyżynę i odszukamy mojego przyjaciela Toby'ego.

- I chciałbyś dopuścić Europejczyka do naszej wyprawy i wyjawić mu tajemnicę? Ja bym mu nie ufał.

- Toby jest mi potrzebny. To najslawniejszy łowca tygrysów w północnych Indiach, a doskonale nam pomoże ukryć cel wyprawy. Dzięki niemu pożeracz ludzi zniknie niebawem z kopalń Pannahu, a my zyskamy łaski radzy nie budząc podejrzeń. A zresztą znam tego sławnego myśliwego zbyt dobrze, aby mu nie dowierzać; Toby nie zawaha się nam towarzyszyć.

- Jestem innego zdania, a poza tym i Gaikwar nie byłby z tego zadowolony.

- Powiedział mi, abym użył wszystkich środków, byleby dojść do celu, a ja nie będę się wahał. Pomyśl, że los mój zależy od dobrego wyniku tej wyprawy.

Cień smutku przemknął po twarzy Indusa, a głębokie westchnienie wydarło mu się z piersi.

- Co za szatańska intryga! - wykrzyknął potem. - Ale odwagi, nie traćmy nadziei i ufajmy naszej dobrej gwiazdzie.

Dhundia pozostał milczący, jak gdyby nawet nie był słyszał tych słów; jednakże jakiś ponury płomień rozgorzał mu w oczach.

- Chodźmy spać - rzekł Indri po chwili. - Ogień i Bangavadi wystarczą, aby odstraszyć zwierzęta.

Wsunął się do namiotu, zabierając ze sobą karabin i parę pistoletów ozdobionych złotymi piasrami i perłami, i wyciągnął się na płóciennym posłaniu, opierając głowę na bogatej poduszce z karmazynowego aksamitu haftowanego srebrem. Dhundia poszedł za nim w milczeniu, jak gdyby niechętnie. Położył się w rogu namiotu, zwracając oczy na ogień, który płonął o kilka kroków dalej.

Indri zasnął, a słoń i kornak poszli za jego przykładem.

Głęboka cisza panowała na krańcu wyżyny, przerywana tylko chrapliwym oddechem zwierzęcia i cichym krzykiem ogromnych nietoperzy, trzepoczących nad obozowiskiem. A jednak Dhundia nie chciał jeszcze zamknąć oczu. Od czasu do czasu podnosił się nawet na kolana, przesywając wzrokiem gęste ciemności otaczające krąg światła rzucany przez ognisko. Nagle drgnął. Od strony kalamu doszedł go prawie niedosłyszalny świst.

“Sitama? - pomyślał. - Byłoby nieostrożnie, gdybym mu pozwolił przyjść tutaj, chociaż szczeni się tym, że przejdzie po śpiącym psie, nie budząc go. Bangavadi mógłby wszcząć alarm.”

Przemknął się obok Indriego bez najmniejszego szelestu, a przekonawszy się, że ów śpi głęboko, wyszedł z namiotu, zabierając karabin. Bangavadi spał obok kornaka nie przejawiając niepokoju, a więc i od tej strony mógł się czuć bezpieczny.

- Wszystko się dobrze składa - szepnął Dhundia.

Niezmiernie ostrożnie przeszedł krąg światła, a dotarłszy na pięćdziesiąt kroków od kalamu, ukrył się obok krzaku mindi. Z pewnością nie miał odwagi zapuścić się dalej, obawiając się spotkać drugą panterę zamiast człowieka, którego oczekiwał.

W chwilę później rozległ się bliżej drugi świst, jeszcze słabszy, który można było wziąć za syk okularnika, niezmiernie jadowitej żmii, po czym jakiś człowiek podniósł się przy krzaku, ukazując się przed Dhundią.

Nowo przybyły był Indusem wysokiego wzrostu, o rysach ostrych i ponurym wyglądzie. Długie jego włosy były owinięte dokoła głowy i pokryte czerwonym błotem, tak że tworzyły ciężką masę, a rzadka broda dochodziła mu aż do kolan, co było oznaką czcicieli siwy. Na czole miał umieszczone trzy znaki z wypalonego krowiego łajna, trzy inne widniały na zagłębieniu piersi i na górnej części prawego ramienia. Reszta ciała była natarta olejem kokosowym i połyskiwała, jak gdyby pokrywała ją warstewka kryształu. Nie nosił wcale odzienia, tylko biodra miał przepasane sznurem z plecionej skóry.

- Ty jesteś fakir Sitama? - zapytał Dhundia szeptem.

- Tak, sahibie - odpowiedział nieznajomy. - Ja jestem fakirem i naczelnikiem dakoitów.

- Barma mi to powiedział przed śmiercią.

- Umarł?

- Pantera go rozszarpała.

- Mniejsza o to, jest nas wielu - odpowiedział niedbale dakoita. - Przyszedłem po twoje rozkazy, sahibie.

- Czy długo na mnie czekasz?

- Od trzech dni. Co mamy zrobić? Chcesz, abyśmy zabili twego towarzysza, zanim

przejdzie przez wyżynę?

- Odważyłbyś się na to? Indri jest człowiekiem, który obecnie cieszy się opieką Brahmy.¹⁰ Gdy go odrzuci jego kasta i stanie się nędznym pariasem,¹¹ o, wtenczas... ale teraz nie, byłbyś przeklętym w przyszłym życiu.

- Guru, Bramin czy też prosty śudra,¹² to dla mnie obojętne.

- Nie, a zresztą Góra Światła nie jest jeszcze w jego ręku. Na co więc przydałaby się nam śmierć jego? Stracilibyśmy tylko olbrzymią sumę.

- A więc co mam zrobić?

- Iść za nami aż do kopalń Pannahu i nie podejmować niczego przeciwko nam, dopóki wielki diament nie znajdzie się w naszych rękach.

- Czy sądzisz, sahibie, że były ulubieniec gaikwara osiągnie cel?

- Indri potrafi dotrzeć do celu, byle tylko nie stać się pariasem i nie zostać strąconym z wysokiego stanowiska, które zajmował, w proch i nicość - odpowiedział Dhundia.

- Ale to my będziemy mieli Górę Światła, a nie gaikwar Barody.

- Tak, i otrzymamy ponadto ogromną sumę od jego pierwszego ministra Parvatiego.

- A dokąd idziecie teraz?

- Do domu Toby'ego, sławnego łowcy tygrysów.

- Znam go; ale dlaczego udajecie się do tego człowieka?

- Dowiesz się później. Czy mówi się jeszcze w Pannahu o pożeraczu ludzi?

- Wszyscy boją się tego krwiożerczego a wymykającego się zwierzęcia tak bardzo, że kopacze porzucili prace - odpowiedział fakir.

- I nikt nie ma odwagi stawić mu czoła?

- Pożarło już dziesięciu łowców, którzy starali się je zaskoczyć, znęcani dziesięcioma tysiącami rupji obiecany przez radzę.

- Indri i Toby zabiją je, a wszelkie podejrzenia co do celu naszej wyprawy zostaną odwrócone. Idź, a miej się na baczności przed zwierzętami.

Dakoita wstał, skinął lekko prawą ręką na pożegnanie i znikł szybko wśród kalamu.

- Oto człowiek, który się nie zawaha w chwili odpowiedniej - mruknął Dhundia, a szydery uśmiech pojawił się na jego ustach. - Indri straci Górę Światła, a prócz tego zostanie pariasem.

¹⁰ Brahma - w hinduizmie bóg-stwórca.

¹¹ Parias - niedotykalny. Człowiek znajdujący się poza systemem kastowym, pozbawiony większości praw.

¹² Góru - mistrz, nauczyciel, przewodnik duchowy; bramin - członek najwyższej kasty, kapłan; śudra - członek najniższej kasty, sługa.

Wyszedł z krzaków i zwrócił się w stronę obozowiska, rozglądając się dokoła z obawy przed panterą, która mogła się była zapuścić w okolice namiotu.

Minął już ognisko, kiedy usłyszał chrapliwy ryk zwierzęcia, rozlegający się od strony kalamu.

“Czyżby puściła się w pogoń za Sitamą?” - pomyślał z drżeniem.

W tej chwili Bangavadi wydał głośny wyk.

Dhundia, bardzo zaniepokojony, przyspieszył kroku, spoglądając trwożliwie za siebie. Chciał wejść do namiotu, ale cofnął się gwałtownie.

Ukazał się Indri, trzymając w ręku pistolety.

- Skąd wracasz? - zapytał Indus.

- Obszedłem wokół obozowisko - odparł Dhundia, opanowując się szybko. - Obawiałem się, że śledzi nas pantera.

- Patrzcie! Stajesz się odważny! - wykrzyknął Indri szyderczo. - Widziałeś ją?

- Słyszałem tylko.

- Czy jest jeszcze wśród kalamu?

- Tak.

- Podsyć ogień. Wejdziemy z powrotem do namiotu. Nie odważy się napaść na nas.

W tej chwili usłyszano strzał, po którym natychmiast padł drugi.

- Kto mógł strzelać? - wykrzyknął Indri niespokojnie.

- Czyżby to był twój przyjaciel Toby? - zapytał Dhundia.

- Jesteśmy oddaleni o więcej niż siedem mil od jego siedziby.

- Mówiłeś mi, że czasami zapędza się daleko od swego domu.

- Byłbym zadowolony, gdybym go mógł zobaczyć. Jeżeli to rzeczywiście on strzelał, na pewno spotkamy go jutro. Niech sobie poluje; to człowiek, który nie potrzebuje naszej pomocy.

Chwilę jeszcze nadśluchiwali, po czym nie usłyszawszy już nowych strzałów, wrócili do namiotu.

Bangavadi pogąrzył się znów we śnie i chrapał spokojnie obok kornaka.

Rozdział IV - Straszna walka

O słońce słoń był już gotów do dalszej drogi przez wyżynę Pannahu. Już był pochłonął swoje ciasto, pokazną ilość liści, które kornak zerwał w pobliżu kalamu, i wypróżnił pięć czy sześć wiader wody.

Posiliwszy się lekkim śniadaniem składającym się z herbaty i sucharków, Indri i Dhundia kazali zwinąć namiot, po czym usadowili się w haudzie, gotowi odbyć długą drogę, a nawet zapolować na drugą panterę.

Skóra pierwszej, już ściągnięta przez kornaka, wyglądała wspaniale, przewieszona przez grzbiet słonia, będąc jak gdyby groźbą dla innych zwierząt.

- Jedźmy - rozkazał Indri. - Zatrzymamy się dopiero przed domostwem Toby'ego.

Słoń zaczął kroczyć naprzód, płosząc swą obecnością i rykiem zwierzynę ukrytą w kalamie.

Co chwila spostrzegano stada aksis, wytwornych i chżyżych jeleni, bardzo rozpowszechnionych w Indiach, uciekających poprzez zarośla z błyskawiczną szybkością. Oprócz nich przemykały się jelenie nilgo zwane także niebieskimi wołami, o sierści szarawej, głowie podłużnej jak u konia i uzbrojonej w długie, ostre rogi, którymi się bronią zaciekle.

Czasami, prawie spod nóg słonia, unosiły się stada ptaków. Były to papugi rozmaitego rodzaju, tak samo krzykliwe jak pokrewne im papugi amerykańskie, lub też białe synogarlice i kuropatwy. To znów uciekały z krzykiem parki wspaniałych pawi, które w Indiach są symbolem bogini Sarasvati,¹³ opiekunki narodzin i małżeństw, i dlatego uważa się je za zwierzęta prawie święte.

Ani Indri, ani Dhundia nie zwracali wielkiej uwagi na tę zwierzynę, mimo że mogłaby ona dostarczyć im doskonałego śniadania. Cała ich uwaga skierowana była na wytropienie drugiej pantery, która, jak przypuszczali, nie mogła być bardzo daleko. Z wysokości haudy badali grupy mindi, tamarynd, platanów, drzew mangowych i chlebowców, bardzo rozpowszechnionych w tych okolicach, jednakże nie mogli dostrzec krwiożerczej bestii.

Słoń, przebrnąwszy kalam, ruszył w głąb gęstego zagajnika utworzonego z palas¹⁴ - wspaniałych drzew o pniu bardzo sękatym i bogatym, aksamitnym ulistnieniu barwy zielononiebieskawej; ich owoce tworzą olbrzymie, jaskrawoczerwone grona, wydające rodzaj

¹³ Sarasvati - żona Brahmy, opiekunka sztuki i wiedzy, często wyobrażana z pawiem. Za opiekunkę rodzin częściej uważa się Lakszmi, żonę Wisznu.

¹⁴ Palas - drzewo lakowe.

barwnika często używanego przez krajowców.

Słoń szedł jak gdyby niechętnie, ujawniając ciągły niepokój, którego pieśzcotliwe słowa kornaka nie mogły usunąć.

- Bangavadi coś zwietrzył - rzekł Indri.

- W zaroślach są prawdopodobnie węże - odpowiedział Dhundia spokojnym głosem.

W tej samej chwili słoń zatrzymał się nagle i zaczął się cofać.

- Panie - rzekł kornak. - Przygotuj broń.

- Czy znowu pantera? - zapytał Indri.

- Czuję ją.

Nagle rozległ się przeraźliwy ryk, a po nim usłyszano przenikliwe syczenie.

Indri i Dhundia wychylili się z haudy, chwytając za karabiny.

W odległości dwudziestu kroków od nich, obok drzewa palas ukazała się nagle pantera, może ta sama, co rozszarpała dakoitę, ale nie mogła się już swobodnie poruszać. Otaczało ją potworne cielsko węża olbrzymich rozmiarów, który syczał i wił się z wściekłością.

Był to pyton tygrysi, wspinały wąż o skórze zielononiebieskiej, nieregularnie prążkowanej, mniej więcej na pięć metrów długi, mający grubość łydki człowieka.

Gad, jeden z najstraszliwszych tego rodzaju, rzucił się przypuszczalnie na panterę w chwili, gdy zaczęła się na słonia, i oplótł potężnymi pierścieniami, starając się ją udusić lub zdruzgotać jej żebra. Może uczepił się gałęzi za pomocą chwytneho ogona i spuścił się na zwierzę, zanim ono zdołało spostrzec jego obecność? W każdym razie pantera została obezwładniona i pozbawiona wszelkiej możliwości wyswobodzenia się z tych pierścieni, stawiających niezmiernie silny opór.

Nie mogła lekceważyć przeciwnika, gdyż gady tego rodzaju są obdarzone nadzwyczajną siłą. Nie puszczają tego, co pochwyciły; dręczone głodem, nie wahają się napadać na dzikie zwierzęta i nie wyrzekają się zdobyczy, nawet gdy odnoszą ciężkie rany.

Opowiadają, że pewnego dnia jeden z tych potworów żyjących w Indiach napadł na dziecko, które rodzice, zajęci sprząaniem ryżu, zostawili samo w chacie. Słyszac płacz malca nadbiegli i zastali węża pochłaniającego go wolno, jeszcze żywego. Zrozpaczony ojciec rzucił się na niego z siekierą w ręku i przeciął go na dwie części. Otóż, czy uwierzycie? Wąż, chociaż do tego stopnia raniony, nie porzucił zdobyczy i zatrzymał ją w swych zwojach, dopóki następne ciosy nie zamieniły go w bezkształtną masę mięsa i zdruzgotanych kości.

Pantera, czując, że się dusi, broniła się z najwyższą wściekłością, rycząc przeraźliwie. Stalowymi pazurami szarpała węża, lecz ten nie rozluźnił zwojów, a krew i ślina spływała na nią z

jego rozszczępionego języka.

Gad syczał wściekle przeszywając zwierzę jarzącymi się oczyma, wykręcał ogon bijąc nim o trawę, opuszczał i podnosił głowę starając się również ukąsić panterę długimi zębami pozbawionymi gruczołów, ponieważ węże te nie są jadowite.

Zdawało się, że ani pantera, ani wąż nie spostrzegły obecności Bangavadięgo, tak zaciekle walczyły. Z drugiej strony także Indri i jego towarzysze przyglądali się temu okropnemu widokowi w milczeniu, nie czyniąc użytku z broni, przewidując, że żaden z tych strasznych przeciwników nie wyjdzie cało z walki.

Pomimo ogromnej siły, pantera wyczerpywała się szybko. Charczała w śmiertelnym uścisku, który z każdą chwilą stawał się straszniejszym, a oczy jej, rozszerzone szaleńczo i przerażeniem, nieomal wypływały z jam.

Jednakże i wąż, jakkolwiek ścisnął ją w dalszym ciągu, nie mógł już wytrzymać długo walki z królową dżungli. Krew uchodziła mu z kilku ran, a skóra, rozdarta w paru miejscach pazurami zwierzęcia, wisiała w strzępach. Ogon poruszał się tylko od czasu do czasu, głowa zaś pozostawała sztywno na wysokości pół metra. I tylko oczy wpatrywały się ciągle w przeciwnika, jak gdyby chciały go obezwładnić.

Nagle zwierzę wydał ostatni zdławiony ryk, po czym rozległ się trzask druzgotanych kości. Żebra i kręgosłup nie wytrzymały straszliwego uścisku i pantera przestała oddychać.

Prawie w tej samej chwili i wąż, wyczerpany zupełnie upływem krwi, padł na ziemię, wstrząsany śmiertelnym dreszczem, jednakże nie rozluźnił pierścieni przytrzymujący zdobycz.

- Marne zwycięstwo - rzekł Indri, przerywając pierwszy milczenie. - I wąż niebawem zdechnie.

- Niech go Bangavadi zmiażdży - odezwał się Dhundia.

- To zbyt cenne, już się nie rusza. Niech kornak zejdzie, zabierzemy skórę pantery. Wjedziemy triumfalnie do Pannahu, a te dwa trofea będą dowodem naszej odwagi i zajęcia.

Kornak pokrajał węże nożem na kilka kawałków, aby uwolnić panterę z tych strasznych zwojów, po czym zabrał się do dzieła. W przeciągu pół godziny ściągnął skórę, którą zarzucono natychmiast na grzbiet słońca celem wysuszenia jej w słońcu.

Bangavadi po tym krótkim postoju, z którego skorzystał, aby poobgryzać pobliskie drzewa, puścił się szybkim krokiem w drogę, jak gdyby chcąc odzyskać stracony czas.

Ponieważ las nie był zbyt gęsty, mógł szybko iść naprzód. A jeśli spotykał na drodze niezbyt wysokie rośliny, odrzucał je na bok jednym uderzeniem trąby; tak samo łamał gałęzie, które mogły ugodzić Indrięgo lub Dhundię. Kiedy mijał rośliny owocowe, zrywał, nie zwalniając

kroku, kiście bananów lub owoce mango i podawał je z ręcznie kornakowi, on zaś chował tę zdobycz na obiad.

Około dziesiątej dotarli do szczytu wyżyny. Gruboskórzec mógł teraz szybciej kroczyć, nie będąc już zmuszony wspinać się pod górę.

Na tle wspaniałych zboczy przed podróżnymi rozciągała się ogromna płaszczyna; były to pierwsze przedgórza Ghatów, wielkiego płaskowyżu Indii Środkowych, wznoszące się w kształcie olbrzymich stopni.

Cieniste lasy o ciemnozielonym ulistnieniu chwiały się wszędzie wielkimi falami, pokrywając strome stoki, wąwozy i ogromne rozpadliny głębokiej doliny rzeki Ken lub rozciągając się na pięknej płaszczynie Khadžuraho. Były tam gaje platanów, niskich tek, drzew mangowych, sal, bananów o olbrzymich liściach i roślin gumodajnych.

W głębi dolin lub na brzegu wąwozów widać było grupki chat, na pół ukrytych wśród roślin, i kilka hadi - małych, oblanowanych warowni, umieszczonych zwykle przy przesmykach górskich.

Jednakże wyżyna wydawała się opustoszała, przynajmniej w tej części, którą przebiegał słoń. Widziano tylko gromadki małp zwane przez Indusów bandar, wysokich na pół metra, mających niezmiernie długi ogon, ciało zręczne, pysk spłaszczony, a sierść rozmaitych odcieni; jest ona szarozielonkawa na głowie, gdzie tworzy rodzaj biretu, ruda na łopatkach, poniżej biała, a czarna na łapach i uszach. Są to małpy bardzo zuchwałe i chytre; wystawiają na ciężką próbę cierpliwość rolników, pustosząc im warzywniki i pola. Mimo to Indusi uważają je za święte i dlatego cieszą się zupełną bezkarnością. Są do tego stopnia zuchwałe, że wchodzą nawet do mieszkań, niszcząc wszystko na oczach właścicieli, którzy nie mają odwagi ich wypędzić.

Około południa Bangavadi, przebywszy dalsze sześć mil, zatrzymał się na skraju lasu składającego się z chlebowców, które wydają owoce o wadze trzydziestu funtów, żółtawej barwie i silnym zapachu, wyrastające z pnia, a nie z gałęzi drzew.

Dwieście metrów dalej, na brzegu małego stawku, wznosił się lekki, drewniany domek parterowy, pokryty dachem w kształcie ostrosłupa z powiewającą na nim małą flagą angielską. Wkoło biegł rodzaj galerii, tak zwana weranda, podtrzymywana słupami z drewna, kryta matami z liści kokosowych; po bokach znajdowały się obszerne szopy otoczone ostrokołem. Skóry pantery i dwóch aksis zwisały się z werandy, jak gdyby dla zaznaczenia, że w tym domu mieszka myśliwy.

- Dojechaliśmy - rzekł Indri. - Czy Toby jest w domu czy też poluje?

Słoń wydał głośny ryk, któremu odpowiedziało natychmiast szczekanie kilku psów.

- Zsiądźmy - odezwał się Indri. - Jeżeli są psy, to będzie i Toby.

Zrzucił drabinkę sznurową i zsunął się na ziemię; Dhundia poszedł za jego przykładem.

W tej chwili otworzyły się drzwi dworku i jakiś człowiek w białym płóciennym ubraniu, w szerokim kapeluszu słomkowym na głowie ukazał się na stopniach, wołając:

- Patrzcie!... Indri!...

Był to Europejczyk mniej więcej czterdziestoletni, bardzo silny i więcej niż średniego wzrostu. Skóra jego miała prawie barwę brązu; natomiast włosy i broda były jeszcze jasnobłond, bez jednej srebrnej nici.

Niebieskie jego oczy zatrzymały się na Indusie z wyrazem najwyższego zdumienia.

- Indri!... - powtórzył.

- Tak, to ja, Toby - odpowiedział Indus, idąc szybko ku niemu z wyciągniętą ręką. - Z pewnością nie spodziewałeś się moich odwiedzin.

- Na honor, nie. Myślałem, że jesteś w Barodzie, u boku możnego pana, zajęty organizowaniem jakiejś potwornej walki między tygrysami a słoniami. Musisz mieć ważny powód, aby zapuszczać się na tę wyżynę, na której najlepsze gruboskórce mogą sobie połamać nogi.

- Istotnie, powód mam ważny - odpowiedział Indri z westchnieniem.

- Jakież cios mógł dotknąć ulubieńca gaikwara, najbardziej szanowanego wojownika Barody? - zapytał Toby.

- Dowiesz się później, przyjacielu: nie tutaj miejsce, aby mówić o tym.

- Na wszystkie bóstwa Indii, masz słuszość. Wejdźmy do dworku, gdzie na nas czeka śniadanie i... Kto jest ten Indus, który ci towarzyszy? - zapytał, zatrzymując się.

- To człowiek, którego mi gaikwar wpakował na kark.

- Przyjaciel czy nieprzyjaciel?

- Czytaj w jego duszy, jeśli umiesz.

- Twarz jego nie podoba mi się zbyt.

- Przyjmij go jak przyjaciela - szepnął Indri.

- Jak chcesz; wejdźmy.

Rozdział V - Nienawiść ministra

W owym czasie Toby Randal był najbardziej znanym łowcą dzikich zwierząt w północnych Indiach. Dawny podoficer sipajów,¹⁵ rozpoczął był karierę wśród dramatycznych okoliczności, porzucając szablę i pułk dla karabinu i lasów. Był jeszcze młody - nie liczył bowiem wtenczas wiele więcej niż lat trzydzieści - kiedy mu powierzono opiekę nad wyspą Sangor. Miał jej bronić przed ciągłymi napadami tygrysów, przepływających często przez Ganges i grożących pożarciem strażnikom latarni morskiej.

Będąc człowiekiem odważnym, który nigdy nie obawiał się dzikich zwierząt, zabrał ze sobą ukochaną żonę, pełną wdzięku Anglo-Induskę, i dwóch sipajów z pułku bengalskiego.

Czułość dzielnego sierżanta dała natychmiast dobre rezultaty, przywracając częściowo spokój dwom strażnikom latarni morskiej i ich rodzinom. Zdawało się, że tygrysy, zwietrzywszy niejako w Tobym groźnego przeciwnika, wyrzekły się krwiożerczych zamiarów, stroniąc od wysepki leżącej wśród wartkich wód ogromnej rzeki.

Upłynęło sześć miesięcy, a żaden z nich nie ukazał się na lądzie po pierwszych strzałach oddanych przez sierżanta i dwóch sipajów. Wydawało się, że długo potrwa ten spokój, kiedy straszny wypadek, który wstrząsnął całą ludnością Bengalu, zawiódł zbytnią ufność.

Pewnego wieczoru, gdy sierżant i dwaj sipaje polowali na dzikie kaczki, a latarnicy i rodziny ich spożywali wieczerzę razem z piękną żoną Toby'ego, tygrysy niepostrzeżenie przepłynęły Ganges. Było ich pięć, a wszystkie należały do okazów największych, jakie się dotąd pojawiły na wyspach Sundarbanu. Przebywszy ostrożnie obszary uprawne, dotarły do domu przylegającego do latarni morskiej, małego, dwupiętrowego budynku, z nieokrętowanymi wówczas jeszcze oknami.

W salce na parterze latarnicy i ich rodziny siedzieli właśnie przy wieczerzy, gawędząc wesoło, nieświadomi strasznego niebezpieczeństwa, jakie im groziło. Ponieważ było bardzo gorąco, zostawili okna otwarte, aby odetchnąć nieco świeżym powietrzem znad rzeki.

Wtem wygłodniałe i rozwścieczone tygrysy rzuciły się do pokoju, wskakując przez okna. Była to rzeź bez możliwości obrony, ponieważ w pokoju nie było broni.

Gdy Toby i jego towarzysze powrócili późną nocą, zdołali zaledwie dostrzec pięć tygrysów uciekających w stronę rzeki.

Z dwóch latarników, trzech kobiet i pięciorga dzieci pozostały w pokoju tylko strzępy ciała i zdruzgotane kości!...

¹⁵ Sipaje - potoczne określenie żołnierzy indyjskich w służbie brytyjskiej.

Na widok tych nędznych szczątków nieszczęśliwy Toby o mało nie postradał zmysłów. Dwaj żołnierze przewieźli go do Kalkuty i umieścili w szpitalu, w którym, załamany pozostał kilka miesięcy. Gdy przyszedł do siebie, był zdecydowany; miał tylko jedną myśl: pomścić biedną kobietę rozszarpaną przez zwierzęta.

Wystąpił z pułku i został myśliwym, a raczej mścicielem. Widywano go wtenczas na wyspach Sundarbanu, w dżunglach górnego Bengalu, w Orissie, w Bundelkhandzie, a nawet w Gudżaracie, tropiącego wszędzie dzikie zwierzęta, zarówno we dnie, jak w nocy, i to z niezwykłym powodzeniem. Ile ich zabił? Nawet on sam nie przypominał sobie już liczby.

Pewnego dnia jednakże szczęście go opuściło. Polując na pożeracza ludzi pustoszącego włości gaikwara Barody, sam został napadnięty i okrutnie poszarpany.

Byłby to prawdopodobnie kres jego sławy, gdyby opatrnościowym zbiegiem okoliczności nie nadszedł zbawca, który wydarł go na pół żywego z pazurów dzikiego zwierza.

Śmiałkiem tym był Indri - faworyt możnego gaikwara, lubiący, jak wielu bogatych Indusów, łączyć zajęcia państwowe z polowaniem. Indri nie tylko go wyratował, ale zaopiekował się nim, nie tyle z uczuciem książęcym, ile braterskim, a ponadto ofiarował mu kosztowne podarki.

W ten sposób ci dwaj ludzie, stworzeni dla siebie, obaj odważni i prawi, poznali się i poprzysięgli sobie przyjaźń dożgonną.

Toby pragnął gorąco poznać powód przybycia Indriego aż na wyżynę Pannahu, którą Anglik obrał za miejsce pobytu. Zamyślony wprowadził przyjaciela do małej salki na parterze, gdzie znajdował się nakryty stół.

Umebłowanie było proste, takie jakie się zresztą widzi prawie we wszystkich dworkach indyjskich. Kilka mebli mahoniowych bez ozdób, stół i parę bardzo wygodnych krzeseł z wysokimi oparciami z trzciny rotang.

Na ścianach wisiały trofea myśliwskie: rogi nosorożców i różnorodnych antylop, pazury tygrysie i wspaniałe skóry panterze. W rogu sufitu znajdowała się niezbędna pankha, czyli rodzaj ogromnego wachlarza, obracającego się za pomocą korby i odświeżającego cokolwiek powietrze podczas nieznośnych letnich upałów.

- Przyjaciele - odezwał się Toby, zwracając się przede wszystkim do Indriego - cieszę się, że przybyliście w chwili śniadania. Nie wiem, czy wam będzie smakowało, ponieważ zachowałem przyzwyczajenia angielskie; jednakże nie pogardzicie tą tłustą gęsią, którą sam upiekłem, nie pogardzicie i resztą. Wszakże ty, Indri, nie jesteś zaciętym braminem, nie jadającym mięsa.

- Ocenimy należycie twoje potrawy, Toby - odpowiedział Indri. - Jakkolwiek jestem

Indusem czystej krwi, wyrzekłem się od dawna pewnych przesądów i przejąłem coś niecoś z waszych przyzwyczajzeń.

- A zatem siadajcie i jedzcie.

Tiffin, czyli drugie śniadanie spożywane przez Anglików, nie było bardzo urozmaicone, lecz obfite. Jak zwykle składało się z mięsa, jarzyn, owoców i piwa, a nadto tym razem ze wspaniałej gęsi, zabitej przez Toby'ego poprzedniego dnia na brzegu stawku.

Indri, mając apetyt zaostrozony długą ranną podróżą i świeżym powietrzem wyżyny, raczył się obficie potrawami myśliwego. Tylko Dhundia krzywił się nieco, ponieważ tak jak większa część Indusów miał prawie nieprzewyciężony wstręt do mięsa, zwłaszcza krowy dojnej, która uchodzi za świętą.

Po skończonym posiłku, Toby kazał służącemu przynieść doskonałą mokkę i cygara i zaczął opowiadać o najświeższych polowaniach, unikając pytania Indriego o powód, jaki mu kazał dotrzeć aż na wyżynę.

Słowa byłego ulubieńca gaikwara obudziły jego podejrliwość; jednakże, mimo że paliła go ciekawość, zapanował nad sobą, nie mając zupełnego zaufania do owego Dhundii, który od pierwszej chwili był mu antypatyczny. A zresztą Indri sam nie wspominał o niczym, więc Toby jako człowiek bystry zrozumiał, że wyjaśnienie miało nastąpić, później, w cztery oczy.

“Jeżeli Indri nie mówi, to widocznie ma po temu powody - powiedział sobie. - Uzbrójmy się w cierpliwość i czekajmy”.

Cierpliwość jego niedługo wystawiona była na próbę. Gawędzili czas jakiś paląc i popijając doskonałe piwo, kiedy spostrzegli, że Dhundia oparł się wygodnie o poręcz krzesła, zamykając oczy. Czy wypił za wiele czy też pragnął odpocząć nieco z powodu nadmiernego upału? W każdym razie sposobność była dobra.

- Pozwólmy twemu przyjacielowi spać spokojnie i chodźmy zażyć chłodu do ogrodu - rzekł Toby, mrugając znacząco. - Pokażę ci piękne róże, które sprowadziłem z Kaszmiru.

- Chciałem ci to zaproponować - odpowiedział Indri, dając mu znak, że zrozumiał. - Tu się człowiek dusi, a nieco świeżego powietrza z wyżyny orzeźwi nas doskonale.

Rzucili ostatnie spojrzenie na Dhundię, który wyglądał na pogrążonego w głębokim śnie, i wyszli.

Za domem rozciągał się miły ogród, otoczony płotem, ze wspaniałymi drzewami kokosowymi, mangowymi, bananowymi i grządkami bogatymi w różnorodne kwiaty, którymi Toby zajmował się sam, o ile polowanie nie zatrzymywało go w pobliskim lesie. Pośrodku wznosił się pawilon w stylu indyjskim, otoczony wysokimi, ocieniającymi go roślinami i

krzakami mussendy o krwawych liściach.

Toby nie mógł dłużej przewyciężyć niecierpliwości, wprowadził zatem Indriego do tego wytwornego budynku, gdzie panował ożywczy chłód, a przysunawszy mu fotel, rzekł:

- Mów, zdaje mi się, że czas na to.

- Przede wszystkim, czy jesteśmy sami? - zapytał Indus.

- Cała moja służba jest w szopach.

- To, co ci muszę powiedzieć, jest tak ważne, że nikt nie powinien usłyszeć ani jednego słowa.

- Pobudzasz niezmiernie moją ciekawość, Indri. Możesz mówić otwarcie, jesteśmy zupełnie sami.

- Czy nie spostrzegłeś w tych dniach nikogo obcego kręcącego się koło twego dworku?

- Nie, nikogo... ale...

- O!... - odezwał się Indri.

- Tak, przed trzema dniami zjawił się jakiś Indus, którego nigdy przedtem nie widziałem, a który mi oświadczył, że w jarze spostrzegł tygrysa.

- Czy zabiłeś owego tygrysa? - zapytał Indri z niepokojem.

- Tropiłem go przez dwa dni, lecz nie natrafiłem na ślad.

- A Indus ten nie wrócił?

- Nie widziałem go więcej.

- A więc był to jakiś szpieg.

- Szpieg!... - wykrzyknął Toby ze zdumieniem.

- Mam takie przeczucie.

- Indri, przyjacielu mój, mów, nie posiadają się z ciekawości.

- Posłuchaj mnie, a zobaczysz, że miałem słuszną przypominając sobie o człowieku, którego przed dwoma laty wydarłem z pazurów chcącego go pożreć tygrysa...

- I którym zająłeś się po bratersku - dodał Toby wzruszonym głosem.

- Ja, który jeszcze przed kilku tygodniami byłem najpotężniejszym Hakimem¹⁶ Barody, ulubieńcem i doradcą gaikwara, ja, który, gdybym zechciał, jednym słowem mogłem wzbudzić lęk w milionach istot ludzkich, ja mam zostać wykluczony z mojej kasty, stracić zaszczyty i bogactwa i stać się nędznym, pogardzanym pariasem, człowiekiem bez kasty i bez ojczyzny.

- Ty!... Ty, Indri! - wykrzyknął Toby z bolesnym zdumieniem. - To niemożliwe!...

- Tak, przyjacielu - odparł Indus poważnie. - Nieszczęśliwe zdarzenie oraz piekielna

¹⁶ Hakim - urzędnik wysokiej rangi.

intryga skierowana przeciwko mnie przez potężnego nieprzyjaciela uczynią ze mnie człowieka przeklętego.

- To nie może być prawda, przesadzasz, Indri - rzekł Toby.

- Wiesz, że moi nieprzyjaciele zazdrościli mi pozycji ulubieńca gaikwara; wśród nich rej wodził Parvati, pierwszy minister.

- Mówiłeś mi o tym przed dwoma laty.

- Nieprzyjaciele ci chwyтали się wszelkich środków, aby mnie zgubić. Lata całe pracowali nad tym cierpliwie i uparcie, i nie wiem, czybym w tej chwili był jeszcze ulubieńcem gaikwara, gdyby nie obawiali się mej zemsty. Nieszczęśliwy przypadek poparł ich usiłowania, a ja może zostanę zwyciężony w walce, którą toczy ze mną Parvati.

- Jakż to przypadek?

- Nie wiem, czy znasz dokładnie naszą religię i surowe wymagania, jakie nakłada na nasze kasty.

- Wiem o tym coś niecoś.

- Wiesz zatem, co to jest parias?

- Nieszczęśliwy, który wzbudza wstręt we wszystkich członkach czterech innych kast i do którego nikt nie może się zbliżyć nie kompromitując się, jakkolwiek jest tak samo człowiekiem jak inni - odparł Toby otwarcie.

- To prawda - rzekł Indri. - Nieszczęśliwy, który płaci za winy swych przodków, który nikomu krzywdy nie czyni, uczciwszy od tyłu innych zajmujących wybitne stanowiska, a którego mimo to religia nasza potępia. Nikt nie może się do niego zbliżyć, nikt nie może mu pomóc, nikt nie może ofiarować mu gościny, jeżeli nie ma zostać odtrąconym przez własną kastę i stać się na równi z tym nieszczęśliwym przeklętym, zapowietrzonym nędzarzem.

- A tyś się zbliżył do pariasa? - zapytał Toby.

- Tak; ja człowiek, którego najwięcej szanowano i bano się w Barodzie, ofiarowałem mimo woli gościnę jednej z tych pogardzanych istot.

- Jak to się stało?

- Zaraz ci opowiem, przyjacielu. Podróżowałem z polecenia mego pana, gaikwara, po Gudżaracie, kiedy pewnego dnia spostrzegłem ślad nosorożca. Wpadłem na nieszczęśliwy pomysł puścić się za nim, aby go zabić. Już go wytropiłem i zraniłem, gdy wtem zwierz natarł na mnie z taką wściekłością, że nie zdołałem nabić ponownie karabinu. Byłbym został przebity, lecz w tej samej chwili jakiś młody Indus rzucił się pomiędzy mnie i rozszalałe zwierzę, wbijając mu oszczep w otwartą paszczkę. Byłem ocalony, ale młodzieniec ów nie zdołał

uniknąć rogu przeciwnika i runął na ziemię z rozdartą piersią. Co bybyś uczynił na moim miejscu?

- Byłbym go zaniósł do domu i zaopiekował się nim - odparł Toby.

- Nie pytając go, kim jest?

- Nie byłaby to chwila odpowiednia do tego, zdaje mi się.

- Tak też i ja postąpiłem. Wziąłem nieszczęśliwego, który był zemdłą, w ramiona, i zaniósłem go do namiotu. W chwili, gdy odzyskał przytomność i spostrzegł, że znajduje się w moich ramionach, okazał najwyższe przerażenie. Zrozumiał, że ten dobry uczynek zgubił nas obu; dzielny ten człowiek był bowiem pariasem i przez swoje dotknięcie skaził mnie. Umarł przed wschodem słońca, a ja także byłem stracony. Jeden z moich sług zdradził mnie i w Barodzie dowiedziano się o wszystkim.

- Łotry!... - wykrzyknął Toby z oburzeniem. - Jak gdyby parias nie był takim samym człowiekiem jak inni!

- Religia nasza nie żartuje - podjął na nowo Indri ze smutkiem. - Ja, będąc nowoczesnym Indusem, jakkolwiek braminem, odrzucam pewne bzdurstwa, które nie powinny już istnieć w naszych czasach; a jednak musiałem się poddać. Parvati czyhał tylko na sposobność, aby mnie zgubić, i skorzystał z tego, oskarżając mnie przed gaikwarem i przed moją kastą.

- Grozi ci zatem wykluczenie? - zapytał Toby przerażony.

- Jeszcze nie, gdyż gaikwar, który mnie kocha, dał mi sposób ratunku, podsunięty mu prawdopodobnie przez haniebną chytrą Parvatiego.

- Co masz uczynić? Mów, a dokonamy cudów, aby nie dać wygrać temu wstrętnemu łotrowi.

- Ofiarować świątyni Brahmy Górę Światła radży Pannahu, aby ją można umieścić na czole boga.

- Do stu piorunów! - wykrzyknął Toby. - Górę Światła!... To dzieło niełatwe do wykonania. Podobny pomysł mógł być powstać wyłącznie w mózgu tego psa Parvatiego!... Ale jeszcze nie wszystko stracone, mój drogi Indri, i dokonamy cudu, jakiego żądają od ciebie.

Rozdział VI - Dhundia się odsłania

Ludność Indii rozpada się na cztery ściśle odgraniczone kasty, a nie mogą się one wzajemnie przenikać, ponieważ religia ich, w przeciwieństwie do chrześcijaństwa, nie przypisuje wszystkim ludziom jednego pochodzenia.

Dzieli się ona na braminów, którzy powstałi z ust Brahmjy; na wojowników, którzy powstałi z jego ramienia, na rolników i kupców, którzy powstałi z jego żebra, i na śudrów, czyli słuźących, powstałych z nóg boga. Wynika z tego, że podstawą ustroju Indii jest zupełna nierówność, podczas gdy chrześcijaństwo opiera się na zasadzie równości wynikającej z wszechojcostwa pierwszego człowieka.

Indus nie ma innego pochodzenia ani przynależności, jak tylko swą kastę.¹⁷ Rozdział pomiędzy kastami jest tak głęboki i wyraźny, że nikt nie może przechodzić z jednej do drugiej ani dzięki zasługom lub bogactwom, ani z żadnego innego powodu. I tak śudra nie mógłby nigdy, nawet gdyby los pozwolił mu się wzbogacić, dążyć do zostania kupcem, bo kasta ta nie przyjęłaby go; rolnik nie mógłby zostać wojownikiem; ten zaś, nawet gdyby się wslawił, nie mógłby być braminem, który jest przedstawicielem wysokiej arystokracji indyjskiej, będąc pochodzenia boskiego.

Wszyscy ci, co nie należą do wyżej wymienionych kast - a jest ich niemało - są pariasami, to jest ludźmi nie mającymi ani szczerpu, ani ojczyzny, istotami pogardzanymi, przeklętymi, do których nikt nie może się zbliżyć, którym nikt nie może pomóc, do których nikt nie może przemówić słowa, jeżeli sam za karę nie chce zostać pariasem.

Nawet człowiek najpotężniejszy i na wysokim stanowisku, chociażby był braminem, gdyby przypadkowo wszedł w jakąkolwiek styczność z tymi nieszczęśliwymi lub gdyby bezwiednie posłużył się jakimkolwiek należącym do nich przedmiotem, niechybnie zostałby zgubiony. Kasta jego ogłosiłaby go natychmiast za wyklętego i wykluczyłaby go spośród siebie; kara ta jest straszną, ponieważ dotknięty nią nie może już mieć żadnej styczności ze swoimi ani też należeć do społeczeństwa ludzkiego. Traci on krewnych, przyjaciół, czasami nawet żonę i dzieci, którzy wolą go opuścić, niż dzielić jego hańbę. Nikt nie odważy się jeść z nim ani podać mu kropli wody, żadne małżeństwo nie jest możliwe dla jego synów i córek. Jest on istotnie przeklętym, którego wszyscy unikają jak zapowietrzonego, wskazując go palcem z najgłębszą pogardą. Nawet ostatnia kasta, kasta słuź, nie odważyłaby się przyjąć człowieka tak zhańbionego,

¹⁷ Nazwa "kasta", choć powszechnie przyjęta, jest tu myląca; owe cztery grupy to "warny", czyli barwy: bramini (kapłani), kszatrijowie (wojownicy), wajśjowie (kupcy), śudrowie (słuźący). Samych kast jest kilkaset.

choćby przedtem był braminem. Jest on zmuszony schronić się pomiędzy pariasami lub też uciec w okolice zamieszkiwane przez Europejczyków, jedyne, gdzie będzie mógł zaznać pewnego spokoju.

Ażeby dać wyobrażenie o głębokim wstręcie, jakim pariasi przejmują poszczególne kasty, i o nieubłaganych karach nałożonych na tych, którzy się do nich zbliżają, wystarczy opowiedzieć następujące zdarzenie.

Pewnego dnia pięciu braminów, podróżujących razem w okolicy spustoszonej przez wojnę, weszło do jakiejś chaty, a nie mogąc znieść dłużej głodu, ugotowali ostatek ryżu, jaki jeszcze mieli w naczyniu będącym własnością biednego pariasa. Przysięgli dochować tajemnicy, lecz po powrocie do domu zostali zdradzeni przez jednego z nich, który nie chciał brać udziału w posiłku. Oskarżeni jednakże zdołali zwrócić z ręcznie oskarżeniu przeciwko denuncjantowi zapewniając, że to tylko on posłużył się był naczyniem pariasa, i zażądali wykluczenia go z kasty.

Nawet kobiety, które mogły mieć jakąkolwiek styczność z pariasami nie unikają straszliwej kary. W kaście raczputów ojciec zabija własną córkę; inne kasty wykluczają takie kobiety spośród siebie i golą im głowy.

Należy jednakże powiedzieć, że nie zawsze wykluczenie jest definitywne, zwłaszcza jeżeli chodzi o osobistości wybitne. Rehabilitacja jest wówczas dopuszczalna, jednakże połączona z bolesnymi i upokarzającymi doświadczeniami. Wypala się na przykład język nieszczęśliwego różdżką ze złota lub też piętnuje się go rozżarzoną żelazem, każe mu się biegać po gorących węglach albo musi przejść kilkakrotnie pod brzuchem jałowicy, które to zwierzę uważane jest za święte. Na zakończenie musi wypić odwar złożony z pięciu substancji wytworzonych przez ciało jałowicy, to jest z mleka zbieranego, mleka zsiadłego, masła i z dwóch innych składników nieczystych.

Po tych uwagach można zrozumieć straszliwe niebezpieczeństwo, na jakie był narażony Indri, ulubieniec gaikwara Barody, oskarżony o to, że dotknął pariasa i zaniósł do domu owego nieszczęśliwego, który ofiarą własnego życia uratował go przed rogiem rozszalałego nosorożca.

Po owym słusznym krzyku gniewu Toby trwał w milczeniu, okazując zmieszanie tak widoczne, że nie mogło ono ujść uwagi Indusa.

- Rzecz jest poważna, nieprawda? - odezwał się do niego z pewną obawą.

- Tak, Indri - odparł były sierżant sipajów. - Parvati nie mógł poddać gaikwarowi niebezpieczniejszego pomysłu. Radża Pannahu zanadto dba o swoją Górę Światła i nie odstąpi ci jej za żadną cenę, skoro już odmówił przyjęcia wielu milionów ofiarowanych mu przez

Wielkiego Mogoła.¹⁸

- Wiem o tym, Tobo, toteż mogę uczynić tylko jedno: ukraść mu diament, zachowując sobie możliwość zapłacenia zań później, gdy będzie już bezpiecznie umieszczony u gaikwara.

- I myślisz, że to rzecz łatwa? - zapytał Tobi.

- Nawet niezmiernie trudna, ponieważ obawiam się, że moi nieprzyjaciele potajemnie uprzedzili radzę o zamiarach, ażeby mi uniemożliwić ich wykonanie.

- Myślałem o tym, zanim mi to powiedziałaś - odparł Tobi. - I sądzę, że radza nie pozwoli ci uczynić nawet kroku na swoich ziemiach.

- Jestem o tym przekonany, i właśnie, aby tego uniknąć, pragnę uchodzić za prostego łowcę tygrysów; dlatego też przyszedłem do ciebie. Ty jesteś znany na całej wyżynie i nikt nie będzie mógł podejrzewać, że pod odzieniem sługi kryje się ulubieniec gaiwara.

- Myśl twoja była trafna, Indri, i uczyniłeś dobrze licząc na mnie. Wyprawa będzie najeżona tysiącnymi niebezpieczeństwami, może czeka nas nawet śmierć; ale masz prawo do mego życia, gdyż bez ciebie nikt by już nie pamiętał o Tobym, łowcy tygrysów.

- Dziękuję. Byłem pewny, że mogę liczyć na twoją przyjaźń - rzekł Indri, ściskając gorąco twardą dłoń byłego podoficera.

- Zaczniemy działać nie tracąc czasu - podjął znowu Anglik po chwili milczenia - aby nie zwiększać podejrzeń radzy. Dziś jeszcze wyślę do Pannahu kilku moich służących, żeby rozpuścili pogłoskę, iż udaję się tam celem zabicia pożeracza ludzi. Gdy dotrzemy do kopalń, zobaczymy, co należy uczynić, by zdobyć Górę Światła. Nie, nie pozwolimy triumfować temu łotrowi Parvatiemu i wytoczmy mu później zacieklą bitwę. Jednakże jest w tym coś, co mnie niepokoi.

- Co takiego?

- To ów Dhundia, który wzbudza we mnie podejrzania. Nie wiem jak tobie, ale mnie twarz jego się nie podoba. Czyś ty go wybrał?

- Nie, został mi narzucony przez gaikwara.

- A doradcą gaikwara był Parvati?

- Prawdopodobnie- odparł Indri.

- Będziemy na niego baczyli i nie zostawimy go nigdy samego. Wróćmy teraz do domu, aby nie wzbudzać w nim podejrzeń, i zajmijmy się przygotowaniem do podróży. Czy masz dobrego słonia?

- Jednego z najlepszych, jakie posiada gaikwar.

¹⁸ Wielki Mogoł - tytuł cesarzy z dynastii Mogolów.

- Czy jest przyzwyczajony do polowania?

- Tak.

- Chodźmy więc.

Wsunął rękę pod ramię Indriego i wrócili do salki na parterze, rozprawiając spokojnie o polowaniu i o słońiach.

Kiedy weszli, Dhundii już tam nie było, znaleźli go natomiast wyciągniętego wygodnie w hamaku w cieniu rozłożystej tamaryndy, rosnącej w pobliżu dworku.

- Obawiam się, że nas szpiegował - szepnął Toby do Indriego.

- Prawdopodobnie, przypuszczam jednak, że nie miał odwagi nas podsłuchiwać.

- Jeżeli to zrobił, tym gorzej dla niego. Usłyszał przynajmniej, za kogo go mamy, a widząc, że na niego uważamy, będzie się zachowywał spokojnie.

Pozwolili mu dokończyć drzemki i przeszli do stajni, gdzie stały dwa przepiękne konie, które w ubiegłym roku Indri podarował był przyjacielowi, oraz dwie pary zebu z wydatnymi garbami, zaprzęganych do wózków, ponieważ mają chód jak osły.

Bangavadi otrzymał był miejsce honorowe w obszernej szopie i wypoczywał na pięknym posłaniu z zielonych liści.

- To istotnie wspaniałe zwierzę - odezwał się Toby, który znał się na słońiach. - Silne i olbrzymie. Jeżeli pozeracz ludzi z Pannahu zechce napaść na niego, spotka się z groźnym przeciwnikiem.

- Czy zapolujemy na niego z pomocą Bangavadiego? - zapytał Indri.

- Nie, słoń pomoże nam odszukać ślad i zbadać teren. Ten tygrys jest tak chytry, że nie ukaże się za dnia; będziemy musieli czekać na niego w zasadzce.

- A czy zdołamy go zabić?

- Śmierć jego jest nam potrzebna, aby zwrócić uwagę radży. Książę ten jest wspaniałym człowiekiem, lubiącym podobno ludzi odważnych, więc zechce nas zobaczyć. Już ułożyłem sobie pewien plan, zobaczymy, czy będzie musiał ulec zmianom. Czy wiesz, gdzie jest schowana Góra Światła?

- Mówiono mi, że służy jako oko boga Wisznu¹⁹ znajdującego się w jednej z najważniejszych świątyń w Pannahu, ale nie wiem, gdzie jest teraz. To będzie trudne zadanie - rzekł Indri w zamyśleniu.

- Teraz nie możemy tego osądzić; zorientujemy się, gdy przybędziemy do Pannahu. Tymczasem pozwól, że wyślę dwóch ludzi do kopalń, aby rozgłosić moje przybycie. To wywoła

¹⁹ Wisznu - jeden z bogów hinduistycznej Trójcy, powstrzymujący świat przed upadkiem, znany ze swoich dziesięciu

pewne wrażenie, ponieważ jestem znany na całej wyżynie.

- A nie zdradzą cię?

- Nie znają prawdziwego celu naszej wyprawy; czegoż więc miałbym się obawiać? A zresztą są mi wierni.

Kazał okulbaczyć oba konie, potem wybrał spośród służby dwóch ludzi najbardziej sobie oddanych, a dawszy mi odpowiednie polecenia, kazał im odjechać i w Pannahu poczekać na swoje przybycie.

Wieczorem Anglik zaprowadził znowu przyjaciela do ogrodu, gdzie kazał być przygotować wieczerzę w pobliżu ogromnej tamaryndy.

Dhundia dopiero wtenczas porzucił hamak, w którym spał lub udawał, że śpi. Zdawało się jednak, że ów długi sen przyprawił go o zły humor.

- Bezczyność mnie psuje - odezwał się do Indriego. - Ten spokój denerwuje mnie, wolałbym znajdować się na grzbiecie słonia niż w tym cichym domu.

- Jutro ruszamy - odparł Toby, patrząc na niego uważnie.

- Tak szybko? - zapytał Dhundia nieco zdziwiony.

- W ten sposób nie będziesz zmuszony skarżyć się na bezczynność - dodał Indri.

- A zatem jutro będziemy w Pannahu?

- Mam nadzieję - odparł Toby. - Czy nie dogadza ci to?

- Owszem, panie. Z niecierpliwością oczekuję twojej walki z pożeraczem ludzi.

- Ta niecierpliwość może cię drogo kosztować, chyba że wolałbyś zostać w Pannahu.

- Nie, gdyż lubię wielkie wzruszenia, tak samo jak Indri. Poza tym muszę czuwać nad jego bezpieczeństwem, a w razie potrzeby oddać życie, byle tylko doprowadzić go żywego do gajkwaru.

- Dziękuję, Dhundio - rzekł Indri z lekką ironią. - Mam nadzieję, że nie będziesz musiał zostawić skóry w pazurach bestii, aby mnie ocalić. Jest tutaj Toby, a ten dzielny myśliwy nie zostawi tygrysom czasu do natarcia na mnie, nieprawda, przyjacielu?

- W odpowiedniej chwili nie chybię - odparł były sierżant z uśmiechem, dodając: - Przyjaciele, już późno, a jutro przed świtem musimy ruszyć w drogę. Chodźmy spać.

Zawołał służącego i polecił mu zaprowadzić gości do przeznaczonych dla nich pokoi, potem kazał zamknąć drzwi i kraty oraz wpuścić swoje psy myśliwskie do ogrodu, aby odstraszyć złodziei wałęsających się wówczas często na wyżynie.

Dhundia, znalazłszy się sam w pokoiku położonym na końcu skrzydła domku, zatarł ręce jak człowiek zadowolony z siebie.

- Nie ufają mi - rzekł, uśmiechając się szyderczo. - Dhundia nie taki głupi, aby tego nie zrozumiał. Ach! Nie chcieli, abym był obecny przy ich rozmowie? Dobrze! Otóż wiedzcie, że największe zadowolenie ja odnoszę. Zobaczymy przede wszystkim, czy dakoici czuwają także i tutaj.

Cicho otworzył okno, podniósł matę kokosową służącą za żaluzję i wpatrzył się w ciemną przestrzeń rozciągającą się przed dworkiem.

Przez kilka minut stał tak nieruchomo, potem ujął lampę, przybliżył do okna, podnosząc ją i opuszczając trzykrotnie.

Po upływie pół minuty ujrzał jasny punkt, jarzący się wśród gałęzi rośliny oddalonej najwyżej o trzysta metrów; światło zgasło natychmiast, ale wkrótce jeszcze zapłonęło dwa razy.

- Nie omyliłem się - mruknął Dhundia. - Sitama zostawił tutaj jednego ze swych łotrów. Dobrze o tym wiedzieć. W ten sposób będę mógł przy sposobności przesłać dobrą wiadomość Parvatiemu. Zatem sprawa stoi dobrze: tysiące rupji i zaszczyty!... Któż by powiedział, że biednemu braminowi z Ramgharo tak się powiedzie?

Zamknął ostrożnie okno, zgasił światło, po czym, nie rozbierając się, rzucił się na łóżko i zasnął spokojnie.

Rozdział VII - Zaklinacz węży

Jeszcze nie wzeszło słońce, a już Bangavadi dał hasło odjazdu rykiem tak potężnym, że wstrząsnął całym dworkiem.

Kornak, zaniósłszy żywność do haudy oraz umieściwszy w niej kilka karabinów i mnóstwo naboji, które otrzymał od służby, zajął znowu swoje miejsce, siadając okrakiem na grubej szyi słonia.

Indri i Dhundia zdjęli bogate szaty, przyodziewając bardzo proste, białe ubrania płócienne, mało różniące się od stroju myśliwskiego. Wypiwszy pospiesznie filiżankę doskonałej herbaty, wyszli z dworku gotowi do odjazdu.

- Czy znasz drogę? - zapytał Toby kornaka, wychodząc także.
- Tak, sahibie - odparł Bandhara. - Byłem już kilka razy w Pannahu.
- Dojedziemy do miasta przed zachodem?
- Bangavadi przyspieszy kroku i urządzimy tylko dwa krótkie postoje.

Wszyscy trzej weszli do haudy, a słoń zaczął kroczyć naprzód drogą wiodącą na wschód. Zanosило się na wspaniały, niezbyt upalny dzień, gdyż od strony Ghatów powiewał lekki, orzeźwiający wietrzyk. Ptaki budziły się właśnie, witając radośnie pierwsze promienie słońca. Stada papug krzyczały wśród liści, a grupki pawi o lśniących piórach odlatywały, ukrywając się wśród gęstych zarośli. Małe słowiki, bardzo wesole i wojownicze, podnosiły ruchome czubki, wyzywając się do walki, a na zwieszających się z gałęzi gniazdach, podobnych do butelek, krzyczały krzyżodzioby filipińskie.

Natomiast dokoła stawów, w tej okolicy bardzo licznych, statecznie przechadzały się ogromnie cenione przez krajowców marabuty, brzydkie, przypominające bociany ptaszyska o niezmiernie długich dziobach, śnieżnobiałych piórach i bezkształtnych, nastroszonych podgardlach. Pomimo pięknego upierzenia przedstawiają widok nieładny, zgoła nie pociągający, gdyż szpecą je wielkie ślepia i goła szyja. Mimo to cieszą się uznaniem, ponieważ po wsiach oczyszczają ziemię z robaków, a w miastach, podobnie jak ścierwniki w Meksyku pełnią funkcję sprzątaczy ulic.

W oddali zarysowywał się ciągle majestatyczny łańcuch Ghatów przerywany olbrzymimi rozpadlinami, przez które przepływają rzeki, oraz zębatymi szczytami. Popędzany przez kornaka Bangavadi biegł bardzo szybko, starając się unikać zarośli, których gałęzie mogły smagać podróżnych. Dhundia zaczął jak zwykle przeżuwać swój betel nie mówiąc ani słowa, a Toby zapalił fajkę, wypuszczając w powietrze gęste chmurki dymu. Od czasu do czasu

zamieniał kilka słów z również zadumanym Indrim.

W ten sposób przebyli trzy mile wspinając się ciągle w górę, kiedy Toby wskazał Indriemu jakiegoś człowieka, co szedł równoległe ze słoniem, starając się nie pozostawać w tyle i nie zwracać zbytnio na siebie uwagi.

- Zdawałoby się, że ten Indus idzie za nami - rzekł.

- To jakiś góral. Z obawy przed tygrysami stara się trzymać blisko nas - pospieszył z odpowiedzią Dhundia, który usłyszał jego słowa.

- W takim razie mógłby się przybliżyć - zauważył Toby.

- Powinniście wiedzieć, że nie lubią towarzystwa Europejczyków.

- Ale za to wzywają ich na pomoc, gdy widzą, że im grozi niebezpieczeństwo - odparł Toby ironicznie. - Hej, kornaku, staraj się dogonić tego człowieka.

- Stracimy drogi nam czas - zauważył Dhundia.

Słoń, jak zawsze posłuszny przewodnikowi, opuścił ścieżkę i ruszył ku drzewom gumowym, koło których właśnie przechodził nieznajomy. W przeciągu niecałej minuty przebył tę odległość i minął grupę gęsto rosnących drzew, spotykając Indusa właśnie w chwili, gdy tenże wynurzał się z gęstwy.

- Patrzcie!... To Nathapanthi!²⁰ - wykrzyknął Toby. - Cóż w tych lasach robi ten fakir?

Idący za nimi człowiek był jednym z owych fanatyków należących do klasy fakirów, budzących podziwienie przez swoje bezrozumne praktyki religijne, a także przez surowe oddanie się temu lub owemu bóstwu. Nathapanthi tworzą osobną sektę żyjącą z jałmużny często wymuszanej gwałtem, co się nierzadko kończy razami wymierzanymi temu, kto jej odmawia. Wyróżniają się swoistym obyczajem nieznanego pochodzenia, mianowicie noszą tylko jeden trzewik i zarost po jednej stronie twarzy.

Fakir, który szedł za podróżnymi, był człowiekiem o rysach twardych, oczach ponurych i bardzo ciemnej, prawie czarnej skórze, rzadkiej w Indiach Północnych. Jak wszyscy jego współwyznawcy miał na głowie turban, z lewej strony turbanu zwieszały się dwa srebrne dzwoneczki pokryte drutem; w każdej ręce trzymał po dwa kawałki drewna, którymi się posługują, wybijając nimi hałaśliwie takt podczas deklamacji.

- Dokąd idziesz? - zapytał Indri dając mu znak, aby się zatrzymał.

- Do Pannahu, sahibie - odparł fakir, zamieniając szybkie spojrzenie z Dhundią. - Mam

²⁰ Nathapanthi - jedna z grup ascetów uprawiająca jogę, słynna ze skrajnych umartwień. Dalszy opis autora wydaje się jednak przesadzony.

wziąć udział w święcie Tirunalu.²¹

- Kiedy są obchody święta? - spytał Toby.

- Zaczynają się za dwa dni.

- Popsują nam polowanie - rzekł Toby, krzywiąc się z niezadowoleniem.

- Powiedz, dlaczego nie śmiałeś się zbliżyć? - zapytał Indri.

- Obawiałem się, że będę natrętny - odparł.

- Jednakże biegłeś za słoniem.

- To prawda, wiem, że te zarośla pełne są dzikich zwierząt i chciałem trzymać się blisko was, aby w razie niebezpieczeństwa prosić o pomoc.

- Jeżeli chcesz, możesz zostać w pobliżu słonia.

- Dzięki sahibie; ale zwierzę twoje biegnie za szybko, abym mógł dalej iść za nim. A zresztą teraz minąłem już las i nie grozi mi żadne niebezpieczeństwo.

To powiedziawszy, zamienił z Dhundią drugie szybkie spojrzenie, potem wszedł w pobliskie zarośla i wyciągnął się obok wielkiego pipalu.

- Zostawmy go w spokoju - rzekł Toby, który niczego nie zauważył. - Musi być wyczerpany.

- I ja tak sędzę - odparł Indri.

Bangavadi, popędzony przez kornaka powrócił na ścieżkę i podjął znowu szybki krok, dysząc i poruszając szerokimi uszama, aby się orzeźwić. W oddali, przy ostatnich złomach wyżyny, zaczynała się zarysowywać wielka grupa budynków. Niektóre z nich połyskiwały w promieniach słońca, jak gdyby kopuły ich i dachy były posypane kawałkami złota.

Był to Pannah, stolica radży, ale jeszcze tak oddalona, że należało wątpić, czy przed zachodem słońca podróżni zdążą do niej dotrzeć. Trzeba było jeszcze przebyć wiele lasów, głębokich jarów i kilka potoków, przedzierających się przez olbrzymie skały, co miało wystawić na ciężką próbę siłę i cierpliwość Bangavadię oraz zręczność jego kierownika.

Około południa podróżni musieli dać godzinę odpoczynku biednemu zwierzęciu, które pociło się straszliwie, chociaż powietrze było jeszcze świeże. Wybrane miejsce ocieniała ogromna tamarynda, rosnąca samotnie w otoczeniu niskich krzaków, ulubionych kryjówek węży, zwłaszcza małych, niebieskich kobra Monil²² i okularników.

W Indiach tamaryndy dochodzą do niezmiernej wysokości i rozwijają się zazwyczaj bujnie, bardzo szeroko rozpościerając gałęzie. Są to wspaniałe rośliny mające grubą, popękaną

²¹ Tirunal - prawdopodobnie chodzi o jedno ze świąt jesiennych, związanych z boginią Kali.

²² Kobra Monil - żmija łańcuszkowa.

korę, zazwyczaj brunatną oraz liście mniej więcej trzy cale długie, spiczasto zakończone. Indusi używają chętnie owoców, nie tyle jako odświeżającego lekarstwa, ile raczej do przyprawiania potrawy zwanej karri.

Zaledwie Toby i jego towarzysze wyciągnęli się w cieniu tego pięknego drzewa czekając, aż kornak przyrządzi śniadanie, gdy Toby, którego uwadze nic nie uchodziło, nie mógł powstrzymać okrzyku zdziwienia na widok jakiegoś człowieka przesuwającego się przez zarośla.

- Co się stało, Toby? - zapytał Indri, sądząc, że może ukąsił go wąż lub stonoga.

- Znowu Nathapanthi!

- To niemożliwe!...

- Nie omyliłem się, Indri. Widziałem go tylko chwilę, jednakże wystarczyło mi to, aby go poznać.

- Czyżby nas gonił? - zapytał Indri zdumiony. - Czyż ten człowiek mógłby być tak wytrzymały, aby współzawodniczyć z szybkim krokiem Bangavadięgo?

- To kto inny - rzekł Dhundia. - Skoro w Pannahu mają obchodzić święto Tirunalu, to mnóstwo fakirów tam się uda.

- Hm! Ja jednak przypuszczam, że to ten, któregośmy spotkali, i pragnąłbym gorąco przekonać się o tym!

- Jest już daleko - zauważył Dhundia z pewnym niepokojem.

- Nie tak bardzo, jak wam się zdaje; pójdę za nim, a Bangavadi tymczasem odpocznie.

- I zostawisz śniadanie? - spytał Indri.

- Ech, dla myśliwego wystarczy sucharek, który zjem, nie zwalniając kroku.

- Chcesz, żebym ci towarzyszył? - zapytał Dhundia, powstając szybko.

- Ani ty, ani Indri, wolę być sam.

Dał Indriemu znak porozumiewawczy i wzięwszy karabin wszedł między krzaki, docierając szybko do wielkiej grupy dzikich bananmów.

- Coś w tym jest - mruknął nie zwalniając kroku. - Nie biegnie się za słoniem bez ważnej przyczyny, galopując pięć godzin z rzędu.

Spostrzegł owego człowieka, zdużającego w stronę bananów, a chociaż znał niezmierną szybkość Indusów, był pewny, że go znajdzie ukrytego w trawie.

Posuwał się z pewną ostrożnością nie wiedząc, czy ów fakir jest sam, obawiał się nawet, że było ich paru.

“Kto wie - myślał - człowiek ten może być także dakoitą, a nie mnichem, a ten rodzaj ludzi jest zawsze niebezpieczny.”

Doszedłszy do środka gęstych zarośli, zatrzymał się, nad słuchując. Do uszu jego nie dochodził żaden odgłos, a jednak w odległości około pięćdziesięciu kroków wzbiło się stado krzyczących przeraźliwie papug.

“Ów człowiek musiał je spłoszyć - pomyślał. - Czyżby zauważył, że idę za nim? Miejmy się na baczności, aby nie wpaść w pułapkę.”

Nabił karabin i zdecydowanie ruszył naprzód prześlizgując się pomiędzy ogromnymi liśćmi bananów, które pochylały się ze wszystkich stron ku ziemi, ponieważ łodygi ich nie mogły utrzymać takiego ciężaru. Od czasu do czasu Toby słyszał szelest liści, a wkrótce potem ujrzał uciekającą z szaloną szybkością gromadkę dzikich psów. Zwierzęta te są tak duże jak szakale i są do nich bardzo podobne; mają krótką sierść barwy żółto-brunatnej i gładki ogon. Czasem są niebezpieczne nawet dla człowieka, zwłaszcza jeżeli jest ich wiele.

Nagle w gęstych zaroślach ucichł wszelki szelest. Czy Indus znalazł sobie kryjówkę, czy też wyrzekł się ucieczki? Toby uczynił jeszcze kilka kroków, rozsuwając liście lufą karabinu, po czym stanął i jął nad słuchiwać.

Spośród krzewów dochodziły go ostre dźwięki, po nich zaś następowały modulacje łagodne i tęskne, jakby wychodziły z fletu używanego przez zaklinaczy węży, zwanego murli.

“Oho! - pomyślał Toby, coraz bardziej zdumiony. - Miałoby ów Indus, którego goniłem, być zaklinaczem węży, a nie fakirem? A może mam przed sobą zręcznego łotra, umiającego zmienić się nie do poznania nawet w głębi lasu? Ci Indusi są zdolni do wszystkiego.”

Tymczasem muzyka brzmiała nadal, coraz cichsza i smutniejsza, wywołując nawet w myśliwym dziwne uczucie osłabienia i jak gdyby pewną senność.

“Czy chce wypuścić na mnie wszystkie gady ukrywające się w gęstwinie?” - zastanowił się Toby.

Wsunął dłoń za pas i wyciągnął długi, lekko zakrzywiony nóż, który w razie napadu węży byłby skuteczniejszą bronią od karabinu. Ścisnął go mocno w rękę i ruszył odważnie naprzód, zdecydowany dogonić zaklinacza, ale nie rozumiejąc dobrze całej sprawy. Szedł jednakże wolno, ponieważ ze wszystkich stron słyszał ciche syczenie i szelest poruszających się suchych liści.

“Węże wypełzają z kryjówek - stwierdził, wzdrygając się. - Co za wstrętne towarzystwo!”

Istotnie, gady, przywoływane muzyką rozbrzmiewającą bez przerwy, opuszczały legowiska i pociągane nieprzepatą siłą, zbliżały się do grającego.

Indyjscy zaklinacze węży zyskują fletami władzę nad potrzebnymi im gadami. Udają się w gęstwiny leśne lub dżungle i długo grają. Węże, mając nadzwyczajną namiętność do

muzyki, pełzną do nich ze wszystkich stron. Wówczas z błyskawiczną szybkością zaklinacze upuszczają instrumenty, chwytają najbliższe gady, rzucają w powietrze, aby je oszołomić, podnoszą za ogon w chwili, gdy spadają na ziemię, po czym za pomocą kleszczy pozbawiają ich zębów jadowych. Jeżeli przypadkiem zostają ukąszeni, wysysają truciznę z rany lub posługują się odtrutkami, których tajemnicę znają tylko oni sami.

Toby kroczył naprzód niezmiernie wolno czując, jak czoło pokrywa mu się zimnym potem. Spostrzegł już był pełzającą kobrę monil, małego węża barwy niebieskiej, długości jednej stopy, którego ukąszenie jest śmiertelne; dalej węża gulabi o skórze nakrapianej czerwono i wreszcie niezmiernie cienkiego, czarnego węża z żółtymi plamami, mającego najwyżej dwadzieścia centymetrów długości, a jednak najstraszniejszego ze wszystkich, gdyż w minutę po jego ukąszeniu człowiek lub zwierzę ginie, jakby gromem rażone.

Toby zastanawiał się właśnie nad tym, czy ma iść dalej, czy wrócić, aby nie zostać ukąszonym przez jednego z tych niebezpiecznych mieszkańców gęstwiny, gdy nagle stanął na skraju małej polanki.

Okrzyk zdumienia i lęku wydarł mu się u ust.

Pośrodku tej otwartej przestrzeni siedział na wielkim, wystającym z ziemi korzeniu jakiś zupełnie nagi Indus otoczony tuzinem gadów w rodzaju gulabi, kobry i boa. Grał spokojnie, jak gdyby nawet nie był zauważył obecności myśliwego, a węże, zwinięte przed nim, słuchały go z podniesioną głową, zachowując zupełny bezruch, niby zahipnotyzowane tą muzyką.

Okrzyk zdumienia, który wydarł się był Toby'emu, spowodowało dziwne podobieństwo między tym człowiekiem a fakirem spotkanym przed czterema godzinami na drodze odległej teraz o pięć mil. Ta sama ciemna skóra, te same rysy; a jednak fakir nie miał ani turbanu, ani zarostu, ani trzewika, ani nawet naszyjnika.

“Ten sam czy inny? - zastanawiał się Toby, nie mogąc się w tym połapać. - I zarostu już nie ma?... Był żeby przyprawiony? Oto ładna tajemnica i chciałbym ją wyjaśnić, gdyby nie te przekłete węże. Gdybym przynajmniej mógł usłyszeć jego głos.”

Postąpił kilka kroków naprzód, oglądając się trwożnie za siebie z obawy, aby go nie ukąsił jakiś spóźniający się wąż, i krzyknął na całe gardło:

- Skończ już raz tę przekłętą muzykę!

Indus podniósł głowę, a odrywając na chwilę flet od ust, rzekł ze zdumieniem, rzekomo naturalnym:

- O! Biały człowiek! Uciekaj, sahibie, bo węże cię ukąszą.

- Zostaw flet i odpowiadaj mi.

- Nie mogę, panie, jeżeli na chwilę przestanę grać, węże wpadną w szal i rzucają się na mnie.

I podniósłszy flet do ust, zaczął znowu grać, tym razem na inną nutę.

“Nawet głos jego, chociaż stał się nosowym, przypomina mi tamtego fakira -pomyślał Toby. - Czy to on?”

Chciał ruszyć naprzód, gdy wtem zobaczył rzecz dziwną. Węże, które dotąd pozostawały nieruchome, może podniecone nagle ową muzyką, coraz gwałtowniejszą i szybszą, rozkręciły pierścienie, sycząc i wijąc się. Zdawało się, że są pod wpływem silnego gniewu i zamiast zbliżać się coraz bardziej do grającego, oddalały się szybko.

- Kończ z tym albo cię zabiję! - krzyknął Toby.

- Nie mogę, sahibie - odparł Indus przerażonym głosem. - Nie mogę powstrzymać dłużej węży. Uciekaj! Rozszalały się!...

Rozdział VIII - Wyzyna Pannahu

Istotnie, węże zamiast uspokoić się, syczały coraz głośniejsze i wily się coraz gwałtowniej. Podnosiły się nagle, poruszając szybko rozszczępionymi językami i ukazując straszliwe zęby pełne jadu, potem sunęły naprzód, jak gdyby szukając jakiegokolwiek ofiary, by ją ukąsić.

Spostrzegłszy Toby'ego, który zamiast uciekać, pozostał był nieruchomo w miejscu, jak obezwładniony strachem, zwróciły się gwałtownie ku niemu, gdy tymczasem Indus przyspieszał ciągle szatańską muzykę, ukrywając się za korzeniem.

Nie było chwili do stracenia. Myśliwy podejrzewał w tej muzyce podstęp Indusa mający go zmusić do odejścia i odczuwał szaloną chęć, aby skończyć to wszystko celnym strzałem karabinowym. Widząc jednakże straszliwą falangę ruszającą ku niemu, skoczył wstecz, uciekając w gęstwinię.

Jak tylko dotknął nogami ziemi, pośliznął się na jakimś gładkim cieple. Ledwo zdołał uchwycić się gałęzi, gdy usłyszał za sobą dobrze znany syk. Był to syk rozwścieczonego okularnika, jednego z najniebezpieczniejszych gadów żyjących w gęstwinach i dżunglach indyjskich.

Obrócił się szybko, wyciągając rękę uzbrojoną w nóż myśliwski.

Wielki, mający dwa metry długości wąż o brunatno-żółtawych łuskach, którego głowa była ozdobiona dziwnym rysunkiem podobnym do pary okularów, wyprężył się przed nim, sycząc z wściekłością.

Straszliwy gad przybył za późno, ażeby rozkoszować się muzyką; a ponieważ myśliwy go nadepnął, wyprężył się nagle, gotów kasać. Na szczęście Toby w porę go zauważył i zdołał utrzymać się na nogach. Gdyby upadł, byłby niechybnie został ukąszony. Szybkim ruchem uskoczył w bok, a podniósłszy karabin, uderzył kolbą napastnika, rzucając go na ziemię ze strzaskanym kręgosłupem. Zwycięstwo to przychodziło w dobrej chwili, gdyż boa, gulabi i inne gady mogły rzucić się na niego z tyłu.

- Do diabła z tym grajkiem i wszystkimi jego wężami! - krzyknął Toby, przeskakując przez węża, który wili się w śmiertelnych drgawkach.

Rzucił się w zarośla, polecając się własnym nogom, i biegł wprost przed siebie, pragnąc jak najspieszniej dotrzeć do obozowiska. Piętnaście minut wystarczyło mu, aby przebyć gęstwinię bananów i stanąć obok słonia.

Indri, widząc, że nadbiegł zziębnięty i okryty potem, ruszył mu naprzeciw, sądząc, że go ściga jakiś dziki zwierz lub banda dakoitów.

- Szybko, na słońia! - krzyknął Toby. - Mam za sobą rój gadów.

- Wężę! - wykrzyknął Indri.

- Nasłane na mnie przez tego łotra Indusa.

- Jakiego Indusa?

- Później... jedźmy... może już nadciągają.

Bangavadi już stał gotów do drogi. Kornak zaniósł śniadanie do haudy, po czym wszyscy ulokowali się w niej pospiesznie, ponieważ na skraju gęstwiny usłyszeli pierwsze syki węży.

I kiedy słoń oddalał się szybkim krokiem, Toby opowiedział w skrócie dziwną przygodę, pobudzając do śmiechu Indriego i Dhundię.

- Czy dobrze mu w twarz zajrzałeś? - zapytał Indri, kiedy Toby skończył opowiadanie.

- Indusowi? Z pewnością, przyjacielu, dziwnie był podobny do fakira.

- Wątpię jednak, żeby to był on - rzekł Dhundia. - Gdyśmy go spotkali, nie miał fletu.

- A jednak jestem przekonany, że zaklinacz węży i fakir to ten sam człowiek - odparł Toby. - Gdyby był biednym kuglarzem, nie posłałby za mną wszystkich tych gadów, a nawet starałby się schwytać je czym prędzej.

- Jaki cel może mieć ten człowiek, aby nas tak uparcie gonić? - zapytał Indri z pewnym niepokojem.

- To właśnie pragnąłbym wiedzieć - odparł Toby.

- Czy Indus ten znikł zaraz?

- Po zabiciu okularnika już go nie widziałem, a muzyka umilkła.

- Spotkałeś zręcznego łotra. Ja wiem, że zaklinacze umieją usypiać gady fletem, a także doprowadzać je do szalonej wściekłości. Nie chciał, żebyś mu się zbytnio przyglądał z bliska, i nasłał na ciebie tych strasznych mieszkańców zarośli.

- Jestem o tym przekonany - odrzekł Toby. - Ale jeśli go jeszcze raz spotkam, wpakuję mu kulę w łeb.

Ironiczny uśmiezek, nie zauważony przez nikogo, ukazał się na ustach Dhundii. Z pewnością wiedział on o owym Indusie o wiele więcej niż Toby i Indri.

Za każdym krokiem Bangavadięgo wspinającego się na wyżynę krajobraz się zmieniał. Po gęstych zaroślach następowały teraz pola uprawne i dosyć niskie laski, a tu i tam ukazywały się grupki chat lub pięknie wyglądających dworców, będących chyba własnością bogatych Indusów z Pannahu.

Stada krów pasły się spokojnie na łąkach rozciągających się w dolinach, strzeżone przez pastuchów o ciemnej skórze i wyglądzie nie budzącym wielkiego zaufania. Czasami widziano także obłaskawionego słońia, który przechadzał się swobodnie na skraju lasów i witał towarzysza

doñośnym rykiem, rozlegającym się daleko.

- Jesteśmy w zamieszkaney okolicy - rzekł Indri. - Teraz już nie potrzebujemy się niczego obawiać, gdyż radza nie żartuje ze złodziejami i zbójami.

- A mimo to grasują oni i tutaj, i to nie mniej odważni od tych, którzy niepokoją inne okolice Indii - odparł Dhundia.

- Ów fakir, którego mam za nicponia, może być dowodem, że tak jest - rzekł Toby. - Żle uczyniliśmy, nie ścigając tego łotra.

- Nie byłby się dał schwytać. Nie znasz jeszcze nieprawdopodobnej chytrności złodziei z zbójów indyjskich.

- Przyznaję, że są przemyślni, ale znowu nie do tego stopnia, aby się nie dać nigdy przyłapać.

- Wiedzą o tym twoi ziomkowie - rzekł Indus, śmiejąc się. - Kiedy chcieli oczyścić Bundelkhand z rozbójników, a jest ich tam mnóstwo, doznawali często nadzwyczajnych niespodzianek. Nie ma kraju, którego złodziei i zbójów można by porównać z naszymi pod względem sprytnych pomysłów, zręczności, niezmiernej cierpliwości, nadzwyczajnej odwagi i umiejętności przebierania się i ukrywania. Cóż byś powiedział na przykład, gdybym oświadczył, że te gałęzie, o, tam mogłyby również być Indusami z krwi i kości?

- Że nie byłbym tak niemądrym, aby je wziąć za ludzi - odrzekł Toby.

- I omyliłbyś się.

- O!

- Tak, Toby. Ten fortel złodzieje indyjscy, a zwłaszcza dakoici, znają dobrze; dzięki takiej sztuce prawie zawsze wymykają się pościgom. Zawsze, gdy ich tropi policja konna, zdejmują ubranie, kładą je razem z bronią pod małe, okrągłe tarcze, które umyślnie noszą, a które potem rozrzucają tu i tam, aby naśladowały kamienie; potem wyciągają się na ziemi w ten sposób, że ich chude, ciemnobarwne członki przyjmują wygląd prawdziwych suchych gałęzi, a ciała mają pozór pni. Zaręczam ci, że złudzenie jest tak doskonałe, iż wyprowadzi w pole najchytrzejszego Europejczyka.

- Zdawałby się, że to niemożliwe! - wykrzyknął Toby zdumiony.

- Znana jest nawet związana z tym anegdota. Pewien oficer, twój rodak, otrzymał polecenie ujęcia bandy złodziei grasujących w Bhil. Istotnie, udało mu się ich wysledzić, ale w chwili, gdy już ich doganiał, złodzieje znikli nagle z oczu jego i żołnierzy, mimo że w tym miejscu nie było lasów. Natomiast widoczne były tylko pnie i gałęzie, które wydawały się suche. Zmęczony oficer kazał ludziom zsiąść z koni, a ponieważ było bardzo gorąco, zawiesił czapkę na

gałęzi. Wiesz, co to było?

- Nie, nie wiem.

- Noga złodzieja.

- To bajda, Indri.

- Bynajmniej, to zdarzenie prawdziwe. Złodziej nie mógł wytrzymać, wybucha śmiechem. Już go żołnierze dostrzegli, ale on, szybszy od błyskawicy, skacze na zdumionego oficera, obala go na ziemię, po czym ucieka, z triumfem zabierając czapkę. Inne gałęzie, zamienione jakby cudem, w istoty ludzkie, już go wyprzedziły, pozostawiając oficera i żołnierzy z nosami spuszczoneymi na kwintę.

- Jeżeli tak potrafią kraść, będziemy musieli mieć się dobrze na baczności, skoro tylko Góra Światła znajdzie się w naszych rękach.

- I zdołaliby nam ją ukraść. Znałem Indusa, który umiał chodzić po śpiącym psie, nie budząc go; i innego, który wyzwany, poszedł ukraść prześcieradło spod śpiącego na nim oficera sipajów.

- Ów oficer chyba wypił nieco za wiele tej nocy - zauważył Toby. - Mnie by się niewątpliwie nic podobnego nie zdarzyło.

- Wcale nie, ponieważ to właśnie ów oficer zachęcił go do tego, aby się przekonać o nadzwyczajnej zręczności złodziei indyjskich.

- I został okradziony?

- Po kilku dniach.

- W jaki sposób Indus zabrał się do tego?

- Najprzód zakradł się do namiotu i przeciął płótno, potem, widząc śpiącego oficera, połechttał mu lekko ręce i twarz, doprowadzając go do tego, że się mimo woli ruszał na swoim posłaniu. Równocześnie wstrząsał lekko prześcieradłem, pociągając je ciągle ku sobie. Gdy się oficer obudził, prześcieradła już nie było, i dopiero następnego dnia zręczny łotr odniósł mu je. Oto czego potrafią dokonać złodzieje indyjscy.

- To ludzie, których należy się obawiać jak dżumy - rzekł Toby.

- Jeżeli nie bardziej - odparł Indri.

- Jesteśmy na miejscu - odezwał się w tej chwili Dhundia.

- Jeszcze tylko jeden jar do przebycia, a wjedziemy do Pannahu.

Po drugiej stronie wielkiej doliny wznosiła się stolica wyżyny, prawie spowita w ciemnościach. Należało przebyć tylko dwie lub trzy mile. Bangavadi mógł je przebiec w przeciągu niespełna pół godziny, pomimo że grunt był nierówny, a w kilku miejscach rozkopany, co świadczyło o pracy kopaczy radży, stale poszukujących diamentów.

- Czy bramy będą jeszcze otwarte? - zapytał Indri Toby'ego.

- Kazemy je otworzyć - odparł Anglik. - Biały człowiek, który podejmuje się uwolnić kopalnię od straszliwego pożeracza ludzi, nie będzie obozował poza obrębem miasta. Jestem nawet przekonany, że nas oczekują.

- I wychodzą na nasze spotkanie - odezwał się Dhundia. - Widzę pochodnie posuwające się jarem.

- Miałeby radza wysłać po nas eskortę? - zapytał Toby. - Sława moja jako tępiciele dzikich zwierząt rozeszła się już po całej wyżynie.

- Słyszycie? - zapytał Dhundia. - Dają nam sygnały.

W głębokiej ciszy panującej w dolinie rozległ się nagle echem dźwięk omerti - jest to instrument zrobiony z połowy orzecha kokosowego, pokrytego cienką skórą; omerti wydaje dźwięki bardzo ładne, podobne do głosu cymbałów.

- To straż, którą nam radza przysłała - rzekł Indri. - Pochodnie zbliżają się ku nam.

W pięć minut później Bangavadi spotkał oddział ludzi uzbrojonych w dzidy i strzelby, a za nimi szło szesnastu hammalih, czyli tragarzy, dźwigających na ramionach trzy pozłacane palankiny w kształcie skrzyni z dwoma otworami, zdobne w zasłony z niebieskiego jedwabiu w kwiaty i ze srebrnymi frędzlami. Po bokach kroczyło ośmiu maśalcich²³ niosących pochodnie i olej kokosowy do podsycania gasnącego płomienia.

Dowódca straży, którego można było poznać po pióropuszu z pawich piór, zwieszających się z jego wielkiego słomkowego kapelusza, wysunął się naprzód, odzywając się:

- Jestem wysłańcem najpotężniejszego radży Pannahu, mego władcy i mam was prowadzić i czuwać nad łowcą tygrysów i jego towarzyszami. Palankiny czekają na was.

- Jesteśmy twemu panu wdzięczni za taką uprzejmość - odpowiedział Toby, schodząc po sznurowej drabince spuszczonej przez kornaka. - Gdzie ci polecono nas umieścić?

- W dworku, własności mojego pana. Dom zostaje cały oddany do twojej dyspozycji sahibie.

- Kto go uprzedził o moim przybyciu?

- Jeden z twoich sług, który dziś rano rozgłosił tę wiadomość; kilka posterunków zostało rozstawionych na murach, aby nam dać znać, że się zbliżasz. Skoro tylko spostrzeżono słonia, udałem się na twoje spotkanie.

- Dziękuję, przyjacielu.

Toby wszedł do pierwszego palankinu, a Indri i Dhundia ulokowali się w dwóch innych i oddział ruszył z miejsca; za nim szedł Bangavadi.

²³ Maśalczi - dosł. niosący pochodnię.

Hammali, którzy dźwigali palankiny, szli szybko. Są to ludzie wybrani, bardzo zręczni i silni, chociaż przeraźliwie chudzi. W całych Indiach pełnią służbę transportową, i to niezmiernie szybko, przebiegając nieraz jednym tchem do czterdziestu kilometrów, minuty nawet nie odpoczywając. I, o dziwo, posiłek ich składa się tylko z funta marnej mąki: połowę zjadają w południe, a resztę wieczorem!...

Zwykle zależni są od administracji pocztowej, która za uprzednim powiadomieniem rozstawia ich co dziesięć mil na zmianę, tak że podróżny przenosi się z szybkością przewyższającą bieg najlepszych koni. Żadna przeszkoda ich nie powstrzymuje: ani góry, ani jary, ani dżungle; mają oni taki sposób chodzenia, że palankin nie ulega najmniejszym wstrząsom.

Wedle zwyczaju hammali radzy zaintonowali, postąpiwszy kilka kroków, niezmierną rytmiczną pieśń, regulującą ich bieg.

- Cóż niesiemy? - wołał najlepszy śpiewak. - Czy może lekkiego ptaka?

- Nie, nie - odpowiadali inni na tę samą nutę - człowieka ciężkiego, niezmiernie ciężkiego jak słoń.

- Upuśćmy go - odpowiedział pierwszy.

- Czy nie widziałeś jego długiego kija?

- Tak, widziałem.

- A więc strzeż się, bo grzbiet twój mógłby zaznać jego razów.

- Zatem pracujmy, dalej, pracujmy!...

I kroczyli naprzód, powtarzając refren głosem już to przenikliwym, już to żalonym.

Przebyli szybko dolinę, a potem małą płaszczynę przerywaną jamami i zagłębieniami; były to dawne kopalnie diamentów, obecnie wyczerpane. O godzinie dziesiątej oddział wjeżdżał do Pannahu.

- Otóż i jesteśmy na miejscu niebezpiecznej wyprawy - rzekł Indri z westchnieniem. - Czy stracę tu honor, czy też wrócę zwycięsko? Góra Światła tutaj się znajduje; moim zadaniem jest ją zdobyć.

Rozdział IX - Święto Tirunalu

Pannah jest jednym z najstarszych miast Indii, a sławę swą zawdzięcza bogactwu kopalń diamentów, które są najbardziej znane i najdawniejsze ze wszystkich.

Miasto leży pośrodku niezmiernie rozległej wyżyny, do której dostęp jest trudny, wśród dzikich gór i olbrzymich lasów, może tak starych jak świat; spoczywa, że tak powiemy, na łożu z diamentów, gdyż nawet gdyby się rozkopało ulice, znaleziono by ich niewątpliwie bardzo wiele.

Pannah, choć nie bardzo wielki, ma bowiem tylko dwadzieścia tysięcy mieszkańców, i to razem z licznym personelem kopalń, jest nadzwyczaj elegancki i ma raczej wygląd miasta europejskiego niż indyjskiego.

Domy jego, zbudowane po większej części z kamienia, przedstawiają się pięknie i mają przeważnie kształt angielskich dworców; nawet świątynie Pannahu, które istnieją od niedawna, ponieważ wskutek dziwaczego kaprysu założyciela dynastii prawie wszystkie stare zostały zburzone, zbudowano w interesującym stylu.

Pannah, jak wszystkie miasta indyjskie, ma obszerny bazar, jedyny chyba gmach przypominający architekturę rodzimą, oraz siedzibę radży; jednak i ona ma charakter europejski, ponieważ składa się z grupy budynków o płaskich dachach, z kilkoma kolumnami podtrzymującymi ogromne tarasy.

Kiedy oddział poprzedzany przez niosących pochodnie maśalczych wkroczył do miasta, ulice były puste i ciemne. Tylko od czasu do czasu patrol żołnierzy, licho odzianych i uzbrojonych w dzidy, przechodził szybkim, cichym krokiem.

Minąwszy kilka ulic, eskorta zatrzymała się przed jednym z ostatnich dworców siedziby książęcej, gdzie stał żołnierz na warcie.

- Jesteśmy na miejscu - rzekł dowódca, ukazując się przy drzwiczkach palankinu Toby'ego. - Oto dom przeznaczony przez radżę dla was.

- Czy jest tam także miejsce dla słonia? - zapytał myśliwy.

- Zaprowadzę go do budynku, gdzie mu nie będzie zbywało na niczym - odparł dowódca eskorty.

- Dziękuję, przyjacielu. - Toby zszedł szybko na ziemię, wsunął kilka rupji w rękę dowódcy eskorty i wszedł do dworku razem z Indrim i Dhundią. Czterech służących oczekiwało ich w salce na parterze, umeblowanej nieco z europejska i nieco z indyjska; pośrodku stał bogato nakryty stół.

- Sahibie - rzekł służący, który chyba był zarządcą domu - wieczerza jest gotowa.

- Do pioruna! - zawołał Toby. - Radza jest bardzo uprzejmy. Nie spodziewałem się takiego przyjęcia.

Wieczera była obfita i składała się z różnorodnych potraw: zwykle karri w rybnym sosie, pieczeń z antylopy, kotlety, paszteciki z ryżu, budyń, rozmaite owoce i piwo.

Toby i jego towarzysze, bardzo wygłodniali, dali dowód wytrzymałości żołądków, wywołując tym pewne zdziwienie służby, po czym kazali sobie przynieść fajki i betel.

Zarządca domu stał za krzesłem Toby'ego, jakby czekał na jego pytanie.

- Czy masz mi co do powiedzenia? - zwrócił się do niego myśliwy, który to zauważył.

- Tak, sahibie - odparł zagadnięty. - Pan mój pragnie się dowiedzieć, kiedy zabijesz pożeracza ludzi, który od sześciu tygodni udaremnia prace w kopalniach.

- Jutro wieczorem po święcie.

- Czy będziesz na obchodach Tirunału, sahibie?

- Mamy zamiar obejrzeć sobie to widowisko. A kiedy będziemy mogli zobaczyć się z radzą?

- Po zabiciu pożeracza ludzi.

- Czy ciągle jeszcze zdarzają się napady tygrysa?

- Tak, sahibie. Jeszcze wczoraj pożarł kopacza i pokaleczył dwóch innych.

- Jutro po święcie pójdziemy zbadać teren, a w nocy urządzimy na niego zasadzkę.

- Nie boisz się, że cię pożre?

- Nie jestem przecież Indusem, abym dał się zjeść jak kotlet - rzekł Toby. - Zabijemy bagha (tygrysa) i zdobędziemy nagrodę obiecaną przez radzę.

- Życzę ci tego, sahibie.

Wypróżnili drugą butelkę piwa, potem kazali zaprowadzić się do pokoi sypialnych, umeblowanych z wytworną prostotą. Stały tam łóżka wyrobu europejskiego.

Toby i Indri zasnęli wkrótce.

Dhundia zaś, zamiast się położyć, zaczął w milczeniu przechadzać się po pokoju, zatrzymując się często przy drzwiach i nasłuchując, jakby czekał na kogoś. Upłynęło dwadzieścia minut, gdy wtem od strony schodów usłyszał lekkie kroki, które zatrzymały się przy drzwiach.

Otworzył i ujrzał przed sobą zarządcę domu.

- Byłem pewny, że mnie oczekujesz, sahibie - rzekł. - Czy zrozumiałeś mój znak?

- Tak - odparł Dhundia. - Kto cię przysłał?

- Sitama, fakir.

- Jest już tutaj?

- Tak, razem z olbrzymem Barwanim.

- Czy mają dla mnie jakiś rozkaz od Parvatiego?

- Żadnego, sahibie.

- A więc dlaczegoś przyszedł?

- Aby ci powiedzieć, że zabiliśmy posłańca, któremu polecono uprzedzić radzę o zamiarach Indriego.

- Postąpiliście dobrze; gdyby był wykonał to polecenie, Góra Światła byłaby dla nas stracona. Parvati prowadzi zatem podwójną grę... Niech Indri zginie, ale diament musi wpaść w nasze ręce. Dowiedziałeś się, gdzie się znajduje Góra Światła?

- Jest zamknięta w żelaznej skrzyni znajdującej się w pałacu radży.

Dhundia skrzywił się niezadowolony.

- W jaki sposób Indri ją zdobędzie? - szepnął. - Jeżeli nie udało się to tak przebiegłym ludziom Sitamy, nie wiem, co będą mogli zdziałać Toby i jego towarzysze.

Obszedł dookoła pokój z głową zwieszoną na piersi, pogrążony w głębokim zamyśleniu, po czym, zwracając się do zarządcy domu, rzekł:

- Czy jesteś pewny, że żaden inny człowiek nie został wysłany przez Parvatiego?

- Nasi ludzie są na wszystkich drogach prowadzących na wyżynę, tak że nikt nie przejdzie.

- Czy mają jakieś podejrzenia na zaklinacza węży, któregośmy spotkali?

- Jutro zdobędzie sławę świętego człowieka pozwalając powiesić się na belce, tak że nikt nie domyśli się, iż pod szatą fakira ukrywa się Sitama, przywódca dakoitów i złodziej Bundelkhandu.

- I pozwoli sobie pokaleczyć ciało?

- Człowiek ten ma twardą skórę, a Góra Światła warta jest kilkugodzinnej męki. Czy masz jakie rozkazy dla mnie?

- Chwilowo żadnych.

- Dobrej nocy zatem.

Zarządca domu wyszedł cicho, a Dhundia rozbierając się, pomyślał:

“Uważam, że wszystko jest na dobrej drodze. Zaczekajmy, aż Indri zdobędzie Górę Światła, potem my będziemy działali.”

Nazajutrz gości zbudził ogłuszający hałas, który rozlegał się na wszystkich ulicach miasta. Zaczynało się święto Tirunalu, więc ludność nadbiegała zewsząd, aby wziąć udział w procesji oraz przyjrzeć się krwawemu i odrażającemu widokowi wisielców.

- Ponieważ dzisiaj nie możemy nic robić, chodźmy popatrzeć na uroczystości - rzekł Toby.

- Wobec tego całego hałasu tygrys nie odważy się podejść do kopalń.

- Może nawet nie zrobi tego dziś wieczorem - odpowiedział Indri.

- My jednakże będziemy na niego czekali. Zależy mi, aby pokazać radży naszą odwagę i gorliwość i zyskać sobie tym większą jego przychylność.

- Sahibie - rzekł zarządca domu, zbliżając się do Toby'ego - przeznaczono dla was dobre miejsca w pobliżu świątyni.

- Wolę iść za procesją - odpowiedział Anglik, podziękuj jednakże radży za uprzejmość.

Zjedli szybko śniadanie, potem opuścili dworek w towarzystwie Dhundii i kornaka, który oczekiwał ich na stopniach.

Okolice pałacu radży była zalana olbrzymim tłumem ludzi przybyłych nie tylko ze wszystkich części miasta, lecz także z wiosek rozrzuconych na ogromnej przestrzeni płaskowyżu. Żołnierze, kopacze, bogacze, wieśniacy i słudzy tłoczyli się dokoła placu, pozostawiając środkiem zaledwie miejsce na przejazd wozu i szlemion podtrzymujących wisielców.

Procesja, poprzedzana ogłuszającym hałasem tam-tamów, trąb, cymbałów, bębnów i dzwonek z brązu, powinna była już opuścić świątynię poświęconą Śiwie; święto to odbywało się na jego cześć, aby ubłagać odwrócenie suszy zagrażającej pastwiskom wyżyny.

Toby i jego towarzysze, którzy z trudem torowali sobie drogę wśród tłumu, zdołali dotrzeć do fontanny ozdobionej czterema głowami słoni i weszli na jej brzeg, aby móc lepiej objąć wzrokiem całe widowisko. Znajdowali się tam od kilku minut, kiedy Indri, spojrzawszy na przeciwległy koniec placu, zauważył, że jakiś Indus olbrzymiego wzrostu wpatruje się w niego.

- Toby, czy znasz tego człowieka? - zapytał szeptem myśliwy udając, że patrzy gdzie indziej.

- Nie - odparł Anglik, który również zauważył badawcze spojrzenie Indusa.

- A ty, Dhundio?

- Ja także nie.

- Zdawałoby się, że nas śledzi.

- Czyżby to był jakiś szpieg radży? - zapytał Toby.

- W jakim celu kazałby nas tropić przez swego agenta?

- A gdyby się dowiedział czegoś o prawdziwym celu naszej podróży?

- To niemożliwe - szepnął Indri, nie mogąc jednakże powstrzymać drżenia.

Szukał znowu oczyma Indusa, który go obserwował z takim uporem, ale człowiek ów, spostrzegłszy może, że go zauważono, znikł w tłumie tłoczącym się dokoła fontanny.

W tej chwili procesja Tirunału dotarła do ogromnego pałacu, aby udać się do największej świątyni miasta, gdzie miano umieścić bóstwo. Olbrzymi pochód poprzedzały

cztery wielkie słonie okryte czaprakami z czerwonego jedwabiu z frędzlami ze złota, z płytami z tego samego metalu na czole i wielkimi, srebrnymi kołami w uszach. Na ich potężnych grzbietach były umieszczone małe, kwadratowe wieże, wspaniale pomalowane i pozłacane, w których znajdowali się książęta krwi.

Za nimi posuwało się pięćdziesięciu jeźdźców w zbytkownych szatach, zbrojnych w dzidy i szable. Dalej tłum czhauni²⁴ i pływających dewadasi²⁵ z mnóstwem pierścieni i bransoletek na rękach, w których długie, zwinięte w węzeł włosy wpleciono kwiaty i diamenty; ubrane były w krótkie, różnobarwne spódniczki jedwabne.

Pierwsze są zawodowymi tancerkami, bardzo poszukiwanymi w całych Indiach; biorą one udział we wszystkich ceremoniach religijnych oraz we wszystkich świątach. Drugie natomiast to dziewczęta wychowywane w świątyniach, gdzie uczą się tańca i śpiewu. Śpiewały i podskakiwały, powiewając różnobarwnymi zasłonami oraz długimi wstęgami z jedwabiu, a dokoła nich grały rzesze muzykantów na trąbach, piszczalækach, dudach lub też huczały bębny wywołując hałas, który mógł być nadwerżyć najzdrowsze uszy.

Za nimi szła horda mnichów, fakirów, fanatyków. Były tam wszystkie ich rodzaje, a jedni wstrętniejsi od drugich. A więc okropni fakirzy, wzbudzający największe przerażenie i podziw wśród ludności, z twarzami i ciałami straszliwie pomazanymi, ociekający krwią, która wypływała z zadanych własnoręcznie ran; dalej ramandi z włosami pokrytymi czerwonym błotem; potem paramahansi, którzy twierdzą, że nie jedzą ani nie piją, a którym Indusi oddają cześć dziwacznymi obrzędami; i wreszcie sanjasini, niebezpieczni mnisi, co chętnie okradają przechodniów i pustoszą ogrody.²⁶

Wszyscy byli prawie nadzy, z długimi, skręconymi brodami, włosami powichrzonymi, ciałami tatuowanymi lub pomalowanymi. Upojeni opium i napojami alkoholowymi, ryczeli jak dzikie zwierzęta, przebijali sobie ciała miedzianymi igłami, rozcinali piersi nożami i szablami, skakali i wili się z pianą na ustach.

- Jacy oni wstrętni - rzekł Toby z gestem odrazy.

- Milcz, przyjacielu - rzekł Indri. - Są oni dla ludu ludźmi świątobliwymi; nieostrożnie źle mówić o nich.

²⁴ Czhauni - aktorki i tancerki jednego z rodzajów teatru indyjskiego.

²⁵ Dewadasi - dosł. niewolnice boga; tancerki żyjące przy świątyniach.

²⁶ Opis ascetów daleki jest od prawdy, a ich nazwy pomieszane. Ramandi to następcy Ramandy, jednego z największych mistyków, potępiającego skrajną ascezę; paramahansi to jeden z odłamów żarliwych ascetów; sanjasini natomiast to najczęściej spotykany rodzaj ascetów, ludzie, którzy pod koniec życia zostawiają cały majątek i oddają się rozmyślaniom, żyjąc z jałmużny, otoczeni powszechnym szacunkiem.

- To prawda, ci fanatycy byliby zdolni zabić mnie i rzucić pod koła wozu. Widziałeś tego łotra, fakira, którego spotkaliśmy po drodze? Szukałem go nadaremnie.

- Nie zdołałem go dojrzeć, Toby.

- A zatem nie był prawdziwym fakirem.

- I ja podejrzewam, że nie należy do świętoszków.

Rozmowę ich zagłuszyła druga orkiestra, liczniejsza od pierwszej, która zbliżała się do placu, grając na wszystkich instrumentach z prawdziwym szałem.

Przodem toczył się wóz, ogromna machina na dwunastu kołach, otoczona rzeźbami przedstawiającymi wszystkie wcielenia Wisznu, boga-zachowawcy. W swego rodzaju kaplicy z kamienia, ozdobionej kwiatami i chorągiewkami, znajdował się posąg bóstwa, przedstawiający młodzieńca siedzącego na pawiu z kołczanem na ramieniu i trzymającego w ręku łuk z trzciny cukrowej oraz strzałę otoczoną różami.²⁷ Setka mnichów ciągnęła olbrzymią maszynę za pomocą grubych sznurów, a wóz posuwał się naprzód, chwiejąc się i skrzypiąc. Dokoła niego liczne straże powstrzymywały fanatyków, pragnących rzucić się pod koła wozu, aby zostać zmiażdżonymi. Jednakże od czasu do czasu znikał ktoś pod tą masą, pozostawiając na drodze kałuże krwi i strzępy straszliwie poszarpanego ciała.

Zgiełk stał się tak przeraźliwy, że Toby musiał zatkać sobie uszy. A tłum tłoczący się na placu, jak gdyby ogarnięty nagłym atakiem szału, ryczał i kręcił się; jednocześnie instrumenty muzyczne podwajały łoskot.

- Bębenki w uszach mi pękają i wstręt mnie ogarnął. To nie jest procesja, to rzeź - rzekł Toby.

- Nie widziałeś jeszcze święta Durga Pudża i Dżagannath.²⁸

- Nie, i nie chciałem w nich uczestniczyć.

- Oto wozy z wisielcami - rzekł Dhundia. - Skoro przejadą, tłum wróci w stronę świątyni, a ty, panie, będziesz mógł się oddalić.

Cztery ciężkie wozy w kształcie czworokątnych wież, ciągnięte przez innych fanatyków, zbliżały się do placu, otoczone tłumem ogarniętym jakimś szaleńczym entuzjazmem. Na każdym wozie stało drewniane rusztowanie z przytwierdzonym do niego szlaniem dwunastometrowej długości, które za pomocą sznurów dawało się dowolnie spuszczać lub podnosić. Na każdym szlaniu, pod rodzajem baldachimu ozdobionego frędzlami, wisiał prawie całkiem nagi Indus uzbrojony w szpadę i tarczę lub też z workiem w

²⁷ Mowa o bogu wojny, imieniem Skanda (zwanym też Kartikeja), synu Śiwy i Parwati.

²⁸ Durga Pudża, Dżagannath - nazwy świąt śiwaickich.

ręku pełnym kwiatów, które rzucał ludowi.

Cztery haki, wbite w najbardziej mięsiste miejsca pleców, oraz sznur, założony na brzuchu celem zapobieżenia zupełnemu rozdarciu mięśni, przytrzymywały te nieszczęśliwe, dobrowolne ofiary własnego fanatyzmu. Pomimo szalonego bólu, jaki musieli odczuwać, oraz utraty krwi uchodzącej za każdym szarpnięciem wozu, nie ujawniali nadmiernego cierpienia. Ruszali tylko nerwowo nogami i rękoma, odpowiadając chrapliwymi krzykami na frenetyczne oklaski tłumu.²⁹

Pierwszy wóz znajdował się już obok fontanny, gdy nagle z ust myśliwego wydarł się okrzyk.

- Patrz, Indri!... Widzisz go?
- Kogo? - zapytał były ulubieniec gaikwara ze zdumieniem.
- Fakira, któregośmy spotkali na wyżynie!
- Gdzie jest?
- Tam, wisi na szlemieniu!
- A więc był istotnie fakirem - zauważył Indri.
- Poznajesz go?
- Tak, Toby. Przyszedł tu, aby zawisnąć na hakach.
- A jednak...
- Co takiego?
- Ależ to on!... Teraz, gdy go widzę bez tej połowy brody, nie myślę się!
- Mów jaśniej.
- To także człowiek, który nasłał na mnie węże! - wykrzyknął Toby.
- Nie mylisz się?
- Nie, Indri: to ten sam człowiek!...
- Gdyby był szpiegiem, nie narażałby się na to okropne poranienie, Toby.
- Nie wiem, co powiedzieć.
- Może zaklinacz węży był do niego podobny.
- Hm! Cała ta sprawa jest dla mnie niejasna.
- Bandharo - rzekł Indri, zwracając się do stojącego za nim kornaka.
- Słucham, sahibie!
- Idź za tym fakirem i uważaj na niego bacznie; zrozumiałeś mnie?
- Tak, sahibie.

²⁹ Obrządek religijny czadaka jatra (cadaka yatra), obecnie w Indiach zakazany.

- Powiesz mi, gdzie mieszka i dowiesz się, kim jest istotnie.

Kornak zeskoczył z fontanny i znikł w tłumie.

- Bandhara już go nie opuści - rzekł Indri.

- A jeśli fakir spostrzeże się, że jest śledzony?

- Nie wymknie się z pewnością kornakowi, nawet gdyby ten musiał opuścić miasto. Bandhara bowiem jest nie tylko bardzo zręcznym kornakiem, ale także niezrównanym tropicielem.

- Sądzisz, że go w tym tłumie wyśledzi?

- Wpadnie mimo to na trop fakira. Będzie ci się to zdawało rzeczą dziwną, trudną do uwierzenia, że w kraju tak suchym jak nasz, gdzie stopy człowieka pozostawiają tylko ślad niedostrzegalny dla najbystrzejszego wzroku, można go rozróżnić i iść za nim, a jednak są ludzie, którzy tego dokonują lepiej od psów.

- Wątpię, Indri.

- Bandhara dostarczy ci dowodu.

- Co robimy teraz? Pójdziemy za procesją?

- Jeżeli masz ochotę.

- Chodźmy, Indri. Pragnę raz jeszcze zobaczyć fakira.

Rozdział X - Polowanie na fakira

Olbrzymi pochód kroczył ciągle we wzrastającym hałasie przez główne ulice miasta. Tłum, podniecony ogłuszającą muzyką i fanatyzmem religijnym, krzyczał na równi z fakirami, tancerkami, kapłanami, oklaskując bez przerwy czterech nieszczęśliwców, którzy rzucali się na szlemionach, uderzając szablami o tarcze lub sypiąc kwiaty.

Toby i jego towarzysze szli za pochodem, aby uniknąć tłoku wśród tłumu, jaki cisnął się w węższych ulicach, przewracając bezwzględnie kobiety i dzieci.

- Można by mniemać, że wszyscy ludzie postradali zmysły - rzekł Toby.

- Niebawem i ja je postradam - odpowiedział Indri z uśmiechem. - To ta ciągła, oszałamiająca muzyka wywołuje takie podniecenie.

- A czy długo ci ludzie pozostaną tak na hakach?

- Dopóki wozy nie okrążą cztery razy świątyni.

- Co za męka!... Nie dożyją do jutra.

- Wcale nie, Toby. Nie możesz sobie wyobrazić, do jakiego stopnia my, Indusi, jesteśmy odporni. Za kilka dni ci ludzie wyleczą się i będą gotowi poddać się znowu tej samej męce.

- Czy robią to z fanatyzmu?

- Czasami tak, ale nie zawsze. Chodzi tutaj także o zarobek. Pokutują oni często za grzechy ludzi bogatych. Przypuśćmy na przykład, że ktoś czyni ślub, iż zawisnie na hakach podczas najbliższego święta Tirunalu. W ostatniej chwili zabraknie mu odwagi, ale nie śmie złamać obietnicy z obawy przed gniewem bóstwa. Cóż więc czyni? Płaci pierwszemu lepszemu nędzarczowi, aby go zastąpił.

- I znajduje go zawsze?

- Ubiega się o to tyłu, że może wybierać.

- Dziwi mnie, że rząd angielski pozwala na te krwawe procesje.

- Gdyby ich chciał zabronić, wybuchłyby poważne rozruchy religijne, których następstwa mogłyby być groźne. To już wiele, że rząd zdołał roztoczyć nadzór straży indyjskich nad wozami, aby ograniczyć liczbę tych, co rzucają się pod koła. Przed kilku laty było przy każdym święcie przynajmniej dwustu lub trzystu zabitych. Pomiedzy nimi były także kobiety, rzucające się pod wozy razem z dziećmi.

- Ażeby się dostać prędzej do rajy Brahmy, prawda, Indri? - zapytał Toby ironicznie.

Były ulubieniec gaikwara skinął głową bez słowa, a Dhundia, który słyszał te słowa, spojrzał z ukosa na myśliwego.

Tymczasem pochód dotarł do świątyni, okrążając ją wkoło. Wisielcy, wyczerpani utratą krwi i zmożeni nieznośnym bólem, nie rzucali się już, zwisając nieruchomo z końca długich szlemion. Jedyne fakir poruszał się jeszcze od czasu do czasu z niezmiernym wysiłkiem, wykrzywiając straszliwie twarz.

Toby i Indri, a przede wszystkim Dhindia, nie odrywali od niego oczu. Skoro spostrzegli, że wozy zatrzymały się przed świątynią i że spuszczone szlemiona, aby uwolnić wisielców od strasznej męki, starali się utorować sobie drogę przez tłum. Wszakże dopiero po upływie pół godziny zdołali dotrzeć do wozów; ale bóstwo i wisielcy zostali już zaniesieni do świątyni.

- Wejźmy i my - rzekł Toby. - Może odnajdziemy fakira wewnątrz.

- Ty nie możesz iść z nami - zauważył Indri. - Zapomniałeś, że jesteś Europejczykiem. Tłum przyjąłby cię źle, a może stałoby się coś gorszego. Pozwólmy działać Bandharze; on nie opuści fakira.

- A więc wróćmy do domu, aby przygotować wyprawę i coś przekąsić.

Przebili się tedy przez tysiące Indusów tłoczących się dokoła świątyni, a gdy stanęli poza nimi, spostrzegli, że byli sami.

Dhundia znikł.

- Dokąd poszedł? - zapytał Toby z pewnym niepokojem.

- Przypuszczalnie zabłądził - odpowiedział Indri.

- A może skorzystał ze sposobności, aby nie pójść z nami na polowanie na pożeracza ludzi?

- Dhunida nie jest tchórzem. Przyłączy się do nas w domu.

Wracali do pałacu książęcego zadowoleni, że już nie słyszą tego zgiełku.

Tymczasem Dhundia starał się dojść do świątyni. Był wyraźnie niespokojny. Słyszał był rozkaz śledzenia fakira dany Bandharze, a znając niesłychaną zręczność kornaka oraz jego głębokie przywiązanie do Indriego, miał tylko jedną myśl: przestrzec Sitamę.

Zmieszawszy się z tłumem, pozostał w tyle, pozwalając Toby'emu i Indriemu oddalić się, potem udał się, jak tylko mógł najszybciej do świątyni.

“Może Bandhara nie dotarł jeszcze do Sitamy - myślał. - Jeżeli zdążę przed nim, czas straci daremnie.”

Z ogromnym wysiłkiem dostał się na stopnie świątyni, skąd dobiegały przeraźliwe krzyki jakby katowanych dzieci, a odgłos tam-tamu, trąb i cymbałów, wrzasków nie zdołał stłumić. Było to wypełnienie ślubów złożonych przez nieludzkich rodziców, jeden z najokrutniejszych obrządków budzący zgrozę wśród samych Indusów, ponieważ torturowane są

biedne dzieci. Podczas świąt Tirunalu mali męczennicy, którzy muszą pokutować za grzechy ojców i matek, zostają zaprowadzeni do świątyni, gdzie kapłani wbijają im w miękkie miejsca bioder metalowe druciki przytwierdzone do sznureczków. Rodzice biorą te sznureczki w rękę i ciągną nieszczęśliwe ofiary dokoła świątyni, raz, dwa lub trzy razy, zależnie od uczynionego ślubu.

Dhundia, przyzwyczajony do tego straszliwego widowiska, przeszedł bez wzruszenia pomiędzy dziećmi prowadzonymi wśród muzyki i pieśni, umyślnie tłumiących skargi katowanych, i zwrócił się w róg świątyni, gdzie zatrzymało się kilku kapłanów przed potwornym posągami przedstawiającym Kali, boginię śmierci i rzezi. Jednakże co kilka kroków stawał, spoglądając badawczo na otaczający go tłum. Obawiał się, że spostrzeże twarz kornaka.

Czterej wisielcy, bladzi, bezkwiści, z twarzą pokrytą zimnym potem, siedzieli na stopniu; kilku kapłanów starało się spoić kawały ciała, straszliwie rozszarpanego hakami. Sitama był pomiędzy nimi i zdawało się, iż cierpi najmniej ze wszystkich. Łotr ten musiał niewątpliwie posiadać wolę więcej niż niezwykłą oraz nieprawdopodobną odporność, gdyż był pogodny po tej strasznej męce. Spostrzegłszy Dhundię, podniósł się z wolna, wpijając się w niego oczyma. Zrozumiał, że musiało się stać coś ważnego, skoro towarzysz Indriego przyszedł odszukać go nawet w świątyni.

Zarzucił na siebie obszerną dupattę³⁰ z żółtego jedwabiu, podarunek kapłanów, owinął głowę turbanem, utorował sobie drogę przez tłum zdumiony taką siłą ducha i znikł za ogromnymi kolumnami świątyni.

Dhundia szedł za nim, przesuwał się ostrożnie pomiędzy otaczającymi go osobami, gotowy ukryć się, gdyby miał spotkać kornaka.

Sitama, przekonany, że Dhundia kroczy za nim, zatrzymał się za kolumną świątyni, po czym skierował się ku bramie, zmieszawszy się z tłumem. Szedł jednakże wolno oglądając się ukradkiem za Dhundią, i nie posuwał się naprzód, jeśli nie był pewny, że wspólnik go spostrzegł. W ten sposób krok za krokiem doszedł do bazaru miejskiego, gdzie znajdowały się setki kuglarzy; połykali oni szable, podnosili ogromne ciężary lub drażnili węże, a one wychodziły z koszy na specjalny dźwięk fletów. Zatrzymał się obok grupy osób podziwiających zaklinacza węży, który igrał z pół tuzinem okularników i gulabi, po czym zmieszał się z nimi.

Kto by go widział, z pewnością nie podejrzewałby w nim fakira, którego przed pół godziną odczepiono od szlenu po tak strasznej torturze. Wydawał się spokojnym Indusem, przyglądającym się uważnie niebezpiecznemu widowisku.

Dhundia, obszedłszy ciekawych, aby się przekonać, że nie było tam Bandhary, zbliżył się

do Sitamy i szepnął mu do ucha:

- Strzeż się: wysłali za tobą kornaka Bangavadięgo.

Fakir drgnął.

- Odkrył mnie już? - zapytał, nie oglądając się.

- Nie wiem, ale Bandhara odnajdzie cię na pewno i nie opuści, dopóki pozostaniemy tutaj.

- Widziałeś, żeby szedł za mną?

- Nie.

- Możesz mi towarzyszyć?

- Tak, ale krótko.

- Czy myśliwy wrócił do domu?

- Razem z Indrim - odparł Dhundia.

- Chodź, a wywiódę Bandharę w pole - rzekł Sitama.

Opuścił krąg utworzony przez ciekawych, przeszedł część bazaru i zatrzymał się przed namiotem opartym o mały, drewniany pawilon zajmowany przez kilku linoskoczków i kuglarzy.

Dał znak Dhundii, aby tam na niego zaczekał; wróg Indriego zmieszał się z widzami otaczającymi tłumnie pawilon, gdzie półnagie dziewczęta, przechylone w tył, podnosiły powiekami wbite w ziemię ździebełka słomy i metalowe guziki, do których za pomocą cienkich nitczek były przytwierdzone kawałki ołowiu.

Upłynęło dziesięć minut, kiedy Dhundia uczuł, że ktoś położył mu rękę na ramieniu. Odwrócił się i ujrzał przed sobą Indusa z długą, czarną brodą, z twarzą pooraną czarnymi smugami, dźwigającego na plecach kosz z cienkiej trzciny bambusowej, w którym tkwiła szabla. Towarzyszył mu mały chłopiec w wieku siedmiu lub ośmiu lat, prawie zupełnie nagi, chudy jak patyk, o czarnych, bardzo bystrych oczach; otaczało go ponadto czterech ludzi niosących instrumenty muzyczne.

- Czego chcesz? - zapytał go Dhundia.

- Nie poznajesz mnie? - odezwał się Indus z uśmiechem.

- Sitama! - wykrzyknął Dhundia zdumiony.

- Jeśliś ty mnie nie poznał, to znaczy, że mogę oszukać także myśliwego, Indriego, a może nawet Bandharę.

- Przeobrażenie twoje jest zupełne.

- A więc chodźmy do pałacu książęcego.

- Dlaczego chcesz się zbliżyć do domu?

- Ażeby zatrzeć za sobą ślady. Bandhara nie domyśli się, że człowiek, który niedawno wisiał na hakach, będzie miał odwagę pojawić się w miejscu, gdzie niebezpieczeństwo wydaje się największe. Tłum na placu jest olbrzymi, tak że ślady moich kroków zetrą się tym łatwiej.

- A twoje rany?

- Kazałem sobie nałożyć na nie okład, którego tajemnicę my sami tylko znamy; rany wkrótce się zabliźnią.

- Jesteś z żelaza.

- Albo ze stali - odparł fakir z uśmiechem. - Chodźmy. Pragnę pokazać myśliwemu i Indriemu zabawę z koszem. Jeśli mnie nie poznają, będę mógł iść za nimi i drwić sobie nawet z Bandhary.

- A co to za chłopiec?

- To jeden z naszych.

- A ci ludzie?

- Dakoici.

Sitama dał znak grajkom i przeszedł przez bazar pełen ludzi sprzedających dywany, jedwabne tkaniny, broń, szaty i tysiączne przedmioty, pochodzące ze wszystkich prowincji Hindustanu. Dhundia ruszył za nim w odległości dwudziestu kroków. Rozglądał się ciągle dokoła, starając się spostrzec Bandharę, ale daremnie.

“Może szuka Sitamy w świątyni lub w jej okolicy - pomyślał. - Dużo czasu straci, zanim go znajdzie!”

Tłum, tłoczący się na wszystkich ulicach, nie pozwalał fakirowi i jego towarzyszom posuwać się szybko naprzód. Całe fale mieszkańców okolicznych miast i gór zalewały ulice nie bacząc na to, że mogą dostać się pod kopyta słońi książąt krwi lub koni ich orszaku.

Hałas nie ustawał, chociaż procesja już się była skończyła. Na wszystkich placach, ulicach, na tarasach i podwórzach domów rozbrzmiewały bębny i bębenki, piszczałki, flety, trąby i tam-tamy; z oddali rozlegały się głośne krzyki fakirów przybyłych w wielkich gromadach ze wszystkich wsi wyżyny, oraz szybkie słowa kuglarzy.

Kiedy Sitama i jego towarzysze doszli do placu, roiło się tam od mieszkańców miasta i żołnierzy, którzy pragnęli przyjrzeć się orszakowi wielkich dostojników dworu, udających się do świątyni. Mijały ich olbrzymie słonie pokryte złotem lub czaprakami ozdobionymi frędzlami i klejnotami, wspaniałe rumaki straży przybocznej radży i błyszczące złotem palankiny niesione przez rosłych górali, ubranych w bogate szaty z niebieskimi, czerwonymi i żółtymi wstęgami.

Szczególnie wspaniałe były palankiny bogaczy, pokryte różnobarwnymi tkaninami haftowanymi jedwabiem i złotem, których posrebrzane laski wieńczyły tygrysie głowy; dzierżyli je Indusi wysokiego wzrostu, a za nimi szli słudzy unoszący wysoko parasole z bogatego materiału z frędzlami oraz gałką z cyzelowanego srebra. Sitama przedarł się przez tłum i stanął przed domem zamieszkiwanym przez Toby'ego i Indriego, dając znak towarzyszom, aby się rozstawili w krąg i zaczęli grać.

Dhundia tymczasem wszedł szybkim krokiem, udając, że jest zadyszany i niespokojny.

- Gdzie jest myśliwy? - zapytał służby nadbiegającej na odgłos kołatki umieszczonej przy drzwiach.

- Jest tutaj, sahibie - odparł zarządca domu. - Oczekuje cię od godziny, a będąc niespokojnym z powodu twojej nieobecności, wysłał dwóch służących na twoje poszukiwanie.

Wszedłszy do salki na parterze, Dhundia zastał tam Toby'ego i Indriego siedzących przy stole, przed wazą napełnioną piwem oraz przed leguminą olbrzymich rozmiarów, które im przysłał radża, aby mogli godnie obchodzić święto Torunalu.

- Gdzieś był do tego czasu? - zapytał na jego widok Indri. - Oczekujemy cię już od godziny.

- A ja was od godziny szukam - odparł Dhundia.

- A gdzież to nas szukałeś? - zapytał Toby głosem lekko ironicznym, ponieważ wcale nie wierzył, że Indus zabłądził.

- W okolicy świątyni - odpowiedział Dhundia. - Przypuszczałem, że udaliście się tam, aby odnaleźć owego fakira.

- Widziałeś go? - zapytał Indri.

- nie; gdy wszedłem do świątyni, już go tam nie było. Mówiono mi, że go wyniesiono prawie konającego.

- Oby skończył naprawdę! - wykrzyknął Toby. - Jestem pewny, że to szpieg.

- Czyim miałby być szpiegiem? - spytał Dhundia.

- Kogoś, komu zależy na tym, aby zgubić Indriego - odparł Toby, wpatrując się w niego badawczo.

- Możliwe - odpowiedział Dhundia ze spokojem.

- Widziałeś Bandharę? - zapytał Indri.

- Nie.

- Przypuszczalnie poszedł za fakirem - dodał Toby. - W ten sposób dowiemy się, czy żyje, czy też umarł.

- Nawet gdyby żył, będzie miał dosyć na kilka tygodni - zauważył Dhundia. - Zakładając

nawet, że ten człowiek jest szpiegiem, na razie nie będzie nam mógł szkodzić.

Toby chciał właśnie pokrajać leguminę, kiedy hałaśliwa muzyka rozległa się pod samymi oknami dworku.

- Kto nam tu przyszedł przeszkadzać? - spytał Toby. - Już mnie bolą uszy.

W tej chwili wszedł zarządca domu, mówiąc:

- Sahibie, jakiś biedny Indus chce pokazać sławnemu myśliwemu zabawę z koszem, jedno z najniezwykleszych widowisk, jakie można zobaczyć w Pannahu.

- Niech idzie do diabła!

- To biedny człowiek, sahibie.

- I nie wypada Europejczykowi odprawić go - dodał Dhundia. - Powiedziano by, że wielki myśliwy jest skąpcem.

Toby, któremu zależało na tym, aby nie zrazić sobie mieszkańców miasta, ustąpił i zbliżył się do werandy otaczającej dom.

Mnóstwo ludzi zebrało się przed pałacykiem, tworząc półkole, które powiększało się z każdą chwilą.

Siedzący na stopniach ganku trzej Indusi wykonywali monotony koncert na kurnach, rodzaju fletów, wydających ostre dźwięki, czwarty zaś wtórował im na kinnarze; instrument ten, na którym gra się smyczkiem, najczęściej z ozdobami, zrobiony jest z wydrążonego orzecha kokosowego przytwierdzonego do laski i zaopatrzonego w jedną strunę.

Sitama, zmieniony nie do poznania, postawił na ziemi kosz, na którym siedział chłopiec w postawie wyrażającej lęk. Fakir udawał, że jest opanowany gwałtownym gniewem i wymachiwał szablą, migając nią nad głową chłopca, któremu bezustannie wygrażał.

- Co ten człowiek robi? - zapytał Toby. - Chce zabić chłopca?

Usłyszawszy głos myśliwego, Sitama podniósł głowę i powitał go głębokim ukłonem.

- Uważaj - rzekł Indri, który tak samo jak Toby nie poznał był fakira. - Człowiek ten pokaże ci zdumiewającą sztuczkę, jakiej nigdy nie widziałeś.

- Znam istotnie nadzwyczajną zręczność kuglarzy indyjskich - odparł Toby.

Tymczasem Sitama zaczął biegać dokoła kosza, grożąc chłopcu i trącąc go ostrzem szabli, muzykanci zaś przyspieszyli tempo muzyki. Nagle chłopiec uniósł szybko wieko i znikł w koszyku, jak gdyby chronił się przed ciosami Sitamy. Natychmiast czterej grajkowie, upuściwszy instrumenty, rzucili się na kosz, deptając go z taką zaciekłością, że spłaszczył się jak placek; potem wyciągnęli noże i poprzebijali go na wszystkie strony. Na chwilę rozległ się przejmujący krzyk dziecka, który wydawało się, jest pokłute pchnięciami noży, potem wszystko

ucichło, tak przynajmniej należało przypuszczać.

- Ale dokąd chłopak uciekł? - zapytał Toby zdumiony. - W koszu nie może go już być.

- Mylisz się - odparł Indri. - Jest tam jeszcze.

- To niemożliwe! Koszyk mógł go zaledwie pomieścić, a teraz jest zupełnie spłaszczony.

- Zobacz sam, a przekonasz się.

Grajkowie podjęli znowu instrumenty, rozpoczynając jakiś dziki marsz. Po chwili rozległ się głos, dolatujący ze znacznej odległości: był to głos chłopca.

Toby, w najwyższym stopniu zdumiony, spojrział na Indriego.

- To nie do wiary! - wykrzyknął.

Głos stawał się coraz wyraźniejszy, jak gdyby się przybliżał, a kosz podnosił się coraz bardziej, przybierając pierwotny kształt. Nagle otworzył się i chłopiec wyskoczył z niego. Noże nie mogły go nawet dotknąć, gdyż na jego zupełnie nagim ciele nie było najmniejszego zadraśnięcia.

- Czy był wewnątrz? - zapytał Indri, śmiejąc się.

- Ta sztuczka jest nadzwyczajna! - zawołał Toby, rzucając chłopcu garść rupji. - Jak ją można wytłumaczyć?

- Tylko kuglarz mógłby to powiedzieć; ale nie zdradziłby tego za żadną cenę. To tajemnica, której się nie sprzedaje.³¹

Pozbierawszy rupie i skłoniwszy się ponownie, Sitama oddalił się razem ze swymi ludźmi i chłopcem. Teraz był pewny, że nie został poznany, i czuł się na siłach wyprowadzić w pole nawet Bandharę.

³¹ Sztuczka ta, rzeczywiście nadzwyczajna, którą tylko Indusi umieją wykonywać, nie została wyjaśniona przez żadnego Europejczyka (przyp. aut.).

Rozdział XI - Pożeracz ludzi

Cztery godziny później, nieco przed zachodem słońca, kiedy tłum skupiał się znowu na placu, gdzie tancerki wirowały, a zaklinacze węży gromadzili gady, aby rozdzielić pomiędzy nie naczynia z mlekiem ofiarowane przez radzę, Toby i jego towarzysze opuścili dom, by zbadać teren, na którym pojawiał się pożeracz ludzi.

Chcieli poszukać miejsca nadającego się na zasadzkę, oraz obejrzeć przygotowane przez kilku odważnych Indusów pułapki, których jednakże później nikt już nie oglądał z bojaźni przed napadem straszliwego zwierza.

Radza dał im do dyspozycji wspaniałą rathę, olbrzymi wóz używany wyłącznie w Indiach, cały pokryty zasłonami, otoczony lekką kratą bambusową. Ciągnęły go cztery wielkie, białe woły, mające złoczone rogi, złote pierścienie w nosie, a kopyta i ogon pomalowane na czerwono. Pojazdy te, przeznaczone dla bogaczy i wielkich dostojników, są tak niewygodne, że Europejczycy nie mogą się nimi posługiwać.

Czterech śikharich, już przyzwyczajonych do polowania na te niebezpieczne zwierzęta i znających doskonale okolice kopalń, miało ich prowadzić i pomagać im w wyprawie.

- Prawdopodobnie zwierz nie opuścił kryjówki przy tym całym hałasie - mówił Toby, kiedy wóz, skrzypiąc i podskakując, zbliżył się do krańca miasta. - Nie można jednak ufać tym starym tygrysom. Im mniej ich się człowiek spodziewa, tym łatwiej napadają.

- Nie będziemy go oczekiwali tej nocy? - zapytał Indri.

- Jak dojedziemy na miejsce, zobaczymy.

W miarę jak ciężki wóz oddalał się od środka miasta, wycia i dźwięki muzyki stawały się coraz cichsze.

Przedmieścia były opuszczone, gdyż wszyscy mieszkańcy udali się na place, aby nacieszyć się nocnymi widowiskami. Poza obrębem miasta panowała prawie zupełna cisza, przerywana zaledwie rykiem czterech wołów i skrzypieniem kół.

Rozpoczęły się tereny diamentodajne, rozciągające się aż do miasta i dalej, do centrum ogromnej wyżyny, wzdłuż stoków wschodnich. Cały grunt był poprzekopywany, tu i ówdzie pokryty kupkami krzemieni i kwitnącymi o tej porze roku ogromnymi krzakami jaśminu, z których unosiła się silna woń. Obszerne szopy i chaty, rozrzucone bez planu, podłóg kaprysu kopaczy, wznosiły się tu i ówdzie, pośrodku zaś widniała olbrzymia maszyna hydrauliczna, która jednak już nie pracowała.

Kopalnie Pannahu są najstarsze i najsławniejsze ze wszystkich znanych dotychczas;

wydobywa się w nich diamenty, które pod względem czystości przewyższają brazylijskie, a nawet transwalskie.³²

Strefa diamentodajna przechodzi przez dawne tereny naniesione, rozpadające się na leżące poziomo pokłady, które składają się zwykle z resztek gnejsów i wapieni o przeciętnej grubości trzynastu do czternastu metrów. Rozciąga się ona na przestrzeni mniej więcej trzydziestu kilometrów na północny wschód od Pannahu, tworząc centra kopalniane: Mira, Itawa, Kamaria, Brispur i Baraghari; wydaje diamenty o cudownym blasku, mieniające się różnymi barwami od czysto białej do czarnej, z wszelkimi pośrednimi odcieniami koloru różowego, żółtego i zielono-brunatnego.

- Chciałbym posiadać wszystkie skarby ukryte w tej ziemi - rzekł Toby, podniósłszy kratę bambusową, aby mieć lepszy widok na pola diamentodajne. - Gdyby te warstwy były przekopywane w sposób bardziej nowoczesny, wydałyby bajeczne plony, ale kopacze indyjscy posługują się metodami wprost prymitywnymi, nie zmienianymi od wieków.

- Jednakże radża musi zyskiwać olbrzymie sumy - rzekł Indri.

- Roczny dochód z kopalń oblicza się na dwa miliony; któż jednak może powiedzieć, ile diamentów zostaje skradzionych już to przez robotników, już to przez dozorców? Nawet radża jest tak o tym przekonany, że sam określił dochód z pól diamentodajnych, aby mu nie rozkradziono wszystkiego.

- A gdyby zysk z wykopanych diamentów był mniejszy od sumy wyznaczonej przez niego? - zapytał Indri.

- Tym gorzej dla kierujących pracami, bo jeżeli nie zostanie osiągnięta, radża każe trzech lub czterech z nich ściąć.

- System bardzo prosty.

- Za to daje cudowne wyniki - odparł Toby - ponieważ dwa miliony wyznaczone przez radzę są mu punktualnie wypłacane, a jeszcze dosyć zostaje dla dyrektorów. W rzeczywistości są wszyscy ogromnie bogaci.

- Czy diamenty wydobywane z tych kopalń są duże?

- Przeciętna waga ich nie przewyższa zwykle sześciu karatów; ale znajdują także takie, które ważą sześćdziesiąt, siedemdziesiąt, a nawet osiemdziesiąt karatów.

- Czy wysyłają część z nich do Europy?

- Nie, wszystkie pozostają w Indiach.

- Jednak mówiono mi, że także w Europie sprzedają diamenty z Pannahu.

³² Transwal - prowincja w Republice Południowej Afryki.

- To prawda, Indri - rzekł Toby. - Tymczasem są przysyłane tutaj diamenty brazylijskie, które się potem ekspeduje do Anglii i do Holandii z etykietami indyjskimi.

- I to tutaj znaleziono Górę Światła - zapytał Dhunida.

- Tak, na tych terenach - odpowiedział myśliwy. - Koh-i-Nur, jak nazywają ów sławny diament, ma ciekawą historię. Kopacz, który go znalazł, nie był bynajmniej głupcem. Spostrzegłszy, że diament ten może mieć wartość wielu milionów, zamiast go natychmiast oddać dozorcóm, zapragnął go sobie przywłaszczyć będąc pewnym, że ma w ręku majątek księżęcy. Jednakże nie było to rzeczą łatwą, ponieważ jak wam wiadomo, z chwilą, gdy robotnicy wychodzą z kopalń, zostają starannie rewidowani. Nie mógł go połknąć, ponieważ był za duży; a zresztą, gdyby dozorczy byli co spostrzegli, zaprowadziliby go natychmiast do rowu czekając, żeby wyszedł inną drogą. Cóż więc robi przebiegły robotnik? Z nadzwyczaj zimną krwią i odwagą zadaje sobie siekierą, którą miał w ręku, straszliwą ranę w łydkę, ukrywa w żywym ciele diament i obwiązuje sobie nogę chustką. Widząc go tak strasznie zranionego, strażnicy nie myślą nawet o tym, aby go obszukać i pozwalają mu wrócić do domu i leczyć się.

W dwa tygodnie później ów diament, który ważył dwieście dziewięćdziesiąt dziewięć karatów, a więc wart był miliony, został sprzedany za sto tysięcy. Miano go już wywieść z Pannahu, kiedy agent radży zatrzymał właściciela, zmuszając go do sprzedania diamentu. W ten sposób wrócił do kiesy księcia, który go zazdrośnie ukrywa z obawy, aby mu nie został ukradziony.

- A my go później zabierzemy - rzekł Indri po cichu.

- Jak wysoko go oceniają?

- Na dwa miliony.

- Mogę tyle zapłacić, nie rujnując się - rzekł Indri.

- Nawet gdybyś podwoił sumę, radża odmówiłby, ponieważ diament ten jest dla niego drogocennym talizmanem.

- Obejdzie się bez niego i weźmie dwa miliony, które mu wręczę, gdy Koh-i-Nur będzie już w naszych rękach.

- Ja bym mu już nic nie dał - odezwał się Dhundia.

- Indri nie jest złodziejem - odparł surowo były ulubieniec gaikwara.

Podczas tej gawędy ratha toczyła się dalej przez pola diamentowe, zupełnie opuszczone od czasu pojawienia się straszliwego pożeracza ludzi. Teraz już miasto było daleko i prawie nie widziało się jego świąteł. Wszelki hałas ucichł niemal zupełnie. Wyżyna, dotąd skąpo zalesiona, pokrywała się obfitą roślinnością, gdyż ziemia była w tym miejscu jeszcze nietknięta. Kopacze nie dotarli tu na razie, tak że rośliny nie zostały wytrzebione. Gęstwiny olbrzymich tamarynd, zarośla

bambusowe o wysokości do piętnastu metrów i wspinałe gaje wawrzynów następowały po sobie.

To było państwo pożeracza ludzi.

Wóz, dotarłszy do brzegu rozległej przestrzeni pokrytej bambusami i olbrzymimi trawami, zatrzymał się.

- Sahibie - rzekł dowódca síkharich, zbliżając się do drzwiczek - byłoby nieostrożnie, gdybyśmy jechali dalej. Tygrys pojawia się w tych gąszczach.

Toby, wzięwszy karabin i naboje, zeskoczył na ziemię; Indri i Dhindia uczynili to samo.

- To dobre miejsce do zaczajenia się - rzekł, rzuciwszy okiem dokoła siebie. - Lepszej kryjówki tygrys nie mógł sobie wybrać.

- Czy zatrzymujemy się tutaj? - zapytał Indri.

- Tak, tu rozbijemy obozowisko.

- A potem?

- Zagłębimy się w zarośla i poszukamy miejsca nadającego się do wzniesienia rusztowania.

Polecili dwom síkharim czuwać nad wozem, zaopatrzyli się w żywność i prowadzeni przez dwóch innych, którzy nieśli topory i sznury, zaszyli się w gęstwinie.

Chwilowo nie narażali się na żadne niebezpieczeństwo, gdyż tygrysy niełatwo opuszczają kryjówki przed zachodem słońca. Krwawych napadów dokonują tylko nocą, ponieważ konieczne im są ciemności, aby niepostrzeżenie runąć na zdobycz.

W odległości dwustu kroków od wozu zaczynał się prawdziwy las, utworzony z bambusów, niskich tektonii, gęsto rosnących bananów, czerwonych sandałowców, drzew gumodajnych i olbrzymich korzeniodrzewów, których gałęzie pochylają się ku ziemi i wypuszczają korzenie, tworząc w ten sposób inne pnie, mogące znowu wydawać drzewa.

- Co za gąszcz! - wykrzyknął Indri. - Nawet w Barodzie nie widziałem takich lasów.

- To jeden z najpiękniejszych lasów na wyżynie, lecz także jeden z najniebezpieczniejszych, gdyż nie same tylko tygrysy harczą po nim - odpowiedział Toby.

- Gdzie postawimy rusztowanie?

- Widzę miejsce, które nam wspinałe odpowiada. Stoi tam korzeniodrzew, a jego cień zasłoni nas przed wzrokiem bagha.

- Czyśmy się dosyć oddalili od obozowiska? Wiesz, że stare tygrysy są ostrożne i starannie unikają ognia rozpalonych dokoła namiotów.

- Przeszliśmy już kilometr, a to wystarczy.

Dotarli do miejsca, gdzie chcieli wnieść rusztowanie. Była to mała polanka otoczona

tamaryndami i bananami, pośrodku której rósł korzeniodrzew, tworzący sam jeden maleńki las.

Po oznaczeniu miejsca śikhari zabrali się natychmiast do roboty, aby przygotować rusztowanie składające się z prostej platformy na czterech grubych prętach bambusowych, mających pięć lub sześć metrów długości; jest to dostateczna wysokość, pozwalająca myśliwym schronić się przed skokami tych niebezpiecznych zwierząt. Śikhari, bardzo zręczni w wykonywaniu tego rodzaju rusztowań, zrąbali kilka bambusów grubości uda ludzkiego, niezmiernie mocnych, po czym nacięli pewną ilość gałęzi tamaryndowych, bardzo giętkich, dających się łatwo spleść. Toby i jego towarzysze pomagali im, tak że w niespełną godzinę platforma była wzniesiona i zabezpieczona mocnymi linami.

Miał trzy metry szerokości, cztery długości i pięć wysokości. Śikhari zaczęli nią szamotać, po czym oświadczyli, że ma dostateczną wytrzymałość.

Przy brzegach nakładzono gałęzi, aby lepiej ukryć myśliwych; potem przywiązano zabraną umyślnie kozę do jednego z pni korzeniodrzewu, tam gdzie cień był najgłębszy, aby tygrys nie mógł jej od razu dostrzec i porwać.

- Wróćcie do obozu i nie ruszajcie się aż do jutra rana - rzekł Toby do Śikharich. - Jeżeli usłyszycie strzały, nie niepokójcie się.

- Powodzenia, sahibie - odpowiedzieli dwaj Indusi, zabierając strzelby i topory. - Jutro o świcie będziemy tutaj.

W chwilę później znikli szybko pod drzewami, chyba bardzo zadowoleni, że mogą wrócić do obozowiska strzeżonego przez ogniska, już rozpalone przez towarzyszy.

Toby, obszedłszy przedtem korzeniodrzew, przyłączył się do Indriego i Dhundii, siedzących już na platformie; wdrapali się na nią za pomocą bambusu, w którym wyrżnięto głębokie karby, aby mieć oparcie dla stóp.

- Zjedzmy przede wszystkim wieszak - rzekł myśliwy. - Człowiek głodny nie ma pewnej ręki.

W koszu mieli upieczoną dziką kaczkę, paszteciki z ryżu, kilka butelek piwa i jedną wódki.

Rozłożyli się wygodnie pośrodku platformy, gdzie gałęzie i podpory bambusowe były najmocniejsze, i zaczęli zajadać, spokojni, jak gdyby znajdowali się nie w państwie pożeracza ludzi, lecz w saloniku we dworku. Tylko Dhindia nie był pewny siebie i przerywał jedzenie, spoglądając w stronę korzeniodrzewu, gdzie znajdowała się koza.

Tymczasem ukazał się księżyc, zalewając las błękitnymi promieniami, w których

połyskiwały jasne trzciny bambusowe. W gęstwinie nie było już słycać najmniejszego szelestu; wszędzie panował zupełna cisza. Olbrzymie liście bananów sterczały sztywno, ponieważ nie było ani jednego podmuchu wiatru, a pióropusze ogromnych trzcín także trwały nieruchomo.

- Co za cisza! - wykrzyknął Indri. - Można by mniemać, że w tym lesie nie ma ani jednego dzikiego psa, ani jednego szakala, ani jednej antylopy.

- Prawdopodobnie tygrys je wytrzebił - rzekł Dhundia.

- Jest to istotnie spokojna noc - odezwał się Toby, zapalając fajkę. - Przypomina mi się taki sam wieczór, który zakończył się tragicznie dla mnie i dla jednego z moich najodważniejszych śikhariów. Mam jeszcze na plecach ślad wspaniałego uderzenia łapą, które o mało nie zgruchotało mi kręgosłupa.

- Uderzenie tygrysa? - zapytał Indri.

- Tak, a mianowicie bagha admikhanevali,³³ którego oczekujemy także i dzisiaj - odpowiedział Toby, wypuszczając w powietrze kłęb błękitnawego, wonnego dymu. - Co to była za noc, moi drodzy!... Jedna z najstraszniejszych, jakie spędziłem przez tyle lat strawionych na polowaniu.

- Opowiadaj, Toby - rzekł Indri. - Czas przejdzie nam szybciej.

- Przygoda, jaką wam opowiem, nie zdarzyła mi się niedawno, lecz przed czterema laty. W tym czasie znajdowałem się jeszcze w Bengalu i często urządzałem wycieczki do ujścia Gangesu, gdzie tygrysy są liczniejsze niż szakale na Wybrzeżu Malabarskim.

Wylądowałem na wyspie w towarzystwie odważnego śikhariego, który nie opuszczał mnie także podczas wypraw w Indiach Środkowych. Pewnego razu przyszło do mnie kilku krajowców donosząc, że tygrys admikhanevala, który przepłynął był przez rzekę Dżor, pożera dzieci i kobiety. Dodali jeszcze, że właśnie była to samica z młodym tygrysiątkiem, nie większym od kota. Pragnąłem od dawna mieć małego tygrysa, aby go oswoić: nadarzała mi się więc dobra sposobność, jednakże naprzód musiałem zabić matkę.

Kazałem sobie wskazać miejsce nawiedzane przez bagha i ukryłem się w gęstwinie w towarzystwie wiernego śikhariego.

Wiecie już, że bagh admikhanevala to tygrys, który zasmakowawszy w mięsie ludzkim szuka tylko ofiar dwunożnych. Zwykle są to zwierzęta starsze, które nie mając już zwinności potrzebnej, aby w skoku rzucać się na ofiarę, czają się na ścieżkach czekając na mężczyznę lub kobietę.

Jednakże wiecie także, że są to zwierzęta najniebezpieczniejsze i najodważniejsze,

³³ Bagh Admikhanevala - dosł. tygrys pożeracz ludzi.

zapuszczające się aż do wsi, gdzie porywają osoby nieostrożne, śpiące na zewnątrz chaty.

- To prawda - rzekł Indri. - Żadne niebezpieczeństwo ich nie wstrzymuje, jeżeli spodziewają się zdobyć człowieka.

- W tym czasie nazabijałem już mnóstwo tygrysów i przekonałem się od dawna, że podobne łowy nie są znowu nigdy tak niebezpieczne dla myśliwego posiadającego zimną krew i pewnego strzałów.

Toteż istotnie, o ile tygrysy nie obawiają się krajowców, prawie zawsze źle uzbrojonych, o tyle starają się zwykle unikać ludzi białych, ponieważ posiadają oni strzelbę, która nie zawsze zawodzi.

Doszedłszy do ścieżki nawiedzanej przez tygrysa admikhanevalę, odkryłem wkrótce ślad krwiożerczego zwierzęcia. Prowadził on ku gęstym zaroślom bambusowym, wśród których jużem był spostrzegł liczne kości. Powietrze w tym miejscu było przepojone nieznośnym zapachem zgniłego mięsa, co stanowiło widomy znak, że tam znajduje się leże zwierza.

Zbadawszy teren, odesłałem do wsi krajowców, którzy mnie przyprowadzili, a którzy byliby dla mnie raczej przeszkodą niż pomocą i ukryłem się razem z moim śikharim za pnem olbrzymiej latarni.

Zapadła noc, noc ciemna jak wewnątrz komina, gdyż niebo pokryło się gęstymi chmurami. Z błotnistych kanałów przecinających te okolice przepojone wodą, w których gniją trupy Indusów rzuconych do Gangesu, aby uniknąć kosztów spalenia, unosiła się ciężka mgła, pełna trujących wyziewów, zarazków cholery i febry. Słyszałem tylko głuchy skrzek marabutów, które żerowały na brzegach kanałów, zapychając się szczątkami trupów.

Zaczynałem się nudzić, a nawet odczułem pierwsze dreszcze chłodu, kiedy śikhari, który leżał wyciągnięty obok mnie, szepnął mi do ucha:

- Bagh idzie.

Człowiek ten urodził się wśród bagien, kryjówek tygrysów, i nie mógł się mylić. Podniosłem się z wolna na kolana, sądząc, że zobaczę zwierzę wychodzące z gęstwiny bambusowej; tymczasem nie spostrzegłem, ani nie usłyszałem niczego.

- Zostań tutaj, sahibie - rzekł do mnie Indus. - Ja pójdę go wytropić!

Zabrawszy strzelbę oddalił się, pełzając jak wąż. Po chwili znikł.

Minęło kilka minut trwożnego oczekiwania. Można być odważnym, a jednak bywają pewne chwile w życiu, kiedy się doznaje tysiącznych obaw.

Nagle ciszę nocną przerwał głośny huk. Był to strzał z karabinu mego śikhariego.

Chciałem ruszyć naprzód, kiedy usłyszałem okrzyk:

- Sahibie! Tygrys!

Zaledwie zdołałem wstać. Krzyk przeraźliwy, straszny doleciał do moich uszu. Był to krzyk śmiertelny.

Blady, z włosami zjeżonymi, z sercem ściśniętym jak gdyby żelazną obręczą, rzuciłem się w stronę, skąd rozległ się ów krzyk!

Dobiegłszy do brzegu polanki ujrzałem scenę, której nie zapomnę nigdy. Mój śikhari leżał na ziemi, a wielki tygrys, rozdarłszy mu brzuch, trzymał głowę w dymiących wnętrznościach nieszczęśliwego. Wziąłem go na cel niezawodnego dwustrzałowego karabinu i nacisnąłem spust. Pocisk nie wyleciał. Chciałem wypalić drugi raz, kiedy zwierzę nagłym skokiem rzucił się na mnie, opadając poza mną na ziemię. Uczułem straszny ból, jak gdyby mój kręgosłup został nagle zdruzgotany, lecz nie straciłem zimnej krwi. W jednej chwili odwróciłem się, oddając drugi strzał, który zranił zwierzę w paszczę. Zaledwie padło, i ja runąłem na ziemię bez zmysłów.

Przyszedłszy do siebie, znalazłem się w chacie przywódcy osady wiejskiej. Jego ludzie podnieśli mnie na pół martwego: leżałem o dwa kroki od tygrysa, z rękoma zaciśniętymi jeszcze na strzelbie.

Miesiąc cały walczyłem ze śmiercią, a gdy opuściłem łożo, spostrzegłem przed sobą tygrysiątko; krajowcy znaleźli je obok matki, kiedyssało krew, uchodzącą z jej rany.

- A twój śikhari? - zapytał Indri.

- Gdy go Indusi znaleźli, żył jeszcze pomimo strasznej rany, która mu odsłoniła wnętrzności. Starczyło mu sił, by zapytać:

- Czy tygrys zabity?

Potem zamknął oczy, a skuliwszy się w sobie, wydał ostatnie tchnienie. Nieszczęśliwy skonał.

- A tygrysiątko? - zapytał Dhundia.

Toby miał właśnie odpowiedzieć, kiedy rozległo się beczenie kozy przywiązanej do jednego z pni korzeniodrzewu.

- To bagh! - krzyknął myśliwy. - Cicho!...

I Dhundia zbladł.

Rozdział XII - Podwójny napad

Ujawszy karabin, Toby wstał nie wywołując skrzywienia gałęzi, które tworzyły platformę, i rzucił badawcze spojrzenie w stronę korzeniodrzewu. Chmura przesłaniająca księżyc przyćmiła światło, powiększając cień rzucony przez olbrzymie drzewo; istniała więc możliwość, że tygrys skorzystał z większej ciemności, aby się zbliżyć do nieszczęśliwej kozy.

Żaden odgłos nie mącił jednakże ciszy panującej na małej plance. Żadna gałąź nie zatrzeszczała, nie zaszeleściły suche liście, nagromadzone wśród niezliczonych pni korzeniodrzewu. Czy koza zwietrzyła tygrysa, czy też przeraziła się samotności, do której może nie była przyzwyczajona?

Ponieważ od strony korzeniodrzewu powiał leciutki wietrzyk, Toby wciągnął kilkakrotnie powietrze. Jeżeli tygrys miał wiatr z tyłu, ostry jego zapach powinien dolatywać aż do platformy.

- Musiał to być fałszywy alarm - rzekł myśliwy, nic nie widząc.

- Czyżby tygrys był jeszcze w kryjówce? - zapytał Indri.

- Nie wiadomo.

Przez kilka minut nadsluchiwał nie ruszając się, potem zupełnie uspokojony usiadł z powrotem. Kozą już nie beczła, a nawet położyła się na trawie, rosnącej dokoła korzeniodrzewu.

- A tygrysiątko? - zapytał Indri.

- Prawda! Zapomniałem o nim! - powiedział Toby, śmiejąc się.

- Przypuszczam, że posłałeś je tam, gdzie była matka.

- Przeciwnie. Zaadoptowałem sierotkę przekonany, że wychowam ją na najłagodniejsze zwierzątko, a nawet, chcąc tym łatwiej dojść do celu, skasowałem zupełnie mięso w jej pożywieniu. Sądziłem bowiem, że za pomocą systemu niejako jarskiego wykorzystanie w niej wszelkie instynkty krwiożercze.

Tygrysiątko rosło rzeczywiście spokojnie i zdrowo; ale po upływie roku spostrzegłem, że zaczyna mizernieć. Chudło i brzydło, a sierść jego nie miała już tych wspaniałych odcieni, jakie podziwiamy u tygrysów w dżungli, a nawet tu i tam pojawiły się miejsca wyłysiałe, jak gdyby parszywe.

- Pożywienie, które mu dawałeś, nie odpowiadało ani jego instynktom, ani organizmowi - zauważył Indri.

- Tak było istotnie - odpowiedział Toby. - Bo kiedy zacząłem tygryskowi dawać mięso, naprzód gotowane, potem surowe, utył wkrótce, a sierść jego stała się wspaniała. Był jednak wciąż jeszcze łagodny. Chętnie przyjmował moje pieszczoty, nie okazywał żadnej dzikości i

towarzyszył mi w przechadzkach zupełnie jak piesek.

Pewnego dnia jednakże niespodziewanie objawiły się jego krwiożercze instynkty.

Podczas polowania na antylopę otrzymałem w ramię uderzenie rogami, które mi zadało głęboką ranę. Wróciwszy do domu, zacząłem ją opatrywać w obecności tygrysa. Gdy usunąłem bandaż, a krew zaczęła ściekać, spostrzegłem ze zdziwieniem i niepokojem, że zwierzę zgrzyta zębami, marszczy pysk i wdycha zapach krwi. Oczy jego rzucały mi złowróżbne błyskawice. Spostrzegłem natychmiast, że już nie mogę mu zupełnie ufać, mimo to chciałem go wystawić na próbę. Zdjąłem ponownie bandaż i wyciągnąłem ramię do tygrysa.

Z początku patrzył na mnie długo: wahał się; potem jego instynkty krwiożercze zwyciężyły skrupuły, zbliżał się tedy do mnie, posuwając się bokiem, wreszcie schwycił mnie za ramię. Szorstki jego język lizał chciwie krew z jakąś dziką rozkoszą, a z gardła wydobywało się przerywane głuchoe rżenie. Niebawem uczułem silny nacisk: ostre zęby zwierzęcia zaczynały wbijać mi się w ciało.

- Co za nieostrożność! - wykrzyknęli Indri i Dhundia.

- To nie była nieostrożność, lecz raczej zbawienie dla mnie, bo gdybym nie był zrobił tego eksperymentu, zwierzę byłoby pewnej nocy rzucił się na moje łóżko i pożarł mnie, zapominając o wdzięczności, jaką mi był winien.

- A w jaki sposób oswobodziłeś ramię z jego zębów? - zapytał Indri.

- Byłem o tyle ostrożny, że włożyłem do kieszeni rewolwer. Wpatrując się ciągle w oczy zwierzęcia, aby odwrócić jego uwagę, podniosłem bardzo wolno broń i przyłożyłem mu ją do ucha, oddając dwa strzały. Tygrys padł, jakby rażony gromem, a ja zapewniam was, że cudownie uszedłem przed pewną śmiercią.

- Okazałeś nadzwyczaj zimną krew - rzekł Indri.

- Chodziło o moją skórę - odparł Toby. - A potem... - Myśliwy przerwał nagle.

W głębokiej ciszy panującej w lesie rozległ się nagle ponuro i groźnie chrapliwy ryk pozeracza ludzi: a-o-ung!

Przerażona koza odpowiedziała drżącym bekiem, który wydawał się długim jękiem. Obaj Indusi i Myśliwy spojrzeli na siebie. Nawet Toby, usłyszawszy tak niespodzianie ów ryk rozbrzmiewający w ciemnościach, nie zdołał opanować drżenia.

- Zaanonsował się - rzekł. - Teraz trzeba zachować spokój i zebrać całą odwagę. Ów pozeracz ludzi zwietrzył nas i mięso nasze go nęci.

Dał znak towarzyszom, aby nabili karabiny, rozsunał gałęzie otaczające platformę i spojrzął w stronę korzeniodrzewu. Tygrys nie wydał już drugiego ryku. Spostrzegłszy niewątpliwie

obecność myśliwych, stał się ostrożny. Jednakże Toby był pewny, że się niebawem ukáže. Może śledzi ich w tej chwili, ukryty w gęstwinie, aby, zanim runie na przeciwników, przekonać się o ich liczbie?

- Widzisz go? - zapytał Indri szeptem.

- Nie - odparł Toby.

- Może jest jeszcze za daleko?

- Ryk rozległ się z bliska. Mógł być oddalony najwyżej o trzysta lub czterysta kroków.

- Z której strony się zjawi?

- Któż to może wiedzieć? Może w tej chwili krąży cicho dokoła polanki.

- A czy skoczy na rusztowanie? - zapytał Dhundia, szcękając zębami.

- Spróbuje - odparł Toby.

- A gdyby mu się udało?

- Nie zdoła się tu dostać; tygrysy admikhanevala są prawie zawsze stare i nie mają wielkiego rozmachu.

Koza zabeczała znowu. Biedne zwierzątko stało i szarpało za sznur próbując go zerwać, aby uciec w las.

Minęło kilka minut trwoźnego oczekiwania dla trzech myśliwych. Bagh nie ukazywał się mimo to Toby był zupełnie pewny, że zwierz się zbliża, pełzając wśród wysokich traw, które pokrywały polankę.

- Musi być bardzo przebiegły - rzekł Toby, który zaczynał się niecierpliwić. - Czy nie zdecyduje się wreszcie pokazać?

Zaledwie wypowiedział te słowa, kiedy przed nim, ze środka wielkiej gromady dzikich bananów, znowu się rozległ ryk tygrysa. Prawie w tej samej chwili odpowiedział mu drugi ryk, bardziej oddalony, z przeciwnej strony.

Toby drgnął zdumiony.

- Słyszałeś? - zapytał Indri.

- Na Boga! - krzyknął Toby. - Mamy do czynienia z dwoma pożeraczami ludzi! Indusi z Pannahu i kopacze mylili się więc sądząc, że krwawe napady są dziełem jednego tylko tygrysa.

- Dwa! - wykrzyknął Dhundia, czując, że czoło okrywa mu się potem. - Ktoś z nas zostawi tutaj swoje kości.

- Pozbędziemy się najprzód jednego, potem drugiego - rzekł Toby stanowczo.

Dwa tygrysy nawoływały się, lecz były jeszcze daleko. Przypuszczalnie chciały razem napaść na myśliwych. Nagle chrapliwe ich ryki umilkły, a głęboka cisza zaległa polankę i

otaczającą ją gęstwinię.

- Może się spotkały? - spytał Indri.

- Nie wiem - odpowiedział Toby. - I... cicho!...

Usłyszał szelest liści bananów, jak gdyby zwierzę chciało utorować sobie drogę. Trzej myśliwi podnieśli się na kolana, trzymając strzelby zwrócone w stronę gęstwiny.

- Zbliża się! - zawołał Indri z niepokojem.

Toby podniósł broń gotów wystrzelić, skoro ukaże się tygrys. Nagle, tuż pod platformą usłyszano głuchy pomruk.

- Sir Toby! - krzyknął Dhundia. - Jeden tygrys jest pod nami!

- Czy widzieliście go, jak biegł przez polankę?

- Nie.

- Zatem musi to być ten, o którym myśleliśmy, że znajduje się jeszcze daleko.

- Z pewnością - dodał Indri. - Ten, który się ukrył pomiędzy bananami, nie ruszył się jeszcze.

- Rzecz staje się poważna - zauważył Toby. - Zapanujcie nad nerwami i starajcie się nie chybiać.

Wychylił się nad brzegiem platformy chcąc strzelić do tygrysa, ale w tej chwili koza zabeczła cicho, potem usłyszano łoskot łamanych kości.

- Tygrys zagryzł kozę - wyjąkał Dhundia.

- Czy teraz zabierze się do nas? - zapytał Indri.

- Ty i Dhundia zajmijcie się tygrysem, który zaczął się przed nami - rzekł Toby. - Ja postaram się rozprawić z tym.

- Wstał, chcąc przejść na drugą stronę platformy, kiedy lekkie rusztowanie zadrżało silnie, trzeszcząc.

- Tygrys próbuje wejść! - krzyknął Toby. - Uważajcie na drugiego!... Spokoju i zimnej krwi!

Podpory bambusowe ugięły się nadal, a tygrys tak wstrząsał platformą, że należało się obawiać iż się w końcu zawali.

Może síkhari zbudowali ją zbyt pośpiesznie, gdyż z trudem tylko wytrzymała ciężar trzech myśliwych. W razie gdyby tygrys runął na platformę, groziło jej obalenie na ziemię. Na myśl o tym Toby uczuł zimny dreszcz. Jednakże nic nie powiedział, aby nie przerażać towarzyszy, i tak dostatecznie przejętych groźbą podwójnego napadu; ukląkł na brzegu rusztowania starając się dostrzec tygrysa, który zabił kozę.

Zwierzę szamotało bambusami, próbując je obalić. Nie mając dostatecznego rozmachu, aby

dostać się na platformę, chciał zburzyć lekkie rusztowanie, na którym znajdowali się jego przeciwnicy.

Wstrząsy trwały nadal, a od czasu do czasu słyhać było głuchy odgłos, jak gdyby bambusy trzeszczały w straszliwych zębach zwierzęcia.

- Toby! - krzyknął Indri. - Zdaje się, że uginają się podpory platformy.

- A jeśli spadniemy, zostaniemy pożarci - rzekł Dhundia z przerażeniem.

- Cicho... uważajcie na drugiego - odpowiedział Toby. - Widzę go!

Wysunął się więcej niż do połowy ciała poza platformę, czepiając się jedną ręką brzegu.

W odległości kilku kroków na poprzecznej belce stał tygrys. Był to ogromny zwierz o potężnych mięśniach i silnym grzbiecie, jeden z największych i najwspanialszych tygrysów królewskich, jakie Toby dotąd widział.

W szczękach trzymał podporę bambusową, którą miażdżył zębami. Na widok myśliwego podniósł się na belce wydając głuchy pomruk, a ciało jego kurczyło się, przęcąc się do skoku.

- Czekaj ty! - mruknął Toby, cofając się szybko.

Rozsunął gałęzie tworzące platformę, a uczyniwszy między nimi otwór, wsunął w niego karabin.

Jednakże tygrys uprzedził go. Spostrzegłszy manewr myśliwego, skoczył nagłym ruchem z belki, czepiając się brzegu platformy. Głowa jego ukazała się dwa kroki od Indriego, buchając mu w twarz gorącym i cuchnącym oddechem.

Dhundia rzucił się w tył, krzycząc:

- Tygrys!... Uciekajcie!...

Indri mierzył z karabinu, podczas gdy Toby, zaskoczony nagłym pojawieniem się zwierza, nie zdążył jeszcze wyciągnąć strzelby, którą był wsunął w otwór w platformie.

Rozległ się huk. Indus wypalił z bliskiej odległości. Tygrys, niechybnie zraniony, jakkolwiek może niegroźnie runął na ziemię z głuchym rykiem; potem rzucił się szalonym skokiem znowu pomiędzy pale, powalając jeden z nich na ziemię.

Prawie w tej samej chwili wyszedł także drugi tygrys z zarośli, w których dotąd ukrywał się ostrożnie. Z szybkością strzały przebiegł przez polankę i runął również na platformę.

- Nie rzucajcie broni! - zdołał krzyknąć Toby, gdy platforma pochyliła się naprzód, a potem zapadła się z hałasem, pociągając za sobą ludzi i tygrysy.

Dwaj Indusi wydali okrzyk przerażenia.

- Toby!... Zginęliśmy!...

Nawet w tej chwili myśliwy nie stracił zimnej krwi. Zaledwie znalazł się na ziemi, jeszcze oszołomiony upadkiem, podniósł się szybko z karabinem w rękę, rzucając się przed towarzyszy.

Obydwa tygrysy gotowały się do skoku na tę grupę ludzi.

Toby wymierzył do bliższego i wypalił. Zwierz skoczył w powietrze, rzucając się rozpaczliwie, i jak rażony gromem padł na ziemię. Olbrzymim susem drugi przeskoczył nad trzema myśliwymi i znikł pomiędzy trawami polanki.

- Do pioruna! - wykrzyknął dzielny strzelec, ocierając sobie pot z czoła. - Nigdy nie widziałem śmierci z tak bliska!

Indri podniósł się także, trzymając karabin za lufę.

- Zabity? - zapytał.

- I w sam czas - odpowiedział Toby z przejęciem.

- A drugi?

- Uciekł.

Indus schwycił prawą rękę myśliwego i uścisnął ją energicznie.

- Zawdzięczamy ci życie - rzekł.

- Co za straszna chwila! - wykrzyknął Dhundia podnosząc się z wolna. - Zdawało mi się, że mi już szarpie ciało.

- Gdybym czekał na waszą pomoc, nie byłibyście już może przy życiu - rzekł Toby z ironią.

- Przyznaję, że po upadku straciłem głowę - odpowiedział Indus.

- A nawet przedtem - dodał Indri.

Dhundia zagryzł wargi bez słowa odpowiedzi.

- Zobaczymy, czy tygrys, którego zabiłem, jest pierwszym, czy drugim - rzekł Toby. -

Gdzie ty go trafiłeś?

- W łopatkę - odpowiedział Indri.

Zbliżywszy się do tygrysa, obejrzał go przy świetle księżyca.

- To ten, któregoś ty zranił - rzekł Toby. - Ma przestrzeloną łopatkę i roztrzaskaną czaszkę.

- A więc ten, który uciekł, jest jeszcze nietknięty?

- Tak, Indri.

- A jeżeli wróci?

- Nie czekajmy na niego, Indri; stracilibyśmy czas bez żadnego pożytku. To rzecz bardzo trudna zabić go, zapewniam cię. Zrozumiał teraz, że jesteśmy osobami niebezpiecznymi i nie odważy się zbliżyć do nas.

- Niech sobie idzie - odezwał się Dhundia. - Radza obiecał dziesięć tysięcy rupji temu, kto zabije pozeracza ludzi, a wyście tego dokonali. Zdobyliście nagrodę.

- To prawda - odparł Toby - ale ja chcę być uczciwym i nie opuszczę tych kniei, dopóki

nie zabiję także drugiego zwierza. Radża będzie nam podwójnie wdzięczny i... rozumiesz mnie, Indri?

- Tak, Toby, podzielam twoje zdanie - odpowiedział były ulubieniec gaikwara Barody. - Wykorzystamy tę wdzięczność.

- Dalej, sporządźmy nosze i wracajmy do obozowiska. Tej nocy nic więcej nie zdołamy.

Z bambusów platformy oraz kilku gałęzi zrobili naprędce nosze, położyli na nich tygrysa, a nabiwszy ponownie karabiny, ruszyli naprzód; szli jednakże wolno z powodu znacznego ciężaru zwierzęcia.

Rozdział XIII - Drugi pożeracz ludzi

Gdy przyszli do obozu, ogniska płonęły jeszcze dokoła rathy i wołów, a śikhari, bardzo zaniepokojeni przedłużającą się nieobecnością myśliwych oraz dwoma strzałami karabinowymi, czuwali z bronią w ręku. Widząc myśliwych powracających z zabitym pożeraczem ludzi, przyjęli ich radośnie, ponieważ straszny ten zwierzę, który pożarł tyle ofiar, uważany był przez wszystkich Indusów w Pannahu za niezwykłego.

Śikhari dopadli do zwierzęcia, obsypując je obelgami i groźbami. Teraz, gdy już nie żyło, czuli w sobie odwagę stawić mu czoła.

- Dajcie mu spokój - rzekł Toby. - Teraz już nikogo nie zje, możecie więc zachować odwagę na przyszłość. Niepotrzebnie niszczycie skórę.

Usłyszawszy jednakże, że żyje drugi pożeracz ludzi, dzielni ci ludzie poczuli, iż nogi uginają się pod nimi, a cała zuchowatość opuściła ich natychmiast. Nieostrożnie było lżyć martwe zwierzę, kiedy żył jeszcze jego towarzysz!

- Drugi! - krzyknęli, blednąc. - Widziałeś go naprawdę, sahibie?

- Na własne oczy - odpowiedział Toby. - Czy nikt nie przypuszczał, że są tam dwa tygrysy?

- Nie, sahibie - odparł dowódca śikhari. - Myślano, że jest tylko jeden.

- A więc zdobędziemy podwójną nagrodę.

- Czy chcecie także zabić drugiego?

- Przynależymy uwolnić was od pożeraczy ludzi udaremniających pracę w kopalniach, i dotrzemy słowa.

Co za odwaga! - wykrzyknął dowódca śikhari, patrząc z podziwem na myśliwych. - Każemy wam przygotować wjazd triumfalny do Pannahu.

- Dajcie spokój z triumfami i wjazdami, lepiej przygotujcie teraz posłania.

- Są gotowe, sahibie.

- Chodźmy spać - rzekł Toby. - Jutro zbadamy pułapki i poszukamy nowego miejsca na drogą zasadzkę.

- A nie napadnie nas towarzysz zabitego tygrysa? - spytał któryś śikhari drżącym głosem.

- Jeżeli go zobaczysz, weź strzelbę i zabij go - odparł Toby ironicznie. - Przecież nie boicie się, powiedzieliście to niedawno przed martwym tygrysem.

Weszli do wozu, gdzie śikhari rozciągnęli byli materace, i trzech myśliwi zasnęli, Indusi zaś, bardziej przerażeni niż kiedykolwiek, podwoili liczbę ognisk, aby odstraszyć towarzysza

straszliwego pożeracza ludzi.

Na ich szczęście drugi tygrys nie odważył się ukazać, tak że noc minęła spokojnie. Jedyne nad ranem zabrzmiał nieszkodliwy koncert, wykonany przez gromadę szakali, który skończył się ze wschodem słońca.

Kiedy Toby i jego towarzysze przebudzili się, śikhari już byli ściągnęli skórę z tygrysa, którą celem wysuszenia rozpostarli pomiędzy czterema bambusami, zapobiegając w ten sposób skurczeniu się jej.

- Wspaniała - odezwał się Indri. - Nigdy nie widziałem tak pięknej.

- To był nadzwyczajny okaz - rzekł Toby z pewnym zadowoleniem. - Będzie świetnie wyglądała w komnacie radży.

- Ofiarujemy mu ją?

- Skóra ta warta dziesięciu tysięcy rupji - odrzekł myśliwy. - Radża ma prawo do niej.

- Jeżeli druga będzie tak piękna, pošlemy ją gaikwarowi.

- Jeszcze jej nie mamy, Indri - zauważył Toby ze śmiechem.

- Już ty się o nią postarasz.

- Zaczekamy na tygrysa w jamie. Będzie ostrożniejszy i nie odważy się zbliżyć do platformy. Tygrysy są podstępniejsze, niż sobie wyobrażasz, a nie dają się oszukać dwa razy.

- A gdybyśmy przygotowali pułapki?

- Hm... Pożeracze ludzi nie są nowicjuszami, aby dać się schwytać. Śikhari powiedzieli mi, że umieszczono trzy czy cztery w lesie, ale ani jeden tygrys nie wpadł w nie.

- Chodźmy je obejrzyć, Toby; nigdy nic nie wiadomo. Tygrys mógł wpaść w którąś uciekając.

- Dobrze, po śniadaniu zbadamy lasek, także aby znaleźć miejsce odpowiednie na zasadzkę.

Śikhari od zarządcy domu radży otrzymali byli obfite zapasy; aby myśliwym nie zbywało na niczym, przyrządzili zatem starannie posiłek, dodając do niego zerwane w lesie wonne banany i wielkie, wyborne ananasy. Toby'emu i jego towarzyszom, którym nie brak było apetytu zaostrego jeszcze chłodnym wiatrem wiejącym na owej olbrzymiej, wysokimi górami otoczonej wyżynie, smakowało bardzo śniadanie podane w cieniu majestatycznej tamaryndy.

Była godzina dziesiąta, kiedy wstali, aby dokonać zaprojektowanej wycieczki do lasu. Dowódca śikharih ofiarował się towarzyszyć im, ponieważ wiedział, gdzie zostały urządzone pułapki.

- Mam nadzieję, że nie będziesz się bał - rzekł Toby żartobliwie.

- Z tobą nie, sahibie - odpowiedział Indus. - jeżeli bagh się ukaże, jestem pewny, że go zabijesz.

- Dziękuję za przepowiednię.

Polecili Indusom, którzy pozostawali w obozowisku, aby nie pozwalali wołom oddalać się zbyt daleko, po czym ruszyli w drogę z karabinem pod pachą. Najpierw odwiedzili polankę, aby się przekonać, czy tygrys nie wrócił, by pożreć kość zagryzioną przez towarzysza. Spostrzegli, że z biednego zwierzęcia pozostało tylko trochę kości i kawałki skóry.

Toby zbadał teren, aby zobaczyć, czy nie ma tam śladów szakali, co można było bardzo łatwo skonstatować na mokrej ziemi; jednak śladów nie zauważył.

- Pożarł ją tygrys - rzekł. - Zwierz ten posiada nadzwyczajną odwagę. Inny nie byłby wrócił.

- Gdybyśmy wykopali jamę tutaj, moglibyśmy ujrzeć go znowu - odezwał się Indri.

- Wolę wybrać inne miejsce - odparł Toby. - Zresztą ta polanka jest zbyt odsłonięta.

- A może tygrys ukrywa się stale w tej okolicy?

- To możliwe, Indri.

- Gdybyśmy tak przeszukali zarośla?

- Nie dałby się zaskoczyć za dnia. Te zwierzęta nie bardzo lubią światło.

Obeszli polankę i zagłębili się w coraz gęściejszy las. W tej stronie znajdowała się pułapka przygotowana przez myśliwych radży przed kilkoma tygodniami, którą chcieli zbadać, jakkolwiek byli pewni, że znajdują ją pustą. Śikhari znał las i przeprowadził ich ścieżką wijącą się wśród gęstych, wysokich na kilka metrów krzewów, po czym zatrzymał się przed jakby klatką, na pół ukrytą pomiędzy olbrzymimi w tym miejscu trawami.

- Pusta - rzekł - byłem tego pewny.

- Te tygrysy są zbyt chytne, aby dać się schwytać - odpowiedział Toby. - Na nie trzeba tylko ołowiu.

Pułapka ta była inna niż te, jakimi się zwykle posługują Indusi na nizinach: tam ograniczają się do wykopania bardzo głębokich dołów, a na ich dnie umieszczają ostro zakończone pale i pokrywają je lekką trzcina, przysypaną ziemią i grudkami darniny.

Pułapka była daleko lepiej urządzona i skonstruowana w sposób umożliwiający schwytanie tygrysa żywcem. Składała się z bardzo mocnej i ciężkiej drewnianej klatki z wiekiem przytrzymywanym liną, którą przymocowano do giętkiej gałęzi tamaryndy. Wewnątrz została umieszczona zabita antylopa, znajdująca się teraz w zupełnym rozkładzie, a na dnie znajdowało się lustro, częściowo zakryte gałęziami.

Zwierzęta, znęcone zapachem mięsa, wchodzą w nią zwykle nie ociągając się zbytnio, ale skoro spostrzegą swoje odbicie w lustrze, sądzą, że to jakieś inne zwierzę chce im wydrzeć zdobycz i rzucają się na nie, pociągając za linę. Ciężkie wieko spada nagle, tak że zostają zamknięte.

Jednakże obydwaj tygrysy admikhanevala nie dały się oszukać i pułapka pozostała pusta.

- Mówiłem, że są zbyt chytre, aby dać się schwytać - rzekł Toby. - Jednakże to miejsce wydaje mi się odpowiednie na zasadzkę. Odór jaki wydaje ścierwo, musiał kilkakrotnie zwabić obydwaj tygrysy.

- Czy tutaj wykopujemy jamę? - zapytał Indri.

- Tak - odparł Toby. - Widzę wokół krzaki, które są jakby umyślnie przeznaczone na kryjówkę dla bagha.

- I przypuszczam, że jego legowisko nie znajduje się daleko, sahibie - zauważył śikhari.

- Z czego to wnosisz? - spytał Toby.

- Z ostrego zapachu zepsutego mięsa, unoszącego się z tamtych zarośli bambusowych i zalatującego aż do nas. I tam znajduje się mięso, które gnije.

- Śikhari nie myli się - rzekł Indri. - Wiatr wieje z tamtej strony i jest przesycony cuchnącymi wyziewami.

- Czyżby tam była kostnica pożeracza ludzi? - zapytał Toby.

- W takim razie będzie tam także legowisko zwierza - rzekł Dhundia.

- Czy chcesz, abyśmy poszli zbadać tę gęstwiny? - spytał Indri.

- Nie - odparł Toby. - Tygrys mógłby zauważyć, że znaleźliśmy jego kryjówkę i poszukać sobie gdzie indziej pewniejszej.

- A więc urządzimy zasadzkę tutaj?

- Tak, Indri, i dziś wieczorem zajmiemy ją.

Śikhari przyniósł ze sobą motykę i łopatę, by przygotować jamę w miejscu wybranym przez myśliwego.

Należało wykopać dół mający dwa metry głębokości i tyleż szerokości, aby myśliwi mogli wygodnie umieścić broń i poruszać się w nim swobodnie, a potem nakryć go gałęziami i liśćmi.

Toby i Indri nie spuszczaali oczu z gęstwiny, ponieważ było prawdopodobne, że tygrys tam się znajduje, a śikhari z Dhundią pracowali gorliwie i w niespełna dwie godziny przygotowali zasadzkę. Nakrywając jamę gałęziami i kilkoma liśćmi bananowymi oraz rozrzucając wykopaną ziemię, aby łatwiej oszukać tygrysa, przyłączyli się do dwóch myśliwych.

- Gotowe - rzekł Dhundia.

- Wracajmy do obozowiska - odparł Toby. - Nie powinniśmy spłoszyć zwierza.

Zagłębili się znowu w las, gdzie rosły wspaniałe grupy palm winnych o ogromnych liściach w kształcie wachlarza oraz areki mające więcej niż dwadzieścia metrów wysokości i uwieńczone gęstymi splotami liści długich na kilka stóp. Około południa przybyli do obozowiska; była to pora, kiedy niezmiernie piekące słońce mogło być niebezpieczne dla dłuższej wędrujących ludzi.

W ciągu dnia zarządca domu radży, któremu towarzyszyła straż składająca się z dziesięciu dobrze uzbrojonych śikharich, zjawił się w obozie, dowiadując się, o białego myśliwego. Radża, uprzedzony o tym, że Toby nie wrócił już do stolicy, a nie wiedząc, iż Anglik rozpoczął polowanie na straszego zwierza kazał go szukać poza obrębem kopalń.

Dowiedziawszy się o szczęśliwym wyniku pierwszego polowania zarządca się zdumiał.

- Ach, ci Anglicy! - zawołał. - Nie boją się nikogo i zawsze zabijają!... Radża będzie ogromnie uradowany.

- Możecie nawet dla niego zabrać skórę - rzekł Toby. - Ofiarujemy ją Jego Wysokości.

- A kiedy zabijecie drugiego tygrysa?

- Postaramy się o to dzisiaj wieczorem.

- Dotąd nikt nie przypuszczał, że są dwa pożeracze ludzi - rzekł zarządca. - Jeżeli uda wam się zabić także drugiego, radża doda nagrodę do wyznaczonej sumy.

- A my ją zdobędziemy - rzekł Toby z uśmiechem. - Ach, zapomniałem zapytać cię o coś, co mnie interesuje.

- Co takiego, sahibie?

- Czy nasz kornak wrócił do domu?

- Nie ma go tu z wami? - zapytał zarządca domu zdumiony.

- Zostawiliśmy go w Pannahu.

- I już go nie widziano.

Toby i Indri spojrzeli na siebie z niepokojem.

- Może jeszcze tropi fakira - powiedział myśliwy.

- A może ten tajemniczy człowiek, spostrzegłszy, że jest śledzony, kazał go zabić?

Wszystko jest możliwe w tym kraju nawiedzonym przez dakoitów.

- Ja tam nie jestem spokojny, Indri.

- Ani ja, Toby.

- I ja chciałbym jak najprędzej wrócić do Pannahu. Nie rozumiem dobrze tej tajemniczej sprawy.

- Myślisz, że mogłaby to być jakaś przykra niespodzianka ze strony moich nieprzyjaciół?

- Tak, Indri. Parvati jest zdolny do wszystkiego i podejrzewam, że ów fakir jest jednym z jego wysłanników.

- Ależ do tej chwili chyba już powiadomili radzę o naszych zamiarach.

- To prawda, jednakże chciałbym przezwyciężyć wszystkie przeszkody i znaleźć się daleko stąd. Indri, spieszmy się; czuję instynktownie, że grozi nam poważne niebezpieczeństwo.

- Po zabiciu tygrysa zaczniemy natychmiast działać.

Zatrzymali zarządcę oraz towarzyszących mu śikharih na obiedzie; na dwie godziny przed zachodem słońca pożegnali się z nim, wręczając mu skórę pierwszego pożeracza ludzi.

Toby i jego towarzysze poczynili natychmiast przygotowania do nocnych łowów. Zmieniłi naboje w karabinach, zaopatrzyli się w kilka pledów, aby zabezpieczyć się przed nocną wilgocią, zabrali dalej kilka butelek piwa, a skoro tylko ukazał się księżyc, opuścili obozowisko udając się do jamy. Żaden z śikharih im nie towarzyszył, gdyż myśliwi nie mieli do nich najmniejszego zaufania, a nawet rozkazali im nie opuszczać obozowiska, gdyż chcieli działać sami.

Znając już teraz las, doszli wkrótce do polanki, do dołu wykopanego w odległości pięćdziesięciu kroków od pułapki. Zabraną ze sobą drugą kozę, przywiązali do pnia młodej areki rosnącej samotnie trzydzieści metrów od jamy.

- Oto druga ofiara, którą ma rozszarpać ten nienasycony drapieżnik - odezwał się Toby. - Ufam jednak, że pomszczę jej śmierć.

Rozpostarli na dnie jamy pledy, położyli się na nich, i nakryli się ściętymi rano bambusami, gałęziami i liśćmi.

Ostatni promień słońca znikł przed pół godziną, a ciemności zwiększały się szybko pod gęstwiną leśną. Z wolna zapadała cisza. Wrzaski papug ustały i słychać było tylko lekki szum olbrzymich bambusów kołysanych chłodnym wietrzykiem wiejącym od wysokich gór północy. Lekka mgła wznosiła się wolno, czepiając się gałęzi drzew i zamieniając się potem w kropelki, które opadały z jednostajnym szelestem na liście rosnących poniżej krzewów.

Trzej myśliwi, nieruchomi jak posągi, opierając twarze o nakrywające ich gałęzie i bambusy i trzymając palce na kurkach karabinów, utkwili oczy w gęstwinie, w której, jak przypuszczali, znajdowało się legowisko zwierza. Wszyscy milczeli. Tylko koza, świadoma niebezpieczeństwa, beczała żałośnie krążąc dokoła pnia areki na tyle, na ile jej pozwalała długość sznura.

Minęło pół godziny, księżyc już płynął po niebie, gdy nagle las, dotąd opustoszały i milczący, jakby się zbudził. Pośród bambusów i krzewów zaczynały się rozlegać dziwne odgłosy, tajemnicze szelesty, głuche pomruki, tchnienia i jak gdyby z trudem tłumione jęki, a niewyraźne

cienie przemykały pomiędzy pniami.

- Musi tu być w pobliżu jakieś źródło - szepnął Toby. - Zwierzęta idą gasić pragnienie.

Naprzód przeszła, o kilka kroków od jamy, para wdzięcznych i nieszkodliwych antylop podobnych do naszych danieli, o rudej, biało nakrapianej sierści; potem zbliżało się z nieskończoną ostrożnością, podejrzliwie i rozważnie, kilka nilgo, należących do innej odmiany antylop, mającej budowę jeleni, wdzięczne kształty, sierść szaroniebieską i głowę zakończoną dwoma spiczastymi rogami. Po chwili myśliwi zobaczyli wychodzącą z zarośli parę owych małych panter, zwanych przez Indusów tcite, niezmiernie zręcznych i ogromnie krwiożerczych, a jednak łatwych do obłaskawienia, którymi można się z dobrym wynikiem posługiwać na polowaniach. W małej odległości za nimi szła gromadka bighanów - rodzaju wilków przeszło pół metra wysokich, o sierści czerwono-brunatnej lub czerwono-szarawej, odważnych zwierząt, nie bojących się napastować nawet ludzi, jeżeli głód im dokucza.

Odgłosy wznagalały się ciągle, gdyż inne zwierzęta przesuwały się poprzez gęste krzewy, jednakże myśliwi nie usłyszeli dotąd owego chrapliwego pomruku, jaki wydają tygrysy opuszczając legowisko.

- Może zwierzę jeszcze nie porzucił kryjówki, aby rozpocząć łowy?

- Kaze na siebie czekać - rzekł Indri.

- Przyjdzie - odpowiedział Toby. - W tej części lasu znajduje się mnóstwo antylop, a tygrys niewątpliwie wybierze spośród nich swoją ofiarę albo ofiary, gdyż nigdy nie zadowala się jedną sztuką.

- Byłoby mi żal, gdyby się nie ukazał.

- Mówię ci, że jutro odbędziemy triumfalny wjazd do Pannahu.

Upłynęło drugie pół godziny na daremnym oczekiwaniu, kiedy Toby, który odchylił nieco gałąź, aby zaczerpnąć trochę czystszej powietrza, usłyszał głuchy pomruk dolatujący od strony pułapki.

- Uwaga, przyjaciele - rzekł. - Zdaje mi się, że tygrys opuścił kryjówkę.

Podniósł głowę i spojrzał w stronę pułapki. Mgła ulotniła się, a księżyc oświetlał wspaniale tę część lasu. Żadne zwierzę, które by się ukazało poza zaroślami, nie uszłoby oczom myśliwego.

- Nie widzę go jeszcze, ale czuję - rzekł Toby. - Powietrze jest przesycone zapachem dziczyzny.

- Może się zaczął? - zapytał Indri.

- Czekaj zapewne z pojawieniem się na przechodzącą antylopie.

- Koza już nie beczy.
- Zwietrzyła bestię.
- Tak!... Patrzcie! - zawołał Dhundia. - Widzicie go!

Cień jakiś wyszedł z kępy krzaków i posuwał się ostrożnie po otwartej przestrzeni, rozciągającej się przed pułapką.

- Tygrys - szepnął Toby do Indriego. - Nie strzelajcie! Pozwólcie mu się zbliżyć.

W tej chwili zwierz zatrzymał się w odległości ponad stu metrów od myśliwych i węszył w powietrzu, machając niespokojnie ogonem. Zielonkawe jego oczy błyszczały w ciemnościach jak oczy kota. Zatrzymał się kilka minut w głębokim cieniu jakiejś rośliny, potem ruszył naprzód, ukazując się w świetle księżyca.

Tak samo jak pierwszy tygrys, był to ogromny okaz, jeden z tych, który zdoła porwać i nieść kilka mil wołu lub jałowicę, aby je potem wygodnie pożreć, lub który powala byka jednym uderzeniem łapy.

- Wspaniały zwierz! - wykrzyknął Toby. - Wart tamtego.
- Strzelaj, Toby - szepnął Indri.
- Nie jeszcze, mógłbym go tylko zranić. Niech mi się pokaże z przodu, a przeszyję mu serce.

Nagle tygrys olbrzymim skokiem znikł za jakimś krzakiem.

- Zwietrzył nas? - zapytał Indri niezadowolony.
- Znajdujemy się pod wiatr, więc nie mógł zauważyć naszej obecności - odparł Toby. - Z pewnością zaczął się na zdobycz.

- Tak - potwierdził Dhundia. - Jakieś zwierzę się zbliża.

W małej odległości od krzaka, za którym czyhał tygrys, zaszeleściły liście i zatrzeszczały suche gałęzie. Może to antylopa lub bawół torowały sobie drogę do źródła?

Ofiarą było nilgo. Ostrzeżony chyba zapachem zwierza, zgrabny jelen z zatrzymał się ze spuszczoną głową, pokazując ostre rogi. Nadsluchiwał.

- Stracony - mruknął Toby. - Patrz, Indri!

Tygrys skoczył. Spadł na grzbiet biednego zwierzęcia, które ugięło się pod jego ciężarem, po czym jednym uderzeniem łapy rzucił je na ziemię z rozdartym bokiem. Natychmiast wbił zęby w szyję drgającej jeszcze ofiary, ssąc chciwie krew, a zaspokoiwszy trawiące go pragnienie, zanurzył paszczę w otwartym boku i twardymi jak stal pazurami szarpał okrutnie biedne ciało, rozrywając je na kawałki.

Toby, korzystając z chwili, kiedy tygrys, zajęty pożeraniem krwawiących wnętrzności

nilgo, nie mógł go widzieć, zmierzył się z karabinu, celując poniżej łopatki, i wypalił.

Obłok dymu jeszcze się nie rozwiął, a już tygrys leżał obok ofiary, jak gdyby niezawodna kula myśliwego razila go gromem.

- Zabity! - krzyknął Indri, wyskakując z jamy.

- Ostrożnie! - odezwał się do niego Toby. - Może jeszcze żyć!

Były ulubieniec gaikwara, mniemając jednakże, że tygrys jest już martwy, zbliżał się do niego z nożem myśliwskim w ręku. Dzielilo go już tylko kilka kroków, kiedy zwierz podniósł się nagle na tylnych łapach, zgrzytając zębami i mruczając.

- Cofnij się, Indri! - krzyknął Toby, wydzierając Dhundii karabin.

Indus skoczył w bok. W jednej chwili rzucił nóż i zmierzył się z karabinu. Rozległ się strzał i tygrys, który z powodu otrzymanej przedtem rany nie miał dostatecznego rozmachu, padł ze zdruzgotaną czaszką.

- Piękny strzał! - wykrzyknął Toby, nadbiegając. - Mój drogi Indri, jesteś godnym miana łowcy tygrysów!...

- Pierwszą partię wygraliśmy, Toby! - odparł były faworyt rozradowanym głosem. - Teraz zabierzemy się do drugiej!

Rozdział XIV - Polowanie kornaka

Gdy Indri i Toby zajęci byli polowaniem na dwa krwiożercze zwierzęta, kornak Bandhara szukał śladów chytrego fakira z zaciętością i wytrwałością, których mógłby mu pozazdrościć najlepszy angielski policjant.

Jak wielu innych przewodników słońci, Bandhara należał przedtem do kasty złodziei, co wcale nie jest hańbiące w oczach mieszkańców Hindustanu. Stanowi ona dla Indusów jedną z wielu kast zbliżonych do kasty cieśli, złotników, rybaków i innych, tak że każdy, kto należy do niej, może powiedzieć bez najmniejszego wstydu, a nawet z pewną dumą, iż uprawia zawód złodzieja. Nie ma w tym nic złego: jest to kasta taka sama jak inne, normalnie zorganizowana i uznana przez pozostałe.

Nie znaczy to jednak, aby w Indiach złodzieje mogli kraść zupełnie swobodnie. Każdy, kto zostaje przychwycony, ponosi karę, ponieważ zapobieganie złodziejstwu należy do obowiązków radży. Jednakże z powodu dokonanej kradzieży nie uważa się złodzieja za osobę godną pogardy, lecz wyłącznie za człowieka wykonującego dobrze swój zawód.

Bandhara, który kiedyś należał do tej kasty mającej tak szerokie rozgałęzienia w Indiach, był może jedynym człowiekiem mogącym walczyć z fakirem. Przebiegły, ostrożny, doskonały obserwator, gibki jak wąż, a ponadto obdarzony odwagą niezwykłą wśród Indusów, mógł odszukać tego niebezpiecznego łotra, znajdującego się tak dobrze z Dhundią.

Opuściwszy dom, nie zwrócił się od razu w stronę świątyni, lecz udał się na bazar, aby dokonać zupełnego przeobrażenia się i znaleźć jakiegoś towarzysza, co nie jest rzeczą trudną w kraju, gdzie żyją tysiące sług, którzy za samo jedzenie najmą się do wszystkiego. Wszedłszy do sklepu utrzymywanego przez starą Induskę, wyszedł z niego po upływie kwadransa w szatach bramina giriwasi.³⁴

Aby dopełnić złudzenia, Bandhara zaopatrzył się w żółty bawełniany szal, będący odznaką tychże braminów, który należy stale utrzymywać w stanie wilgotnym, aby odświeżać sobie głowę i ramiona.

Zadowolony z przebrania nadającego mu majestatyczny wygląd, dawny złodziej szybkim krokiem udał się do jednego z licznych stręczycieli sług, a obejrawszy sobie kilka osób, zatrzymał wzrok na jakimś chłopcu liczącym zaledwie trzynaście lat, który wydał mu się zarówno przebiegłym, jak i bardzo silnym na swój wiek.

³⁴ Giriwasji - mieszkaniec gór.

- Takiego mi trzeba - mruknął kornak, zmierzwiwszy go badawczym spojrzeniem. - Zwraca mniej uwagę niż człowiek dorosły i wystarczy dla mnie.

- Jak się nazywasz? - zapytał potem.

- Sadras - odparł szybko chłopak.

- Masz rodziców?

- Nie, sahibie, umarli na cholere.

- Dam ci jeść i dwie rupie, jeżeli będziesz mi wiernie służył, a potem zobaczymy.

Dwie rupie! Prawdziwy skarb dla tego chłopca, który nigdy nie oglądał nawet jednej. Kornak kazał go przyzwocić przyrodziac, zapłacił agentowi rupię i zabrał go ze sobą.

“A teraz - postanowił - chodźmy do świątyni. Fakir będzie mądry, jeżeli mnie pozna. Kornak nie może stać się braminem.”

Przed świątynią stał jeszcze niezmiernie liczny tłum; zwrócił się więc ku miejscu, gdzie nadal siedzieli ci, którzy poddali się strasznej katuszy zawieszenia na hakach. Z trudem utorował sobie drogę trzymając chłopca za rękę, aby się nie zgubił, i doszedł do stopni, gdzie był umieszczony posąg bóstwa. Jednym rzutem oka zauważył zniknięcie fakira.

“Miałżeby się domyślić, że jest śledzony? - zastanowił się Bandhara, marszcząc czoło. - Człowiek ten musi być przebieglejszy, niż przypuszczałem. Gdzie się mógł udać? Musi mieć nadzwyczajną siłę, jeżeli był w stanie odejść z tak strasznie poranionymi plecami. No, ale odnajdziemy go.”

Spróbował dowiedzieć się czegoś od stojących obok niego ludzi, ale bez najmniejszego rezultatu; nie nalegał. Był zbyt ostrożny, aby zwracać na siebie uwagę. W tłumie mógł się znajdować jakiś wspólnik fakira; nie było to rzeczą nieprawdopodobną, a wówczas partia stałaby się podwójnie trudną do wygrania.

Opuścił świątynię i udał się na bazar, nadchodząc właśnie w chwili, kiedy zręczny łotr po dokonanym przeobrażeniu spieszył wykonać widowisko z koszem pod oknami domku Toby'ego. Cały dzień minął, a on nie mógł nigdzie wpaść na ślad chytrego fakira.

“Musi być bardzo zręczny, że nie daje się przychwycić - stwierdził kornak, gdy nadszedł wieczór. - Chodźmy do domu, a jutro znowu zabierzemy się do polowania.”

Kiedy ukazał się u drzwi pałacyku dopytując się o Indriego, dowiedział się zdumiony od zarządcy, który go nie poznał, że myśliwi udali się do kopalń.

“Nie wolno mi wyjawić, kim jestem - pomyślał kornak. - Skoro tutaj nie poznano mnie w tym przebraniu, nie wyprowadzajmy ich z błędu i chodźmy zamieszkać gdzie indziej. Może mi się lepiej poszczęści. Jeżeli pan mój oddalił się beze mnie, to znaczy, że nie potrzebuje mych usług i że

woli zostawić mnie na tropie fakira.”

Zwrócił się do chłopca z pytaniem, czy nie wie, gdzie się znajduje dobra gospoda, w której można byłoby przenocować.

- Jest taka w pobliżu bazaru - odparł Sadras. - Zatrzymują się tam wybitne osobistości.

- Zaprowadź mnie tam - rzekł Bandhara.

Już mieli opuścić dom, kiedy oczy kornaka zatrzymały się na śladach kilku stóp odcisniętych w piasku drogi.

- Jacyś ludzie zatrzymali się przed domem - mruknął. - Ach, cóż to za kwadratowy kształt widzę odcisnięty przed domem? Czyżby przychodzili tutaj kuglarze?

Wiadomo, że Indusi posiadają przedziwną umiejętność odnajdywania śladów. Jakikolwiek znak, który by uszedł uwagi wszystkich, jest dla nich często objawieniem o nieocenionym znaczeniu.

Bandhara nie miał chyba równego sobie tropiciela, zauważył zatem natychmiast ślady pozostawione przez fakira, jego towarzyszy oraz kosz, którym posługiwał się chłopiec. Rozejrzał się dokoła, aby się przekonać, czy nikt nie zwraca na niego uwagi, i nachylił się, przyglądając im się uważnie... Dostrzegłszy na krawędzi jednego ze stopni kroplę niezupełnie wyschłej krwi, drgnął.

Nagle jak błyskawica zbudziła się w nim pewna myśl.

“Czy krew ta nie spłynęła czasami z poranionych pleców fakira? - zastanowił się. - Muszę się dowiedzieć, kim są ludzie, którzy dawali tutaj przedstawienie. Ten kwadratowy ślad i tamten drugi, okrągły, który wydaje się odcisnięty przez dno bębna, mają jakieś znaczenie, a żadnego z nich z pewnością nie było tutaj dzisiaj rano.”

Wszedł znowu na stopnie wiodące do pałacyku i uderzył ponownie w metalową płytę umieszczoną nad drzwiami. Zarządca ukazał się znowu, a poznając bramina, skłonił się głęboko.

- Pragnąłbym dowiedzieć się jeszcze o coś innego - rzekł Bandhara z błogosławiącym ruchem prawicy. - Kiedy wyjechał angielski myśliwy?

- Po południu, sahibie.

- A nie powiedział, kiedy wróci?

- Nie, ale sądzę, że dzisiejszą noc spędzi w kopalni, gdyż zabrał ze sobą wóz i kilku śikharich.

- I przez cały dzień nikt do niego nie przyszedł?

- Nikt, sahibie.

- A jednak zauważyłem liczne ślady stóp przed samym pałacykiem.

- Przyszło kilku kuglarzy, którzy pokazali sztuczkę z klatką - odparł zarządca.

Banfahara wiedział dosyć. Udał, że nie przywiązuje do tego najmniejszego znaczenia, podniósł ponownie dłoń błogosławiącą i zszedł ze stopni w tej majestatycznej postawie właściwej braminom, jako należącym do stanu wyższego i uprzywilejowanego w całych Indiach.

- Chciałbym wiedzieć, kim są ci kuglarze - mruknął na odchodnym. - Ta kropla krwi wygląda podejrzanie, chyba że któryś z tych ludzi zranił się, igrając sztyletami. W każdym razie nie porzucę tych śladów, dopóki nie wyjaśnię całej sprawy.

Wpadłszy na trop, Bandhara był pewny, że go nie zgubi, nawet na zakurzonych ulicach miasta, gdzie uwijało się tysiące innych ludzi.

Uczyniwszy piętnaście kroków, bystrym wzrokiem dojrzał na ziemi drugą kroplę krwi większą od pierwszej i również ledwo zaschłą, a kilka metrów dalej trzecią.

- Gdybym mógł dojrzeć więcej, udałoby mi się z pewnością wywnioskować, kim byli ci ludzie - mruknął kornak. - Nie traćmy nadziei.

Wolno posuwał się naprzód z oczyma wbitymi w ziemię, aż doszedł do bazaru. Tutaj jednak, w miejscu, po którym przesuwano się tysiące, tysiące nóg, ślady zatarły się do tego stopnia, że najzręczniejszy złodziej i najlepszy policjant nie zdołaliby ich odkryć. Daremnie Bandhara zwracał się to na prawo, to na lewo i badał pył pokrywający grunt. Krople krwi znikły.

- Druga nieudana próba - rzekł skwaszony. - A jednak jestem pewny, że fakir nie opuścił Pannahu.

Zwrócił się do chłopca, który szedł ciągle za nim, nie pytając o powód tych upartych poszukiwań.

- Czy jutro odbędzie się jakaś ceremonia religijna?

- Tak, sahibie - odpowiedział Sadras. - Odbędzie się święta kąpiel w sadzawce urządzonej umyślnie przez radzę, a napełnionej wodą z Gangesu.

- Zaprowadzisz mnie tam. Muszę i ja dokonać kąpieli. A teraz chodźmy do gospody.

Chcieli właśnie przejść przez bazar, gdzie jeszcze tłoczyły się tłumy ludzi, mimo że noc zapadła już od kilku godzin, kiedy uwagę ich zwrócił ogłuszający hałas, który rozbrzmiewał w najdalszym rogu olbrzymiego placu. Słychać było odgłosy bębnów, trąb i fletów, w powietrzu powiewały różnobarwne sztandary oświetlone kagańcami, w których paliły się wielkie kłęby konopi przepojonych żywicą.

- Czy to nocna procesja? - zapytał Bandhara chłopca.

- To zaklinacze węży obchodzą swoje święto - odparł tenże.

- Chodźmy zobaczyć, chłopcze. Będziemy mieli jeszcze dosyć czasu na wypoczynek.

Potem szepnął:

- Fakir jest także zaklinaczem węży i może bierze udział w obchodach.

Procesja posuwała się naprzód wśród wzrastającego hałasu; poprzedzało ją czterech jaskrawo ubranych ludzi, niosących z wysiłkiem ogromny bęben ozdobiony pawimi piórami i różnorodnie zabarwionym włosiem. Był to nagara, święty bęben, którego można używać wyłącznie podczas ceremonii religijnych, a i wówczas tylko za pewną opłatą wyznaczoną przez zamindara³⁵ miasta lub obwodu.

Następnie kroczyło około czterdziestu grajków zaopatrzonych w mridanga, czyli bębenki z terakoty pokryte z obu stron skórą, w tam-tamy wydające przeraźliwy łoskot i wreszcie w tabla, inny rodzaj hałaśliwych bębnów, oraz w trąby i flety. Po bokach szli prawie zupełnie nacy Indusi, którzy nieśli kagańce rozsiewające żywe blaski i jasne wstęgi iskier. Za nimi posuwało się cztery lub pięć tuzinów półnagich zaklinaczy węży, obwieszonych barwnymi świecidełkami: igrali oni bezkarnie ze straszliwymi kobrami, gulabi, boa i innymi nie mniej niebezpiecznymi gadami, które złapali w ciągu dnia w lasach wyżyny. Na końcu szli liczni Indusi niosący naczynia z mlekiem dla węży, a z pobliskich domów oraz z kramów bazaru nadbiegali ludzie z wszelkiego rodzaju naczyniami.

Doszedłszy do środka placu, pochód utworzył olbrzymie koło, w którym znajdowali się zaklinacze węży z gadami. Kagańce zostały rozmieszczone w taki sposób, aby cała ta przestrzeń mogła być oświetlona ze wszystkich stron.

Po kilku modlitwach do boga Kriszny, zwycięzcy straszliwego węża, pytona Kalija, co podług legendy indyjskiej pustoszył brzegi rzeki Jamuny, zaklinacze postawili przyniesione naczynia na ziemi i oswobodzili węże, które natychmiast rzuciły się na nie z chciwością.

Był to widok dziwny i groźny. Te wszystkie gady, które pełzały po ziemi i zwijały się z sykiem lub gryzły się pomiędzy sobą walcząc o garnce mleka, i wszyscy ci zaklinacze, połyskujący świecidełkami, z długimi brodami, z turbanami migoczącymi w blaskach pochodni, stanowili obraz niezapomniany.

Grajkowie, stojąc w krąg dokoła tłumu ciekawych, podwajali hałas, tłumiąc inwokacje zaklinaczy i wściekle syki gadów.

Bandhara, który uczestniczył już dawniej w podobnych widowiskach, nie interesował się nim, zajmując się wyłącznie zaklinaczami. Miał nadzieję, że zauważy pomiędzy nimi fakira.

Nagle z ust jego wydarł się okrzyk.

Wśród zaklinaczy spostrzegł Indusa, który nie był nagi, jak jego towarzysze, lecz miał plecy nakryte obszerną dupatą z żółtej bawełny.

³⁵ Zamindar - dosł. właściciel ziemski.

“Jeżeli ten człowiek zakrywa sobie plecy, musi mieć jakiś powód - pomyślał Bandhara. - Zazwyczaj zaklinacze nie noszą dupatty podczas obrządków.”

Trzymając ciągle chłopca za rękę, obszedł dokoła plac, ażeby łatwiej zbliżyć się do tego człowieka, który, jak mu się zdawało, był trochę podobny do fakira. Doszedłszy do miejsca, skąd mógł go lepiej obserwować, z wysiłkiem powstrzymał radosne poruszenie.

“To ten, którego szukam! - pomyślał. - Nie opuszczę go już, choćbym musiał go ścigać przez całe Indie.”

Fakir przeobraził się raz jeszcze, zabarwiwszy twarz kolorem czarnym, przez który przechodziły białe kreski, i przyprawiwszy sobie długą brodę, a pomimo to nie uszedł badawczym spojrzeniom Bandhary.

- Tak, to on - szepnął kornak. - To ten sam człowiek, któregośmy spotkali na wyżynie i który dzisiaj rano dał się powiesić na hakach. Gdybym mógł zdjąć mu dupattę, zobaczyłbym bandażę, pokrywającą jego rany. Nareszcie dowiem się, kim jest i dlaczego szedł tak uparcie za nami.

Wsunął rękę pod obszerny kaftan, aby się upewnić, że ma sztylet i rewolwer, które mu wręczył Indri, zanim wyszli z domu. Zaczekał cierpliwie na zakończenie uroczystości, dopóki w specjalnych koszach nie pomieszczano węży, nadmiernie opitych mlekiem, po czym ruszył za pochodem, który udał się ku południowej stronie miasta. Nie tracił z oczu fakira, zdecydowany iść za nim wszędzie.

Doszedłszy do drugiego placu, pochód zaczął się rozpraszać. Pierwsi odłączyli się od niego fakir i jakiś Indus olbrzymiego wzrostu, który niósł kosz zawierający chyba węże. Tych dwóch ludzi ruszyło natychmiast wąską, boczną uliczką wijącą się wzdłuż nędznych, przylegających do siebie chatek.

Uczynili zaledwie kilka kroków, kiedy Bandhara, który puścił się za nimi, spostrzegł, że fakir zachwiał się i padł w ramiona towarzysza.

“Zbyt sobie dowierzał - stwierdził kornak. - Niepodobna, żeby mógł wytrzymać dłużej straszne rany w plecach. To diabeł, a nie człowiek! Chyba jest ze stali.”

Nie chcąc, aby go zauważono, zatrzymał się za narożnikiem chaty, ukrywając chłopca za sobą.

Olbrzym zawiesił sobie kosz na plecach, po czym wziął w ramiona fakira, który był jak nieprzytomny.

Bandhara widział, że oddalił się szybkim krokiem i zatrzymał się nagle przed nędznie wyglądającą chałupką o ścianach z wysuszonego błota i słomianym dachu. Drzwi otworzyły się

natychmiast o obaj znikli, a palące się dotąd w jednym okienku światło zaraz zgasło.

“To ich dom - z zadowoleniem rzekł sobie Bandhara. - Nie straciłem czasu.”

Zwrócił się do Sadrasa, który zaczynał ziewać.

- Wiesz, kto mieszka w tej chatce? - zapytał.

- Nie, sahibie.

- Czy mógłbyś się do jutra dowiedzieć? Jesteś pojętny i przemyślny.

- Jutro będę mógł ci to powiedzieć, sahibie.

- Bądź ostrożny, bo nie życzę sobie, aby jej mieszkańcy dowiedzieli się, że ktoś się nimi zajmuje.

- Będę chytry jak okularnik.

- Chodźmy spocząć.

Wrócili na plac bazarowy i weszli do okazale wyglądającej gospody. Bandhara kazał podać obfity wieczerzę, po czym polecił wskazać sobie pokój. Po upływie pięciu minut spał jak suseł.

Obudziwszy się krótko przed wschodem słońca, nie zastał już Sadrasa w łóżku.

Rozdział XV - Nieocenione wiadomości

Gdy Bandhara wraz z chłopcem przybyli, tłum już był zalał okolice sadzawki, a raczej jeziora, gdyż rozmiarami przewyższała ona zwykłe stawki. Cała była zbudowana z kamienia, otoczona zewsząd wspaniałymi stopniami, podobnymi do tych, które od świątyń zniżają się ku Gangesowi, świętej rzece Indusów.

Mężczyźni, kobiety i dzieci nadbiegali ze wszystkich stron niosąc kosze z owocami lub naczynia z mlekiem jako ofiarę dla bóstwa.

Stopnie zostały zajęte z samego początku przez braminów, osobistości, które trawią życie na praktykach tak niepojętych, że zdawałyby się niewiarygodne, gdyby nie były najzupełniej prawdziwe. Rozbierali się w obecności tłumu, trzymając w ręku bielutką chustę do wycierania się, potem myli sobie nogi, następnie nabierali wody w dłonie, podnosili je, po czym wypijali ją z wolna, zwilżając przedtem zgięcia rąk. To była tylko pierwsza część ich akumanas, jak nazywają ranną kąpiel.

Po krótkiej przerwie, podczas której mamrotali jakąś modlitwę do Brahmy, dotykali prawą ręką nosa, ust, czoła, ramion, podbrzusza, po czym zwróciwszy się najpierw ku wschodowi, potem ku zachodowi, czyścili sobie zęby, posługując się kawałeczkiem miękkiego drewna.

Czynność ta, nadzwyczaj ważna dla braminów, musi się odbyć przed wschodem słońca, w przeciwnym bowiem razie, twierdzą ich dziwne wierzenia, duszy ich groziłoby w następnym wcieleniu niebezpieczeństwo, że przyjdzie na świat w ciele nieczystego owada!...

Po wyczyszczeniu sobie ust dzielni ci kapłani, przesiąknięci najdziwaczniejszymi przesadami, zmywali z siebie plamy błota i znaki, które sobie zrobili dnia poprzedniego jako znamiona kasty; skrobali sobie język, starając się nie rozkrwawić go, jak to nakazują obrządki, aby nie stać się na przeciąg tego dnia nieczystymi, i wreszcie kąpali się wyciągając się potem w cieniu drzew, gdzie oczekiwali chwili odpowiedniej na zrywanie kwiatów, co jest drugą niezmiernie ważną ceremonią.

Skoro tylko bramini skończyli kąpiel, tłum rzucił się do jeziora, pragnąc zanurzyć się w święte wody Gangesu. Byli tam mężczyźni, kobiety i dzieci, wszyscy bez odzienia, bezładnie zmieszani ze sobą i hałaśliwi.

Nabrawszy w dłonie wody i ofiarowawszy ją wśród dziwacznych wykrzywień ciała słońcu, które w tej chwili wstawało, rzucając w krąg potoki światła i ciepła, oraz wylawszy do jeziora obszerne naczynia bielutkiego mleka i wrzuciwszy doń kwiaty i owoce, aby sobie zjednać przychylność opiekuńczych bóstw Indii, tłum zaczął się pluskać w wodzie jak stado kaczek.

Mężczyźni i kobiety polewali się wzajemnie, chlapiąc na siebie wodą, śmiejąc się i krzycząc, a gromadka grajków siedzących na ostatnich stopniach uderzała hałaśliwie w bębny i bębunki i wydymała płuca, aby wydobywać coraz to ostrzejsze dźwięki z różnorodnych instrumentów dętych.

Także poza obrębem stopni, pod drzewami, gdzie sprzedawcy owoców i słodzonej wody porozmieszczali kramiki i gdzie bandy kuglarzy wykonywały najtrudniejsze ćwiczenia, panował ogłuszający hasał. Krzyczano, gawędzono, plotkowano, a długie szeregi osób, które już ukończyły kąpiel, wstępowały na stopnie, niosąc błyszczące naczynia miedziane, napełnione świętą wodą mające im służyć do całodziennych ablucji.

Wykąpawszy się, Bandhara i jego chłopak zaczęli się kręcić po stopniach, spoglądając uważnie na otaczające je osoby.

Nie było rzeczą łatwą znaleźć fakira, jednakże kornak nie rozpaczał i niestrudzenie prowadził poszukiwania. Poranek minął i kąpiący przerzedzali się już, kiedy chłopak szarpnął silnie Bandharę.

- Czego chcesz? -zapytał tenże.

- Spójrz, sahibie, na tego człowieka, który w towarzystwie jakiegoś kuglarza nabywa liście betelu. Nie poznajesz go?

Nabdhara spojrział we wskazanym kierunku i uczynił ruch radosnego zdziwienia.

- To człowiek, który towarzyszył zaklinaczowi węży, prawda?

- Tak, sahibie, on go zaniósł do chaty. Poznaję go po czerwono-żółtym turbanie i po wstędze haftowanej srebrem, opasującej mu biodra.

- To niespodziewane szczęście - mruknął Bandhara.

Olbrzym zwinął liść betelu, a włożywszy weń szczyptę areki, sproszkowanego wapna i nieco korzeni, utworzył z tego kuleczkę i wsunął ją do ust. Ująwszy potem pod rękę kuglarza, usiadł obok namiotu, przed którym kilku linoskoków wykonywało zabawę z klatką.

Udający bramina Bandhara ruszył za nim, jakby szukał odpowiedniego miejsca, aby bez przeszkody odbyć praktyki poranne. Zauważywszy ogromną rathę obok namiotu, który rzucał cień i znajdował się za dwoma Indusami, usiadł na ziemi, niby to mrużąc modlitwy; w rzeczywistości jednak nadstawiał uszu, aby nie utracić ani jednego słowa z tego, co mówili ci dwaj ludzie.

Nie chcąc wzbudzić podejrzeń, dał znak Sadrasowi, żeby zatrzymał się w pewnej odległości, obok małego drzewa bananowego.

Rozmowa dwóch kuglarzy musiała się była rozpocząć przed kilkoma minutami.

- To daremne - mówił olbrzym do swego towarzysza. - Tracimy tutaj czas. Może ten człowiek wrócił do swoich panów.

Bandhara podniósł głowę. Instynkt powiedział mu, że w rozmowie tej chodziło o niego.

Towarzysz olbrzyma odpowiedział po chwili milczenia:

- I ja tak sędzę.

- A jednak nie wrócił do domu radży.

- Czyś ty go kiedy widział, Barwani?

- Nie - odparł olbrzym. - Gdybym spojrział na niego raz jeden tylko, nie zapomniabym go nigdy.

- A więc zna go tylko Sitama?

- On jeden.

- Gdyby był tutaj!...

- Polegał zbytnio na swojej odporności. Sitama ma twardą skórę, ale chyba pojmujesz, że nawet nosorożec miałby dość po takiej męczarni.

- A jednak pomimo tych strasznych ran chciał wykonać zabawę z klatką przed myśliwymi.

Po raz wtóry Bandhara podniósł głowę. Zaczynał rozumieć aż nadto dobrze.

“Mówią o Indrim i o angielskim myśliwym - domyślił się. - Ów Sitama musi być fakirem.”

Olbrzym Barwani, podjął dialog na nowo:

- Zrodziło się we mnie pewne przeczucie.

- Jakie? - zapytał kuglarz.

- Że zaczęli podejrzewać Sitamę i że jego męczarnia nie utwierdziła ich w przekonaniu, iż jest fakirem. Ten biały myśliwy musi być spryciarzem, który nawet nas wywiedzie w pole.

- A może raczej ulubieniec gaikwara?

- Jeden wart drugiego - odparł Barwani.

- I ty przypuszczasz, że posłali sługę w ślad za Sitamą?

- Sitama jest także tego zdania.

- Dlaczego?... Prosty kornak - wykrzyknął kuglarz z pogardą - to nie jest człowiek, który by mógł zmierzyć się z nami.

- Nie możesz wiedzieć, co się kryje pod skórą tego człowieka.

“Zdaje się, że nie znają mnie jeszcze dobrze” - pomyślał kornak, który nie tracił ani słowa z tej zajmującej rozmowy.

- Co chcesz zrobić? - zapytał kuglarz.

- Zrezygnować chwilowo z poszukiwań i wrócić do Sitamy.

- Gdzie on jest?

- W starej świątyni Wisznu.
- Znowu tam się przeniósł?
- Nie miał odwagi zostać w tej ruderze - odpowiedział olbrzym.
- Zauważyliście coś podejrzanego?
- Wiem, że przed trzema godzinami jakiś chłopak dowiadywał się u sąsiadów, kto mieszka w tej chatce.

Chłopak!... - wykrzyknął kuglarz.

- Tak przyjacielu, więc przenieśliśmy się gdzie indziej.
- Poznano go?
- Nie było nikogo z naszych.
- Kto mógł go przysłać, Barwani?
- Tego właśnie nie wiemy.
- Może to był jakiś posłaniec kornaka?
- Tak przypuszczam - odpowiedział Barwani, wstając. - Idę - dodał potem. - Dziś wieczorem zbieramy się w świątyni; przyprowadzisz wszystkich.

- Wracasz zaraz do Sitamy?
- Jest to konieczne, dziś rano miał gorączkę.
- A ja co mam robić?
- Staraj się odnaleźć kornaka.
- Wskazówki, które mi dał Sitama, nie są wystarczające.
- Pójdiesz do domu, aby się przekonać, czy wrócił lub czy udał się do swoich panów do kopalń. Bądź zdrow, do zobaczenia dziś wieczorem.

Bandhara wstał szybko, aby go nie zauważono, jakkolwiek był pewny, że tych dwoje ludzi, którzy go nigdy nie widzieli, nie mogło go poznać. Owinął się w dhoti, a mijając Sadrasa, szepnął mu szybko:

- Do starej świątyni Wisznu.
- Sadras kiwnął potakująco głową.
- Zdaje się, że wie, gdzie to jest - mruknął Bandhara.

Okrążył namiot, poczekał, aż go olbrzym minie, potem zaczął iść za nim w odległości czterdziestu lub pięćdziesięciu kroków. Jakkolwiek wmieszał się w tłum tłoczący się w okolicach jeziora, był pewny, że nie straci go z oczu. Jego żółto-czerwony turban łatwo można było zauważyć ponad głowami wszystkich.

Obszedłszy jezioro dokoła, Barwani skręcił w cichą ulicę wiodącą do południowych części miasta.

Widząc, że opuszcza ulice zaludnione, Bandhara zaniepokoił się. Nie wiedział, gdzie się znajduje stara świątynia; ale z kierunku obranego przez olbrzyma domyślał się, że wznosi się w jakimś odludnym miejscu, może nawet poza obrębem miasta.

Jeżeli jego przypuszczenie było prawdziwe, to pościg za Barwanim nie będzie rzeczą łatwą. Łotr, który miał się na bacności, łatwo mógł zauważyć, że ktoś idzie jego śladem.

“Może źle uczyniłem, zostawiając Sadrasa przy sadzawce? - zastanowił się wierny kornak. - Chłopak wzbudza mniej podejrzeń i mogłem go posłać za tym tajemniczym łotrem.”

Rozmyślał nad sposobem dalszego pościgu bez zaniepokojenia olbrzyma, kiedy na rogu ulicy natknął się na arbę.

Arba to niezgrabny wóz, spoczywający na dwóch ciężkich kołach, używany podczas podróży po wsiach. Ma on rodzaj sklepionego pokrycia z liści, które stanowią doskonałą ochronę przed palącymi promieniami słońca; zazwyczaj ciągną go dwa wielkie, białe zebu z wysokim, zwieszającym się z jednej strony garbem oraz długimi, wygiętymi rogami.

Ciężki ten wehikuł stał na rogu ulicy, a woźnica, młody Indus siedzący okrakiem na dyszlu, żuł szczyptę areki.

- Jesteś wolny? - zapytał Bandhara, zbliżając się szybko do młodzieńca.

- Tak, sahibie - odparł tenże.

- Dam ci rupię, jeżeli zawieziesz mnie do starej świątyni.

- Do której, sahibie? Poza miastem jest ich kilka.

- Widzisz tego człowieka w czerwono-żółtym turbanie?

- Widzę go doskonale.

- Jedź za nim, a zawieziesz mnie do starej świątyni, którą pragnę zwiedzić.

- Będę ci posłuszny - odpowiedział woźnica, któremu wydawało się nieprawdopodobne, aby mógł w tak łatwy sposób zarobić rupię.

Bandhara wskoczył lekko pod małą kopułkę z liści, która zakryła go zupełnie, a młodzieniec targnął niemiłosiernie oba zwierzęta za ogony, aby je zmusić do przyspieszenia kroku.

Teraz Bandhara był już pewny, że Barwani zamierza opuścić miasto, gdyż dojechali do dawnych wałów obronnych, a on nie zdradzał zamiaru skręcenia ani na prawo, ani na lewo.

“Miałem dobry pomysł, wynajmując ten wóz - stwierdził Bandhara. - Nie może on zaniepokoić tego łotra, ponieważ za miastem spotyka się często te niewygodne wehikuły.”

Barwani doszedł do baszty, przy której znajdowało się przejście, przekroczył drewniany most przerzucony przez szeroki rów i szedł dalej przez pola zasiane bansi - rodzajem prosa - rosnącym bujnie na tych rozległych wyżynach.

- Sahibie - odezwał się woźnica, zwracając się do Bandhary. - Twój towarzysz zdąży niechybnie do starej świątyni Wisznu.

- Czy to daleko? - zapytał kornak.

- Będziemy tam za pół godziny; widzisz za tymi roślinami wysoką kopułę, zakończoną pozłacanym ornamentem?

- Tak.

- To ona.

- Czy znasz ją?

- Byłem w niej kilkakrotnie.

- Czy jest zamieszкана?

- Nie, mury jej są już dawno słabe.

- Czy jest bardzo wielka?

- Ogromna, sahibie.

- Czy może wznosi się na obszarach diamentodajnych?

- Tak, sahibie, ale nie na tych, które nawiedza straszliwy pożeracz ludzi; stanowią one jedyną część, w której wydobywa się jeszcze diamenty.

- Czyś kiedyś słyszał, że w tej świątyni zbierają się nocą jacyś ludzie?

- Tego nie wiem, sahibie - odparł woźnica. - Jednakże nie odważyłbym się spędzić wieczoru wśród tych ruin.

- A to dlaczego?

- Opowiadają, że nawiedzają je złe duchy.

- Ach tak!... - wykrzyknął kornak z uśmiechem. - Postąpiłeś dobrze, mówiąc mi o tym, gdyż obejrzę ją sobie za dnia.

Wysunął głowę spod daszka i spostrzegł, że Barwani coraz szybszym krokiem idzie przez pola, odwracając się często za siebie. Ale i wóz toczył się zwawo naprzód. Woźnica szarpał biedne zwierzęta za ogon oraz kłuł je długą laską, zakończoną ostrym gwoździem.

Grunta uprawne znikły niebawem, ustępując polom diamentodajnym, pozarzuconym stertami okrągłaków i ziemi wydobytej z szybów. Tu i ówdzie widniały grupy chat i obszernych szop, w których uwijały się liczne postacie, a tumany kurzu unosiły się z rozpadlin gruntu. Było to pole diamentodajne ogarnięte ferworem pracy.

- Sahibie - odezwał się woźnica - świątynia wznosi się za tym laskiem; ale wóz mój nie będzie mógł tam dojechać, ponieważ grunt jest zupełnie porozrywany.

- Możesz wrócić do miasta - odpowiedział Bandhara wsuwając mu w rękę przyrzeczoną rupię. - Nie jesteś mi już potrzebny.

Skoczył na ziemię, a zaczekawszy, aż się wóz oddali, zwrócił się w stronę lasu, kryjąc się za stertami ziemi i okrąglaków.

Barwani znikł był wśród drzew. Jednakże kornak nie niepokoił się tym. Wiedział, dokąd się udaje, a to było najważniejsze.

„Znalazłem kryjówkę przeklętego fakira - pomyślał - a reszta znajdzie się sama. Nie znam świątyni i nie wiem, gdzie się zbiorą ci tajemniczy wrogowie Indriego, niemniej uda mi się dowiedzieć wszystkiego, o co mi chodzi. Czuję w tym rękę Parvatiego, pewny jestem, że się nie mylę.”

Monologując w ten sposób, doszedł do skraju lasu, a zatrzymawszy się kilka chwil, by się przekonać, że nikt go nie śledzi, znikł pomiędzy drzewami.

Łatwo dostrzegł ślady nóg olbrzyma odcisnięte na wilgotnym gruncie i postępował uważnie za nimi, aby nie zabłądzić. Po dziesięciu minutach, doszedł do małej doliny otoczonej zewsząd gęstwiną drzew mangowych, olbrzymich bambusów, wielkich platanów i niskich tektonii; pośrodku, przed stawkiem, wznosiła się ogromna świątynia, częściowo w ruinie, podobna trochę do świątyni w Taridzurze, jednej z największych i najpiękniejszych w Indiach.

Tak samo jak tamta, ta miała kształt piramidy i wznosiła się ku górze na przeszło czterdzieści metrów; wieńczył ją szereg kopuł z białego marmuru lub brązowego porfiru, podobnego barwą do brązu. Otaczały ją potężne kolumnady, bogato ozdobione rzeźbami przedstawiającymi bóstwa, głowy słoni i demony, na których opierały się potężniejszych jeszcze rozmiarów głowice; i na nich widniały rzeźbione kształty zwierząt, w przeważającej liczbie krów, świętych zwierząt Indusów. Z przodu, na ostatnim stopniu, umieszczony był posąg przedstawiający boginię Kalikę (inaczej Kali). Według legendy bramińskiej, ona to wniosła zamęt i przerażenie do rajów braminów, zakuwając w kajdany bóstwa indyjskie, aby otrzymać dwadzieścia cztery nazwy pochwalne oraz zmusić wyznawców Brahmy, Śiwy i Wisznu do oddawania jej czci.

Kupy gruzów leżące dokoła świątyni powstały chyba wskutek zburzenia ogromnego muru, gdyż w dawnych czasach musiał on otaczać budynek; jednakże ściany, w których wprawdzie widniały szerokie szpary, były na oko jeszcze w dobrym stanie.

Bandhara, ukryty za pnem grubego drzewa, chwilę przyglądał się wszystkiemu uważnie, potem, zadowolony ze swego badania, powrócił do lasu.

„Kryjówka jest odkryta; dziś wieczorem zrobimy więcej. Chodźmy zobaczyć, czy przyszedł Sadras.”

Puścił się znowu w drogę, posuwając się ostrożnie naprzód, ponieważ nie był pewny, czy las jest pusty, i zatrzymał się na przeciwległym jego skraju, który graniczył z terenami

diamentodajnymi. Czekał tak kilka minut, kiedy spostrzegł jakiś mały kształt ludzki, pełzający za stertami okrągłaków i ziemi.

“To Sadras - pomyślał. - Chłopak jest ostrożny i przebieglejszy niż myślałem. Odda mi znakomite usługi.”

Sadras spostrzegł go również, gdyż poruszał się teraz z większą szybkością, starając się jednakże nie zwracać zbyt na siebie uwagi.

- Sahibie - rzekł, zbliżywszy się do niego. - Kazałeś mi odbyć długą drogę, ale cieszę się, że cię odnalazłem.

- Wiedziałeś więc, gdzie się znajduje świątynia?

- Tak, gdyż w zeszłym roku uczestniczyłem w święcie Kali.

- Czy znasz także wnętrze świątyni?

- Trochę.

- Nie ma tu już kapłanów?

- Nie, sahibie.

- Słuchaj mnie teraz dobrze.

- Słucham obu uszami - odparł chłopak.

- Słyszałeś o pożeraczu ludzi?

- O tym, który pożerał kopaczy radży?

- Tak, Sadrasie. Czy znasz tereny, które nawiedzał?

- Kopalnie zachodnie, najważniejsze ze wszystkich.

- Moi przyjaciele wyruszyli wczoraj wieczorem na polowanie na pożeracza.

- Jacy odważni!..

- Jeden z nich jest Anglikiem, dwaj inni to Indusi. Gdybym ci kazał odszukać ich, czybyś poszedł?

Chłopiec zawahał się chwilę.

- A bagh mnie nie pożre? - zapytał.

- Obecnie moi przyjaciele już go z pewnością zabili, bo są to najślawniejsi myśliwi w całych Indiach.

- W takim razie pójdę bez strachu.

- Słuchaj mnie jeszcze - rzekł Bandhara.

- Mów, Sahibie.

- Dziś wieczorem wejdę do świątyni, ponieważ muszę odkryć tajemnicę, której ty nie potrzebujesz znać. Zaczekasz tutaj na mnie przez dwie godziny, a jeżeli nie przyjdę, wrócisz do Pannahu, wsiądziesz na konia i zaniesiesz moim przyjaciółom kartkę, którą teraz napiszę.

- A ty, sahibie?

- Jeżeli nie wrócę, będzie to znaczyło, że mnie zabili.

- Sahibie!... - wykrzyknął przerażony chłopiec. - Dlaczego tak mówisz?

Zamiast odpowiedzieć, kornak wyjął z kieszeni kawałek papieru, skreślił na nim ołówkiem kilka wierszy i podał ją chłopcu razem z dwudziestoma rupiami.

- Pieniądze te posłużą ci do wynajęcia konia i na wydatki, które może będą konieczne. Kartkę oddasz tylko w ręce białego człowieka imieniem Toby. Przrzekasz mi to?

- Przysięgam ci, sahibie.

- Teraz możemy iść obejrzeć kopalnie diamentów. Mamy czas do wieczora.

Bandhara i chłopiec wyszli z lasu i zapuścili się na owe obszary poprzecinane rozpadlinami i przerywane gdzieniegdzie szybami, które tylko częściowo zostały zakryte.

Jako bramin, Bandhara mógł bez przeszkody przejść przez strefę strzeżoną przez żołnierzy radży, mających zapobiegać kradzieżom drogich kamieni.

Kopalnia składała się z szeregu szybów o szerokości piętnastu, a głębokości dziesięciu lub dwunastu metrów, do których schodziło się po pochylniach, również strzeżonych przez dozorców, oraz z kilkunastu szop, gdzie czyszczono kamienie i ziemię, aby wydobyć zmieszane z nimi diamenty. Pompy, do których zaprzęgano woły, pracowały dokoła szybów; nie mogły ich jednak osuszyć zupełnie, choć usuwały sączącą się obficie wodę.

Kilkuset Indusów, przeważnie skazańców, zupełnie nagich, brodziło w tym rzadkim błocie, kopiąc grunt motykami i rydlami, inni zaś napełniali ziemią wielkie kosze, które potem z wysiłkiem przenosili pod szopy.

Mieszaninę tę, składającą się z krzemieni, kwarców i z kruszców, zawierającą nieraz arcywspaniałe diamenty, czyszczono i wsypywano do szeregu kamiennych koryt. Pozostałość rozciągnano na wielkich, kamiennych stołach, po czym badali ją starannie specjali robotnicy; wreszcie, po kilkakrotnym przewalkowaniu, wyrzucano ją ze stołów na bok. Diamenty oddawano natychmiast dozorcóm, którzy je zamykali w żelaznych skrzynkach.

Do badania masy diamentodajnej trzeba bardzo doświadczonych robotników, ponieważ trudną jest rzeczą rozróżnić gołym okiem surowy diament pośród krzemieni, kwarców, jaspisów i rogawców, mających również połyski, które łatwo mogą wprowadzić w błąd.

Banharze towarzyszył stale dozorca, śledzący bacznie każdy jego ruch, ale kornak nie starał się zbliżyć do powracających z szybów i spędził w kopalni większą część dnia czekając, aż noc zapadnie, aby powrócić do świątyni.

Około siódmej, kiedy słońce zbliżało się ku zachodowi, wszedł znowu do lasu razem z

Sadrasem, który czekał na niego na zewnątrz kopalni.

- Chodźmy - rzekł do chłopca. - Nadeszła chwila działania.

Już chciał ruszyć dalej, kiedy w oddali zabrzmiały turaki (rodzaj trąbki) i zahuczały bębny.

Spojrzał w stronę miasta i spostrzegł liczne pochodnie, które zbliżały się poprzez pola.

- Czy to jakaś procesja? - zapytał chłopca.

- Może przychodzą tutaj, aby oddać cześć Kali? - powiedział Sadras.

- Przeszkodzą mi w poszukiwaniach - mruknął Bandhara, marszcząc czoło. - A może to kuglarze i zaklinacze węży? Chodź, Sadrasie, będziemy ich oczekiwali w lasku, zobaczymy jeszcze, jak postąpić.

- A jeżeli wejdą do świątyni, czy mam iść za nimi? - zapytał Sadras.

- Nie, zaczekasz na mnie tutaj aż do północy, a jeżeli nie przyjdę do ciebie, zrobisz to, co ci powiedziałem.

- Tak, sahibie.

Rozdział XVI - Straszna walka

Procesja zbliżająca się do świątyni składała się z setki osób, poprzedzało ją mniej więcej dwunastu grajków oraz gromadka tancerek, które tańczyły, wirując z nadzwyczajną szybkością. Mężczyźni i kobiety wyli na całe gardło, śpiewając hymny na cześć groźnej Kali, a grajkowie uderzali z jakimś szaleńczym zapalem w bębny, gongi i tam-tamy i dęli całą siłą płuc w turaki.

Zdawało się, że ci wszyscy ludzie są opanowani gwałtownym podnieceniem, wywołanym chyba nadużyciem bhangu, silnie upajającego napoju, otrzymanego z opium i rozmaitych korzeni.

Bandhara, ukryty pomiędzy gęstymi krzewami, zaczekał aż ów pochód przeszedł, po czym zaczął iść za nim w odległości stu kroków, gotów skorzystać z pierwszej sposobności, aby się do niego przyłączyć. Był przekonany, że wszystkie te indywidualia to towarzysze fakira, którzy, aby lepiej ukryć zebranie i uniknąć wszelkich podejrzeń, urządzili ową uroczystość na cześć bogini.

Pochód przeszedł przez lasek, grając ciągle, wyjąc i tańcząc, po czym zatrzymał się przed świątynią, otaczając olbrzymi posąg Kali, który jakieś nieznanne ręce uwieńczyły kwiatami i gałązkami. Oddawszy jej cześć przez wymienienie dwudziestu czterech nazw pochwalnych przyznanych jej przez Brahmę celem odzyskania wolności, mężczyźni i kobiety zaczęli zbierać gałęzie i liście, układając z nich ogniska; po chwili buchnął płomień, po czym wszyscy podjęli znowu opętańczy taniec wśród wzmagającego się hałasu.

Dawszy chłopcu ostatnie polecenie, Bandhara zmieszał się niepostrzeżenie z tłumem, wyjąc i skacząc na równi z innymi. Jednakże obserwował wszystkich uważnie mając nadzieję, że zauważy jakąś znajomą twarz.

Nagle drgnął. Spozrzegł towarzysza olbrzymia, wirującego z jakąś tancerką połyskującą od złotych pierścieni i klejnotów.

“Byłem pewny, że się nie mylę - pomyślał. - Wszyscy ci ludzie są przyjaciółmi przeklętego fakira.”

Upewnił się, czy ma przy sobie rewolwer i sztylet i zmieszał się ponownie z tancerzami i tancerkami.

Zdawało się, że nikt nie zwraca na niego uwagi, przynajmniej do tej pory, gdyż nie on jeden odziany był w szaty bramina. Niemniej miał się na baczności, gotów opuścić to wesołe towarzystwo z najmniejszej przyczyny.

Tymczasem impet i roznamiętnienie tłumu rosły. Butelki napelnione bhangiem i innymi napojami krążyły szybko wokoło i opróżniały się z taką samą szybkością. Padali mężczyźni i tancerki dokoła ognisk, wyczerpani lub zupełnie pijani, a grajkowie zdawali łoskot, jak gdyby

powzięli zamiar zupełnego ogłuszenia tego nieomal oszalałego tłumu.

Bandhara wystrzegał się przyjmowania napojów lub usuwał się zrećźnie, gdy go jaka na pół pijana tancerka chciała nakłonić do picia.

Północ była już blisko, kiedy nagle kilku ludzi, którzy wyszli ze świątyni, wygasilo ogniska, zalewając je wiadrami wody. Więcej niż połowa osób leżała pijana na ziemi, nie mając sił, aby się podnieść.

“Co to będzie? - zastanawiał się Bandhara zdumiony. - Niewątpliwie rozdawano tak hojnie bhang w pewnym określonym celu. Może nie wszystkie te osoby miały uczestniczyć w tajemniczym zebraniu, a intruzów spojono umyślnie. Skorzystam z ciemności i nieładu, aby wejść do świątyni, zanim zauważą moją obecność.”

Wszedł ostrożnie na stopnie, a skoro tylko znalazł się za drzwiami świątyni, otoczyły go głębokie ciemności, ponieważ ani jedna pochodnia nie oświetlała wnętrza.

Skręcił na prawo, a dotykając ściany, posuwał się cicho naprzód; wreszcie zdało mu się, że doszedł do jakiegoś zagłębienia w murze, w którym się ukrył. Wyciągnął przed siebie ramiona, a ręce jego namacały dwie kręte kolumny, jak gdyby trąby dwóch kamiennych słoni, krzyżujące się przed nim.

“Czy wystarczą, aby mnie ukryć? - myślał z żywym niepokojem. - Jeżeli mnie spostrzegą, wątpię, żeby darowali mi życie. Jestem jednak dobrze uzbrojony i będę się bronił.”

Znajdował się od kwadransa w tym ukryciu, kiedy weszło około trzydziestu ludzi, którym towarzyszyło czterech innych, niosących żelazne kagańce. Ciężkie brązowe drzwi zamknęły się za nimi, po czym owi osobnicy - kuglarze i zaklinacze węży - usiedli na środku świątyni, tworząc wielkie koło.

Bandhara rozejrzał się szybko dokoła.

Świątynia była ogromna. Pośrodku widniał posąg Śiwy siedzącego na grzbiecie wołu Nandi, a dokoła stały niezliczone pilastry i kolumny podtrzymywane potężnymi głowami słoni, które krzyżowały swoje trąby. Były tam także inne posągi: jedno z nich przedstawiały Ramę, inne Wisznu o czterech ramionach, a jeszcze inne olbrzymie lwy i sfinksy.

Wysoko ku górze wznosiła się olbrzymia kopuła, również bogato ozdobiona rzeźbami, malowidłami i sztukaterią, które wyobrażały jadącego na lwie Dharmaradzę, sprawiedliwego króla Indusów.

Niszę, w której ukrywał się odważny kornak, tworzyły, jak się tego domyślał, dwie trąby słoni, krzyżując się w odległości metra od ściany, tak że jeden człowiek mógł się tam wygodnie zmieścić. Ponieważ były one z prawie czarnego marmuru, Bandhara, który już był rzucił dhoti, aby

być swobodniejszym, nie odbijał od nich, mając bardzo ciemną skórę.

Zaledwie kuglarze i zaklinacze węży usiedli, kiedy z korytarza, znajdującego się na przeciwległym końcu starej świątyni, wszedł olbrzym Barwani, trzymając w ręku pochodnię. Za nim kroczył drugi Indus, spowity w dupattę z żółtego jedwabiu, który zatrzymał się pośrodku kręgu światła.

“Fakir! - pomyślał Bandhara. - Nie omyliłem się!...”

Sitama, on to był bowiem istotnie, usiadł między kuglarzami i zaklinaczami węży, popatrzył badawczo na każdego z nich, po czym zapytał:

- Czy jesteście wszyscy?

- Wszyscy - odparli jednogłośnie zapytani.

- A ci, którzy wam towarzyszyli?

- Spoiliśmy ich bhangiem i śpią głęboko - rzekł jeden z zaklinaczy. - Nie obudzą się do jutra.

- A więc nie ma tutaj zdrajców?

- Nie, żadnego.

- Zatem możemy mówić o swoich sprawach. Kto szedł za białym myśliwym i jego towarzyszami?

- Ja - odparł młody Indus, powstając.

- Czy zabili pożeracza ludzi? - spytał Sitama.

- Tak, pierwszego.

- Jak to pierwszego?

- Bo było ich dwa. Byłem świadkiem ich polowania, ukrywając się wśród gałęzi tamaryndy, i mogłem się przekonać, że były dwa tygrysy.

- Czy zabili także drugiego?

- Nie, ale powzięli zamiar go zastrzelić.

- A kornak był z nimi?

- Nie widziałem go.

Fakir nie zdołał powstrzymać gniewnego ruchu.

- Powiedziano mi, że człowiek ten jest prawą ręką byłego ulubieńca gaikwara, jego tajemnicze zniknięcie niepokoi mnie. Musieli go wysłać za mną.

- Można się o tym przekonać - rzekł olbrzym Barwani.

- Wiem, ale trzeba poczekać na powrót myśliwych.

- Zaczekajmy więc, Sitamo - odparł Barwani.

- Czy nikt z was go nie widział?

- Nikt - odpowiedzieli wszyscy.

- Człowiek ten może pokrzyżować nasze plany i spowodować, że stracimy Górę Światła.

Słyszając, że mówiono o sławnym diamencie, Bandhara uczynił ruch zdumienia i lęku. W jaki sposób ci łotrzy zdołali się dowiedzieć o prawdziwym celu podróży Indriego? Kto mógł być zdradzić jego pana? Jeżeli tajemnicę znali ludzie tego rodzaju, to Indri, Toby i Dhundia byli narażeni na poważne niebezpieczeństwo, bo gdyby radza, chociażby tylko w przybliżeniu domyślał się czegoś, z pewnością nie oszczędziłby nikogo.

Na tę myśl Bandhara uczuł, że wstrząsnął nim silny dreszcz. Indri, jego szlachetny pan, znajdował się w niebezpieczeństwie! Należało ocalić go za każdą cenę.

Wiedział już teraz aż za wiele, aby czekać na dalsze rewelacje. Musiał koniecznie wyjść ze świątyni, udać się jak najszybciej do kopalń diamentodajnych i ostrzec Indriego i Toby'ego.

Wyjść? Ale w jaki sposób, skoro ciężkie drzwi z brązu były zamknięte?

“Świątynia jest częściowo zrujnowana. Odkryję jakiś otwór w popękanych murach” - postanowił.

Bandhara był człowiekiem, który nie waha się nigdy, skoro powziął jakiś zamiar.

“W tym czasie, kiedy wy próbujecie mnie schwytać, ja działam - pomyślał. - Odnajdziecie mnie później, jeżeli wam się uda.

Opuścił kryjówkę, a przesunawszy się tuż obok ściany, z której ciemną barwą zlewał się w zupełności, zwrócił się bez najmniejszego szelestu w stronę korytarza, skąd wyszli byli Sitama i olbrzym. Wyciągnął rewolwer i sztylet, a ponieważ był równocześnie zręcznym jak wąż i silnym, liczył na to, że będzie mógł bronić się długo, gdyby ci tajemniczy ludzie rzucili się na niego i nie pozwolili mu wyjść.

Poruszał się wolno, zwracając baczną uwagę na wszystko, i już doszedł był prawie do ganku, kiedy jego cień odbił się na ścianie, składającej się z białych płyt marmurowych. Wydłużony nadmiernie w świetle pochodni, które w tej chwili zostały obficie podsyczone płynną żywicą, został natychmiast zauważony przez jednego z ludzi tworzących krąg pośrodku świątyni.

Bandhara, spostrzegłszy zbyt późno białą ścianę, na której także jego twarz zarysowywała się wyraźnie, rzucił się na ziemię, ale w świątyni rozległ się okrzyk:

- Tam!... Tam!... Człowiek jakiś! - krzyknął ów, który spostrzegł był jego cień.

Kuglarze i zaklinacze węży zerwali się natychmiast jak jeden mąż.

- Patrzcie!... Jakiś człowiek ucieka!... - powtórzył ten sam głos.

Bandhara widząc, że jest odkryty, rzucił się w stronę korytarza; jednakże uderzył głową o brązowe drzwi, których przedtem nie był zauważył z powodu półmroku panującego w kącie

świętyni. Z całej siły próbował je otworzyć. Drzwi opierały się jego wysiłkom.

“Złapią mnie! - pomyślał. - Biedny mój pan!”

Kuglarze i zaklinacze rzucili się na niego jak sfora rozjuszonych psów. W rękach ich błyszczały noże i sztylety.

Bandhara oparł się o ścianę, aby go nie mogli zaatakować z tyłu, a podniósłszy stanowczym ruchem rewolwer, krzyknął:

- Kto mnie dotknie, zginie!

Olbrzym Barwani skinieniem ręki zatrzymał ludzi.

- Kim jesteś? - zapytał.

- Człowiekiem, który pragnie stąd wyjść - odparł Bandhara.

- W jaki sposób wszedłeś do świątyni?

- Tego nie wiem; brałem udział w procesji, która szła do świątyni, aby oddać cześć Kali, potem napiłem się bhangu i obudziłem się wewnątrz.

- Dlaczego jesteś uzbrojony? Aby uczcić Kali nie trzeba ani rewolwerów, ani sztyletów.

- Mam zwyczaj nosić ze sobą broń.

- Jesteś braminem?

- Widzisz to po szatach, jakie mam na sobie - odparł Bandhara.

- Coś usłyszał z tego, cośmy tu mówili? - zapytał Barwani groźnym głosem.

- Nic. Spałem i obudziłem się dopiero w tej chwili.

Barwani zwrócił się do fakira, który w tej chwili przystąpił do towarzyszy i wpatrywał się bystro w Bandharę.

- Co mamy zrobić z tym człowiekiem, Sitamo? - zapytał go.

Fakir nie odpowiedział: patrzył wciąż na Bandharę, ten zaś widząc, że w każdej chwili może zostać poznany, starał się zakryć sobie część twarzy ręką, w której trzymał rewolwer.

Nagle Sitama wydał okrzyk triumfu.

- Kornak myśliwych!... Wpadł w pułapkę jak młody tygrys!... Przyjaciele, ujmijcie tego człowieka albo wszystko będzie stracone!

- Skoro mnie poznałeś, tobie przeznaczam pierwszą kulę! - krzyknął Bandhara, wyciągając rękę z rewolwerem.

W świątyni rozległ się huk, powtórzony echem.

Jednakże nie fakir runął, lecz jeden z kuglarzy, który błyskawicznym ruchem rzucił się przed przywódcę, zasłaniając go własnym ciałem.

- Brać go! - krzyknął Barwani, porywając żelazny kaganiec.

Wszyscy rzucili się naprzód, podnosząc noże.

- Człowieka tego muszę mieć żywcem! - krzyknął Sitama.

Rozkaz ten padł w sam czas, ponieważ rozjuszeni zaklinacze i kuglarze byłiby odważnego kornaka rozszarpali na strzępy.

Ten jednak nie zaprzestał obrony, strzelając do przeciwników, dopóki nie zużył ostatniego naboju. Nie mając już ładunków, rzucił broń w twarz jednego z wrogów, a uchwyciwszy nóż, skoczył na napastników z impetem tygrysa spragnionego krwi. Miał nadzieję, że zdoła się przebić przez tę oszalałą z wściekłości bandę i schronić się w drugiej części świątyni.

Jednakże Barwani nie spuszczał go z oczu. W chwili, kiedy Bandhara zaatakował kuglarzy i zaklinaczy, przyskoczył do niego z tyłu i obalił go na ziemię. Natychmiast dziesięć rąk skrępowało silnie kornaka, udaremniając każdy jego ruch.

- Schwytany - rzekł fakir, zbliżając się.

- A więc zabij mnie - odparł Bandhara.

- Nie jestem tak głupi. Możesz mi być bardzo użytecznym, mój drogi.

- Mylisz się.

- I opowiesz mi mnóstwo rzeczy, których jeszcze nie wiem, a których pragnę się dowiedzieć, aby doprowadzić pewną sprawę do końca.

- Sprawę Góry Światła, czy nie tak, fakirze? - zapytał Bandhara ironicznie.

Usłyszawszy te słowa, Sitama wydarł jednemu z kuglarzy nóż i podniósł go na kornaka.

- Ach!... Wiesz o tym! - krzyknął ochryłym głosem. - Wydałeś na siebie wyrok śmierci.

- Wykonaj go zatem.

- Cios sztyletu to za mało dla ciebie - rzekł Sitama, oddając broń właścicielowi. - Weźcie tego człowieka i zamknijcie go w jednej z cel świątyni. Głód wymierzy mu sprawiedliwość i pomści naszych towarzyszy.

- Bądź przeklęty, nędzny fakirze - rzekł Bandhara. - Nadejdzie dzień, kiedy i mnie pomści biały myśliwy i mój pan.

- Wówczas nie będziesz już żył, a myszy zjedzą nawet twoje kości.

Olbrzym Barwani pochwycił nieszczęsnego kornaka, uniósł go jak dziecko, otworzył drzwiczki z brązu, naciskając ukrytą w ścianie sprężynę, i znikł w ciemnym korytarzu.

Rozdział XVII - Mały Sadras

Wierny danemu słowu, Sadras nie opuścił krzaków, w których się schronił. Z kryjówki tej mógł śledzić rozmaite fazy nocnej uczty oraz spostrzegł, że Bandhara przyłączył się także do tego wyjącego i upojonego bhangiem tłumu.

Serce mu się ścisnęło, gdy zobaczył, że jego nowy pan, którego zdążył pokochać, wszedł do świątyni w chwili, kiedy światła pogasły.

- Idzie na stracenie - szepnął pocziwy chłopak.

Skoro zauważył, że drzwi świątyni zamknęły się za wchodzącymi kuglarzami i zaklinaczami węży, nie mógł powstrzymać się dłużej i wyszedł z ukrycia, posuwając się ku stopniom. Nieprzeparta ciekawość popychała go w stronę świątyni. Chciał zobaczyć, co się będzie działo w jego wnętrzu oraz czy jego pan nie jest narażony na jakieś niebezpieczeństwo. Doszedłszy pod okno, które otwierało się na wysokości siedmiu metrów od ziemi, zatrzymał się, patrząc na nie. Światło pochodni odbijało się w kolorowych szybach połyskujących tysiącnymi iskrami.

- Gdybym mógł się tam dostać - szepnął.

Wdrapać się tam nie było rzeczą trudną, gdyż i ściany zewnętrzne ozdobiono kolumnami, posągami, płaskorzeźbami, głowami lwów i słoni, krzyżujących dziwaczne trąby.

Sadras był zręczny jak małpa i obdarzony siłą niezwykłą na swój wiek. Uchwycił się trąby słonia podtrzymującego głowicę, na której znajdował się posąg Ramy, i zaczął wspinać się w górę, opierając boscie stopy w załomach muru. Wdrapawszy się szczęśliwie także na posąg, uczepił się brzegu głowicy, a podciągając się całą siłą ramion, mógł wreszcie spojrzeć przez okno, w którym brakowało kilku szyb.

Właśnie w tej chwili Bandhara oddał pierwszy strzał.

Z sercem pełnym niewypowiedzianego lęku chłopiec był świadkiem strasznej walki, która zakończyła się tak nieszczęśliwie dla biednego kornaka, oraz słyszał doskonale ostatnie słowa fakira.

Przerażony, okryty zimnym potem, puścił głowicę, zsunął się po posągu, a potem po trąbie słonia i stanął na ziemi. Teraz miał już tylko jedną myśl: pędem odszukać myśliwych i powiadomić ich o tym, co się stało. Był to jedyny sposób ocalenia Bandhary.

Przebiegł lasek, dalej obszary diamentodajne, zwracając się w stronę osady położonej w niewielkiej odległości od miasta, w której go znano, ponieważ służył tam przez kilka miesięcy podczas sprzętu bawełny.

- Potrzebuję konia dla mego nowego pana - odezwał się do służącego, który nadbiegł otworzyć mu drzwi. - Dam ci dziesięć rupji, jeżeli mi go wynajmiesz na dwadzieścia cztery godziny.

Suma była tak wysoka, że należało skorzystać ze sposobności. Sługa, nie zadając sobie trudu zbudzenia pana - znał przecież chłopca - nie zawahał się ani chwili.

- Mój pan z pewnością nie weźmie mi za złe, że zarobiłem dla niego garść rupji - rzekł. - Zaczekaj, Sadrasie.

Po chwili otworzył bramę, prowadząc małego konika rasy irlandzkiej, zwanego pony, a dzięki Anglikom rozpowszechnionego także w Indiach.

Jak większość Indusów z Bundelkhandu, Sadras był dobrym jeźdźcem. Już od małego dziecka przyzwyczał się do hasania po wyżynie na grzbiecie tych ognistych koników, tak że nie groziło mu, iż wycieczka zakończy się koziołkiem.

Przebył powtórnie tereny diamentodajne w kierunku przeciwnym, pędząc na północ, w stronę rysującej się niewyraźnie linii pagórków, za którymi leżały wielkie, opustoszałe kopalnie, gdzie wskutek częstych napadów pozeracza ludzi robotnicy zostali zmuszeni do porzucenia pracy.

Sadras nie wiedział, w którym miejscu myśliwi rozłożyli się obozem, był jednakże pewny, że ich gdzieś znajdzie. Minął już pagórki oraz część drugiej strefy diamentodajnej, kiedy na skraju lasu spostrzegł dwa ogniska płonące w ciemnościach.

“Czyżby to było obozowisko myśliwych? - zastanowił się, zwalniając biegu, aby pozwolić koniowi trochę odpocząć. - To mogą być tylko oni, gdyż nikt więcej nie zapuszcza się w tę stronę z obawy przed tygrysem.”

Wyteżywszy wzrok, dojrzał przy ogniskach olbrzymich rozmiarów wóz i ludzkie cienie.

Popędził znowu kucyka i zwrócił się w tę stronę, minawszy kamieniste wzgórza rozciągające się przed lasem. Pozostawało mu już tylko kilkaset kroków do przebycia, kiedy jakiś człowiek ukazał się przed ogniskiem i zawołał:

- Kto idzie?

- Przyjaciel białego myśliwego - odparł chłopiec, zeskakując szybko na ziemię.

Śikhari stojący na straży zbliżył się ku niemu z wyciągniętym karabinem. Na widok chłopca nie mógł powstrzymać odruchu zdumienia.

- Kto cię przysła, chłopcze? - zapytał.

- Przyjaciel wielkiego myśliwego - odparł Sadras.

- I nie bałeś się przyjść tutaj nocą i bez broni? To państwo pozeracza ludzi.

- Ja się nie boję. Gdzie jest biały myśliwy? Mam ważną wiadomość dla niego.

- Jeszcze nie wrócił.

- Muszę się z nim natychmiast zobaczyć.

Śikhari zawiadomił towarzyszy o życzeniu chłopca.

- Teraz to już i drugi tygrys musi być zabity - odezwał się dowódca śikharich. - Czy nie słyszeliście strzałów?

- Owszem - odpowiedzieli wszyscy.

- A więc możemy dać sygnał. Słyszając huk wystrzałów, zrozumieją, że coś ważnego musiało się tutaj stać i wrócą czym prędzej.

- Dajcie natychmiast sygnał - rzekł Sadras. - Biały myśliwy będzie wam wdzięczny, gdyż to, co mu mam powiedzieć, jest sprawą ważną i nagłą.

Śikhari wystrzelił kolejno w powietrze, a po chwili przerwy powtórzyli salwę. Niebawem w leśnej ciszy rozległy się trzy następujące po sobie strzały.

- Jeżeli nam odpowiadają, to musieli zrozumieć, że ich wzywamy - rzekł dowódca śikharich. - Może w tej chwili już są w drodze. Powtórzmy sygnały.

Na cztery strzały odpowiedziały znowu karabiny myśliwych, tym razem dużo bliżej.

- Idą - rzekł dowódca śikharich.

Nie upłynęło jeszcze dwadzieścia minut od ostatniego strzału, kiedy ujrzano wychodzących z lasu Toby'ego, Indriego i Dhundię, którzy ciągnęli za sobą tygrysa.

Dowódca śikharich pospieszył ku nim.

- Sahibie - rzekł, zwracając się do Toby'ego - przed chwilą przybył z Pannahu jakiś chłopiec z ważną wiadomością dla ciebie.

- Od radzy? - zapytał Toby.

- Tego nie wiem; oto jest chłopiec.

Sadras zbliżył się do myśliwych, witając ich głębokim ukłonem.

- Kto cię przysyła? - zapytał Toby, patrząc na niego badawczo.

- Pewien człowiek, który wczoraj przyjął mnie do służby, a który mówi, że jest przyjacielem białego myśliwego.

- Jak się nazywa?

- Tego nie wiem; ale jak przeczytasz kartkę, którą mi dał dla ciebie, może się tego dowiesz, sahibie.

- Daj mi ją.

Sadras wsunął rękę za wstęgę opasującą mu biodra, wyciągnął złożoną we czworo kartkę i wręczył ją Toby'emu, który ją odczytał na uboczu. Zawierała ona tylko kilka wierszy, jednakże treść ich wystarczyła, aby przerazić nieustraszonego łowcę.

“Sahibie - pisał kornak - ktoś nas zdradził, a cel waszej wyprawy znany jest fakirowi.

Macie tutaj wrogów, którzy was śledzą i uważają na wszystko, co czynicie.

Znalazłem kryjówkę fakira i dziś wieczorem odszukam go. Jeżeli zginę, pomścicie mnie. Bandhara”.

Czytając te słowa, Toby przesunął dwukrotnie rękę po czole ocierając pot, który je pokrywał.

- Zostaliśmy zdradzeni! - szepnął przez zaciśnięte zęby. - I śledzą nas! A zatem Indri jest stracony. Domyślałem się tego, ale kto mógł być zdrajcą? Parvati niecny minister gaikwara? Lub też ów Dhundia, który, ile razy spojrzę na niego, czyni na mnie wrażenie płaza?

Rozejrzał się dokoła.

Indri udawał, że jest zajęty tygrysem; Dhundia natomiast, siedzący na stercie kamieni, spoglądał tak na myśliwego, jak gdyby z twarzy jego chciał wyczytać każde drgnienie duszy.

- Można by powiedzieć, że mnie szpieguje - mruknął Toby. - Miejmy się na baczności.

Złożył kartkę, wsunął ją do kieszeni, po czym zbliżył się do Indriego, mówiąc:

- To jeden z moich przyjaciół przysłał tę kartkę. Zaprasza mnie do siebie na polowanie.

- Gdzie się znajduje? - zapytał Indri z uśmiechem, wpatrując się badawczo w myśliwego.

- W odległości czterech mil od nas, za kopalniami kamargi. Dowiedziawszy się, że przybyłem w te strony, chciałby się ze mną zobaczyć i skorzystać z mego karabinu, aby pozbyć się nosorożca, który mu pustoszy plantacje.

- I udasz się do niego?

- Razem z tobą, Indri.

- A kto wręczy radzy skóry tygrysów?

- Podejmie się tego Dhundia - odparł Toby.

- Nie życzycie sobie, abym wam towarzyszył? - zapytał tenże nieco dotknięty.

- Obecność twoja jest potrzebniejsza w Pannahu niż w kopalniach - odpowiedział Toby. -

Będziesz wobec radzy reprezentował białego myśliwego aż do naszego powrotu.

- Czy wasza nieobecność długo potrwa?

- Kilka dni.

W tej chwili Toby poczuł, że ktoś go szarpnął za rękę. Był to Sadras.

- Czego chcesz jeszcze, chłopcze? - zapytał myśliwy z pozorną niedbałością.

- Muszę z tobą pomówić, sahibie.

- Wiem, co mi chcesz powiedzieć - odpowiedział Toby. - Czy chcesz iść ze mną?

- Jestem na twoje rozkazy, sahibie.

- Kiedy odjeżdżacie? - zapytał Dhundia z wyraźnym niezadowoleniem.

- Zaraz - odparł Toby. - Jeżeli radza cię przyjmie, powiesz mu, że niebawem ujrzy także

mnie.

Kazał objuczyć zapasem żywności i naboju kucyka Sadrasa, sam zaś zarzucił strzelbę na ramię i dał znak Indriemu, aby przyłączył się do nich.

Tymczasem síkhari zaprzęgali woły do wozu, aby wrócić do Pannahu.

Dhundia, poprosiwszy Indriego, aby wnet wrócił, ponieważ sprawy na dworze radży były ważniejsze niż polowanie w lasach wyżyny, wyciągnął się na poduszkach rathy, zamierzając przespać się wygodnie.

Sadras widząc, że Toby zwrócił się w stronę lasu, zamiast skrócić ku obszarom diamentodajnym, zbliżył się do niego, mówiąc:

- Sahibie, świątynia nie leży w tej stronie.

- Chodź tymczasem ze mną - odparł myśliwy.

- O jakiej świątyni mówicie? - zapytał Indri, nic z tego wszystkiego nie rozumiejąc. - Czy twój przyjaciel mieszka w świątyni?

- Milcz, Indri - odpowiedział Toby. - Niebawem dowiesz się o wszystkim.

Nie mówiąc nic, doszedł aż do brzegu lasu, przyjrzał się uważnie krzewom, po czym zagłębił się w zarośla.

- Zobacz, czy ratha już ruszyła - rzekł do Indriego.

- Opuściła już obóz i toczy się przez obszary diamentodajne.

Myśliwy poszukał miejsca dobrze osłoniętego przed promieniami słońca, które właśnie wschodziło, okrążył otaczające je zarośla, aby się przekonać, że nikt ich nie mógł spostrzec, po czym usiadł, a wręczając Indriemu list Bandhary, rzekł po prostu:

- Czytaj.

Były ulubieniec gaikwara rzuciwszy okiem na pismo kornaka wydał okrzyk przerażenia, a ciemna jego skóra pokryła się nagłą bledością.

- Zdradzeni!... - krzyknął zdławionym głosem. - Jestem stracony!

- Jeszcze nie, drogi przyjacielu - odpowiedział Toby energicznie.

- Jeżeli znają cel mojej podróży, zginąłem.

- Nie, Indri, gdyż wydamy walkę tym tajemniczym wrogom knującym podstępnie spisek na twą zgubę. Posłuchajmy teraz tego chłopca, on może udzielić nam pożądanых wskazówek. Gdzie zostawiłeś człowieka, który dał ci ten list?

- W świątyni, sahibie. Widziałem przez okno toczącą się tam walkę i opuściłem to miejsce dopiero wówczas, kiedy spostrzegłem, że uległ przeważającej liczbie przeciwników.

- Bandhara wzięty! - krzyknęli Indri i Toby jednogłośnie.

- Czy to może imię mojego pana? - zapytał Sadras.

- Tak; opowiedz nam wszystko, gdyż nie wiemy jeszcze, co się stało z twoim panem - rzekł Indri.

Kiedy Toby i były ulubieniec gaikwara dowiedzieli się o losie Bandhary, z ust ich obu wydarł się ten sam okrzyk:

- Trzeba go ocalić!

- Jestem gotów zaprowadzić was do świątyni - rzekł Sadras.

- A w jaki sposób damy sobie radę z tyloma wrogami zdecydowanymi na wszystko? - zapytał Indri. - W dodatku odesłałeś Dhundię!... Był to przynajmniej jeszcze jeden pomocnik.

- Oddaliłem go, ponieważ go podejrzewam - odparł Toby poważnie. - Czuję instynktownie, że blisko nas czai się zdrajca.

- W jakim celu Dhundia miałbym mnie zdradzać?

- Nie wiem, ale mu nie ufam. A gdyby ten człowiek był w porozumieniu z Parvatim?

- Toby, otwierasz mi oczy.

- Nie mamy żadnego dowodu, który by potwierdzał nasze podejrzenia, jednakże jestem niezmiernie zadowolony, że człowiek ten znajduje się raczej daleko niż blisko. Dlatego też opowiedziałem bajeczkę o przyjacielu myśliwym.

- Dziękuję ci, Toby. Jesteś doprawdy odważnym i ostrożnym człowiekiem, jakiego potrzebuję, aby dokonać trudnego przedsięwzięcia. A co uczynić teraz? Gdyby nieprzyjaciele moi powiadomili już radzę o moim zamiarze?...

- Byłby nas kazał aresztować - rzekł Toby. - Jeżeli jesteśmy jeszcze wolni, to znaczy, że nikt nie ośmielił się wyjawić mu naszej tajemnicy.

- Chciałbym znać powód wrogiego występowania przeciw nam owego fakira.

- Może Bandhara go zna i dlatego musimy uczynić wszystko, co w naszej mocy, aby wydrzeć go z grobu.

- Tymczasem mógł już umrzeć.

- Głód wytrzyma przez kilka tygodni, a może i dłużej, a my w przeciągu siedmiu lub ośmiu dni możemy dokonać nawet cudów - rzekł Toby.

- A radza?

- Zobaczy nas, kiedy nam się będzie podobało.

- A Dhundia?

- Niech nas szuka, jeżeli zechce.

- To mu się uda bez trudności, gdyż biały człowiek niełatwo zginie w mieście prawie wyłącznie zamieszkanym przez Indusów.

- Przebiorę się za Idnusa, Indri, w ten sposób zgubią mój ślad. Zostawmy teraz w spokoju Górę Światła, a zajmijmy się Bandharą; ona nie ucieknie, kornak zaś może umrzeć i zabrać do grobu ważne tajemnice.

- Co mi radzisz uczynić?

- Wrócić natychmiast inną drogą do Pannahu, a potem udać się do świątyni.

- Nie zajmując ludzi, którzy by nam mogli pomóc? - zapytał Indri.

- Wolę działać sam - odparł Toby. - Nie boję się ani zaklinaczy, ani kuglarzy, a tym mniej owego łotra fakira.

- To trudna sprawa, która mnie przeraża! - powiedział Indri ze smutkiem.

- Dopóki nie rozproszymy i nie usuniemy z drogi wszystkich, którzy znają naszą tajemnicę, nie będziemy mogli marzyć o zdobyciu Góry Światła, gdyż najmniejsze doniesienie spowodowałoby zarówno moją, jak i twoją śmierć.

Powiedziawszy to, Toby zwrócił się do przysłuchującego się w milczeniu Sadrasa:

- Jak się nazywasz?

- Sadras, sahibie.

- Kochasz nowego pana?

- Tak, bo jest dobry i hojny.

- Czy znasz ludzi, którzy go uwięzili?

- Dwóch z nich poznałbym nawet wśród tysięcy.

- Kim oni są?

- Jeden jest zaklinaczem węży, olbrzymiego wzrostu; to ten, który powalił mojego pana i zaniósł go do podziemia. Wiem, że się nazywa Barwani.

- A drugi? - zapytał Indri.

- Jest kuglarzem.

- A widziałeś fakira?

- Tak, ale nie wiem, czybym go poznał.

- Ten chłopiec jest nadzwyczajnie pojętny i będzie mógł nam oddać wielkie usługi - rzekł Toby. - Wróćmy teraz do Pannahu, przebierzmy się tak, aby nie dało się nas poznać, a potem będziemy działali. Ach! Zapomniałem o moich służących. Musieli zostać w domu radży. To dzielni ludzie, o wypróbowanej odwadze.

- Dhundia jest w domu - zauważył Indri.

- Ten chłopiec potrafi im powiedzieć, że mi są potrzebni tak, aby Dhundia tego nie zauważył.

Posadzili Sadrasa na kucyka, aby go zbytnio nie zmęczyć, i szybkim krokiem przeszli

przez obszary diamentodajne. Nie szli jednakże tą samą drogą, którą jechał wóz, ponieważ chcieli wejść do miasta z przeciwnej strony, ażeby ich nie zauważył żaden z śikharich lub towarzyszy fakira.

W południe, kiedy wskutek nadmiernego upału opustoszały ulice, obaj myśliwi wchodzili z Sadrasem do miasta przez bramę, która częściowo osunęła się do rowu granicznego.

- Czy znasz jakiego handlarza szat? - zapytał Toby chłopca.

- Tak, sahibie - odpowiedział.

- A więc poszukajmy sobie przede wszystkim jakiegoś mieszkania niezbyt kosztownego.

Sadras, którego wtajemniczyli w swoje zamiary, zaprowadził ich na przedmieście, gdzie stały liczne chatki bambusowe okryte dachami z liści kokosowych. Przywoławszy ich właściciela, Toby wynajął domek leżący samotnie wśród niewielkiego ogrodu, zasianego indygiem.

- Potrzebny mi jest ten domek, aby w nim złożyć broń i naboje - rzekł do właściciela - ponieważ przechowywanie tego wszystkiego w mieszkaniu jest zbyt niebezpieczne, gdy się ma do czynienia z niedoświadczoną i ciekawą służbą.

Zapłacił jeszcze raz tyle, ile wynosiła żądana suma, i natychmiast objął chatkę w posiadanie.

W pół godziny Sadras, który w tym czasie odprowadził kucyka do osady, wrócił w towarzystwie dwóch Indusów obładowanych ubiorami wszelkich kolorów i rozmiarów.

Toby, jako Europejczyk, lubił okazywać hojność, nabył więc cały ten zbiór mający, jak mówił, służyć jego śikharim, po czym zaczął wybierać dla siebie ubranie. Były to szaty już używane, ale jeszcze w bardzo dobrym stanie. Znajdowały się pomiędzy nimi ubiory marathów,³⁶ sikhów, sipajów, rolników i sług.

Toby znalazł dla siebie bardzo piękny turban, żółty w niebieskie paski, oraz ubiór mieszkańca Pendżabu, dostosowany znakomicie do jego potężnych kształtów. Indri natomiast wybrał stary strój sikha, który musiał kiedyś służyć jakiemuś naczelnikowi tych dzielnych i wojowniczych ludzi.

- A teraz zabierzmy się do przeobrażenia naszej powierzchowności - rzekł myśliwy.

Sadras wyszedł ponownie i niedługo powrócił z kilkoma brzytwami oraz z różnymi naczyniami i szkatułkami, zawierającymi różnorodne tynktury i maści.

Toby zawiesił na ścianie lusterko i kilkoma cięciami brzytwy usunął sobie brodę i wąsy, Indri zaś wygolił mu głowę, ponieważ Indusi nie mają zwyczaju nosić długich włosów. Potem zmył się kilkakrotnie tynkturą o zabarwieniu brązu ze wspaniałym miedzianym połyskiem. Gdy

³⁶ Marathowie - jedno z plemion w północnych Indiach.

skóra jego stał się już dostatecznie ciemna, przywdział wybrany przez siebie ubiór.

Rozdział XVIII - Nocna wyprawa

Na dwie godziny przed zachodem słońca Toby i Indri opuścili chatkę, uzbroiwszy się w rewolwery i sztylety kupione u handlarza bronią na bazarze. Za nimi szedł mały Sadras i dwaj służący Toby'ego; byli to Indusi o wypróbowanej odwadze, którzy od kilku lat towarzyszyli myśliwemu w wyprawach po całych Indiach i nieraz mieli sposobność zmierzyć się z dzikimi zwierzętami nawiedzającymi lasy tego ogromnego półwyspu. Po długim wyczekiwaniu w pobliżu domu Sadrasowi udało się zbliżyć do nich w chwili, gdy oprządali Bangavadiego. Chłopiec, poznawszy ich z opisu Toby'ego, zaprowadził ich natychmiast do chaty.

- Chodźmy przede wszystkim obejrzyć świątynię - rzekł Toby do Indriego - potem rozważymy, co czynić, aby ocalić Bandharę i schwytać tego przekłętego, niebezpiecznego fakira.

Aby nie zmęczyć się zbytnio i ująć szybciej przed ewentualną pogonią, wynajęli pięć wytrzymałych koni.

Zaledwie wyszli z miasta, podzielili się na dwa oddziały, aby nie zwrócić uwagi szpiegów Fakira, którzy mogli być rozproszeni po polach. Toby i chłopiec tworzyli pierwszy oddział; Indri i dwaj słudzy drugi.

Okolica wydawała się opustoszała. Nie widziano nikogo ani na plantacjach bawełny i indyga, ani na ścieżkach prowadzących ku polom diamentodajnym, które rozciągały się ku wschodowi. Tylko marabuty przechadzały się poważnie na brzegach rowów, płosząc żaby skrzeczące na bagnistym dnie.

- Może sądzą, że jeszcze jesteśmy zajęci polowaniem na pożeracza ludzi - rzekł Toby. - Czy zauważyłeś domy w pobliżu świątyni?

- Nie, leży ona wśród samotnego lasu.

- Czy znajdziemy tam jaką kryjówkę?

- Są tam gęste zarośla, sahibie. Nikt nie spostrzeże naszych koni.

- Myślisz, że można się wdrapać na świątynię?

- Można spróbować, gdyż jest tam wiele kolumn ułatwiających wejście na górę.

- Mamy liny i haki, a moi ludzie są zręczni jak małpy.

- I ja umiem się wspinać, sahibie - rzekł Sadras.

- Bardzo liczę na ciebie, chłopcze.

- Brakło jeszcze godziny do zachodu słońca, kiedy dotarli do skraju lasu. Zaczekali na Indriego i dwóch służących, którzy szli za nimi w pewnej odległości, po czym poszukali dostatecznie gęstych zarośli, ażeby móc ukryć w nich koni. Udało im się to bez trudu. Gęstwina

składała się z ogromnej grupy palm tara i z krzaków spojonych ze sobą roślinami pasożytniczymi i trzcina rotang, tworzących olbrzymie, prawie nieprzebyte sploty.

Thermati i Poona wyrąbali siekierami rodzaj ścieżki przez tę masę zieleni, a rozszerzywszy ją w jednym miejscu, wprowadzili tam konie i przywiązali je do drzewa. Potem oddział ruszył dalej w milczeniu, kierując się w stronę świątyni. Na czele kroczył Sadras, a dwaj służący szli z tyłu.

Kiedy stanęli w pobliżu budowli, słońce już było zaszło. Zza olbrzymich drzew rosnących na wyżynie wychylił się księżyc, w którego blasku połyskiwały kopuły świątyni.

- Znam tę olbrzymią budowlę - odezwał się Toby. - Zwiedzałem ją niegdyś razem z jednym z moich przyjaciół, mieszkającym w Pannahu.

- Widziałeś także jej podziemia? - zapytał Indri.

- Tak, przyjacielu.

- Możesz być doskonałym przewodnikiem, Toby.

- Powoli, Indri. Byłem tutaj przed trzema czy czterema laty i przypominam sobie, że sam potrzebowałem przewodnika, aby móc zwiedzać nieskończone korytarze, ciągnące się wewnątrz świątyni. Niełatwo będzie odnaleźć Bandharę.

- Ja widziałem, gdzie go zaprowadzili - rzekł Sadras, który nie stracił ani słowa z tej rozmowy.

- Jesteś nieoceniony - rzekł Toby, głaszcząc go pieszczotliwie.

Pochyleni ku ziemi, aby ich nie spostrzeżono, przebiegli szybko przestrzeń dzielącą ich od świątyni i dotarli do olbrzymiego posągu Kali, dokoła którego widać było jeszcze ślady ognisk płonących poprzedniej nocy.

Na stopniach nie było nikogo, a ciężkie drzwi z brązu okazały się zamknięte.

- Z tej strony wejście jest niemożliwe - rzekł Toby.

- Czyżby fakir i jego bandyci wynieśli się? - zapytał Indri.

- Pozostawiając tylko Bandharę... - dodał Toby.

- Nic nie słychać - rzekł Sadras, który przyłożył ucho do szpary w drzwiach.

- Obejdźmy wkoło świątynię i zobaczymy przede wszystkim, czy nie widać gdzie światła - rozkazał Toby.

Zeszli ze stopni i zaczęli się posuwać pomiędzy ruinami starego muru, przeskakując przez odłamki kolumn, głowic, gzymsów i olbrzymich kamieni.

- Doskonałe miejsce, aby złapać nas w potrzask - odezwał się Toby i z ostrożności wyciągnął rewolwer.

- I ja pomyślałem o tym samym - odparł Indri, chwytając również za broń.

- Zdaje mi się jednak, że nikogo tu nie ma.

- I że świątynia została opuszczona. Okna nie odbijają żadnego promienia światła.

- Mylisz się, panie - rzekł Thermati, jeden ze służących. - Spójrz w górę, w stronę trzeciej kopuły: nie widzisz tam jednego okna oświetlonego?

- Do pioruna! - krzyknął Toby. - Tam na górze pali się lampa!...

- A może tam jest pokój fakira? - zapytał Indri.

- Jest tak wysoko, że trzeba by pięciu drabin, aby się do niego dostać - zauważył Thermati.

- Skoro dostaniemy się do świątyni, pójdziemy wykurzyć i tego jegomościa - rzekł Toby. -

Co by to było za szczęście, gdyby się okazało, że to fakir!...

- Sahibie - odezwał się w tej chwili Sadras - z tego właśnie miejsca wdrapałem się do okna świątyni. Oto dwie głowy słoni i kolumna, które mi pozwoliły wdrapać się aż tam, do tego okna, wychodzącego na wieniec wieżowy.

- Czy zdołałbyś zrobić to samo po raz drugi i rzucić nam potem linę?

- Tak, sahibie.

- Czy okno ma poprzeczne żelazne pręty?

- Cztery, sahibie.

- Mocne?

- Grube i mocne.

- Do dzieła, mój dzielny chłopcze.

Sadras owinął dokoła siebie linę, którą mu dał Thermati, po czym schwyciwszy trąby słoni, zaczął się wspinać, z szybkością, jakiej pozazdrościłaby mu małpa.

Tymczasem dwaj służący badali sterty gruzów, aby się przekonać, czy nie ma tam szpiega, ponieważ wszystkim zależało na tym, by wejść do świątyni nie zwracając uwagi tych niebezpiecznych łotrów i by uniknąć nieprzyjemnych niespodzianek w ciemnych korytarzach gmachu.

Tak samo jak poprzedniego wieczoru Sadras dostał się szczęśliwie do gzymsu, czepiając się żelaznych prętów okna.

- Czy widzisz co? - zapytał go Indri, który nie czekając na linę, wdrapał się na trąby dwóch słoni.

- Ani jedna lampa nie pali się w świątyni - odrzekł chłopiec.

- I nie słyszysz żadnego odgłosu?

- Wszędzie panuje cisza, sahibie.

- Przywiąż linę i rzuć ją.

Sadras potrząsnął sztabami, aby się upewnić o wytrzymałości muru tu i ówdzie popękanego. Potem przymocował linę i rzucił drugi koniec towarzyszom.

Indri, który był również bardzo zręczny wspiał się pierwszy na gzyms, a Toby i dwaj służący za nim.

Zaledwie podciągnęli linę, kiedy spostrzegli jakiś olbrzymi cień posuwający się wśród gruzów otaczających świątynię.

- Nie ruszać się! - rozkazał Toby. - Oprzyjcie się o mur i stójcie bez ruchu.

Ponieważ niedaleko nich znajdowały się posągi przedstawiające dawne bóstwa, mogli zostać niezauważeni. Przyrośli, jeśli tak można powiedzieć, do muru, wstrzymując nawet oddech.

Cień posuwał się ostrożnie naprzód, zatrzymując się od czasu, aby rozejrzeć się wkoło.

Gdyby Toby i jego towarzysze byli zaczekali chwilkę dłużej, zostaliby niewątpliwie odkryci. Ów strażnik nocny popełnił błąd, że nie zjawił się wcześniej i z pewnością nie domyślał się, iż go z góry śledzono.

Toby pochylił się ku Sadrasowi, szepcząc mu do ucha:

- Czy znasz go?

- Tak, sahibie.

- Kto to?

- Barwani, człowiek, który powalił Bandharę i zaniósł go do podziemi.

- Prawdziwy olbrzym.

- Niech sobie na razie idzie.

Indus minął kupy gruzów, nie przestając zachowywać wszelkich ostrożności, i znikł za narożnikiem świątyni.

- Czyżby nas ktoś spostrzegł, gdyśmy się kręcili dokoła świątyni? - zapytał Toby.

- Tak przypuszczam - odparł Indri. - Ten człowiek nas szukał.

- Skąd mógł wyjść? Z pewnością nie przez drzwi z brązu. - Musi być jeszcze jakieś drugie wejście.

- Nam wystarczy to okno. Thermati, Poona, wyrwijcie wszystkie sztaby z wyjątkiem jednej, do której przywiążemy linę.

Dwaj Indusi nie dali sobie tego powtarzać. Nie posługując się siekierami, ażeby nie zwrócić uwagi Barwaniego mogącego nadejść w każdej chwili, uchwycili silnie sztaby, wygięli je, dzięki czemu udało im się je wyjąć.

Czynność ta została wykonana z taką zręcznością przez dwóch silnych górali, że nie powstał przy tym najmniejszy szmer. Gdyby ktoś czuwał nad bezpieczeństwem świątyni, nie byłby niczego dosłyszał.

- Co za silni ludzie! - zauważył Indri.

- I odważni - odparł Toby. - Przekonasz się o tym, kiedy będziemy musieli uczynić użytek z broni.

Wsunął głowę w otwór i długo nasłuchiwał, wstrzymując oddech.

- Zdaje mi się, że w świątyni nie ma nikogo - rzekł potem. - Ciemność i głucha cisza.

- A więc ów Barwani wrócił inną drogą - rzekł Indri.

- Możliwe - odparł Toby.

Spuścił linę do wnętrza świątyni, spróbował raz jeszcze wytrzymałości sztaby, po czym uczynił ruch, jak gdyby chciał się podnieść.

Thermati powstrzymał go.

- Nie, panie - odezwał się góral. - Pozwól mnie najpierw się zsunąć. Jestem zręczniejszy od ciebie i nikt mnie nie zauważy.

- Niech tak będzie.

- Jeżeli spotkam kogo, mam go zabić?

- Nie, mój dzielny góralu. Szarpniesz liną, aby dać nam znak, i zaczekasz na nas.

- Dobrze, panie.

Góral przesunął się przez otwór, wziął nóż w zęby, uchwycił się liny i znikł w ciemnościach.

Toby i jego towarzysze uważali na linę, ale ta wcale się nie poruszyła.

- Thermati nikogo nie spotkał - rzekł Toby po kilku minutach. - Droga jest wolna.

- Teraz na nas kolej - rzekł Indri.

Uchwycił linę i począł się spuszczać w dół. Od czasu do czasu nogi jego napotykały przeszkody, zapewne były to posągi albo głowice, ozdabiające wewnętrzną ścianę świątyni; jednakże Indri umiał omijać je zręcznie pomimo głębokiej ciemności, w której nie dało się nic rozróżnić.

Kiedy dotknął nogami ziemi, poczuł, że uchwyciły go dwa silne ramiona, a głos jakiś zapytał:

- To ty, sahibie?

- Tak, Thermati - odparł Indri.

- Myślałem, że mam do czynienia z jakimś nieprzyjacielem. Nic tutaj nie widać.

Wkrótce wszyscy zebrali się na dole.

- Macie lampy? - zapytał Toby.

- Tak - odpowiedzieli.

- Zapalmy jedną z nich; bez światła nie możemy postąpić ani kroku naprzód.

- Zapalam swoją - rzekł Sadras.

Z małego zawiniątka wyciągnął lampkę podobną do tych, jakimi posługują się kopacze; zapaliwszy ją, posunął się kilka kroków naprzód, rzucając światło na wszystkie strony.

- Tam są drzwiczki - rzekł. - To te same, przez które wyszedł Barwani, wynosząc Bandharę.

- Obejdźmy najpierw całą świątynię - doradził Toby. - Zależy mi na tym, aby się upewnić, czy nie mamy szpiegów za plecami.

- Pozostaw to nam, panie - rzekł Thermati, zapalając drugą lampkę.

I kiedy dwaj górale oddalili się, aby zbadać wszystkie kąty świątyni, Indri i Toby, poprzedzani przez małego Sadrasa, zwrócili się ku drzwiczkom.

- Patrzcie - rzekł nagle chłopiec, nachylając się ku ziemi. - Są tu jeszcze ślady krwi na posadzce.

- Krew kornaka? - zapytał Indri z bólem.

- Nie, sahibie - odparł Sadras. - Bandhara zabijał, ale nie odniósł ani jednej rany.

Zbliżyli się do drzwi i spróbowali je popchnąć. Tak samo jak główne drzwi, były one z brązu, ozdobione płaskorzeźbami przedstawiającymi kilka scen z walki pomiędzy Brahmą a Wisznu, którą zakończył Śiwa, ukazując się pomiędzy walczącymi w postaci nieskończonej kolumny ognia.

- Zamknięte - rzekł Toby. - W jaki sposób zdołamy je wysadzić? Do tego trzeba by katapulty.

- Widziałem, jak Barwani przesuwiał palcami po rzeźbach - odpowiedział Sadras. - Musi tu być jakaś sprężyna.

- Poszukamy jej - rzekł Indri.

Wzdłuż drzwi widniały zakrętasy i rowki, przerywane delikatnie rzeźbionymi wiązkami kwiatów, jednakże nie można było dostrzec przycisku.

Indri i Toby nadaremnie dotykali palcami każdej wypukłości - drzwi pozostawały zamknięte. Spróbował tego także Sadras i ku swojemu wielkiemu zdumieniu spostrzegł, że drzwi ustąpiły pod prostym dotknięciem rąk.

- Sahibie! - krzyknął. - Drzwi są otwarte!

- To niemożliwe! - odpowiedział Toby, nie mniej zdziwiony. - Dopiero co próbowałem je pchać z całej siły i ani drgnęły!

- A jednak są otwarte! - wykrzyknął Indri.

- Czy nacisnąłeś na jakąś sprężynę? - zapytał Toby.

- Nie, sahibie.

- Nie dotykałeś palcami tych rowków?

- Powtarzam wam, panie, że je tylko pchnąłem.

- Cofnij się, Sadrasie! Tu jest jakaś tajemnica, która może się dla ciebie źle skończyć. Ktoś musiał je otworzyć i może czeka w korytarzu, aby się na nas rzucić.

Thermati i jego towarzysze wrócili po dokonaniu oględzin.

- Przygotujcie broń - rozkazał Toby.

Potem, wyciągnąwszy rewolwer, mocno pchnął drzwi nogą.

Ogromna, metalowa płyta otworzyła się natychmiast i oczom Toby'ego ukazał się ciemny korytarz, wiodący pozornie w dół. Wziąwszy lampę Sadrasa, Toby ruszył bez wahania i trzymając broń w wyciągniętej ręce, rzekł pewnym głosem:

- Naprzód!

Rozdział XIX - Tajemnice świątyni

Korytarz musiał prowadzić do pomieszczeń zamieszkiwanych ongiś przez kapłanów świątyni, a miał kształt półkola i ściany ozdobione rzeźbami i kolumnkami z czarnego marmuru.

Wisznu, któremu ta świątynia była poświęcona, odtworzono wszędzie, razem z Bhumidewi, boginią ziemi, i z Lakszmi, boginią piękności, oraz z Kamą, swym synem, przemienionym potem w przepiękną kobietę, aby uwieść olbrzymów i zabrać im amritę, drogocenny napój dający nieśmiertelność.

Głęboka cisza panowała pod tymi arkadami, zaledwie przerywana lekkim szelestem stóp pięciu osób.

Z początku Toby uczynił był kilka szybkich kroków, sądząc, że natknie się na człowieka, który otworzył drzwi, jednakże nie spostrzegł nikogo. Korytarz wydawał się zupełnie pusty.

- Ta cisza niepokoi mnie - odezwał się do Indriego, kiedy ten przyłączył się do niego razem z Sadrasem i dwoma służącymi. - Wolałbym napotkać jakiś opór.

- Może nie mieli odwagi stawić nam czoła - odpowiedział były ulubieniec gaikwara. - Ale nie ufajmy im, Toby. Kto wie, jakie niespodzianki nam gotują.

- Dokąd prowadzi ten korytarz?

- Zdaje mi się, że przy końcu widzę jakieś schody - rzekł Thermati, który wysunął się kilka kroków naprzód.

- Zatem nie wiedzie do podziemi świątyni - zauważył Toby.

Z bronią w ręku posuwali się ostrożnie naprzód, aż doszli do częściowo zniszczonych schodów prowadzących w górę.

- Co robimy? - zapytał Indri.

- Wejźmy - odrzekł Toby. - zobaczymy, dokąd dojdziemy.

- Nie widać tutaj jakichś drzwi?

- Nie, Indri.

Po przebyciu schodów liczących czterdzieści stopni doszli do obszernej kwadratowej sali z sufitem zakończonym kopułą; ściany sali były bogato rzeźbione i częściowo pokryte starymi kobiercami. Panował tutaj zaduch z wilgoci i pleśni, jakkolwiek wzdłuż ścian nie było widać najmniejszej kropli wody.

- To pokój, w którym pewno od kilku wieków nikt nie mieszkał - rzekł Toby.

Chciał go właśnie obejść dokoła, kiedy do uszu jego dobiegł daleki jęk. Sądząc, że się omylił nie zwrócił nań uwagi, ale wkrótce usłyszał jęk wyraźniej. Cofnął się szybko ku

towarzyszom, opanowany gwałtownym wzruszeniem.

- Słyszeliście? - zapytał.

- Tak - odpowiedzieli Indri i górale.

- Może to Bandhara tak jęczy? Nieszczęśliwy cierpi głód od czterdziestu godzin.

- Z której strony dochodził jęk? - zapytał Indri głęboko wzruszony.

- Nie wiem; słuchajmy.

- Rozeszli się po sali i wyteżyli słuch. Jęk powtórzył się, wychodząc jakby z najciemniejszego kąta.

- Tam - rzekł Toby.

Wszyscy zwrócili się ku tej stronie, unosząc w górę lampy, i stanęli przed ogromnym posągiem przedstawiającym boga Wisznu w czwartym wcieleniu, kiedy był zmuszony przybrać postać pół-człowieka, pół-lwa, aby zwyciężyć olbrzyma Hiranja Kasipu. Potwór ten otrzymał bowiem taki dar od Brahmy, że nie mógł zostać zabity ani przez bogów, ani przez ludzi, ani przez zwierzęta, dzięki czemu zniewolił wszystkich do uznania siebie za bóstwo. Posąg ten o olbrzymich rozmiarach wmurowano w ścianę, tak że nie można go było obejść.

- Czyżby wewnątrz statuy był ktoś ukryty? - zapytał Toby.

Rozległ się znowu jęk, tym razem za ścianą, którą zasłaniał posąg.

- Kim jesteś? - zapytał Indri. - Gdzie jesteś ukryty? Kim bądź jesteś, znajdziesz w nas obrońców.

Tym razem odpowiedział już nie jęk, ale głos dobrze znany Toby'emu, Indriemu i Sadrasowi; był to głos Bandhary.

- Sahibie - odezwał się. - Umieram!

- Bandhara! - wykrzyknęli wszyscy.

- To ja... sahibie...

- Gdzie jesteś? - zapytał Indri.

- Zamknięty w małej komórcie i umieram z pragnienia...

- Nie widzimy cię.

- Ale ja widzę promień światła, przedostający się do mojego więzienia.

- Czy jest tam otwór?

- Tak, panie, szerokości rupii.

- Czy tu są jakie ukryte drzwi?

- Odsuń posąg, panie.

- W jaki sposób? Aby ruszyć tę bryłę, trzeba by dwudziestu ludzi.

- Widziałem, jak Barwani nacisnął sprężynę.

- Gdzie ona jest? Mów, Bandharo!
- Nie pamiętam, czy dotknął ściany, czy posągu.
- Przyjaciele, szukajmy! - rzekł Indri.

Dwaj górale, Sadras i Toby zaczęli gorączkowo szukać ukrytej sprężyny, mającej odsunąć posąg.

Przyciskali wszystkie wypukłości ściany, zbadali dokładnie olbrzymi posąg, a nawet opukali grunt we wszystkich kierunkach, i wreszcie musieli uznać bezowocność poszukiwań.

- Nic, zupełnie nic! - wykrzyknął Toby zrozpaczonym głosem. - Albo sprężyna została umyślnie zepsuta przez tych nędzników, albo też jest tak ukryta, że jej nie można odnaleźć. Pozostaje nam tylko rozbić ścianę.

- To rzecz trudna i długa - rzekł Indri. - A zresztą małe siekiery twoich ludzi połamałyby się na tych kamieniach. Tutaj trzeba kilofów.

- Bandharo!
- Co, panie?
- Czy nie ma innego otworu?
- Nie wiem o innym.
- Sahibie - rzekł Sadras. - Kopalnie znajdują się o dwa kilometry stąd, a tam znajdziemy kilofów pod dostatkiem.

- A jeżeli w tym czasie nadejdą kuglarze i zabiją Bandharę? - zapytał Toby. - Może ów Barwani spostrzegł już, że tu jesteśmy.

- Ja pójdę z twoimi ludźmi, a ty zostaniesz tutaj. Za godzinę wrócimy.
- Nie możemy zrobić nic innego, Toby - zauważył Indri.
- A jeżeli tymczasem odetną linę?
- Poona ona zostanie na oknie, aby czuwać nad sznurem.

- Zostaw to nam, panie - rzekł Thermati. - Ja i Sadras pójdziemy do kopalń, a Poona zostanie na gzymsie.

Zabrali ze sobą lampę i rewolwery i zeszli w milczeniu ze schodów.

Toby i Indri usiedli obok posągu.

- Bandharo? - zapytał Indri.

- Panie... jestem wyczerpany bezsennością i głodem.

- Możesz spocząć, a my będziemy czuwali. Za kilka godzin, jeżeli nic nie przeszkodzi, będziesz wolny, a wówczas pójdziemy wypłoszyć tego przekłętą fakira. Czy podczas uwięzienia nie słyszałeś tutaj żadnego głosu?

- Żadnego, sahibie.

- A zatem bandyci opuścili świątynię.
- Tego nie wiem.
- Nie obawiaj się o nas. Jesteśmy uzbrojeni i nie boimy się tych nędzników.

Nie słysząc żadnego dźwięku ze świątyni, pewni byli teraz, że chłopiec i dwaj górale przedostali się powtórnie przez okno, nie natknąwszy się ani na Barwaniego, ani na jego współników.

Jednakże Toby i Indri nie byli spokojni; ciągle myśleli o drzwiczkach z brązu, które przedtem opierały się ich wysiłkom, a później otworzyły się same, chociaż żaden z nich nie mógł znaleźć ukrytej sprężyny.

Toby, coraz bardziej zaniepokojony, podniósł się po chwili gorączkowego wyczekiwania.

- Pójdę przekonać się naocznie, czy naszym ludziom nic się nie stało - rzekł.
- Chcesz zejść do świątyni?
- Nie mogę tutaj zostać. Mam złe przeczucia.
- Gdyby nasi ludzie kogoś spotkali, byliby dali ognia, Toby, a huk strzałów, pomnożony echem, doszedłby do nas.

- Wróć, skoro tylko się upewnię, że Poona znajduje się na gzymisie. Musi jeszcze świecić księżyc, więc zobaczę go przez okno.

Z tymi słowy poszedł do końca sali i zatrzymał się na pierwszym stopniu, nadśluchując.

- Nic - rzekł. - Nie traćmy nadziei.

Zszedł ze schodów dotykając ściany i stanął w korytarzu. Zaledwie jednak postąpił kilka kroków, usłyszał przed sobą lekki szelest. Było to tak, jak gdyby ktoś włókł po kamieniach kawał płótna.

“Czy to echo moich kroków, czy też ktoś idzie przede mną?” - pomyślał myśliwy.

Toby nie znał uczucia strachu; a jednak teraz, w tym korytarzu, gdy usłyszał ów tajemniczy szmer, zaniepokoił się nagle. Podniósł rewolwer, aby łatwiej strzelić, i po krótkiej chwili wahania ruszył naprzód, zdecydowany wyjaśnić tę tajemnicę.

Szelest trwał nadal przed nim i posuwał się w kierunku świątyni. Toby starał się przyspieszyć kroku, ale owa tajemnicza istota oddalała się również coraz prędzej. Wreszcie doszedł do świątyni.

Ciemności były daleko mniej gęste niż przedtem. Księżyc, wypłynąwszy na środek nieba, zsyłał promienie przez szpary znajdujące się w ogromnej kopule, dzięki czemu dawało się rozróżnić posągi porozmieszczane wzdłuż ścian.

Toby rozejrzał się na wszystkie strony, lecz nic nie spostrzegł.

“Czy mnie słuch omylił? - zastanowił się. - A jednak przysiągłbym, że nie.”

Zatrzymał się obok drzwi z brązu nie wiedząc, czy iść naprzód, czy się cofnąć.

Nagle uczył, że włosy stanęły mu na głowie, a czoło pokryło się zimnym potem. Posąg ozdabiający ścianę poruszył się i sunął z wolna na środek świątyni. Był zupełnie biały i miał olbrzymie rozmiary. Zdawało się, że jakiś ogromny całun pokrywał go od góry do dołu.

“Śnię czy dwoi mi się w oczach? - pomyślał. - Czy to możliwe, aby posągi się ruszały i mogły się przechadzać?”

Owa biała postać, posąg czy też widmo, posuwała się ciągle naprzód, zwracając się ku przeciwległej stronie świątyni. Minęła promień księżyca, w którym ukazała się zupełnie wyraźnie, potem zginęła znowu w ciemnościach, posuwając się dalej wzdłuż ścian.

- Igrają ze mną! - ryknął Toby rozgniewany. - To człowiek, który kpi sobie ze mnie!

Rzucił się naprzód, nacisnął cyngiel rewolweru i wypalił. W nagłym błysku strzału ujrzał, jak owo zjawisko znika pomiędzy dwiema głowami słoni, które zdawały się rozsuwać, aby je przepuścić. Huk rozległ się długim echem w świątyni, po czym pobiegł ku galerii rozbrzmiewając jeszcze przez dłuższą chwilę. Odpowiedział mu przeraźliwy, drwiący śmiech, a po nim dał się słyszeć ostry świst.

Toby, podwójnie rozgniewany, że został tak wyprowadzony w pole, rzucił się ku miejscu, w którym znikła zjawia.

- Na Boga! - krzyknął. - Zobaczymy, czy odważysz się zakpić sobie ze mnie po raz drugi!

Skok jego został wstrzymany przez dwie olbrzymie głowy słoni, które zajęły pierwotne miejsca.

Spojrzał pomiędzy trąby krzyżujące się w odległości metra od ziemi i spostrzegł za nimi tylko jakieś zagłębienie, zamknięte płytą z czarnego kamienia.

- Jeszcze jedne ukryte drzwi? - zawołał. - Skończy się na tym, że każę podminować te stare mury i wysadzić je w powietrze razem z ich tajemniczymi mieszkańcami!...

Rozdział XX - Napad węży

Toby znał już dobrze trudności z odszukaniem tajemniczej sprężyny, która sprawiła, że dwie głowy słoni rozsunęły się, a potem zajęły znowu dawne miejsce; dlatego sądził, że nie warto tracić daremnie czasu. Cofnął się szybko, oglądając się dokoła siebie, i zatrzymał się pod oknem, gdzie powinien był znajdować się Poona i czuwać nad sznurem.

Indus siedział okrakiem na balustradzie, z ciałem pochylonym ku wnętrzu świątyni. Zaniepokojony hukiem, chciał niewątpliwie dostrzec człowieka, który strzelił, ale wierny otrzymanemu poleceniu nie ruszył się, czekając na towarzyszy.

W pierwszej chwili Toby chciał mu rozkazać zejść, ale potem rozmyślił się.

„Nie pozwólmy tym tajemniczym mieszkańcom domyślić się, że tam w górze jest ktoś z moich ludzi. Mogliby napaść na niego, odciąć linę i przeszkodzić w ten sposób powrotowi Thermantiego i Sadrasa. Wróćmy do Indriego” - postanowił.

Uważając bacznie na wszystko i wytężając słuch, aby uchwycić najmniejszy szelest, z rewolwerem w ręku doszedł ponownie do drzwi z brązu prowadzących do ciemnego korytarza. Tam zatrzymał się. Zawahał się przed wejściem w ten ganek, z którego był także wyszedł ów człowiek w bieli, człowiek-widmo.

„A jeżeli tam ukryli się inni, którzy, korzystając z ciemności, rzucą się na mnie?” - zastanowił się.

Na myśl o tym, myśliwy wstrząsnął się mimo woli. Nie był nigdy zabobonny i nie wierzył w duchy, jednakże w tej chwili ogarnęło go uczucie lęku.

- Ja, który nigdy nie drżałem przed najdzikszyimi zwierzętami Indii, czuję się zupełnie oszołomiony tymi wszystkimi tajemnicami i tym zjawiskiem - szepnął.

W chwili, kiedy chciał minąć drzwi, zdało mu się, że w korytarzu usłyszał lekki szmer. Tym razem nie był to ten sam szelest, który słyszał przedtem; zdawało się, że to raczej odgłos stóp, zbliżających się ku niemu.

- Czy drugie widmo? - szepnął. - Zobaczymy, czy chybię.

Podniósł rewolwer, gotów strzelić, potem jednak broń opuścił.

„Gdyby to był Indri? - pomyślał. - Musiał słyszeć huk wystrzału nawet w sali.”

Cofnął się ponownie do świątyni, aby mieć więcej swobody i lepiej rozróżnić człowieka zbliżającego się do niego, ponieważ tam było jeszcze trochę światła.

Po chwili ktoś wyszedł z korytarza, trzymając w wyciągniętej ręce broń.

- Indri? - zapytał Toby.

- Tak - odpowiedział były ulubieniec gaikwara zmienionym głosem - To ty strzelałeś?

- Tak, przyjacielu.

- Do kogo?

- Wypaliłem do jakiegoś człowieka udającego widmo, który wyszedł z korytarza.

- Zabiłeś go?

- Znikł. Ta świątynia ma sto ukrytych drzwi.

- A Poona?

- Uważa ciągle na linę.

- Tu się dzieją rzeczy, Toby, od których włosy powstają na głowie.

- Czyś i ty kogoś widział?

- Nie, natomiast słyszałem jakieś dziwne odgłosy i nie mogę sobie ich wytłumaczyć.

- I opuściłeś Bandharę!... Podczas twojej nieobecności mogli go zabić. Ci, którzy go uwięzili, spostrzegli, że przyszliśmy tutaj, żeby go uwolnić.

- To prawda, Toby, ale z drugiej strony, usłyszawszy strzał, nie mogłem pozostać spokojnie w tej sali. Obawiałem się, że cię napadnięto.

- Wróćmy do Bandhary. Mam nadzieję, że zdążymy jeszcze na czas.

Szybko przebiegli korytarz i schody i weszli znowu do pokoju, w którym paliła się zawieszona na olbrzymim posągu lampa.

- Bandharo! - zawołał Toby z trwogą.

- Sahibie - odpowiedział biedny kornak słabym głosem.

- Czyś ciągle sam?

- Tak, sahibie.

- Czy nikt nie wszedł do twojej celi?

- Nie, panie.

Toby odetchnął.

- A jednak ci tajemniczy nieprzyjaciele są w pobliżu - rzekł Indri. - Kiedyś był w świątyni, słyszałem tu dziwne szmery, a potem stłumione szepty.

- Gdzie?

- Zdawało mi się, że dolatują z tego sklepienia.

- Czyżby przygotowywali coś przeciwko nam?

- Tak przypuszczam.

- Za kilka minut Thermati wróci, a skoro tylko oswobodzimy Bandharę, wyjdziemy stąd, Indri. Noga moja nie stanie więcej w tej świątyni.

- Cicho, Toby.
- Znowu te same szmery?
- Nie, zdaje się, że to nasi towarzysze.

Toby pospieszył ku schodom i ujrzał Thermatiego i Poone, którzy nieśli kilofy, a przed nimi szedł Sadras z lampą w ręku.

- Już! - wykrzyknął uradowany.
- Pędziliśmy co koń wyskoczy, panie - odpowiedział Thermati.
- Nie spotkaliście nikogo w świątyni?
- Nie, panie - odrzekł Sadras.
- Ja słyszałem strzał, kiedy stałem na straży na gzymsie - rzekł Poona. - Czyś to ty strzelał, sahibie?

- Tak, ale niechcący - odpowiedział spieszenie Toby, nie chcąc przerażać ludzi.
- Przynieśliśmy kilofy, które rozbijają najtwardsze skały - rzekł Thermati. - Zobaczymy, czy ściana wytrzyma.

- Powoli, przedsięwzięmy pewne środki ostrożności. Ty, Poona, czuwaj nad schodami razem z Sadrasem. Skoro tylko spostrzeżecie kogoś, strzelajcie.

- Nie będziemy żałowali naboju - odparł góral.
- A my weźmy się do pracy - rzekł Toby, chwytając ciężki kilof. - Ściana niedługo wytrzyma nasze ciosy.

Indri i Thermati również uzbroili się w kilofy; były to ciężkie narzędzia, jakimi posługiwali się kopacze w kopalniach diamentów, aby rozbijać twarde skały.

- Dajmy spokój posągowi, a zabierzmy się raczej do ściany - rzekł Toby.

Po obu stronach posągu bóstwa znajdowały się dwie płyty z czarnego marmuru. Toby, który był najsilniejszy, uderzył pierwszy, wydobywając z nich miliardy skier.

- Z tym kamieniem jest próżnia - rzekł. - To dobry znak.

Za drugim uderzeniem powstała szpara wzdłuż całej płyty. Indri i Thermati wsunęli w nią czubki kilofów, a naciskając z całej siły na trzonki narzędzi, podważali płytę, gdy tymczasem myśliwy uderzał w nią coraz mocniej. Wkrótce zdołali zrobić z jednej strony wyłom, a staczający się z łoskotem na ziemię odłamek płyty odsłonił otwór dostatecznie wielki, aby człowiek mógł się przez niego przedostać.

- Bandharo - rzekł Indri, przysuwając lampę.
- Jestem tutaj, panie - odpowiedział kornak.
- Czy możesz wyjść?
- Tak, panie. Jestem bardzo osłabiony, ale mogę jeszcze chodzić.

Indri usunął lampę, a kornak, zebrawszy ostatek sił, ukazał się w sali. Nieszczęśliwy miał szaty poszarpane na strzępy, a twarz poplamioną krwią. Był tak słaby, że skoro tylko wyszedł z celi, musiał się oprzeć o posąg.

- Dziękuję, panie - szepnął. - Myślałem, że już cię nigdy nie zobaczę.

Toby wyciągnął z jednej z licznych kieszeni butelkę i przybliżył mu ją do ust.

- Napij się trochę tego doskonałego dżinu - rzekł - to cię wzmocni.

- Wolałbym wody, sahibie; umieram z pragnienia.

- Przed świątynią widziałem stawek, będziesz mógł się napić do woli.

- Mam wam tyle do opowiedzenia.

- To później; tymczasem myślimy o tym, aby się stąd natychmiast wydostać - rzekł

Indri.

- Tak, bo zaklinaczy węży i kuglarzy fakira jest cała gromada i zwyciężyliby nas łatwo.

- Oprzyj się na ramieniu Thermatiego i chodź za nami.

Bandhara wstał posłusznie, gdy wtem na schodach rozległy się przyspieszone kroki.

- Nasi towarzysze wracają! - wykrzyknął Toby. - To zły znak!

Po chwili Poona i Sadras wpadli do sali. Obydwaj byli opadowani gwałtownym niepokojem.

- Co wam się stało? - zapytał Toby z lękiem.

- Sahibie - odpowiedział góral przerywanym głosem. - Słyszeliśmy, że drzwi z brązu zamknęły się.

- Do stu tysięcy tygrysów? - zawołał myśliwy. - Więc zamknęli nas tutaj?

- Na szczęście mamy jeszcze kilofy - rzekł Indri. - Jeżeli będzie trzeba, rozbijemy także drzwi.

W tej chwili rozległo się w korytarzu kilka dźwięków fletu, jakim posługują się zaklinacze.

Toby zbladł. Przypomniawszy sobie, że słyszał tę muzykę, kiedy rzucił się w zarośla w pościgu za fakirem.

- To gra zaklinacz węży, prawda, Indri? - zapytał.

- Tak - rzekli Bandhara i był ulubieniec gaikwara z drżeniem.

- Czyżby tu także były węże? Przyjaciele, boję się o tym myśleć.

Tymczasem muzyka rozbrzmiewała dalej, coraz cichsza, coraz bardziej obezwładniająca i oddalona.

- Chodźmy zobaczyć - rzekł Indri, wydzierając lampę Sadrasowi. - Wy zabierzcie kilofy; mogą tam być jeszcze potrzebne.

Ruszyli ku schodom, jednakże skoro tylko zeszli kilka stopni, zatrzymali się, spoglądając na siebie.

W korytarzu słychać było syki, które zbliżały się szybko.

- Wężę! - krzyknął Toby zdławionym głosem - Ci nędznicy nasylają na nas legiony gadów.

- Nie ma innego wyjścia? - zapytał Indri. - Jeżeli wężę zagrodzą nam drogę, w jaki sposób uratujemy się z tej pułapki?

- O, panie! - wykrzyknął Bandhara. - Aby mnie ocalić, naraziliście się na zgubę!...

- Mamy jeszcze rewolwery - rzekł Toby - i uczynimy z nich użytek.

Zszedł kilka stopni w dół, oświetlając drogę lampą. Okrzyk przerażenia wydarł mu się z ust.

Korytarz był pełen węży: nai, gulabi, pytonów tygrysi, kobr. Podniecane muzyką, rozbrzmiewającą w coraz szybszym tempie, te wstrętne i niebezpieczne gady pełzały przez korytarz, wijąc się, czepiając jedne drugich, sycząc i świszcząc. Było ich przynajmniej dwieście, a może i więcej.

- Jesteśmy zgubieni! - krzyknął Toby, cofając się. - Jeżeli ta muzyka nie ustanie, gady wpłyną aż do nas i wtargną do sali. Ach, ten przeklęty grajek!... To ten sam, co mnie zmusił do ucieczki, kiedy go szukałem w gęstwinie; to ten przeklęty fakir powtarza sztuczkę, która mu się tak dobrze udało na wyżynie...

- Albo może Barwani - rzekł Bandhara.

- Jeden czy drugi, to na jedno wychodzi - zauważył Indri. - Pomyślmy lepiej nad tym, jak uniknąć napadu tej pełzającej hordy.

- Gdzie się ukrywa ten grajek? - krzyknął Toby.

- Z pewnością za drzwiami z brązu.

- Gdybym go mógł zabić!

- Tymczasem, Toby, zabijajmy wężę!

Skupili się na ostatnim stopniu i dali kilka strzałów; trzy czy cztery wężę padły; inne, zamiast zatrzymać się, pełzły naprzód jeszcze szybciej, podnosząc głowy i sycząc ze wzmożoną wściekłością.

Muzyka rozlegała się teraz pospieszniej, a gady, bezustannie podniecane i doprowadzane do szału, przybliżały się coraz bardziej, nie zatrzymując się ani na chwilę.

Toby i jego towarzysze wystrzelili jeszcze kilka naboju, jednakże z małym skutkiem. Gady były zbyt liczne i poruszały się tak szybko, że prawie uniemożliwiały mierzenie, zwłaszcza z tak krótkiej broni. Tylko strzały Toby'ego i Indriego były jako tako pewne i rzadko

chybiały celu; obaj jednak nie chcieli wystrzelać wszystkich naboju, gdyż każdy z nich miał ich tylko sześć.

- Zostawmy strzały na później - rzekł Toby. - Stają się zbyt cenne. Gdybyśmy mogli zabarykadować drzwi! Można by, jeżeli nie powstrzymać, to przynajmniej opóźnić pochód gadów.

- Sahibie - rzekł Sadras - możemy to uczynić.

- W jaki sposób?

- Rozbijając ścianę i gromadząc gruzy przed drzwiami.

- Wypełzną przez barykadę - zauważył Indri.

- Ale pozabijamy je łatwiej nożami - rzekł Bandhara.

- Szybko, pomóżcie mi! - krzyknął Toby.

Z wściekłością porwali kilofy i zaczęli walić w ścianę, którą już naruszyli, gdy uwalniali Bandharę.

Tymczasem Thermati i Sadras podnosili odłamy kamieni i składali je szybko przed drzwiami. Kornak, jakkolwiek jeszcze bardzo słaby, pomagał im jak tylko mógł.

Pod silnymi uderzeniami Toby' ego, Poony' ego i Indriego rozpadały się kamienne płyty i gromadziły się gruzy. Ludzie pracowali zaciekle, ale węże nie pozostawały bezczynne. Szatańska muzyka trwała nadal, a ohydne gady zbliżały się ciągle. Już dotarły do pierwszych stopni i zaczęły się wspinać wyżej, a wszystkie starały się wzajemnie wyprzedzić.

Thermati i Sadras, którzy gromadzili kamienie przed drzwiami, słyszeli dokładnie ich syki i widzieli, jak się wiją w półmroku. Rozjuszona tą szaleńczą muzyką, niecierpliwie czekały, żeby się rzucić na ludzi i gryźć ich ostrymi, przepojonymi jadem zębami.

Barykada tymczasem wznosiła się szybko, gdyż Toby i jego obaj towarzysze dostarczali obfitego materiału Thermatiemu i Bandharze. Zburzyli już całą ścianę, co zasłaniała małe więzienie kornaka, wąską i niską norę, niezmiernie wilgotną, gdzie ledwie mogło się pomieścić czterech ludzi. Teraz mieli przed sobą mury, które oparłyby się nie tylko kilofom, ale nawet petardom.³⁷ Składały się one z ogromnych złomów twardego jak żelazo granitu, a czubki ciężkich narzędzi tępiły się o niego nie mogąc go naruszyć.

Zrozumiawszy bezskuteczność wysiłków, Toby i Indri zbadali inne ściany mając nadzieję, że znajdą w nich miejsca próżne, ale wszędzie kamienie wydawały tylko głuche dźwięki.

- Dzieło nasze jest skończone - rzekł Toby, ocierając pot, który zraszał mu czoło.

- A barykada ma zaledwie metr wysokości - dodał Indri. - Gady będą mogły przechodzić przez nią bez trudności.

³⁷ Petarda - dawniej puszką metalową wypełnioną prochem strzelniczym i zaopatrzoną w lont; używana przy

- Zdawalioby się, że sala ta została wydrążona w żywej skale, tak samo jak w świątyniach Ellury³⁸ - rzekł Poona.

- Co zrobić? - zapytał Toby, patrząc z przerażeniem ku schodom. - Czy tutaj mamy zakończyć naszą wyprawę, zabić przez węże? Czy nie ma żadnego sposobu, aby uniknąć tak strasznej śmierci? Mów, Indri.

Były ulubieniec gaikwara odpowiedział smutnym spojrzeniem. Inni milczeli także.

- A więc - rzekł Toby gniewnym głosem - stoczmy walkę z tymi przeklętymi gadami.

- W tej chwili ogromny pyton, który musiał wyprzedzić całą gromadę, ukazał głowę nad barykadą, przesywając nieszczęsnych płonąącym wzrokiem.

- Na ciebie najpierw kolej - ryknął Toby, rzucając się naprzeciw niego z rewolwerem w rękę. - Masz!...

Wąż padł z roztrzaskaną czaszką, wijąc się rozpaczliwie.

- Naprzód, przyjaciele! - krzyknął Toby w uniesieniu. - Wystrzelajmy ostatnie naboje, a potem będziemy walczyli nożami.

Drugi wąż, wspaniały boa barwy zielononiebieskawej, o skórze nieregularnie prążkowanej, przepelznął przez barykadę i posuwał się w stronę Toby'ego sycząc z wściekłością i poruszając szybko językiem.

Teraz Indri skoczył ku niemu, strzelając z bliska.

- To dwa - krzyknął Toby.

W tej chwili cała falanga, przebywszy barykadę, rzuciła się do sali, muzyka zaś rozbrzmiewała dalej, nie ubłagana, podniecając coraz bardziej te straszne gady.

oblężeniu do wysadzania murów, bram itd..

³⁸ Ellura - zespół świątyni wykutych w skale w pobliżu Bombaju.

Rozdział XXI - Ocalić ich lub stracić Koh-i-Nura

Kiedy Toby z towarzyszami starał się oswobodzić Bandharę, Dhundia, wyciągnięty wygodnie na miękkich poduszkach rathy, wracał do Pannahu, aby wręczyć radży wspaniałe skóry dwóch pożeraczy ludzi. Jednakże nadzorca byłego ulubieńca gaikwara nie był wcale spokojny. Przeciwnie, nagłe odejście Toby'ego oraz pojawienie się owego chłopca, przybyłego nocą na pole diamentodajne, obudziły w nim podejrzenie.

- Chcieli mnie usunąć, aby działać beze mnie - powiedział sobie. - Czy spostrzegli więzy łączące mnie z fakirem? Ten Toby musi być lisem podstępniejszym ode mnie, ale myli się sądząc, że uwierzyłem w jego historyjkę. Chciałbym wiedzieć, na jakie polowanie się udali. Ów nosorożec i przyjaciel są wytworami żywej wyobraźni Anglika.

Z tymi słowy Dhundia wyciągnął się na poduszkach, zamykając oczy. Jednakże nie spał; myślał nad tym, co ma uczynić, aby wyjaśnić nagłe odejście Toby'ego i Indriego.

Ratha, eskortowana przez śikharich, którzy nie przestawali udawać odważnych wobec skór dwóch pożeraczy ludzi, jak gdyby to oni uwolnili kopalnie od tych niebezpiecznych zwierząt, toczyła się dalej, podskakując i skrzypiąc. Minęła szczęśliwie wzgórza i tereny diamentodajne, przerywane górkami i stertami ziemi i kamieni, i w pół godziny po wschodzie słońca wjechała do miasta.

Dhundia, który nie lubił głośnych demonstracji, bardzo niepożądanych w tej chwili, rozkazał śikharim schować obie skóry, zachować milczenie i odwieść się natychmiast do domu. Bardziej niż na widoku radży zależało mu na tym, aby rozmówić się z rządcą, gdyż miał nadzieję, że dowie się czegoś o nagłym zniknięciu swych towarzyszy.

- Radża zaczeka - powiedział sobie. - A zresztą rzeczą Toby'ego jest oddanie skór i odebranie nagrody, ponieważ ja przedstawiam tutaj prostego sługę myśliwego.

Zarządzający, uprzedzony natychmiast o jego przybyciu, pospieszył przyjąć go na stopniach dworku.

- Już z powrotem, sahibie? - zapytał.

- Zabiliśmy tygrysy - odparł Dhundia z imfazą - i zadanie nasze jest skończone.

- A biały myśliwy?

Dhundia dał mu znak, aby milczał, i wszedł do pokoju, śikhari zaś odprowadzili ratnę do budynku obok pałacyku.

- Czy nic się nie stało podczas mojej nieobecności? - zagadnął zarządzającego, gdy zostali sami.

- Nie widziałem już Sitamy. Przysłał jednakże kilku swoich ludzi, aby dowiedzieć się o ciebie.

- A Bandhara wrócił?

- Nie, sahibie. Nikt go już nie ujrzał.

Dhundia zmarszczył czoło.

- Czyżby wpadł na trop Sitamy? - zapytał. - Ów kornak to bardzo chytry człowiek.

- Nie wiem, jednak sądzę, że nie, gdyż Sitama lub jego zastępca, olbrzym Barwani, uprzedziliby mnie o tym.

- Czy żaden Anglik nie przyszedł dowiadywać się o Toby'ego, białego myśliwego?

- Nie - odparł zdumiony rządcą. - Dlaczego mnie oto pytasz, sahibie?

Zamiast odpowiedzieć, Dhundia zaczął przechadzać się po pokoju pod wpływem żywego zaniepokojenia. Nagle zatrzymał się przed rządcą.

- Powiedz mi, czy przychodził tutaj jakiś chłopiec, który się o nas dowiadywał?

- Chłopie!... - wykrzyknął rządcą. - Lecz... tak, był z jakimś braminem.

- Z jakim braminem? - spytał Dhundia.

- Z tym, który przyszedł dowiedzieć się, czyście już wrócili z kopalń - odparł zarządzający.

- Nie mówiłeś mi o tym przedtem.

- Pytałeś o Anglika, sahibie.

- A kim był ów bramin?

- Nie wiem.

- I towarzyszył mu jakiś chłopiec?

- Tak, przypominam go sobie dobrze.

- Mały, chudy, z czarnymi oczyma...

- I w czerwonym turbaniku i niebieskim lungi,³⁹ sahibie.

- To ten sam, który przyszedł do nas do kopalń! - zawołał Dhundia z gniewem. - Na Śiwę i Wisznu!... Toby i Indri zadrwili ze mnie... Kim był ów bramin? - pytał, przygryzając sobie wargi. - W jakim celu oddalił mnie od Toby'ego? A ów chłopak? Gdzie mogą być teraz? Muszę się tego dowiedzieć. Ach!... Ale jeżeli myślą przywłaszczyć sobie Górę Światła beze mnie, to się mylą.

Zatrzymał się ponownie przed rządcą, który patrzył na niego zdumiony, nie mogąc zrozumieć tego nagłego wybuchu gniewu u człowieka tak spokojnego na pozór.

- Gdzie mógłbym zobaczyć Sitamę? - zapytał.

³⁹ Lungi - rodzaj szaty męskiej, kawałek płótna owinięty dookoła bioder i spadający luźno do połowy łydek.

- Nie wiem, sahibie. Opuścił chatkę wczoraj wieczorem, ale możemy się dowiedzieć. Zaklinacze i kuglarze rozbili swoje namioty w okolicy świętego jeziora.

- Poślij po któregoś z nich.

- Dobrze, sahibie.

Dhundia kazał sobie podać śniadanie, po czym poszedł położyć się w swoim pokoju, aby wypocząć po bezsennych nocach spędzonych na polowaniu.

Spał od pięciu godzin, kiedy około południa zbudził go zarządzający.

- Sahibie - rzekł - jest tutaj oficer radży, który czeka na ciebie.

- Czyś może wygadał się z tym, żeśmy zabili pożeraczy ludzi? - zapytał Dhundia, który był w najgorszym humorze.

- Śikhari widocznie nie zachowali milczenia pomimo twego zakazu i radża dowiedział się o szczęśliwym wyniku polowania.

- To szczegół, który pomiesza mi szyki - mruknął Dhundia. - Czy wrócił człowiek wysłany na poszukiwanie Sitamy?

- Nie, panie. Przypuszczalnie zaklinacze i kuglarze zwinęli namioty i trzeba trochę czasu, aby ich odnaleźć.

Dhundia ubrał się szybko i zszedł do saloniku, gdzie go oczekiwał oficer radży, ubrany w kosztowny strój sikhów.

- Tyś towarzyszył sławnemu białemu myśliwemu na polowaniu, prawda? - zapytał go wysłaniec radży.

- Tak - odparł Dhundia.

- Gdzie są twoi towarzysze?

- Oddalili się, aby zapolować na nosorożca, którego chcą zabić.

- Pan mój pragnie ich zobaczyć.

- Nie wiem, kiedy wrócą.

- Koniecznie muszą być tutaj jutro, ponieważ radża wyda ucztę na ich cześć.

- A gdyby nie mogli przybyć na czas?

- Każde życzenie mojego pana jest rozkazem i wszyscy muszą mu być posłuszni. W południe zostaną przyjęci w sali tronowej.

“Gdzie ich szukać? - pomyślał Dhundia, gdy został sam. - Jeżeli nie usłuchają, to radża jeszcze ich wywali z kraju, a wówczas Góra Światła będzie dla nich stracona, a przede wszystkim dla mnie.”

Chciał udać się znowu do swego pokoju, kiedy wszedł rządca z jakimś zaklinaczem i powiedział:

- To człowiek, którego przysyła ci Barwani.
- Mam dla ciebie wiadomość, która cię bardzo zainteresuje, sahibie - rzekł zaklinacz. -

Kornak Bandhara wpadł w nasze ręce.

- Bandhara! - wykrzyknął Dhundia.
- Tak, człowiek, który prowadził twego słonia.
- Zabiliście go?
- Żyje - odparł zaklinacz, uśmiechając się złowrogo - ale głód zabije go prędko.
- Kto go na to skazał?
- Sitama, gdyż ów kornak przejął nasze tajemnice.

Dhundia pobrał. A jeżeli odkrył wszystko? Jeżeli nagle oddalenie się Toby'ego i Indriego miało jakiś związek z uwięzieniem Bandhary?

- Co mam powiedzieć Sitamie? - zapytał zaklinacz. - Czekam na twoje rozkazy.
- Ja sam pójdę do niego. Gdzie teraz mieszka?
- W starej świątyni Wisznu obok pola diamentodajnego.
- Kiedy będę mógł się z nim zobaczyć, żeby mnie nikt nie zauważył?
- Po północy, ponieważ przedtem musi zebrać wszystkich dakoitów w pobliskim lesie.
- Przyjdiesz po mnie o jedenastej.
- Dobrze, sahibie. A co mamy uczynić z Bandharą? Darować mu życie czy zabić go?

Dhundia milczał przez chwilę, patrząc na zaklinacza, potem rzekł zimno.

- Niech umrze. Ten człowiek stał się niebezpieczny i gdyby żył, mógłby popsuć nasze sprawy.

- Sitama podziela twoje zdanie - odparł zaklinacz. - Ów kornak może się uważać za umarłego.

- Jeżeli go ktoś nie ocali - dodał Dhundia gniewnie.

Potem odprawił zaklinacza skinieniem, owinął się w dhoti i wyszedł w towarzystwie rządcy.

Był tak przekonany, że Toby i Indri nie udali się na polowanie na nosorożca, iż spodziewał się znaleźć ich w mieście; w tym podejrzeniu utwierdzało go także zniknięcie dwóch służących myśliwego, którzy nie wrócili już do domu.

Jego poszukiwania pozostały jednak bez wyniku. Kiedy po zachodzie słońca wrócił do domu, był bardziej zaniepokojony niż kiedykolwiek.

- Jeżeli nie zjawią się do jutra, popsujemy sobie sprawę z radzą. Gdzie ich odnaleźć? Rzucę ludzi Sitamy ich śladem.

O jedenastej zaklinacz zjawił się u drzwi domu, punktualny jak chronometr, prowadząc za

uzdę dwa konie.

- Sahibie - rzekł - zdążymy na czas do Sitamy.
- Masz broń przy sobie?
- Mam nóż...
- Weź ten rewolwer; nie wiadomo co się stanie.
- Dzięki, sahibie. W potrzebie potrafię go skutecznie użyć.

Wsiedli na konie i popędzili galopem przez ulice i place Pannahu, które o tak późnej godzinie były puste. Minąwszy mury miasta, galopowali przez pola, a w niespełna pół godziny dojechali do lasku.

- Czy Sitama będzie już w świątyni? - zapytał Dhundia.
- Moi towarzysze musieli już wrócić do miasta - odparł zaklinacz.
- Czy Sitama będzie sam?
- Nie, z Barwanim.
- Dlaczego tu zamieszkał?
- Świątynia jest opustoszała i mało znana przez mieszkańców Pannahu, więc jest bezpiecznym schronieniem.

A Barwani zna wszystkie tajne drzwi i podziemia i w razie niebezpieczeństwa fakir może uciec, tak że nikt tego nie spostrzeże.

Minęli już gęstwinę i okrążali stawek leżący przed świątynią, kiedy nagle do uszu ich doleciał daleki huk. Zaklinacz zatrzymał konia.

- Strzał! - zawołał.
- Padł w świątyni - dodał Dhundia. - Może to Sitama został napadnięty?
- Przez kogo?
- Tego nie wiem, ale jestem niespokojny. Słuchaj!... Drugi strzał!... To z pistoletu albo z rewolweru, jestem pewny.

- Naprzód, sahibie! - rzekł zaklinacz wzburzoną głosem. - Może Sitama znajduje się w niebezpieczeństwie.

Ruszył z kopyta, okrążył świątynię i zatrzymał się przed grubym murem w kształcie ściętej piramidy. Przywiązawszy konia do drzewa, rzucił się w ciemny wyłom dając znak Dhundii, aby szedł za nim. Nie była to zwykła szczelina, lecz jakby ganek wyżłobiony w skale.

Zaklinacz musiał doskonale znać to tajne przejście; wyjął z jakiegoś zagłębienia lampę, którą Sitama lub Barwani umieścili w tym miejscu, zapalił ją i zaczął iść szybkim krokiem wąskimi, krętymi schodami.

Strzały nie ustawały. Od czasu do czasu rozlegał się huk, który dobiegał aż do ganku,

powtarzając się echem.

Doszedłszy prawie do końca piramidy, zaklinacz zagłębił się w drugi ganek, tak wąski, że tylko jedna osoba mogła nim przejść, i nacisnąwszy na sprężynę, otworzył jakieś drzwi. Obaj stanęli teraz w obszernym pokoju, oświetlonym dwoma żelaznymi kagańcami, w którym widać było kilka łóżek, instrumenty muzyczne, kosze podobne do tych, w jakich zaklinacze zamykali węże, oraz rozmaitego rodzaju broń.

- Jeżeli nie ma tutaj Sitamy i Barwaniego, w świątyni musi się dzieć coś ważnego - rzekł zaklinacz.

- To ich pokój? - zapytał Dhundia.

- Tak, i... co to znaczy?... Wszystkie kosze otwarte!... Czyżby węże pouciekały?...

- Jakie węże? - zapytał zdumiony Dhundia.

- Te, którymi posługiwaliśmy się, dając przedstawienia podczas uroczystości w Pannahu!

Było ich przynajmniej dwieście, i to najrozmaitszych!...

- Kto mógł je uwolnić?

- Nie wiem, sahibie - odrzekł zaklinacz przerażonym głosem.

- Może się gdzie pochowały? - zapytał Dhundia, rzucając na wszystkie strony spojrzenia pełne lęku. - Boję się węży.

- Umiem je uspokoić, sahibie - rzekł Indus, zdejmując ze ściany flet. - Chodź, zejdziemy do świątyni.

Zabrał lampę i zaczął schodzić innymi schodami, również wąskimi i wijącymi się w skrętach.

- Słyszysz? - zapytał nagle.

- Tak - odparł dhundia. - Ktoś w świątyni gra na flecie.

- Czy to Sitama? Jest on mistrzem i umie uspokajać gady albo doprowadzać je do szału.

Rzucił się na łeb, na szyję ze schodów, a przebiegłszy jakiś korytarz, stanął w świątyni, w pobliżu drzwi z brązu.

Dwóch ludzi, z których jeden miał w ręku flet, wydobywając z niego przeraźliwe dźwięki, stało przed drzwiami. Zaklinacz poznał ich natychmiast.

- Sitama i Barwani! - wykrzyknął.

Na ich widok olbrzym porwał długi pistolet, mierząc do nich.

- Stójcie lub zginiecie! - krzyknął.

- Przyrowadzam ci Dhundię - rzekł zaklinacz. - Dhundia! - krzyknęli jednogłośnie Sitama i Barwani.

- Co się dzieje? - zapytał strażnik Indriego. - Co znaczą te strzały?

Fakir oderwał od ust fler i zbliżył się szybko do Dhundii.

- Sahibie - rzekł do niego. - Gdzie jest biały myśliwy i były ulubieniec gaikwara?

- Nie wiem; nie ma ich w Pannahu od dwudziestu czterech godzin.

Okrzyk zdziwienia wydarł się z ust fakira.

- Nie ma ich w domu! - wykrzyknął.

- Nie.

- Czyżby byli...

- Mów, Sitamo.

- Jacyś ludzie wtargnęli tutaj i oswobodzili Bandharę.

- Kim są ci ludzie?... Może to Toby i Indri?...

- Ależ nie, nie ma pomiędzy nimi żadnego Europejczyka, chyba że...

- Mów dalej.

- Chyba że myśliwy przeobraził się w Indusa.

- Ilu ich jest?

- Czterech i jakiś chłopak.

- Chłopak! - wykrzyknął Dhundia. - Czy widziałeś go dobrze?...

- Ja tak - rzekł Barwani.

- Miał jaskrawoczerwony turbanik i niebieskie lungi, prawda? - zapytał Dhundia.

- Tak, sahibie.

- To on!...

- Kto? Mów jaśniej, sahibie - rzekł Sitama.

- Chłopak, który przyszedł do nas na pole diamentodajne po zabiciu dwóch pożeraczy ludzi i który długo rozmawiał z Tobym. Gdzie są ci ludzie?

- Są oblężeni w pokoju przylegającym do więzienia Bandhary.

- Więc oswobodzili kornaka?

- Tak, zdołali zburzyć ścianę jego celi.

- Czy sądzisz, Sitamo, że Bandhara wie zbyt wiele?... Czy spostrzegł, że jesteście moimi współnikami?

- To niemożliwe, sahibie.

- A więc, skoro i wam także zależy na Górze Światła, uwolnijcie natychmiast tych ludzi. Jeżeli w południe nie będą w Pannahu, wszystko stracone.

- Tylko czy jeszcze żyją? - zapytał fakir, spoglądając na Barwaniego. - Wężę musiały już wtargnąć do pokoju.

- Przed chwilą usłyszałem strzał - odparł olbrzym. - zdaje mi się także, że oprócz rewolwerów mają jeszcze noże.

- Możesz przywołać węże? - zapytał Dhundia.

- Tak, sahibie - odpowiedział fakir. - Naprzód uspokoję je, gdyż muszą być wściekle, potem przywabię je tutaj.

- Czy będę mógł zobaczyć tych ludzi bez zwracania na siebie uwagi? - zapytał Dhundia. - Chciałbym upewnić się przedtem, czy to rzeczywiście moi towarzysze.

- Tak, a... gdyby to nie byli oni?

- Niech zginą, jeżeli ci to może sprawić przyjemność - odpowiedział Dhundia. - Byłbym spokojniejszy, gdyby Bandhara nie wrócił już do swego pana.

- Usuniemy go później - odezwał się Barwani ze wstrętnym uśmiechem.

- Zaprowadź sahiba do miejsca, z którego mógłby zobaczyć tych ludzi - rzekł fakir.

Barwani, Dhundia i zaklinacz oddalili się, a Sitama nacisnął guzik ukryty w rzeźbach drzwi, otworzył drzwi z brązu i zaczął znowu grać, wydobywając z instrumentu dźwięki ciche, jakby kołyszące do snu.

Rozdział XXII - Powrót do domu

Toby i jego towarzysze nie przestawali walczyć ze straszliwymi gadami, zdecydowani bronić się do ostatka, dopóki nie uchwycą ich lepkie zwoje pytonów i boa lub nie padną, pokąsani jadowitymi zębami kobr, nai i gulabi.

Po wystrzeleniu ostatnich naboju posługiwali się kawałami płyt kamiennych, odłamki za pomocą kilofów. Barykada okazała się niewystarczająca, aby zatrzymać syczącą hordę. Zwłaszcza pytony przebywały ją łatwo wczółgując się po niej do sali. Doprowadzone do wściekłości tą diabelską muzyką, nie milknąc ani na chwilę, zaczynały pełzać po kamieniach rozrzuconych po pokoju, sycząc i poruszając rozdwojonymi językami. Oczy ich, płonące złowrogim blaskiem, przeszywały nieszczęśliwych straszonym wzrokiem, starając się ich obezwładnić.

Toby, równie wściekły jak one, dodawał wszystkim odwagi głosem i przykładem. Chwytał ogromne odłamy kamieni i rzucał je na ową syczącą hordę, miażdżąc to pytona, to kobrę, to naję.

- Nie traćcie odwagi, przyjaciele! - ryczał. - Nie brak pocisków skuteczniejszych od naszych kul rewolwerowych.

Kiedy któryś wąż przyczołgiwał się ku nim zbyt blisko, Indri lub Thermati, uzbrojeni w małe, zakrzywione szable, rozpaczliwie rzucali się naprzód i odcinali mu głowę dobrze wymierzonym ciosem.

Ta dzika, przerażająca walka nie mogła jednakże trwać długo, ponieważ gulabi i drobne węże zaczynały pełzać po ścianach, zagrażając walczącym z tyłu. Toby już zmiażdżył niejednego gada, który go chciał ukąsić w nogę.

W pewnej chwili jednak muzyka ku ich zdumieniu umilkła nagle, powstrzymując wściekłość gadów. Nie podniecane dłużej przenikliwymi dźwiękami, zatrzymały się, kołyszącym ruchem podnosząc i opuszczając trójkątne głowy.

Indri, Toby i ich towarzysze skorzystali natychmiast z chwilowej przerwy, aby odskoczyć na drugi koniec sali.

- Czy grajek myśli, że już nie żyjemy? - zapytał Toby.

- Nie wiem, ale widzę, że węże nie ruszają się - rzekł Indri, jakby nad słuchują, zdziwione tą przerwą.

- Dużo ich jest jeszcze w korytarzu? Trochę już zabiliśmy.

- W korytarzu było ich pełno - rzekł Thermati. - Tylina straż musi być niezmiernie liczna.

- W jaki sposób zdołali zgromadzić tutaj tyle gadów? - zapytał Toby. - Nie jesteśmy

przecież w środku dżungli.

- Można to bardzo łatwo wytłumaczyć - odpowiedział Bandhara. - Fakir ma całą gromadę zaklinaczy na swoje rozkazy.

- Którzy zostawiają węże w świątyni?

- Zapewne, sahibie - rzekł kornak.

- Cicho - rzekł Indri. - Znowu zaczyna się muzyka.

- Tak, i to na jakąś inną nutę - odparł Toby, nad słuchując uważnie.

- Stała się łagodniejsza.

- I węże zaczynają się cofać - rzekł Thermati. - Patrzcie.

Gady chwilę trwały nieruchome, po czym znowu zaczęły się ruszać, ale tym razem nie w kierunku obłożonych. Nęcone tajemniczą muzyką, która ujarzmiła je zupełnie, pełzły teraz ku barykadzie, tłocząc się na kamieniach i gruzach. Gulabi i drobne węże, szybsze od innych, przebyły ją w krótkim czasie, znikając na schodach.

- Co się dzieje? - zapytał Toby.

- Coś bardzo prostego - odparł Indri. - Grajek przywołuje je do siebie.

- Zatem sądzi, żeśmy zginęli.

- Lub też chciał nas tylko nastraszyć.

- A my skorzystamy z tego, aby odejść, prawda, Indri? Teraz nie mamy tu już nic do roboty, zadanie nasze jest skończone.

- Toby, nie dowierzajmy im zbyt. Może nieprzyjaciele czekają na nas w świątyni.

- Do stu tysięcy nosorożców!... A nie mamy już ani jednej kuli!... Wszystkie nasze rewolwery są wystrzelane.

- Sahibie - rzekł w tej chwili Thermati, który z lampą w ręku zbliżył się do schodów. - Węże opuściły korytarz.

- I grajek się oddala - dodał Bandhara.

- Chodźmy stąd - rzekł Toby. - Weźcie kilofy; są lepszą bronią niż noże.

Sam chwycił jeden, a przedostawszy się przez barykadę, na której wiło się jeszcze w ostatnich drgawkach kilka pytonów i gulabi, zaczął ostrożnie schodzić ze stopni, unosząc w górę lampę.

Przesłodkie dźwięki fletu oddalały się, stając się coraz słabsze. Grajek, odwoławszy węże, prowadził je może gdzie indziej, aby je potem ująć i zamknąć w koszach.

Toby i jego towarzysze przeszli przez korytarz nie widząc w nim nikogo, a kiedy dotarli do małych drzwi z brązu, znaleźli je otwarte.

- Przygotujcie broń - rzekł myśliwy. - Może to zasadzka.

Uniósłszy w górę kilof, wyskoczył z korytarza, gotów rozpocząć walkę. Ku wielkiemu zdumieniu nie spostrzegł jednak nikogo. Grajek i węże znikli, a w świątyni panowała głęboka cisza.

- Rozumiesz coś z tego, Indri? - zapytał.

- Nie, Toby - odparł były ulubieniec gaikwara, nie mniej zdziwiony.

- Dlaczego wracają nam wolność, skoro fakir mógł być pozbyć się nas łatwo, nie narażając się na żadne niebezpieczeństwo? To rzecz, której chyba nie dowiemy się nigdy.

- To mnie przekonuje, że ów człowiek chciał nas tylko nastraszyć.

- Tak sądzisz? Gdyby zmienił muzykę o kilka minut później, bylibyśmy zgubieni. Nie, Indri, nie rzuca się dwustu węży, przeważnie jadowitych, na ludzi tylko po to, aby ich przestraszyć.

- A więc jak tłumaczysz sobie ten odwrót?

- Pozostawiam innym trudne zadanie wyświecenia tej tajemnicy. Ja zaś jestem zadowolony, że jeszcze żyję i mogę stąd odejść. Do czarta z fakirem i jego gadami!... Wyjdźmy stąd i wracajmy natychmiast do domu.

- Sahibie - rzekł Thermati - główne drzwi świątyni też są otwarte.

- Ten szelma fakir chciał nam oszczędzić trudu wychodzenia przez okno. Łotr jest bardzo uprzejmy.

Wyszli ze świątyni biegnąc nieomal, zbyt szczęśliwi, że oglądają znowu niebo, kiedy już sądzili, iż zginą pokąsani przez węże, i zwrócili się szybko ku miejscu, w którym zostawili konie.

- Teraz dopiero czuję się bezpieczny - rzekł Toby, znalazłszy się w siodle. - Można by mniemać, że to był zły sen. Popędźcie konie! Nie mogę jeszcze uwierzyć, że żyję.

Smagnąwszy konie biczem, pognali jak wicher przez las.

O szóstej rano, kiedy ulice Pannahu zaczynały się zaludniać, zapukali do drzwi domu.

- Gdzie jest Dhundia? - spytał Toby służącego, który nadbiegał na głośny dźwięk kołatki.

- Wyszedł wczoraj wieczorem, aby cię odszukać, sahibie - odparł tenże. - Był zaniepokojony twą nieobecnością.

- Tym lepiej - mruknął strzelec. - Będziemy mogli mówić swobodniej.

Kazał przygotować obfite śniadanie, a zwróciwszy się do

Bandhary, który już był wypróżnił butelkę mrożonego piwa, rzekł.

- A teraz, mój dzielny kornaku, rozpuść język i mów. Mam nadzieję, że dowiem się nareszcie, z jakiego powodu ten przeklęty fakir prześladowuje nas tak zawzięcie i dlaczego próbował nawet wysłać cię na tamten świat.

- Sahibie - rzekł Bandhara - fakir zna wasze zamiary. Wie, że przybyliście, aby przywłaszczyć sobie Górę Światła.

- Do stu piorunów! - krzyknął Toby, wstając nagle. - Fakir wie o tym?...

- A zatem wszystko stracone - rzekł pobladły Indri.

- Bandhgaro, mów jaśniej - rzekł Toby. - Opowiedz o wszystkim, coś zdołał ujrzeć i usłyszeć.

Kiedy myśliwy i Indri dowiedzieli się, co kornak usłyszał owej nocy ukryty w świątyni, spojrzeli na siebie z widocznym przerażeniem.

Otrząsali się z niego właśnie, kiedy rządcą doniósł im, że radza oczekuje ich w południe, aby wydać ucztę z okazji szczęśliwego wyniku niebezpiecznej wyprawy i wręczyć im zdobytą nagrodę.

- Mamy tylko godzinę czasu na przebranie - rzekł Toby. - Nie chciałbym pokazać mu się z pomalowaną twarzą.

- A Dhundia jeszcze nie wrócił!... - wykrzyknął Indri.

- Niech nas szuka - odpowiedział myśliwy. - Przyłączy się do nas później.

Zaledwie się umyli i przebrali, zjawił się oficer radży, aby ich zaprowadzić do swego pana. Towarzyszyła mu straż honorowa, składająca się z sawarów (jeźdźców) - zbieraniny dziwnych typów, których widok wzbudziłby w malarzach szal zachwyty: nosili długie brody, a głowy ich były owinięte ogromnymi, różnobarwnymi turbanami; jako broń mieli dalekoosne precyzyjne strzelby wyrobu indyjskiego.

- Sahibie - rzekł oficer, pochylając się w ukłonie przed Tobym - pan mój pragnie zobaczyć ciebie i twych towarzyszy, aby podziękować ci za uwolnienie kopalń od dwóch pożeraczy ludzi i wydać ucztę na twoją cześć.

- Idziemy z tobą - odparł Toby. - Czy pan twój otrzymał już skóry tygrysów?

- Tak, sahibie, i służą mu już jako dywany.

- Chodźmy, Indri. Potężny książę nie może na nas czekać.

Wyszli z domu, otoczeni sawarami i poprzedzani przez oficera. Zabrali ze sobą także wspaniale odzianego Bandharę, który w razie potrzeby miał im służyć za tłumacza. Przed głównymi drzwiami pałacu inny oddział sawarów oddał im wojskowe honory.

- Książęce przyjęcie - rzekł Toby.

Kazano im wejść wspaniałymi schodami z bielutkiego kamienia, po czym wprowadzono ich do sali z mozaikowymi sklepieniami i ścianami z różowego marmuru, ozdobionymi arabeskami i inkrustacjami z lazuru. Dokoła biegły sofy z czerwonego jedwabiu haftowanego srebrem, a w końcu sali stał bogaty baldachim tronowy z żółtego jedwabiu ze złotymi frędzlami.

Radża zajął już miejsce na sofie umieszczonej pod baldachimem, opierając stopy obute w białe haftowane pantofle na wspaniałej skórze tygrysy, którą Indri i Toby poznali jako skórę pierwszego pożeracza ludzi.

Radża Pannahu miał wówczas około pięćdziesięciu lat i był uważany za jednego z najlepszych książąt indyjskich oraz za jednego z najwierniejszych sprzymierzeńców Anglików. Był to człowiek otyły, wygląd miał jowialny, o cerze bardzo ciemnej; nie okazywał nic z właściwej książętom azjatyckim wyniosłości. Jak wszyscy ludzie postępowi "młodych Indii" ubrany był skromnie; miał na sobie kurtkę i spodnie z białego materiału, gdzieśgdzie ozdobionego haftem, a na głowie niewielki czerwony zawój z prostymi brzegami. Ale na rękach dźwigał ciężkie, złote bransolety, przypominające jego pochodzenie ze szczepu radżputów, na szyi zaś błyszczał sznur oprawnych w złoto diamentów, wydobytych z jego kopalń.

Kiedy Toby, skłoniwszy się głęboko, zbliżył się do niego, syn Kiśor Singha, założyciela dynastii, podał mu łaskawie rękę, ściskając silnie dłoń myśliwego.

- Jestem szczerym przyjacielem Anglików⁴⁰ - rzekł z uśmiechem - i cieszę się, że mogę powitać najdzielniejszego myśliwego środkowych Indii, który uwolnił moje kopalnie od dwóch strasznych pożeraczy ludzi.

- A ja, Wasza Wysokość, jestem szczęśliwy, że widzę najwspanialszego i najszlachetniejszego z książąt Indyjskich - odpowiedział Toby z godnością.

- Otrzymacie nagrodę, którą obiecałem temu, kto odważy się zabić tych dwoje krwiożerczych zwierząt.

- Wasza Wysokość - pospieszył powiedzieć Toby - ja i moi towarzysze przybyliśmy tutaj powodowani wyłącznie naszą myśliwską namiętnością, a nie aby uzyskać te dziesięć tysięcy rupii...

- Dwadzieścia tysięcy - poprawił radża - ponieważ były dwa pożeracze ludzi, nie jeden.

- Niech tak będzie - odparł Toby - jednakże zrzekam się nagrody.

Radża spojrział na niego zdumiony.

- A więc w jaki sposób zdołam was wynagrodzić? - zapytał. - Narażaliście się na śmierć.

- Pragnąłbym tylko jednej rzeczy w zamian za wyświadczoną przysługę.

- Mów.

- Ujrzeć Górę Światła - rzekł Toby śmiało.

- To życzenie, które nic nie kosztuje - rzekł radża z uśmiechem. - Pomyśl o ogromnej przysłudze, jaką mi wyświadczyłeś. W przeciągu czterech tygodni straciłem najmniej sto

⁴⁰ Radża Pannachu był istotnie zawsze przyjacielem Anglików, gdyż podczas krwawego buntu w 1857, zamiast połączyć się z buntownikami, oswobodził załogę miasta Dumoh, obleganą przez oddziały Fantiza (przyp. aut.)

tysięcy rupii w diamentach i kto wie, ile zostawiłbym ich jeszcze w ziemi bez waszej podziwu godnej odwagi.

- Wasza Wysokość uczyni, co zechce, bylebym tylko zobaczył ów sławny diament.

- A więc nawet u was mówi się o Koh-i-Nurze?

- Jako o jednym z cudów świata.

- I słusznie może - odparł radża. - Koh-i-Nur jest jednym z najwspanialszych diamentów i sądzę, że w całej Azji nie znajdę piękniejszego. Dziś wieczorem po przyjęciu, które wydaję na waszą cześć, pokażę ci go. Czy jesteś zadowolony, Toby Randal?

- Dziękuję Waszej Wysokości.

Radża rzucił okiem na Indriego i Bandharę.

- Kim są ci ludzie? - zapytał.

- To dwaj możni z Barody, moi przyjaciele i dzielni myśliwi - odparł Toby.

- Przyrowadź ich dziś wieczorem ze sobą, abym mógł ich także wynagrodzić. A teraz wyrażam nadzieję, że będziecie uczestniczyli w widowisku, jakie kazałem urządzić na waszą cześć.

- Jesteśmy na rozkazy Waszej Wysokości.

Radża powstał, uderzając w gong zawieszony przy baldachimie.

Usłyszawszy ten przenikliwy dźwięk, kilku oficerów z jego straży weszło, pochylając się w głębokim ukłonie przed władcą.

- Zaprowadźcie sahibów do łoży, którą im wyznaczyłem - rzekł.

Uścisnął ponownie rękę Toby'ego i znikł za drzwiami zakrytymi zasłoną z niebieskiego jedwabiu haftowanego złotem. Toby i jego obaj towarzysze poszli za oficerami wiodącymi ich przez długi korytarz, ozdobiony bóstwami indyjskimi, który prowadził na obszerny dziedziniec książęcego pałacu. Pośrodku znajdowało się duże ogrodzenie zbudowane częściowo z kamienia, częściowo z drewna, otoczone galeriami i łożami oraz kryte baldachimami, aby osłonić widzów przed słońcem.

Ministrowie, ulubieńcy radży, oficerowie, damy dworu, dworzanie i paziowie pozajmowali już wszystkie miejsca; gromada grajków uderzała w bębny i bębenki lub wydobywała przenikliwe dźwięki z różnorodnych instrumentów dętych.

- Radża Pannahu nie chce być gorszy od gaikwara Barody - rzekł Toby do Indriego.

- Tak - odpowiedział tenże. - Chce współzawodniczyć z moim panem.

- Chodźmy więc popatrzeć na to widowisko urządzone na naszą cześć, czekając na chwilę, kiedy ujrzymy sławny diament.

Gdy wchodzili do łoży, radża zajmował miejsce we wspaniałej galerii, której kolumny

były pokryte drogocennymi materiałami i uwieńczone silnie pachnącymi kwiatami. Spostrzegłszy Toby'ego i Indriego, pozdrowił ich ruchem ręki, po czym dał znak naczelnikowi straży przybocznej, który zszedł do cyrku.

- Patrzmy uważnie - rzekł Toby. - Widowisko zaczyna się.

Rozdział XXIII - Walki olbrzymów i tytanów

Wszyscy udzielnicy władcy indyjscy mieli namiętność do widowisk dzikich, krwawych i niezmiernie kosztownych. Kilkakrotnie Anglicy starali się powstrzymać to zamiłowanie, którego zaspokojenie wymaga wielu ofiar ludzkich. Mimo to i dziś radzowie wydają ogromne sumy, aby sprawić sobie przyjemność patrzenia, jak ich poddani giną pod kopytami słoni, doprowadzanych umyślnie do wściekłości za pomocą specjalnego pokarmu, lub rozdierani straszliwymi rogami nosorożców i wreszcie jak zabijają się wzajemnie, walcząc na pięści.

Gaikwar Barody, najwspanialszy i najbogatszy książę niepodległy, ma wprost szaloną namiętność do urządzania tych krwawych widowisk, wydając na nie co roku kilka milionów rupji. Jednakże i inni władcy, chociaż nie są tak hojni, jak ten książę, który często rozdziela pomiędzy walczących naszyjniki z diamentów i pereł wartości stu tysięcy rupji, nie skąpią, byleby tylko widowiska wypadły zajmująco i dramatycznie.

Wszyscy utrzymują na dworach całe oddziały satmariwalasów mających za zadanie walczyć ze zwierzętami wpuszczonymi do cyrku, gromady pehlwhanów - wojowników rekrutujących się spośród najdzielniejszych ludów Indii, którzy zabijają się wzajemnie na oczach księcia i muszą umierać z wdziękiem, jak dawni gladiatorzy rzymscy; dalej błaznów, kuglarzy, tancerki, grajków itd..

Ponadto radzowie mają klatki z zamkniętymi w nich zwierzętami przeznaczonymi do walki w cyrkach; olbrzymimi słoniami, nosorożcami, tygrysami i bawołami, a nierzadko także i lwami sprowadzonymi z Persji oraz panterami pochodzącymi z Wysp Sundajskich.

Radza Pannaju, dzięki niewyczerpanym kopalniom diamentów nie mniej bogaty niż władca Barody, miał tak samo jak inni książęta swój cyrk, swoich wojowników, swoich satmariwalasów, myśliwych, błaznów i zwierzęta cyrkowe.

Na dźwięk trąby dowódcy straży przybocznej ucichły natychmiast rozmowy w lożach i galeriach, a z dwóch końców cyrku weszła para słoni.

Były to dwa kolosalne okazy, dwie młode słonice, zwierzęta nie tak wysokie, jak "merghee", ale cięższe, z szerszą trąbą i krótszymi nogami, obdarzone nadzwyczajną, wprost straszną siłą. Aby nie raniły, zostały pozbawione olbrzymich kłów.

Na grzbiecie każdego słonia siedział kornak, specjalnie wybrany, o wypróbowanej odwadze; ludzie ci prawie zawsze przypłacają życiem owe w najwyższym stopniu niebezpieczne walki, ponieważ rzadko udaje im się uniknąć ciosów trąby, które wymierzają sobie rozjuszone gruboskórce. Byli nieomal nadzy i namaszczeni olejem kokosowym, aby łatwo wysliznąć się ze

straszliwego uchwytu trąby.

Słonie, ukazawszy się na arenie, zaraz wydały straszny ryk, który wstrząsnął posadami łóż i galeryj. Obydwa były widocznie podniecone, gdyż wymachiwały nerwowo trąbami, a małe ich oczka słały błyskawice.

Aby doprowadzić do wściekłości, Indusi żywią je przez dwa lub trzy miesiące prawie wyłącznie masłem i cukrem. Dają się wtenczas łatwo pobudzić do gniewu, nie poznają już prawie kornaka, któremu w każdej chwili grozi, że zostanie zabity uderzeniem trąby lub wyrzucony na dach, i atakują wszystkie zwierzęta, jakie zauważą.

Skoro się tylko zoczyły, nie podniecane przez kornaków, starły się ze sobą.

- To będzie niezmiernie interesująca walka - rzekł Toby. - Co za uderzenie!... To co innego niż bawoły!...

- I zobaczymy umiejętności kornaków - dodał Indri. - Jeżeli nie będą bardzo zręczni lub stracą zimną krew, zabawa ta skończy się dla nich źle.

Oba słonie runęły na siebie pośrodku cyrku, zderzając się z szaloną siłą potężnymi czołami i wzbijając tumany kurzu. Obydwa dokonywały nadzwyczajnych wysiłków, aby się odeprzeć. Podnosiły się na tylnych łapach, opadając potem nagle całym ciężarem i zaplatały trąby, starając się obalić wzajemnie na ziemię. Od czasu do czasu, spostrzegając kornaków, wymierzały im straszliwe uderzenia trąbą, które gdyby ich dosięgły, zmiażdżyłyby ich niewątpliwie. Obaj przewodnicy jednakże rzucali się szybko wstecz, wskakiwali na ogromne grzbiety gruboskórców, dając dowód niezwykłej zimnej krwi oraz zręczności, mogącej iść o lepsze ze zwinnością małp i akrobatów. Walka pomiędzy dwoma olbrzymami stawała się coraz zacieklejsza.

Nagle mniejszy z nich otrzymał w chwili, kiedy się podnosił na tylne nogi, tak straszne uderzenie głową w środek piersi, że całe jego ciało zahuczało jak ogromny bęben. Zwinął gwałtownie trąbę, opuszczając ją potem bezwładnie, po czym runął na kolana, wydając głuchy ryk.

Kornak jego skoczył wspaniałym susem na ziemię, chroniąc się za ogromne cielsko. W ten sposób cudem uniknął pewnej śmierci, ponieważ zwycięzca zaczął okładać powalonego przeciwnika coraz gwałtowniejszymi uderzeniami trąby, aby nie pozwolić mu wstać i podjąć na nowo walki.

Zupełnie oszołomiony, zwyciężony słoń nie starał się nawet uniknąć tego gradu ciosów. Potrząsał tylko ogromnymi uszami porykując coraz żałośniej.

- Zabije go w końcu - rzekł Toby.

- Nie dadzą mu na to czasu - odparł Indri. - Oto satmariwalasi.

Obie bariery cyrku otworzyły się i dwunastu Indusów na ognistych koniach pognało ku zwycięzcy, krzyżąc i wymachując czerwonymi chorągiewkami.

Wszyscy byli pięknymi mężczyznami o doskonałych kształtach, ubranymi w jaskrawe turbany i bardzo obcisłe spodnie, aby trąby gruboskórców nie mogły ich za nie uchwycić. Konie ich nie miały ani siodeł, ani czapraków, a nawet dla ostrożności obcięto im ogony.

Na widok rzucających się na niego ludzi olbrzym opuścił przeciwnika i zaczął ich atakować, wymierzając trąbą ciosy na prawo i na lewo. Były to jednakże daremne wysiłki, ponieważ satmariawalasi uskakiwali błyskawicznie spoza zasięgu śmiertelnych razów.

Tymczasem, gdy usuwano zabitego słonia, na arenę wpadło dwunastu innych ludzi, ale pieszych. Zbrojni byli w dzidy i z niesłychaną odwagą szli kłóć słonia, aby doprowadzić go do jeszcze większej wściekłości.

Biedne zwierzę, oszołomione krzykami i susami dwudziestu czterech satmariwalasów, zatrzymywało się od czasu do czasu, wciągając głośno powietrze i poruszając uszama, aby się orzeźwić, a potem, bezustannie podniecane, podejmowało znowu atak, starając się rozpędzić dręczycieli uderzeniami trąby. Uniesiony własnym szałem, słoń rozbijał się często o ogrodzenie, wstrząsając ogromnymi palami i grożąc rozbiciem łóż i galerij.

Jednakże jeźdźcy rzucali się to tu, to tam, z zuchwałością przyprawiającą o drżenie nawet Toby'ego. Powiewając barwnymi chorągiewkami, tuż przed słońcem spinali ogniste rumaki, a potem uderzając je silnie ostrogami usuwali się w błyskawicznym skoku z zasięgu trąby.

- Co za wspaniali jeźdźcy! - wykrzyknął Toby, a zachwycony tłum krzychał i zasypywał ich oklaskami.

- Wszyscy są Marathamami - odparł Indri - czyli najlepszymi jeźdźcami w Indiach.

- Wydaje mi się niepodobieństwem, aby żaden z nich nie został na placu.

- Gdyby ich dosięgła trąba, nie oni przypląca to życiem, lecz konie. Nawet w biegu skaczą na ziemię, nie łamiąc sobie nóg.

Tymczasem słoń, doprowadzony do szczytu wściekłości, biegał za wszystkimi, rycząc przeraźliwie. Pocił się tak, jakby wylewano mu na grzbiet wiadra wody i odczuwał tak silne dreszcze, że jego kornak z trudnością utrzymywał się na swoim miejscu. Wyczerpany, cofnął się wreszcie do bariery, gdzie runął ciężko na kolana, wydając ostatni ryk bezsilnej wściekłości. Z kolei olbrzym został zwyciężony.

Satmariawalasi otrzymali z rąk radży nagrody złożone z jedwabnych ubrań oraz woreczków napełnionych pieniędzmi, a kilku służących, otrzeźwiwszy gruboskórca wiadrami zimnej wody, wyprowadziło go za ogrodzenie.

Po krótkiej przerwie, podczas której liczni kosztownie ubrani służący roznosili pomiędzy widzami napoje, cukry, lody, tytoń i betel, do cyrku weszło dwóch olbrzymich Indusów o potężnej muskulaturze, namaszczonech olejem kokosowym i prawie nagich, odzianych tylko w króciutkie lungi.

Na prawej ręce mieli kastety o ostro zakończonych czubkach ze stali - straszną broń, jednemu lub drugiemu przeciwnikowi zadającą często śmierć.

- To nuki-kakusti - rzekł Indri, który w Barodzie kilkakrotnie oglądał tę barbarzyńską, krwawą walkę.

Dwaj siłacze, upojeni banghiem, rodzajem płynnego opium, wstąpili na teren walki, opiewając swoje poprzednie zapasy.

- Ja jestem silny jak słoń i powaliłem Garbariego, zapaśnika Maisuru, i zabiłem jednym ciosem Gualiwara, najstrasniejszego wojownika Beraru.

- Ja jestem mocniejszy od stali - odpowiedział drugi - i zatrzymałem bawoła, chwytając go za rogi i pięścią powaliłem na ziemię jałowicę. Kto odważy stawić czoła straszemu Guneriemu?

- Sara Bir, potężny Bir trzecim uderzeniem zetrze w proch Guneriego.

- A ja za pierwszym uderzeniem zmuszę cię do błagania o łaskę lub zabiję!

Zatrzymali się w odległości trzech kroków od siebie, kładąc lewą rękę na piersiach, a wyciągając prawą, i wyzywali się wzrokiem.

A gdy tak obrzucali się obelgami przed rozpoczęciem walki, w lożach i w galeriach ministrowie, oficerowie, mistrzowie ceremonii, członkowie straży przybocznej i kobiety zakładali się namiętnie, który zapaśnik zwycięży. Jedni byli za Gunerim, wyższym i zręczniejszym, drudzy za Birem, bardziej krępy i muskularny, i silniejszym może od tamtego. Nawet radża zakładał się z ministrami i dworzanami o tysiące rupji.

Nagle obaj przeciwnicy rzucili się na siebie, wymierzając sobie tak straszne uderzenia kastetem, że mogły pogruchotać żebra nawet nosorożcowi. Było to jednak tylko pozorne natarcie, mające na celu wypróbowanie sił.

Guneri cofnął się natychmiast, skacząc wstecz na zręcznością tygrysa; Bir pewny, że wymierzy cios śmiertelny, zaatakował z impetem. Od czasu do czasu stalowe kastety uderzały o siebie, aż iskry leciały.

Dwaj olbrzymi uciekali się do wszelkich podstępów, aby się wzajemnie zaskoczyć. Rzucali się na siebie z błyskawiczną szybkością, pochylali się nagle, padając nieomal na ziemię, a w chwilę później zrywali się niespodzianie; obracali się na czubkach palców, starając się powalić przeciwnika podstawiając mu nogę, potem obserwowali się znowu bacznie, lżąc się

i wyzywając. Gwałtowniejszy Bir nie dawał Guneriemu ani chwili spokoju, starając się przyprzeć go do palisady; ów zaś ograniczał się do odpierania ciosów. Chytrzejszy od tamtego, zachowywał siły na chwilę rozstrzygającą.

Nagle jednak, cofając się, nadepnął na bukiet kwiatów rzucony przez damę dworu i pośliznął się. Bir, szybszy od błyskawicy, uderzył go tak silnie w środek piersi, że wszystkie pięć czubków stali wbiło mu się w ciało.

Inny człowiek byłby niechybnie padł i może już więcej nie powstał. Guneri natychmiast uniknął niezmiernie szybkim ruchem drugiego uderzenia, które byłoby mu roztrzaskało czaszkę, uskoczył w bok, po czym sam zaatakował, rycząc jak zraniony zwierz.

Kastet opadł na czoło przeciwnika, rozdzierając mu skórę aż do oczu, a na twarz trysnęła krew.

Ślepi z wściekłości, obaj chwycili się lewymi rękami, a prawą wymierzali cios za ciosem, raniąc sobie piersi, boki, uda.

Wszyscy widzowie zerwali się na nogi, okrzykami i oklaskami dodając odwagi jednemu lub drugiemu. Nawet radza powstał. Toby, jak prawdziwy Anglik, przyzwyczajony do strasznych zapasów, przypatrywał się z żywym zainteresowaniem temu dziwnemu widowisku.

Nagle Bir runął na ziemię jak wół ugodzony maczugą. W sam środek czaszki otrzymał cios, który go zupełnie ogłuszył. Guneri, jakkolwiek krew mu spływała z dziesięciu ran, postawił nogę na ciele przeciwnika i podniósł prawą rękę uzbrojoną w kastet, gotów wymierzyć mu ostatni cios.

Wystarczyło, aby radza krzyknął: “maro” (uderz), a Bir byłby zginął.

Może księżę chciał już wydać wyrok śmierci na nieszczęśnika, kiedy Toby zerwał się z okrzykiem:

- Wasza Wysokość, łaski dla niego!

- Uczta została wydana na twoją cześć - odrzekł radza - do ciebie więc należy rozstrzygnięcie losu Bira.

- Daruję mu życie - odparł myśliwy.

- Niech żyje pogromca tygrysów! - krzyknął tłum. - Biały człowiek jest wspaniałomyślny jak radza.

Czterej słudzy wynieśli krwawiące ciało biednego Bira. Przeciwnik zaś jego zwrócił się chwiejnym krokiem do łoża radzy, aby otrzymać nagrodę za zwycięstwo: jedwabny woreczek zawierający pięćset rupji oraz sztukę czerwonego jedwabiu haftowanego złotem.

Widowisko było skończone.

Radża podniósł się, a pozdrowiwszy przyjaznym ruchem prawicy Toby'ego i jego towarzyszy, wrócił do pałacu, otoczony ministrami i ulubieńcami oraz strażą przyboczną.

- Chodźmy i my - rzekł Toby. - Dziś wieczorem czeka nas decydujący krok; albo nam się uda, albo też przyplącimy to życiem.

- Nie lękasz się przyjacielu? - zapytał Indri, patrząc na niego z wdzięcznością.

- Nie, Indri - odparł Toby.

- Uda nam się?

- Tak, jestem pewny.

- Jak wysoko oceniają diament?

- Na dwa miliony rupji, tak mi mówiono.

- Wygotuję czek na trzy miliony, płatny w Barodzie u mojego bankiera, Persa Zeyd-Omara i umieścimy go na miejscu Góry Światła, bo nie jesteśmy złodziejami. Radża będzie jeszcze zadowolony.

- Rujnujesz się, Indri.

- Jestem bogatszy, niż przypuszczasz; a zresztą mój honor ma większą wartość niż miliony.

- Wierzę ci, przyjacielu. Czy obmyśliłeś już plan działania?

- Tak, Bandhara wykona wszystko, a my zajmiemy się radżą.

- Żadnego gwałtu, Indri.

- Bandhara ograniczy się do uspienia strażników Koh-i-Nura, o ile będą się tam znajdowali.

- I skoro tylko dokonamy zamachu, pognamy na złamanie karku.

- Bangavadi będzie gotów, a konie radży go nie dościgną. Poza obrębem państwa nie musimy się już niczego obawiać, a w przeciągu dwudziestu czterech godzin możemy przekroczyć granicę.

Wróciwszy do domu, ujrzeni Dhundię, który nie ukrywał gniewu. Zapewniał, że obszedł całe miasto i okolicę w nadziei, że ich znajdzie, skoro się dowiedział o ich powrocie z polowania.

- Czy zabiliście przynajmniej nosorożca, który pustoszył plantacje waszego przyjaciela? - zapytał Toby'ego z lekkim odcieniem ironii.

- Padł za pierwszym strzałem - odparł niewzruszony myśliwy. - Kula przeszła mu mózg, przeszedłszy przez oko.

- Strzelasz zawsze świetnie - rzekł łotr z szyderym uśmiechem. - A kiedy odbędzie się polowanie na Górę Światła?

- Dziś wieczorem - rzekł Indri. - Jesteśmy zaproszeni przez radżę i skorzystamy z uczy

aby zabrać mu diament.

- O! - rzekł Dhundia, wstrząsając się nagle.

- Czy pójdiesz z nami, czy też podejmiesz się przygotować ucieczkę?

- Będzie lepiej, jeżeli zajmę się Bangavadim - odparł zdrajca po chwili namysłu.

A potem szepnął do siebie:

- W ten sposób zdołam uprzedzić Sitamę.

Rozdział XXIV - Góra Światła

Wieczorem zabłyśły światła w pałacu radży, a sale, wspaniale oświetlone mnóstwem różnobarwnych lamp i zastawione stołami ofiarnymi, na których paliły się upajające wonności, tak drogie Indusom, roily się od gości.

Ministrowie, faworyci i oficerowie kręcili się wszędzie, połyskując złotem, perłami i diamentami, gromady zaś paziów, również kosztownie ubranych, uwijały się nieustannie z naczyniami ze srebra napełnionymi lodami, słodyczami, smakowitymi owocami mango, bananami i ananasami, podanymi w lśniącym śniegu, sprowadzanym z wysokich szczytów Ghatów, i w araku, co rozpała żołądek, nie uderzając do głowy.

W wielkiej sali przyjęć, bogato ozdobionej złoceniami, dywanami, lazurami i onyksami, którymi były inkrustowane kolumny, tłumy tancerek strojnych klejnotami i złotymi ozdobami, połyskującymi jak słońca w fali różnobarwnego światła, czekały tylko nadejścia radży, aby rozpocząć tańce.

Toby, Indri i Bandhara, wyciągnięci wygodnie na miękkiej sofie, opierając nogi na wspaniałych skórkach dwóch pozeraczy ludzi, gawędzili spokojnie lub wymieniali uściski dłoni i ukłony z najwyższymi dostojnikami państwa, którzy tłoczyli się dokoła nich, aby im podziękować za oswobodzenie od tych dwóch strasznych zwierząt.

Spokój ich był jednak bardziej pozorny niż rzeczywisty. Może tylko Bandhara, jako dawny złodziej, był istotnie spokojny, polegając na swej nadzwyczajnej zręczności.

Od czasu do czasu Toby i Indri zamieniali ze sobą spojrzenie, a w oczach ich tlił się wewnętrzny lęk i malowało się podniecenie.

- Miejmy nadzieję - szepnął Toby.

Skoro ukazał się radża, tancerki skupiły się szybko pośrodku ogromnej sali, tworząc grupę tak malowniczą, że z ust gości wydarł się okrzyk podziwu.

- Wah!... Wah!... (brawo.)

Kilku grajków, ukrytych wśród palm zajmujących róg sali, zaczęło uderzać w struny wina - instrumentów składających się z dwóch tykw niejednakowej grubości, suchych i wykrojonych z ćwiartki ich objętości, połączonych ze sobą za pomocą długiej rury, na którą są naciągnięte struny z bawełny i ze stali.

Była to muzyka dziwna, słodka i tęskna, przy której drżały zręczne i wysmukłe ciała tancerek, gotowych rzucić się w wir tańca.

Na znak radży, który usiadł swobodnie pomiędzy Tobym a Indrim, trzy dziewczęta

odłączyły się od grupy tancerek, skacząc na bogaty dywan perski rozpostarty pośrodku sali, połyskujący złotem i srebrem. Były to trzy tancerki Ramlila,⁴¹ jedyne, które znają oryginalny taniec indyjski, zwany natja.

Miały na sobie wspaniałe szaty z drogocennych materiałów, haftowane złotem i obsypane diamentami rzucającymi żółte, czerwone i fioletowe blaski. Kiedy tańczyły lub obracały się dokoła siebie z zawrotną szybkością, szerokie ich spódnice unosiły się, przybierając kształt kuli: białe, jedwabne szarawary sięgały im aż do kostek, a palce nóg ozdobione były srebrnymi dzwoneczkami, którymi dowolnie pobrzękiwały. Piersi okrywał rodzaj pancerza z cieniutkiego drewna pokrytego złotymi płytkami wysadzany klejnotami. Czarne ich, niezmiernie długie włosy, przeplatane bukietami kwiatów i różnobarwnymi wstęgami, spływały w malowniczym nieładzie na półodkryte ramiona.

Grajkowie przyspieszali takt muzyki, a trzy tancerki Ramlila zaczęły wirować dokoła siebie, powiewając długimi szarfami z błękitnej gazy i pobrzękując przy każdym kroku bransoletkami i dzwoneczkami. Kiedy zaś muzyka stawała się wolniejsza, ruchy ich łagodniały, jak gdyby kołysane słodkimi i tęsknymi dźwiękami wina. Obracały się wolno dokoła siebie z lekkimi drganiem ciała, przymykając czarne oczy i odrzucając głowę w tył, jakby je morzył sen. To znowu rzucały się zawrotnie naprzód znikając prawie całkiem w fałdach fruwających dokoła sukien, a nad ich głowami powiewały szarfy, tworząc niby połyskujące obłoki.

Okrzyki "Wah!... Wah!..." zachwyconych widzów wzmagaly się nieustannie, i nawet radża sam bił oklaski, zadowolony, że mógł pokazać niezrównaną zręczność tancerek białemu myśliwemu i zaprzyjaźnionym z nim wielmożom indyjskim.

Po tancerkach Ramlila weszło do sali dwunastu balaków - młodziutkich tancerzy nie mniej zręcznych od poprzedniczek, o ciele pomalowanym i głowie ozdobionej pawimi piórami; na plecach nosili krótkie płaszczyki pięknej niebieskiej, czerwonej, lub żółtej barwy, a u boku kilka wstążek z leciutkiego muślinu. Piersi ich pokrywała złota płyta z wrytymi na niej nazwami kilku bóstw lub jakimś świętym napisem. Tak samo jak tancerki, mieli bransoletki i dzwoneczki, a w rękę trzymali czerwone laski, którymi wywijali na wszystkie strony, aby uwydatnić wdzięk ciała.

Radża, który nie bardzo lubił męski taniec, podniósł się, odzywając się do Toby'ego:

- Czyś zapomniał, panie Randal, o co prosiłem mnie dzisiaj rano?
- O czym myślisz Wasza Wysokość? - zapytał myśliwy.
- Wyraziłeś życzenie obejrzenia mojego Koh-i-Nura.

⁴¹ Ramlila - jeden z rodzajów teatru indyjskiego, związany z tańcem.

- To prawda, Wasza Wysokość - odparł Toby, blednąc lekko.

- Jeżeli nie ciekawi cię ten taniec, to chodź za mną.

- Czy mogę zabrać także przyjaciół?

- Jeżeli jak i ty życzą sobie zobaczyć Górę Światła, niech idą. Otrzymają nawet ode mnie coś na pamiątkę pobytu w Pannahu.

I radża, gdy nikt nie zwracał na nich uwagi, uniósł bogatą zaslonę zakrywającą drzwi i wyszedł na korytarz oświetlony kilkoma lampami, z niebieskimi kloszami, rzucającymi na płyty białego marmuru blask niby maleńkich księżyców.

Toby rozmawiał z radżą, a Indri zbliżył się do Bandhary.

- Czy masz wszystko? - zapytał.

- Tak, panie - odparł kornak.

- I środki usypiające?

- Ukrywam w ręku buteleczkę.

- A drugą, mającą nas ochronić?

- Mam ją za pasem.

- Bądź gotów; jeżeli stracimy tę sposobność, będę zgubiony, pamiętaj o tym, Bandharo.

- Wykonamy nasz zamiar, panie.

- A chusteczki?

- Mam je tutaj, w sakiewce.

Radża zaczął schodzić po małych stopniach z różowego marmuru. W głębi, przed drzwiami z brązu czuwał żołnierz, uzbrojony w rodzaj halabardy.

- Otwórz - odezwał się do strażnika - i zapal pochodnię.

- Gdzie nas Wasza Wysokość prowadzi? - zapytał Toby, który nie zdołał opanować w zupełności wzruszenia.

- Chcę wam pokazać moje skarby.

Zapaliwszy pochodnię tkwiącą w żelaznym pierścieniu, żołnierz otworzył drzwi.

Toby z towarzyszami stanęli w sali bez okien, której posadzka, ściany i sufit pokryte były płytami z błękitnego marmuru, tak grubymi, że wytrzymałyby uderzenia najcięższych kilofów.

Skoro tylko pochodnia została umieszczona na podstawie wznoszącej się pośrodku sali, oślepiający blask otoczył radżę, Toby'ego i jego towarzyszy. Dokoła znajdowały się oszklone gabloty ze złoczonego brązu. Przez szybki widać było stosy wszelkiej wielkości diamentów, które odbijały niewyraźnie światło pochodni.

Toby, Indri i Bandhara stanęli, spoglądając ze zdumieniem na te bezcenne bogactwa, wydzierane ziemi może od setek lat.

Tymczasem radża zwrócił się do żołnierza, mówiąc:

- Zamknij drzwi, a jeżeliby ktoś chciał wejść, zabij go.

- Tak, Wasza Wysokość - odpowiedział strażnik, wychodząc.

- Co za bogactwa! - wykrzyknął Toby zdławionym głosem. - Ile milionów znajduje się na tych półkach?

- Niewątpliwie wiele, panie Randal - odparł radża z uśmiechem. - Czy są to diamenty tylko z kopalń Waszej Wysokości?

- Tak, panie Toby.

- A Koh-i-Nur?

- Zaraz ci pokażę.

Radża wyjął zza pasa mały, złoty klucz i zbliżył się do kasetki z brązu, umieszczonej w rogu sali; stała ona na brązowym lwie olbrzymiej wielkości.

- Weź pochodnię, panie Toby - rzekł radża, wsuwając klucz do zamka.

Kiedy myśliwy obracał się, aby unieść pochodnię, poczuł, że Bandhara wcisnął mu w lewą rękę wilgotną chusteczkę, szepcząc pospiesznie do ucha:

- Bądź gotowy zatkać sobie usta i nos.

Radża nacisnął sprężynę i szkatułka z brązu otworzyła się nagle.

Zaraz potem, kiedy wyciągnął rękę po Koh-i-Nura, rozeszła się dokoła niego woń tak ostra, że mu zabrakło oddechu.

- Co czynicie? - zapytał, obracając się szybko i sięgając prawą ręką po zakrzywiony talwar (rodzaj szabli.) O złotej rękojeści, wiszący mu u pasa.

Wyczuł może niebezpieczeństwo, ale zabrakło mu czasu, aby go uniknąć. Bandhara wylał na posadzkę zawartość małej buteleczki, którą dotąd ukrywał w ręku, a ta tajemnicza ciecz wydała zapach tak ostry, że dusił i oszalał księcia.

Toby i obaj jego towarzysze zakryli sobie szybko twarze chusteczkami przepojonymi zawartością drugiej buteleczki, mającą neutralizować działanie tamtej.

- Co czynicie? - powtórzył radża, blednąc.

Nie mógł dodać ani słowa więcej. Upadł w ramiona Indriego jak rażony gromem. Bandhara, szybki jak tygrys, pochwycił Koh-i-Nura i połyskiwał nim chwileczkę w świetle pochodni.

Góra Światła zasługiwała na tę nazwę, błyszczała w pomarszczonych palcach kornaka, rozsiewając oślepiające blaski. Był to wspaniały, niezrównanej czystości diament, ważący dwieście dziewięćdziesiąt dziewięć karatów.

Indri ułożył nieruchome ciało radży na ziemi, a włożywszy do szkatułki z brązu na miejsce

Koh-i-Nura czek na trzy miliony rupji, płatny w Barodzie, skoczył do drzwi, szarpiąc nimi gwałtownie.

Zaden z nich nie wymówił słowa ani nie odjął chusteczki, którą przyciskał sobie do ust i do nosa. Wszyscy jednakże wyciągnęli rewolwery.

Usłyszawszy pukanie, strażnik otworzył natychmiast. Na widok leżącego na ziemi radży i tych trojga uzbrojonych ludzi chwycił za halabardę w mniemaniu, że zabili jego pana; jednakże ostra woń, która przeniknęła cały pokój, ogarnęła i jego także. Zachwiał się, upuszczając broń, podniósł ręce do gardła i padł również, wydając głuchy okrzyk.

Droga była wolna. Toby, Indri i Bandhara rzucili się bladzi i wzruszeni ku schodom, gdzie woń wydawana przez tajemniczą ciecz, nie rozeszła się jeszcze.

- Uciekajmy natychmiast - rzekł Bandhara, kryjąc diament w szerokim pasie obejmującym jego biodra.

- A radża? - zapytał Toby zdławionym głosem. - Czy nie grozi mu żadne niebezpieczeństwo, jeżeli pozostanie wewnątrz sali?

- Żadne, sahibie. Środek, którego użyłem, wywołuje tylko lekkie omdlenie, nie trwające dłużej niż dwie lub trzy godziny.

- Nie odważę się wrócić na przyjęcie - rzekł Indri. - Mogliby się czegoś domyślić.

- Lub zdziwić się, że radża nie przyszedł z nami - dodał Toby - i zażądać od nas wyjaśnień.

- Wejźmy do ogrodów, sahibie - rzekł Bandhara. - Przylegają do naszego domu i do budynku, w którym umieszczono Bangavadiego.

- Ale którędy wyjść? - zapytał Toby z lękiem w głosie. - Szybko, Bandharo; przedłużająca się nieobecność radży może poruszyć wszystkich dworzan.

- Widziałem jakieś drzwi, sahibie.

- Prowadź nas.

Kornak powtórnie szybko wszedł na schody i spostrzegł przy końcu korytarza oszklone drzwi. Rzucił się w tym kierunku, pchnął je silnie i otworzył.

Za nimi rozciągały się wspaniałe ogrody pałacu książęcego, ozdobione licznymi pawilonami z białego kamienia, fontannami, grządkami przepysznych róż z Kaszmiru wydzielających silną woń oraz kępami magnolii, bananów, betelu i wspaniałych wawrzynów.

Pobiegli szybko do murów, które otaczały ogrody i dzieliły je od zabudowań przeznaczonych dla słoni i koni radży. Już dopadali do nich, kiedy jakiś Indus, pełniący straż w ogrodach, zastąpił im drogę, opuszczając ku ziemi trzymaną w ręku dźdę.

- Precz! - rzekł Bandhara, podnosząc rewolwer.

- Nie, nie strzelaj! - krzyknął Indri.

Toby, któremu również zależało na tym, aby żaden hałas nie zaalarmował pałacu, rzucił się błyskawicznym skokiem na strażnika wymierzając mu pięścią tak silny cios w czaszkę, że ten runął na ziemię, nie zdóławszy wydać najmniejszego okrzyku.

- Na mury! - zawołał.

Mury były oddalone o kilka kroków i miały najwyżej dwa metry wysokości. Badhara, który był najzręczniejszy z nich, przebył je pierwszy i zsunął się na drugą stronę. Spojrzawszy szybko dookoła upewnił się, że nikogo nie ma w stajni i pobiegł dalej. W odległości stu pięćdziesięciu kroków zarysował się dom; do uszu Bandhary doleciał ryk olbrzymiego Bangavadięgo.

Toby i Indri, opanowani wzmagającym się lękiem, biegli za nim, trzymając w ręku rewolwery. Byli zdecydowani na wszystko, nawet na utorowanie sobie drogi za pomocą broni.

Przedostawszy się także przez drugie ogrodzenie, dopadli domu. Bangavadi stał przy stopniach; na jego grzbiecie siedzieli dwaj służący myśliwego, Thermati i Poona, oraz mały Sadras, Dhundia zaś badał pobliską okolicę na małym, ognistym kucyku.

Ujrzawszy Toby'ęgo i jego towarzyszy, łotr pospieszył do nich.

- Uciekamy? - zapytał.

- Tak - odparł Indri.

- A Góra Światła?

- Jest w naszych rękach.

- To niemożliwe! - wykrzyknął Dhundia.

- Milcz, natychmiast ruszamy! - rzekł Toby. - Może w tej chwili znaleźli już radzę i spostrzegli kradzież.

- Dokąd jedziemy? - zapytał kornak.

- Na razie na południe. Opuszczamy wyżynę i poszukamy sobie schronienia w Gondwanie.

- Dobrze, sahibie - odpowiedział wierny kornak.

Wręczył diament Indriemu, a uchwyciwszy się trąby Bangavadięgo, zajął swoje miejsce.

- Czy w haudzie jest broń i zapasy żywności? - zapytał Indri Dhundię.

- Nie braknie niczego.

- Dlaczego nie wsiadasz z nami?

- Pojadę przodem, aby zbadać drogę; przyłączę się do was, skoro tylko opuścimy miasto.

Toby i Indri ulokowali się szybko w haudzie, a Bangavadi ruszył wielkimi krokami naprzód, zwracając się ku południowym wałom miasta.

- Jeżeli zdołamy przebyć granicę przed zaalarmowaniem całego kraju, jesteś ocalony, a

Parvati zapłaci za swoje łajdactwo - rzekł Toby do Indriego.

Były ulubieniec gaikwara nic nie odpowiedział, lecz ścisnął mu silnie prawą rękę. Dławiło go wzruszenie.

Rozdział XXV - Przygotowanie zasadzki

Dhundia, zostawszy sam, kiedy Toby, Indri i Bandhara udali się na nocną ucztę radży, aby dokonać ostatecznego zamachu, wezwał natychmiast rządcę gwałtownym uderzeniem w gong.

- Sahibie - zawołał tenże, wpadając do pokoju - czego sobie życzysz?

- Jeżeli zależy ci na tym, aby nie stracić udziału w zdobyciu Góry Światła, musisz koniecznie za pół godziny sprowadzić tutaj Sitamę i Barwaniego oraz wszystkich zaklinaczy i kuglarzy.

- Co się stało, sahibie?

- Dziś wieczorem biały myśliwy i Indri przywłaszczą sobie Koh-i-Nura.

- A to w jaki sposób? Zabrać radży diament wydaje mi się rzeczą jeśli nie możliwą, to przynajmniej bardzo trudną.

- To ich sprawa; jestem jednak pewny, że im się to uda. Wiem, że Bandhara zaopatrzył się w środki usypiające. Jak ich użyje - nie wiem i mało mnie to obchodzi. Natomiast nie chciałbym, aby mi wydarto diament. Weź najlepszego konia i pognaj natychmiast uprzedzić Sitamę. Ja tymczasem każę Sadrasowi i służącym Toby'ego przygotować Bangavadię do drogi.

- Za godzinę będę tutaj, sahibie - odparł zarządzający, wychodząc pośpiesznie.

- Starajmy się, by nas teraz nie zaskoczono - mruknął łotr. - Może Thermati i Poona otrzymali polecenie pilnowania mnie i znają fakira.

Przywołał obu służących i kazał im przygotować Bangavadię.

- Wyjeżdżamy dziś w nocy? - zapytał Thermati.

- Tak, wracamy do domu waszego pana - odparł Dhundia. - Zadanie nasze jest skończone i nie mamy nic więcej do czynienia w Pannahu. Ja tymczasem idę wystarać się o konia, aby nie obciążać zbyt gruboskórca.

- Mamy konie, panie.

- Są to zwierzęta mało wytrzymałe, które nie będą mogły długo biec na równi ze słońcem. Ofiarowano mi dzisiaj konia szybkiego jak wiatr.

Otulił się dupatą i wyszedł drogą wiodącą do bazaru.

- Z tej strony nadejdą - rzekł. - Chodźmy na ich spotkanie.

Spojrzał kilkakrotnie za siebie, aby się upewnić, że nikt nie poszedł za nim, po czym przystanął na rogu uliczki przy małym portyku, rzucającym głęboki cień.

Nie upłynęła godzina, kiedy w oddali usłyszał tętent galopujących koni. Oddalił się od portyku i ruszył naprzód środkiem ulicy.

Trzech jeźdźców zbliżało się z impetem trąby powietrznej. Mijając latarnię wiszącą przed jednym z domów, Dhundia poznał w pierwszym z nich zarządzającego.

- Stójcie - rzekł, zastępując im drogę.
- Czy to ty, sahibie? - zapytał zarządzający, zatrzymując rumaka.
- Zsiądźcie z koni.

Fakir i olbrzymi Barwani błyskawicznie zeskoczyli na ziemię.

- A Koh-i-Nur? - zapytał Sitama, zbliżając się szybko.
- Może w tej chwili znajduje się w ręku Indriego - odparł Dhundia.
- A my?
- Musimy go powtórnie ukraść, jeśli chcesz mieć pieniądze.
- Mów, sahibie, co mamy uczynić? Wszyscy moi ludzie są gotowi.
- Ilu ich jest?
- Około trzydziestu.
- Gdzie się znajdują?
- Przy świętym stawie.

- Zaprowadzisz wszystkich do baszty południowej i ukryjesz ich na wyżynie. W odpowiedniej chwili urządzisz na nas zasadzkę i zawładniecie Koh-i-Nurem.

- Trzeba powalić słonia, aby udaremnić pościg myśliwego.
- Połamiemy mu nogi - odezwał się Barwani. - Ja się tego podejmę.
- Tobie i Indri nie daliby nam spokoju - rzekł Dhundia. - Należy ich unieszkodliwić,

abyśmy mieli czas przekroczyć granicę Pannahu.

- W jaki sposób? - spytał Sitama.

- Och! to niezmiernie łatwo - odparł Dhundia z okrutnym grymasem. - Uprzedzi się radzę i każemy ich aresztować.

- Stracą życie - zauważył Sitama.

- A cóż mnie to obchodzi? Czy Indri zostanie pariasem, czy nie, mnie to wcale nie interesuje. Wystarcza mi Koh-i-Nur.

- A Parvati?
- Pozbędzie się w ten sposób rywala. Dobre macie konie?
- Mamy ich mniej więcej czterdzieści, a wszystkie są dobrej rasy - odparł Sitama.
- A broń?
- Kazałem kupić trzydzieści karabinów.
- Z pewnością dojdzie do walki.
- Nie cofniemy się przed nią - dodał Barwani.

- Kto podejmie się uprzedzić księcia i oskarżyć o kradzież Toby'ego, Indriego i Bandharę?

- Jeden z moich ludzi.

- Ufasz mu?

- Najzupełniej - odparł Sitama. - Skoro tylko zbiegowie opuszczą Pannah, rzucę straż księcia w ślad za nimi.

- Ale dopiero po wykonaniu naszego planu - rzekł Dhundia. - Jeżeli straż przybędą przedtem, nie dostaniemy Koh-i-Nura.

- Rozstawię kilku zaklinaczy poza miastem i na wyżynie i polecę im powiadomić mojego człowieka, kiedy będzie czas uprzedzić radzę.

- Liczę na ciebie, Sitamo.

- Nie obawiaj się, sahibie. Góra Światła będzie nasza.

- Natychmiast po wykonaniu naszego planu ucieknę z wami; schronimy się w górach Gondwany, a potem udamy się do Dżalbarpuru. Tam sprzedamy diament i każdy otrzyma swoją część. Jedźcie!... Czas nagli.

Sitama i Barwani wypadli co koń wyskoczy w ciemne ulice miast, a Dhundia kazał rządcy zsiąść z konia i obejrzał rumaka uważnie.

- To dobre zwierzę, prawda? - zapytał.

- Krew arabską ma w żyłach.

- Kto jest właścicielem konia?

- Radża.

- Biorę go dla siebie; książę ma za wiele koni, a żeby potrzebował i tego. Ty weźmiesz sobie innego i dogonisz później Sitamę.

- Pojadę przed słońcem i uprzedzę Sitamę o waszym odjeździe, aby wszyscy byli gotowi do zasadzki.

Zawrócili z wolna w stronę domu, gdzie stał Bangavadi. Thermati i Poona siedzieli na koniach z karabinami w ręku, a mały Sadras ulokował się w haudzie.

Nie upłynęło pięć minut, kiedy Bandhara, Toby i Indri zsunęli się z muru. Reszta jest wiadoma.

Bangavadi, popędzony przez kornaka, ruszył klusem naprzód, a Thermati, Poona i Dhundia, który także zaopatrzył się w karabin, jechali za nim, aby zabezpieczyć odwrót. Uciekali jak można najszybciej w stronę południowych wałów miasta. Toby i Indri, ciągle jeszcze wzruszeni, nie zamienili ze sobą ani słowa. Natomiast nadsluchiwali pilnie, ponieważ zdawało im się ciągle, że od strony pałacu radży rozległ się odgłos gongu alarmowego. Jednakże do tej chwili żaden dźwięk nie dobiegł do ich uszu.

- Jeszcze niczego nie zauważyli - rzekł nareszcie Toby, a Bangavadi przyspieszył kroku, dysząc i sapiąc. - Jeżeli ta cisza potrwa choćby kilka godzin, będziemy ocaleni.

- Ocaleni! Nie, Toby - odrzekł Indri przerywanym głosem. - Puszczą się za nami w pogoń, i to jak jeszcze! I kto wie, czy zdołamy przekroczyć granicę i schronić się wśród olbrzymich lasów Gondwany. Jest zresztą jedna rzecz, która nas zdradzi i nie pozostanie niezauważona.

- Co takiego? - zapytał Toby zdumiony.

- Twoja biała skóra.

- Przewidziałem to niebezpieczeństwo, Indri - rzekł myśliwy - i kazałem włożyć do naszej skrzyni oprócz zapasów także szaty książęce oraz tynktury, aby zmienić powierzchowność. Będziemy dwoma książętami z Holkaru, podróżującymi do Dżabalpuru, aby spełnić ślubowanie religijne.

- Uczyniłeś to, Toby? - wykrzyknął Indri z radością.

- Tak, mój przyjacielu.

- A zatem pomaluj się i przebierz natychmiast, o ile nie jest za późno.

Toby usunął jedwabne poduszki i otworzył skrzynię, stanowiącą część siedzenia haudy, a potem wyjął z niej dwie wspaniałe szaty haftowane złotem i srebrem oraz kilka buteleczek zawierających tynktury.

- Mam także fałszywe brody - rzekł Toby. - W ten sposób przeobrażenie nasze będzie zupełne.

- A Bandhara? - spytał Indri.

- Pomyślałem także o nim. Co do reszty, to nie potrzebują oni zmieniać skóry, ponieważ ani radża, ani żołnierze ich nie znają.

- Szybko, Toby. Może w tej chwili ruszają w pościg.

Przy pomocy Sadrasa myśliwy umył sobie twarz, szyję i ręce w tynkturze, którą wylano do srebrnej miednicy, zaczekał, aż go osuszy gorący wiatr nocny, po czym przypiął sobie wspaniałą brodę, nadającą mu wygląd poważnego raczputy, wreszcie włożył na siebie szatę książęcą. Indri poszedł za jego przykładem i nadał skórze, mającej barwę jasnobrązową, odcień ciemniejszy. Z własnych szat oraz z ubrania Bandhary utworzyli zawiniątko i rzucili je w środek gęstego krzaka.

Zaledwie zdążyli się przebrać, kiedy z miasta usłyszeli huk kilku dział oraz donośny głos trąb.

- Kradzież została odkryta! - zawołał Indri trwożnie. - Ach, Toby! Czuję, że serce mi staje!...

- Znajdujemy się już w odległości dwóch mil od Pannahu, a Bangavadi pędzi jak daniel.

- Ale mamy co najmniej sto sześćdziesiąt mil do przebycia, zanim dotrzemy do granicy.

- Przebedziemy je!

- Czy Bangavadi wytrzyma? Nie może biec bez przerwy.

- Na tej wyżynie są gęstwiny i głębokie wąwozy; ukryjemy się. Gdy Bangavadi nie będzie mógł biec dalej, zatrzymamy się.

- Patrz, Toby! Zdaje się, że dają znać o nas.

Myśliwy zwrócił wzrok w stronę Pannahu, który nieomal już znikł w ciemnościach.

Setki rac wylatywały ku niebu, krzyżując się we wszystkich kierunkach; na basztach i kopułach świątyń płonęły olbrzymie ognie. W kilkuminutowych przerwach słychać było huk armat.

- Komu zwiastują naszą ucieczkę? - zapytał Toby z trwogą.

Spojrzał na południe i ujrzał rozbłyskujące w ciemnościach punkty świetlne, które unosiły się wysoko w górę i nagle gasły. Na wschodzie i na zachodzie również było widać zielone, czerwone i niebieskie iskry, krzyżujące się ze sobą na ciemnym tle nieba.

- Czy wiesz, z kim porozumiewają się żołnierze radży? - zapytał Indri.

- Z hadi⁴² rozproszonymi wzdłuż granicy - odpowiedział Toby, a twarz jego zachmurzyła się.

- Załogi tych strażnic zastąpią nam drogę. Jestem pewny, że sygnały te oznaczają rozkaz zamknięcia wszystkich szlaków prowadzących na wyżynę oraz zatrzymania osób pragnących wkroczyć do państwa radży lub też opuścić je.

- Dokąd prowadzi droga, którą jedziemy? - zapytał Toby po chwili milczenia.

- Do doliny Senaru.

- Czy bronią jej hadi?

- Tak, dwa.

- Co czynić? - zapytał Toby bezradnie. - Jakkolwiek teraz nie można nas poznać, nie chciałbym, by nas zatrzymali żołnierze radży.

- Poszukajmy kryjówek w gęstych zaroślach i zaczekajmy, aż kontrola granicy osłabnie. Jeżeli nas nie znajdą, radża będzie przeświadczony, że udało nam się opuścić jego państwo.

- Rada twoja Indri, jest dobra. Udamy się do mego domu, który mało komu jest znany, i tam zaczekamy, aż żołnierze, rzuceni na nasz trop, cofną się. Moją posiadłość osłaniają bardzo gęste lasy, tak że będziemy mogli znaleźć bezpieczne kryjówki. Tymczasem moi ludzie będą czuwali w górach i doniosą nam o każdym niebezpieczeństwie. Później postaramy się przekroczyć granicę i udamy się do Gondwany.

⁴² Hadi - granica; tutaj: strażnica, twierdza graniczna.

Bandhara otrzymał rozkaz skierowania słonia w stronę domu Toby'ego, a po drodze miał się trzymać gęstych lasów wschodnich, aby z większym prawdopodobieństwem uniknąć pościgu, który musiał się już rozpocząć we wszystkich kierunkach.

Bangavadi nie zwalniał biegu, a nawet starał się przyśpieszyć go, wystawiając na ciężką próbę wytrzymałość koni Dhundii, Thermatiego i Poony. Zdawało się, że inteligentne zwierzę rozumie ogromne niebezpieczeństwo grożące jego panom, gdyż biegło prawie galopem, gwałtownie torując sobie drogę przez zarośla. Sunęło jak taran, usuwając potężną pierśią wszystkie przeszkody, powalając i depcząc drzewa i krzaki. Jeźdźcy, korzystając z drogi utworzonej przez kolosa, pędzili za nim.

Pannah już znikł, ale słyszano jeszcze głuchy łoskot armat, a huk, powtarzany echem głów, długo rozbrzmiewał w dolinach i głębokich jarach.

- Chyba cała kawaleria radży jedzie naszym tropem - rzekł Indri, na próżno starając się przebić wzrokiem gęstwiny.

- Tak - odrzekł Toby - ale wyprzedziliśmy ich znacznie. Poza tym grunt jest tutaj tak przeorany kopytami słoni, koni i dzikich zwierząt, że naszych śladów nie będzie można tak łatwo odnaleźć, zwłaszcza w tych ciemnościach. Oprócz tego są tutaj strumienie; przebędziemy je, ażeby lepiej zmylić pościg.

- Panie - odezwał się w tej chwili Bandhara - czy nic nie słyszysz?

- Chodzi ci o działa, które jeszcze grzmiały? - zapytał Indri.

- Nie mówię o armatach. Słuchaj, panie.

- Zatrzymaj słonia. W łoskocie obalanych drzew nic nie słychać.

Bandhara pogłaskał kolosa i lekko zaświstał. Bangavadi zwolnił biegu, po czym stanął w samym środku gęstwiny, dysząc głośno. Trzy konie zatrzymały się również, rade z tej krótkiej przerwy, pozwalającej odsapnąć.

Za laskiem słyhać było głuchy łomot, jakby wywołany kopytami koni pędzących w szalonym biegu przez wyżynę.

- To żołnierze radży! - krzyknął Indri, sięgając szybko po karabin.

- Ależ nie, to niemożliwe! - rzekł Toby. - Nie mogli przebyć dwunastu lub trzynastu mil w dwadzieścia minut. Chyba by mieli skrzydła.

- A jednak to galopujące zwierzęta.

- Dhundio - rzekł Toby, wychylając się z haudy - słyszałeś?

- Tak - odparł zapytany.

- Co o tym sądzisz?

- To uciekają dzikie zwierzęta - odrzekł Dhundia spokojnie.
- Hałas dobiega z zachodu - rzekł Toby. - Czy słyszysz, Indri?
- W naszym kierunku?
- Niech sobie pędzą. Naprzód, Bandharo, poganiaj słonia, co sił starczy.

Bangavadi wciągnął głośno powietrze i ruszył znowu dalej, powalając z piekielnym hałasem drzewa i łamiąc z impetem gałęzie, które mogłyby ugodzić kornaka oraz ludzi siedzących w haudzie.

W gęstwinie nie było już nic słychać. Nie dobiegał nawet głos armat od strony Pannahu.

Słoń kroczył wąziutkim, zarośniętym parowem, gdzie rosły rozłożyste drzewa lakowe i wysokie krzewy. Bez pomocy nadzwyczaj silnego zwierzęcia nikt nie mógłby się przez nie przedrzeć.

Bandhara z trudnością kierował gruboskórcę, który od czasu do czasu przystawał ociągając się, jak gdyby przeczuwał jakieś niebezpieczeństwo. Trzej jeźdźcy trzymali się ciągle tuż za nim, korzystając z przejścia utworzonego przez olbrzymie cielsko, a zamykającego się prawie natychmiast za nim.

Cisza panowała tam głęboka, lecz mimo to Bangavadi wciąż był niespokojny. Poganiany ciągle przez kornaka, słoń dotarł do końca parowu i chciał właśnie puścić się galopem przez otwierającą się przed nim równinę, kiedy nagle upadł ciężko na ziemię, wydając długi ryk.

Toby, Indri i Sadras, wyrzuceni z haudy wskutek tego nagłego wstrząsu, runęli w krzaki, na prawo i na lewo, Bandhara zaś, wywinąwszy dwa koziołki, wpadł w sam środek bagnistego strumyka, znikając aż po szyję.

Prawie w tej samej chwili oddział uzbrojonych ludzi wybiegł z krzaków, biorąc na cel Thermatiego i Poonę. Obaj nieszczęśnicy, ugodzeni kilkoma kulami, stoczyli się z siodła nie wydawszy okrzyku.

Kilku bandytów przeszukiwało haudę, pozostali zaś rzucili się na Toby'ego i Indriego, którzy leżeli wśród krzaków nie dając znaku życia. W jednej chwili rozebrali ich, przeszukując ich szaty. Okrzyk triumfu zwiastował wszystkim, że znaleziono to, czego szukano.

- Koh-i-Nur!... Do odwrotu!...

Potem wszyscy znikli w parowie poprzedzani przez Dhundię, który jak oszalały bódł ostrogami swojego konia.

Rozdział XXVI - Żołnierze radży

Bandhara był świadkiem rabunku bandytów i zdrady Dhundii, ale nie mógł uczynić nic, aby zapobiec pierwszemu, a ukarać drugą. Poznał on nie tylko Sitamę, przekłętą fakira, lecz także Barwaniego i kilku zaklinaczy, którzy napadli na niego tej nocy, kiedy próbował przeniknąć ich tajemnice.

Szamotał się rozpaczliwie i czepiał traw rosnących wzdłuż strumienia; po długich dopiero wysiłkach udało mu się wydostać z bagna. Było jednakże za późno, aby myśleć o ściganiu bandytów, gdyż ci już się byli rozproszyli, znikając w ciemnościach.

Nie zajmując się Bangavadim, którego przeraźliwe ryki rozlegały się w parowie, przedarł się przez krzaki, spiesząc na pomoc Toby'emu i Indriemu. Znalazł ich niemal nagich, leżących blisko siebie w takiej pozycji, że Bandhara na pierwszy rzut oka uważał ich za nieżywych.

- Zamordowali ich? - zapytał sam siebie, blednąc - podły Dhundio!... Biada tobie i fakirowi!

Spostrzegł jednakże natychmiast, że na ich ciele nie znać było ran, z wyjątkiem kilku nieznacznych zadraśnień, otrzymanych wskutek upadku w krzaki. Przyłożył ucho do piersi Indriego, później Toby'ego.

- Serca biją - rzekł. - zemdleli tylko.

Zdjął turban, podbiegł do strumienia, którego wody spływające z najwyższych szczytów Ghatów były lodowato zimne, a napełniwszy turban wodą, wylał ją czym prędzej na Indriego. Ten, czując spływającą po sobie zimną wodę, drgnął, po czym kichnął głośno.

- Panie! Panie! - krzyknął Bandhara, wstrząsając nim. W tej chwili ktoś za nim zaklął. To Toby sam powracał do przytomności i podnosił się na nogi.

- Do pioruna! - wykrzyknął myśliwy. - Co się stało? Czyśmy upadli?

- I okradziono nas w dodatku, sahibie - odparł kornak żalosnym głosem.

- Okradziono nas! - krzyknął Toby, otwierając szeroko oczy.

- Koh-i-Nur jest stracony!

- Do stu diabłów! Co ty mówisz?...

- Koh-i-Nur! Koh-i-Nur! - krzyknął ktoś zdławionym głosem.

Indri, przyszedłszy również do siebie, usłyszał ostatnie słowa Bandhary.

- Jak się czujesz, panie? - zapytał poczciwy kornak.

Zdawało się, że Indri nie słyszał nawet jego słów.

- Koh-i-Nur! - powtórzył z rozpaczą w głosie. - Kto mi go ukradł?

- Tak, mów, Bandharo! - krzyknął Toby.

- Dhundia i Sitama.

- Dhundia! - zawołali równocześnie Toby i Indri.

- Jest on w zмовie z fakirem i kazał w tym parowie przygotować na nas zasadzkę.

Indri wydał ryk wściekłości i rozpaczy. Dopiero w tej chwili spostrzegł, że chustka, w której był ukrył Górę Światła, nie opasuje mu już bioder. Zerwał się nagle, spoglądając dokoła siebie nieprzytomnym wzrokiem.

- Ukradli mi go! - krzyknął. - Ach!... Ale Indri nie umrze pariasem!...

Skoczył do swoich szat, które złodzieje rzucili w środek krzaka, i podniósł rewolwer, wiszący u pasa spodni. Wyrwał go jednym szarpnięciem i przyłożył sobie pod brodę.

Toby, szybki jak błyskawica, wytrącił mu broń z ręki.

- Indri, przyjacielu mój, co czynisz? - krzyknął wzruszony. - Co za szaleństwo chcesz popełnić?

- Pozwól mi, Toby! Dla mnie wszystko skończone!...

- Skończone! Zaledwie zaczęliśmy, przyjacielu.

- Złodzieje uciekli! Nie da się ich już schwytać, a ja będę zgubiony! - krzyknął Indri z rozpaczą.

- Niech sobie na razie uciekają. Wszystkie granice są strzeżone i nie tak łatwo opuszczą państwo radży. Ruszemy w pościg, nie dając im ani chwili spokoju, przez całe Indie, jeżeli będzie trzeba, ale pewnego dnia dogonimy ich, a Dhundia, ten podły zdrajca, i fakir zapłacą za wszystko.

- Dhundia! Sądzisz więc, że nas istotnie zdradził?

- Tak, panie - rzekł Bandhara. - Uciekł razem z zaklinaczami, uściskawszy przedtem rękę fakirowi i Barwaniemu.

- Ale co się właściwie stało? - zawołał Toby. - Ja nie przypominam sobie nic od chwili, kiedy Bangavadi upadł.

- Bandyci byli zaczajeni w krzakach. Rzucili się na nas, zabili Thermatiego i Poone, zabrali diament i uciekli.

- Moi słudzy zabici! - wykrzyknął Toby z bólem. - Może są tylko ranni. Poszukajmy ich, Bandharo.

- Nie potrzebujesz ich szukać, panie. Leżą tam, za słoniem, bez życia. Zostali zastrzeleni z bliska.

- A Sadras? - zapytał Indri.

- Sadras! - wykrzyknął Bandhara zdumiony, że dotąd nie pomyślał o chłopcu.

- Nie widziałem go więcej.

- Czy się zabił, wypadając z haudy? - zapytał Toby. - Poszukajmy go, potem dosiądziemy Bangavadięgo i popędzimy do mego domu. Uzbroimy służących i rzucimy się w pogoń za złodziejami. Nie, nie straciłem nadziei, że odzyskamy Górę Światła.

- Nie liczcie już na mojego słonia - rzekł Bandhara ze smutkiem. - Te żalosne ryki dowodzą, że prędko życie skończy.

- Czy go zranili?

- Musiał sobie złamać przednie nogi.

- Przekleństwo! Wszystko się zwraca przeciwko nam! - krzyknął Toby.

Podeszli do słonia, którego głos rozlegał się w całym parowie. Zaledwie uczynili kilka kroków naprzód, kiedy idący na przedzie Bandhara upadł.

- Nędznicy! - krzyknął kornak. - Oto co złamało nogi Bangavadiemu.

- Co takiego? - zapytali jednogłośnie Toby i Indri.

- Fakir kazał przeciągnąć w poprzek parowu silny drut.

Toby nachylił się, usuwając krzewy i wysokie trawy pokrywające dno wąwozu i spostrzegł duży zwój skręconego drutu, podobny do tych, jakich używa się na parowcach, a także w szybach kopalnianych. Umieszczono go na wysokości jednego metra od ziemi, przymocowując do pni dwóch wielkich tamarynd, rosnących nad wąwozem. Słoń, który biegł szybko, uderzył o zaporę niezauważywszy jej i został w jednej chwili zatrzymany, później potknął się, a upadając, złamał sobie na skalistym gruncie przednie nogi.

Jednakże bandyci nie poprzestali na tym. Biedny słoń otrzymał oprócz tego straszny cios siekierą lub szablą w tylną nogę, który przeciął mu ścięgno; rana ta, będąc bardzo ciężką, musiała w krótkim czasie spowodować śmierć zwierzęcia.

Na widok Bandhary gruboskórzec, któremu ze zranionej nogi uchodziła obficie krew, wyciągnął ku niemu trąbę, jak gdyby prosił go o pomoc. Ryczał głucho i wielkie łzy płynęły mu z oczu, a silne drganie wstrząsało całym ciałem.

- Biedne zwierzę! - wykrzyknął wzruszony kornak. - Twój koniec nadchodzi!

- Skróćmy mu konanie - rzekł Toby, podnosząc karabin, który wypadł z haudy. - Przykro mi patrzeć, jak to poczciwe zwierzę cierpi.

- Mnie także, Toby - rzekł Indri.

Myśliwy wsunął otwór strzelby do ucha słonia, nie dotykając go, i wypalił. Ostatnim wysiłkiem Bangavadi uniósł się na złamanych nogach, wydając przeraźliwy ryk, wyciągnął w górę trąbę, po czym ciężka masa opadła na bok z łoskotem podobnym do dalekiego grzmotu.

Chwilę jeszcze konwulsyjne drganie wstrząsało ciałem, potem trąba wyciągnęła się wśród krzaków, uchodził z niej strumień krwi. Głuchy jęk wydobył się z gardła kolosa, lecz wkrótce ucichł. Bangavadi nie żył.

- Biedny przyjaciel - rzekł Bandhara, przesuając ręką po głowie gruboskórca, wstrząsanego jeszcze ostatnim dreszczem.

- A teraz poszukajmy Sadrasa - rzekł Toby, odrzucając prawie ze wstrętem karabin. - Nadejdzie dzień, kiedy pomścimy także i Bangavadięgo.

Obszedł wkoło słońca i zatrzymał się przy zwłokach sług, tłumiąc westchnienie.

Thermati i Poona leżeli w odległości trzech kroków od siebie, obok konia, który został równocześnie z nimi zabity. Obaj byli przeszyci kilkoma kulami, jednakże nie porzucili karabinów, trzymając je nadal w zeszywniałych palcach.

- I tych musimy pomścić! - wykrzyknął Toby głuchym głosem. - Jeżeli...

- Okrzyk Bandhary przerwał jego słowa.

- Co się stało? - zapytał Toby.

- Nie widzę drugiego konia.

- Z pewnością zabrali go bandyci.

- Nie, sahibie. Kiedy uciekali, tylko Dhundia siedział na koniu; wszyscy inni biegli pieszo.

- Jesteś tego pewny? - zapytał Indri.

- Tak, panie. Minęli mnie wszyscy i gdyby mieli dwa konie, byłbym to spostrzegł.

- I co z tego wnosisz! - spytał Toby.

- Tymczasem nic; poszukajmy naprzód małego Sadrasa.

Zaczęli przeszukiwać krzaki dokoła konia, zapuszczając się aż do brzegów strumyka, nie mogli jednak odnaleźć ciała chłopca.

To zniknięcie jest bardzo tajemnicze - rzekł Toby. - Czyżby Sadras był w zмовie z zaklinaczami?

- Nie uwierzę w to nigdy, sahibie - odparł Bandhara. - Miałem zbyt wiele dowodów jego wierności.

- Może go porwali?

- Ale w jakim celu? - zapytał Indri.

- Może dzielny chłopiec puścił się za zaklinaczami, aby być nam przydatnym w poszukiwaniach? - zapytał z kolei Toby. - Pokazał, że jest odważny i chytry, jak człowiek dorosły. Jeżeli tak postąpił, zobaczymy go z pewnością. Czy wiedział, że jechaliśmy do mojego domu?

- Tak - odrzekł Indri. - Był z nami, kiedy mówiliśmy o tym.

- Znajdzie go bez trudności. Przyjaciele, opuśćmy to miejsce i chodźmy do mnie. Mój dom

nie może być zbyt daleko.

- A potem? - zapytał Indri z trwogą.

- Ja mam także dobrego słonia, puścimy się zatem w pogoń. Dhundia i fakir nie wydostaną się z tej okolicy. Chodź, Indri. Ja jeszcze wierzę w naszą szczęśliwą gwiazdę.

- Niech tak będzie - odpowiedział były ulubieniec gaikeara. - Walka jest rozpoczęta i pragnę ujrzeć jej wynik. Rozumiem teraz, że byłbym popełnił głupstwo, odbierając sobie życie.

- Była to przygnębiająca chwila, ale teraz jestem szczęśliwy, że cię widzę silniejszym niż przedtem. Chodźmy, przyjaciele. Skoro będziemy w domu, przyślę tu kogoś, aby pochował przyzwoicie moich dwóch służących i przyniósł ze sobą haudę.

Zarzucili karabiny na ramię, spojrzeli ostatni raz na Thermatiego i Poonę oraz na biednego Bangavadięgo, którego olbrzymie ciało nabrzmiewało w oczach z powodu rozszerzania się gazów wewnętrznych, po czym wyszli z tego parowu, gdzie nieledwie sami byliby stracili życie.

Stali na wschodnim stoku wyżyny. Przed nimi rozciągała się rozległa równina, zarosła kalamem, od północy graniczyły z nią ponure lasy, z południa zamykał ją strumień, może dopływ Senaru, którego głuchy szum dochodził aż do nich. Nigdzie nie było widać ani żywej duszy. Po dokonanych zamachu zaklinacze rozproszyli się, próbując przedostać się przez granicę, co było rzeczą niezmiernie trudną z powodu licznych hadi, jakie z tej strony zamykały przesmyki górskie.

O jedenastej przed południem trzej podróżni, przebywszy czternaście mil wśród jarów, lasów i łąk, dotarli do domu Toby'ego. Wszyscy byli tak wyczerpani, że z trudnością trzymali się na nogach. Nawet Toby, jakkolwiek przyzwyczajony do długich marszów przez lasy, upadał ze znużenia.

Służba przyjęła go radośnie, nie domyślając się niepowodzenia pana oraz smutnego końca Thermatiego i Poony.

- Odpocznijmy nieco - rzekł Toby do Indriego. - Tymczasem moi ludzie przygotowują wszystko do pościgu. Mam dobrego słonia, rasowe konie, mnóstwo broni i pięciu dzielnych ludzi, co nie będą się obawiali starcia ze złodziejami Koh-i-Nura.

Posiliwszy się trochę, wyciągnęli się w hamakach wiszących pomiędzy gałęziami olbrzymiej tamaryndy, która ocieniała część ogrodu. Po tyłu przejściach wszyscy trzej odczuwali potrzebę wypoczynku.

Spali kilka godzin, a ludzie myśliwego czynili przygotowania do odjazdu. Nagle zbudził ich ogłuszający hałas. Usłyszano krzyki, rżenie koni, łoskot kopyt końskich i odgłos trąb.

Toby, zdumiony i wielce zaniepokojony, wyskoczył szybko z hamaka, przywołał ludzi i dopytywał się o coś z ożywieniem.

- Co się dzieje, Toby? zapytał Indri, który przebudził się również.

- Zdaje się, że przybyli jacyś żołnierze konni - odpowiedział myśliwy.

Dziesięciu żołnierzy radży, uzbrojonych w długie karabiny, pomimo protestów służby wtargnęło pod dowództwem oficera na podwórze i wkroczyło do ogrodu.

- Przygotujcie broń - rozkazał oficer.

Toby, opanowany gwałtownym niepokojem, zbliżył się do oficera; za nim szli Indri i Bandhara.

- Czego sobie życzyacie? - zapytał myśliwy, starając się zapanować nad sobą.

- Otrzymałem rozkaz aresztowania ciebie i twoich towarzyszy w jakimkolwiek miejscu w obrębie państwa mojego pana.

- Mnie, łowcę tygrysów?

- Ciebie, Toby'ego Randala.

- To musi być nieporozumienie.

- Nie, sahibie - odparł oficer stanowczo.

- O co się mnie oskarża?

- Ukradłeś Koh-i-Nura.

- Nie ukradłem go, ponieważ zapłaciłem za niego trzy miliony, milion więcej, niż wynosi jego wartość.

- Ja o niczym nie chcę wiedzieć. Otrzymałem rozkaz aresztowania was i odebrania Koh-i-Nura.

- Jeżeli chcesz nas aresztować, uczyni to, gdyż nie będziemy stawiali oporu; ale jeżeli chcesz odebrać Górę Światła, nie zatrzymuj się tutaj ani chwili.

- Co mówisz, sahibie?

- Koh-i-Nur nie znajduje się już w naszych rękach, ponieważ tej nocy został nam skradziony przez bandę zaklinaczy i dakoitów pod wodzą jakiegoś fakira imieniem Sitama.

- Chcesz mnie oszukać, sahibie?

- Nie, wszystko to jest prawdą. Patrz, kazałem przygotować słonia, aby udać się w pogoń za złodziejami. Służba moja może potwierdzić, że nie kłamię.

- A dokąd uciekli ci dakoici?

- W stronę najbliższej granicy - odparł Toby.

- Jeżeli mają nadzieję, że ją przekroczą, to się mylą - zauważył oficer. - Wszystkie załogi hadi otrzymały rozkaz zamknięcia przejść i nikt nie opuści państwa radży bez specjalnego pozwolenia. Sahibie, czy przysięgasz mi na swój honor, że już nie masz Koh-i-Nura?

Przysięgam - odparł Toby.

- Uprzedzam cię, że nie przydałoby ci się na nic, gdybyś kłamał, gdyż poczyniłem środki

ostrożności, aby zapobiec twojej ucieczce. Rozstawiłem dwudziestu żołnierzy dokoła domu.

- Nie uciekniemy, przyrzekam to.

- Wyślę dwóch moich ludzi do Pannahu, aby uprzedzić radzę o tym, co się stało.

- Uczyń to bezzwłocznie, gdyż i nam zależy, aby odnaleziono Górę Światła, która kosztuje nas trzy miliony.

Oficer zwrócił się do swoich ludzi i zamienił z nimi kilka słów. Po chwili dwaj jeźdźcy opuścili ogród, poganiając gwałtownie rumaki.

- Za cztery godziny będą w Pannahu - rzekł oficer, zwracając się znowu do Toby'ego. - Jednakże muszę wykonać otrzymany rozkaz i aresztować was.

- Uczyń tak; to jest twój obowiązek.

- Nie zamierzam jednakże związać was jak zwykłych złoczyńców ani też zamknąć w pokoju. Dopóki moi ludzie nie wrócą z nowymi rozkazami, ograniczę się do otoczenia domu żołnierzami, jakkolwiek polegam na twoim słowie.

- Jesteśmy ci wdzięczni za tę uprzejmość, i jeżeli się zgodzisz, zjemy razem śniadanie.

- Dziękuję, sahibie - odrzekł oficer z uśmiechem. - Nie odmawiam, w ten sposób będę mógł strzec was lepiej.

- Pragnąłbym jednak poprosić cię o pewne wyjaśnienie.

- Mów, sahibie.

- Kto ci powiedział, że przyszliśmy tutaj?

- Jakiś Indus, którego spotkaliśmy przed godziną w odległości trzech mil od waszego domu. Ujrzawszy nas przejeżdżających, zawołał mnie i odezwał się: "Jeżeli chcecie schwytać złodziei Koh-i-Nura, udajcie się do domu łowcy tygrysów". Potem oddalił się szybko, spinając konia ostrogami.

- Był to jeden z dakoitów fakira - zauważył Toby. - Jak przebiegli są ci ludzie!... I kiedy my siedzimy tutaj beczynnie, oni może przedostaną się przez granicę.

- Nie uda im się to, zapewniam cię, sahibie - rzekł oficer. - Wszystkie przesmyki są obecnie strzeżone, a nawet góry. Cztery tysiące jeźdźców przebiega wyżynę.

Toby zbliżył się do pogrążonego w rozpacz Indriego.

- O czym myślisz, przyjacielu? - zapytał go.

- Ty jeszcze masz nadzieję, Toby?

- Nie tylko mam nadzieję; widzę nawet, że nasza sprawa zaczyna przedstawiać się nieco lepiej. Koh-i-Nur nie jest jeszcze stracony, a jeżeli my go nie odzyskamy, to przynajmniej zalejemy sadła za skórę temu łotrowi Dhundii i szelmie fakirowi. A potem... zobaczymy. Tymczasem każmy przygotować śniadanie i nie zapomnijmy także o tych biednych radźputach, którzy nas strzegą.

Rozdział XXVII - Wspaniałomyślność księcia

Minęło siedem godzin od chwili odjazdu dwóch radźputów, siedem godzin ciągłego niepokoju dla Toby'ego i Indriego, zmuszonych do bezczynności. W tym czasie Dhundia i fakir przekraczali może granicę. Wtem, w godzinę po zachodzie słońca, Toby usłyszał w oddali dźwięk kilku trąb.

W towarzystwie oficera wyszli pośpiesznie na werandę, skąd widać było wielki obszar ogromnej wyżyny.

Na północy ukazywały się liczne punkty świetlne, błyszczące wśród wysokich traw i zarośli niziny; można było również dostrzec niewyraźnie jakąś ciemną masę, która powiększała się w oczach.

- Kto to jest? - zapytał Toby.

- Musi to być jakaś ważna osobistość - odpowiedział oficer. - Może radza przysłała tutaj swego ministra?

- Przyjmiemy go odpowiednio do Jego wysokiego stanowiska - rzekł Toby z pewną ironią.

Oficer przywołał dwóch żołnierzy pełniących straż pod werandą i rozkazał im wyruszyć na rozpoznanie oddziału, który właśnie przebywał głęboki wąwóz.

Po upływie kwadransa oddział ukazał się na wyżynie, galopując w stronę domu. Składał się z około dwudziestu jeźdźców i czterech maśalczych zaopatrzonych w pochodnie, aby oświetlać drogę. Wszyscy zostali dobrze uzbrojeni, gdyż widać było połyskujące strzelby i dzidy.

Dwaj radźpuci, wysłani przez oficera, dobiegli do nich, a teraz wracali w szalonym galopie, wydając głośnie okrzyki.

- Sahibie - rzekł jeden z nich, zatrzymując konia okrytego pianą. - Przygotuj się na przyjęcie radży.

Toby i Indri drgnęli.

- Radży!... - wykrzyknął myśliwy, blednąc. - Do licha!... Jakaż burza ma się rozpętać?

- Toby, życie nasze jest w niebezpieczeństwie - rzekł Indri.

- Postaramy się je ocalić. Chodźmy przyjąć Jego Wysokość i czynmy honory domu.

Udał się do sali parterowej i kazał zapalić dwa srebrne kandelabry, których używał tylko w wyjątkowych okolicznościach, oraz polecił służbie zgromadzić się z pochodniami przed gankiem.

Radza i jego orszak, składający się ze wspaniałych, rośłych radźputów, ukazał się w tej chwili na podwórzu. Toby, stojąc na pierwszym stopniu, oczekiwał go z kapeluszem w ręku, bez

zuchwałości, chłodny, spokojny, jak człowiek pewien swej sprawy.

Radza zsiadł z konia, rzucił dokoła siebie spojrzenie, a spostrzegłszy Toby'ego, zbliżył się do niego, odzywając się głosem lekko szyderczym:

- Rad jestem bardzo, że cię znowu oglądam, panie Randal. Nie spodziewałeś się mnie chyba, co?

- Nie sądziłem, że będę miał zaszczyt przyjmować tutaj Jego Wysokość radzę Pannahu.

- Byłego właściciela owej Góry Światła, którą sprzątnęliście mi tak zręcznie - rzekł książe z uśmiechem.

Toby uznał za wskazane nie odpowiedzieć. Widząc jednakże, że radza uśmiecha się dobrodusznie, uczuł, że wraca mu odwaga.

“Nie zdaje mi się, aby był zbyt zagniewany - pomyślał. - To dobry znak”.

Potem odezwał się głośno:

- Czy Wasza Wysokość pozwoli, aby jego więzień ofiarował mu gościnność w skromnym domu?

- Tej propozycji nie odrzucę, zwłaszcza po tak długiej przejażdżce, panie Randal.

- Niech więc Wasza Wysokość pozwoli iść naprzód.

- Panie Toby, podziwiam twój dowcip - rzekł radza tonem ciągle dobroduszny. - Ach!... Ci Europejczycy! - Udał się za myśliwym do sali parterowej i wyciągnął się wygodnie na miękkim fotelu, który mu przysunięto.

Toby stał przed nim, Indri zaś i Bandhara w rogu pokoju.

- Usiądź pan, Randal - odezwał się radza - i odpowiedz mi przede wszystkim na jedno pytanie.

- Jestem na rozkazy Waszej Wysokości.

- Czy jesteś bardzo bogaty?

- Ja!... Nie, Wasza Wysokość! zawołał były podoficer, zdumiony tym nieoczekiwanym pytaniem.

- A jednak zostawiłeś mi czek na trzy miliony, kiedy Górę Światła oceniono tylko na dwa.

- To nie ja podpisałem czek, Wasza Wysokość.

- Istotnie, zobaczyłem u dołu nazwisko: Indri Sagar.

- Były minister i były faworyt gaikwara Barody - rzekł Toby, przedstawiając Indriego, który skłaniał się przed radzą.

Ten powstał, spoglądając na niego ze zdumieniem i ciekawością zarazem.

- A zatem zabraliście mi, a raczej nabyliście diament z polecenia gaikwara.

- Nie, Wasza Wysokość, na mój rachunek - odparł Indri. - Potrzebowałem go koniecznie, aby nie stracić honoru.

- Wy tłumacz się.

- To długa historia, Wasza Wysokość.

- Nie śpieszę się bynajmniej z powrotem do Pannahu. Najprzód pragnę się dowiedzieć, czy to prawda, że wam ukradziono Koh-i-Nura.

- Prawda, Wasza Wysokość - odpowiedzieli jednogłośnie Toby i Indri.

- Niech sobie złodzieje na razie uciekają. Przedsięwziąłem takie środki ostrożności, że nie zdołają przekroczyć granic mego państwa i będą zatrzymani.

- Są zręczni i odważni, Wasza Wysokość - zauważył Toby.

- Mimo to nie zdołają przedostać się do Gondwany lub do Holkaru. Także granice północne są strzeżone przez liczne oddziały kawalerii.

Służba wniosła piwo, wina, fajki i cygara, a Indri zaczął opowiadać swoje niepowodzenia, nie opuszczając niczego; zainteresował niezmiernie radzę, który, nie chcąc stracić ani słowa, pozwalał nawet, żeby mu często gasło wonne cygaro Manilla, które mu podał był Toby.

Gdy Indri skończył, książę milczał dłuższą chwilę, po czym podając nagle rękę byłemu faworytowi gaikwara, odezwał się do niego:

- Wybaczam wam brzydki figiel, któryście mi wypłatali, aby przywłaszczyć sobie Koh-i-Nura. Przybyłem tutaj z zamiarem pomszczenia przykrew chwili, jaką przeżyłem z waszej przyczyny, ale teraz już się nie gniewam. Jesteście dzielnymi ludźmi. Uwolniliście moje kopalnie od dwóch pożeraczy ludzi. Tygrysy zagrażały życiu moich poddanych, a ja przez ich napady traciłem diamenty i miałem coraz szczuplejsze dochody. Jesteście też uczciwi, gdyż zapłaciliście mi za Koh-i-Nura więcej, niż wynosiła jego wartość, chociaż moglibyście tego nie uczynić i nawet obrabować mój skarbiec. Muszę więc być dla was wspaniałomyślnym. Koh-i-Nur jest wasz, a ja pomogę wam w odzyskaniu diamentu.

- Ach! Dzięki Waszej Wysokości! - wykrzyknął Indri, rzucając się do kolan księcia. - Dajesz mi, panie, możliwość zwyciężenia moich nieprzyjaciół i ocalenia honoru, który jest mi droższy niż życie. Nie stanę się już nędznym pariasem.

Radza klasnął w dłonie.

- Ilu ludzi masz ze sobą? - zapytał oficera dowodzącego radżputami czuwającymi nad domem.

- Trzydziestu, Wasza Wysokość.

- Czy wszyscy wyborowi?

- I dzielni.

- Czy wystarczą do pościgu za złodziejami? - zapytał ksiązę, zwracając się do Toby'ego i Indriego.

- Tak, Wasza Wysokość - odpowiedzieli.

- Daję ich do waszej dyspozycji i życzę, żebyście wkrótce odzyskali Koh-i-Nura.

- Wasza Wysokość - rzekł Indri - w jaki sposób będę mógł wywdzięczyc się wam za tę wspaniałomyślność?

- W jaki sposób? - odrzekł radża, powstając i uśmiechając się. - Przyjmując nagrodę, którą wyznaczyłem dla zwycięzców dwóch pożeraczy ludzi.

- Zrzekliśmy się jej.

- Na Śiwę! nikt się nie zrzeka stu tysięcy rupji!

- Wasza Wysokość - rzekł Toby - było ich tylko dziesięć tysięcy!...

- Za jednego tygrysa, ale nie za dwa. Milcz pan, Randal, i schowaj nagrodę do kieszeni. Ja i tak zrobiłem dobry interes. Panowie, będę zadowolony, kiedy zobaczę was znowu w Pannahu, i to z Koh-i-Nurem.

- Przyrzekamy to Waszej Wysokości.

Radża wypróżnił szklankę piwa, uściśnął rękę Toby'emu i Indriemu, a wyszedłszy na podwórze, dosiadł konia.

- Powodzenia - rzekł - a jeżeli będziecie potrzebowali więcej ludzi, nie zapominajcie, że mam jeszcze sześć tysięcy radźputów.

Skinął ręką na pożegnanie i oddalił się z całym orszakiem, pozostawiając Toby'ego i Indriego bardziej zdumionych niż kiedykolwiek tą nieoczekiwaną wspaniałomyślnością.

- No i co, Indri? - zapytał myśliwy, śmiejąc się.

- Nie spodziewałem się takiego szczęścia! - wykrzyknął tenże, rzucając się byłemu podoficerowi w objęcia. - I zawdzięczam je tylko tobie, mój wierny przyjacielu.

- W pogoń, Indri. Obedrzemy ze skóry tego nędznika Dhundię, który nas tak zręcznie wprowadził w pole, i tego psa fakira, a potem damy się we znaki Parvatiemu.

- Tak, wszyscy zapłacą za swoją zdradę - rzekł Indri drżącym głosem. - Gaikwar wymierzy im sprawiedliwość.

W dziesięć minut później galopowali przez ciemną równinę razem z oficerem i trzydziestoma radźputami.

Rozdział XXVIII - Ucieczka złodziei

Dhundia, fakir i zaklinacze, przywłaszczwszy sobie Koh-i-Nura i zraniwszy ciężko słonia, aby uniemożliwić pościg Toby'emu i Indriemu, opuścili pospiesznie parów, uciekając na południe. Wskoczyli na konie, które podczas zasadzki pozostawili na nizinie pod okiem kilku ludzi, i spodziewali się dotrzeć do granicy, zanim przesmyki zostaną zamknięte przez załogi hadi. Już tylko dwadzieścia mil dzieliło ich od doliny Senaru wybranej przez Barwaniego i fakira, aby wkroczyć do Gondwany, a odległość tę konie ich mogły przebyć przed ukazaniem się jutrzenki.

Sławny diament przeszedł natychmiast do rąk Dhundii, który od razu stał się przywódcą tej bandy odważnych łotrów, zwerbowanych przezeń dla Parwatiego.

Przebywszy dziesięć mil w szalonym pędzie, dakoici zatrzymali się w głębokiej dolinie, żeby dać nieco wytchnienia koniom, a także aby naradzić się pomiędzy sobą, w jaki sposób zmylić czujność załóg hadi, gdyby te już otrzymały rozkaz nie przepuszczania osób przybywających z głębi państwa.

Właśnie mieli ruszyć w dalszą drogę, kiedy usłyszeli tętent konia zbliżającego się w szybkim galopie do doliny.

- To musi być jeden z ludzi, których zostawiłem za sobą, aby śledzili myśliwego i Indriego - rzekł Barwani.

Po chwili jakiś jeździec wynurzył się z kępy wysokich krzewów i przyłączył się do bandy.

- To ty, Shungu? - zapytał olbrzym, mierząc do niego z karabinu.

- Tak, sahibie - odparł przybyły obracając błyskawicznie konia.

- Jakie nowiny przynosisz?

- Przychodzę z wąwozu.

- Czy wszyscy żyją?

- Biały myśliwy, Indri i kornak puścili się w drogę do domu Anglika, inni zginęli.

- A słoń?

- Zabili go, aby mu skrócić mękę.

- Po takim ciosie siekierą, jaki mu wymierzyłem w nogę, nie mógł iść dalej - zauważył Barwani, śmiejąc się. - Nie widziałeś żadnego oddziału żołnierzy?

- Nie, ale jeźdźcy radzy nie mogą być daleko. Posłałem dwóch ludzi w kierunku Pannahu, aby naprowadzili ich na trop białego myśliwego.

- Jesteś mądry i otrzymasz sto rupji więcej niż inni.

- Sahibie, ruszajmy.

- Jestem gotów - odparł Dhundia.

Popuścili cugli i cała banda ruszyła w zwartej grupie kierując się do doliny Senaru, oddalonej najwyżej o osiem lub dziesięć mil.

Wyżyna zaczynała pochylać się łagodnie, przerywana od czasu do czasu głębokimi wąwozami, wśród których huczały wody gwałtownych strumieni, i nagłymi rozpadlinami, pokrytymi bardzo gęstymi zaroślami, utworzonymi najczęściej z niskich tektonii. Kilka mil dalej pochyłość wyżyny stała się tak stroma, że zmusiła jeźdźców do powstrzymania galopu ognistych rumaków. Zbliżali się do doliny Senaru tworzącej olbrzymią rozpadlinę powstałą w ciągu stuleci pod nieustannym naporem wody, która utorowała sobie drogę wzdłuż krańca wyżyny.

Jedna tylko droga prowadzi z księstwa Pannahu do Gondwany, wąska, kręta, niewygodna, granicząca z rzeką. Jest to jedyne wyjście, jakie istnieje w tej okolicy, bo po prawej i lewej stronie rzeki są tylko straszne, prawie niedostępne przepaście.

Dotarłszy do krańca wyżyny, jeźdźcy zatrzymali się. Przed zapuszczeniem się w ten wąski przesmyk chcieli się upewnić, czy załogi strażnic zajęły już drogę i brzegi rzeki, aby nie narazić się na niebezpieczeństwo, że zostaną zatrzymani.

Barwani, Sitama i Dhundia rozkazali ludziom, by ukryli się w gęstwinie aplatanów, a sami poszli naprzód. Zaledwie uszli kilkaset kroków, kiedy z ust Barwaniego padło przekleństwo.

- Za późno! - krzyknął. - Zamknęli nam drogę.

- Czy to żołnierze radży? - zapytał Dhundia z gestem wściekłości.

- Tak.

W głębi doliny widać było dwa olbrzymie ogniska oświetlające oba brzegi rzeki, a dokoła nich stało kilku ludzi w ogromnych turbanach, uzbrojonych w długie strzelby połyskujące w blaskach płomieni.

- Radżpuci - zauważył Sitama. - Przekleństwo!... Już zostali uprzedzeni!...

- Dużo zdołaliśmy zrobić - odezwał się Dhundia - gdyż diament znajduje się obecnie w naszych rękach; lecz jeszcze wiele pozostaje do zrobienia.

- Czy sądzisz, sahibie, że załogi graniczne zostały już uprzedzone?

- Jestem tego pewny; kiedyśmy opuszczali Pannah, widziałem sygnały świetlne, które odpowiadały na inne, dawane na basztach i na szczytach świątyń.

- I myśmy je widzieli - rzekł Barwani.

- Odpowiadano również strzałami z armat - dodał Sitama. - I przybywamy za późno, aby znaleźć wolne przejście - rzekł Dhundia. - Czy znacie dolinę Senaru?

- Doskonale - odparł Sitama.

- Ile tam jest strażnic?

- Cztery.

- z silnymi załogami?

- Z pewnością, gdyż radża trzyma znaczną część strzelców na granicach.

Dhundia skrzywił się.

- Nie można by ominąć tej doliny? - zapytał.

- To niemożliwe, sahibie - odpowiedział Barwani. - W innych miejscach wyżyna spada prawie pionowo na przeszło tysiąc pięćset metrów i żaden koń ani nawet człowiek nie mógłby tam zejść.

- Można by spróbować przedostać się przez dolinę nocą - rzekł Sitama.

- I stracić cały dzień? Czy sądzisz, że Toby i Indri pozostali beczynni?

- Nie niepokój się nimi, sahibie - zauważył Barwani. - Przypuszczalnie są już aresztowani.

Zostawiłem kilku ludzi z poleceniem, aby wskazali żołnierzom radży, gdzie się znajdują złodzieje Koh-i-Nura.

- Miałeś świetną myśl - rzekł Dhundia. - Czy powiedziałaś swoim ludziom, żeby się przyłączyli do nas w dolinie?

- Tak, ale niektórzy pójdą za Indrim i myśliwym, póki ich straż radży nie zaaresztuje.

- A my tymczasem uciekniemy spokojnie do Gondwany. Znam te strony jak własną kieszeń i zaprowadzę was bezpiecznie do Dżabalpuru, gdzie sprzedamy Górę Światła.

- Mój szczerp mieszka w tych górach i gdyby nas miano ścigać także i na tym terytorium, umiałbym znaleźć niedostępne kryjówki, a nawet ludzi gotowych nas bronić. Moi ziomkowie nie zapomnieli z pewnością bramina, który składał ofiary z ludzi, aby użyźnić ich ziemię.

- Tak że gdybyśmy potrzebowali ludzi, aby stawić czoło myśliwemu i żołnierzom radży...

- Znalazłbym ich pomiędzy tymi dzikimi góralami - odparł Dhundia.

- Myślałem, że urodziłeś się w Barodzie, sahibie - rzekł Barwani.

- Nie pochodzę Gondwany. A teraz dosyć... Ruszemy przed świtem.

Podnieśli się i wskoczyli na rumaki; za ich przykładem poszła cała banda zaklinaczy i kuglarzy.

- Co teraz zrobić? - zapytał Dhundia, przygryzając wąsy.

- Nie możemy przejść - rzekł Barwani.

- A gdybyśmy usiłovali się przebić?

- Za pierwszym strzałem nadbiegłyby załogi strażnic - rzekł Sitama.

- A hadi zaopatrzone są w armaty - dodał Barwani. - Gdybyśmy musieli rozpocząć walkę, zostalibyśmy z łatwością pokonani.

- A gdybyśmy spróbowali spuścić się od strony przepaści? - zapytał Dhundia.
- Do tego trzeba by powrozów, a my ich nie mamy.
- A jednak nie możemy pozostać tutaj.
- Zaczekajmy do następnej nocy - rzekł Barwani. - Zostawimy konie i spróbujemy przejść, idąc biegiem rzeki. Umiesz pływać, sahibie?

- Tak - odparł Dhundia.
- Nasi ludzie również.
- Żał mi tracić dzień. Nie można przewidzieć, co się stanie w przeciągu dwunastu godzin.
- Znajdziemy bezpieczną kryjówkę.
- Czy wiesz, gdzie się taka kryjówka znajduje?
- W tej okolicy jest gdzieś stary grobowiec, rodzaj świątyni, wzniesiony ku pamięci jakiejś księżniczki - rzekł Sitama.

- Byłem w nim kilkakrotnie - odezwał się Barwani.
- Chodźmy go odszukać. Żołnierze radży mogą dotrzeć tak daleko i puścić się za nami w pogoń.
- Chodź za mną, sahibie, schronienie, jakie ci ofiaruję, nie będzie wesołe, lecz bezpieczne.
Cofnęli się do swoich ludzi i zwrócili się na wschód, idąc brzegiem przepaści, z której unosił się głuchy łoskot wód, objających się o skały. Wyżyna wydawała się pusta, co było oczywistym dowodem, że żołnierze radży nie zapuścili się jeszcze tak daleko.

Zaczynało świtać, kiedy oddział fakira dotarł do wspaniałej budowli, bogato ozdobionej kopułami z białego marmuru i wieżami, i otoczonej grubym murem, jeszcze w bardzo dobrym stanie.

- To grób rani⁴³ Bansi - rzekł Barwani. - Jest to miniaturka grobowca cesarza Akbara.⁴⁴

Wyłamawszy zżartą rdzą kratę, wjechali przez monumentalną bramę i zeskoczyli z koni, które przywiązali do drzew otaczających grobowiec.

Tak jak powiedział Barwani, gmach ten, jakkolwiek wykonany w o wiele mniejszych rozmiarach, podobny był zupełnie do sławnego mauzoleum Akbara, wznoszącego się niedaleko od Agry, na drodze prowadzącej do Delhi. Miał on również kształt kwadratowy, a kopuły jego były z białego marmuru, reszta zaś budowli została wykonana z czerwonego kamienia nakrapianego żółtymi cętkami.

Świątynia, otoczona obszernymi tarasami, miała liczne okna łukowe bogato ozdobione

⁴³ Rani - królowa. Chodzi tutaj o władczynię muzułmańską, gdyż hindusi palą zwłoki.

⁴⁴ Akbar - jeden z najwybitniejszych władców Indii z dynastii Mogołów, panował w latach 1556-1605.

rzeźbami i złoceniami; na rogach wznosiły się wysmukłe wieżyczki z różowego marmuru, z małymi tarasami umieszczonymi na rozmaitej wysokości.

Wnętrze mauzoleum, kształtu kolistego, było zakończone wysoką kopułą ozdobioną malowidłami i mozaikami; pośrodku znajdował się sarkofag z czarnego marmuru, opierający się na czterech kolumnach, który niewątpliwie zawierał ciało rani.

- Będzie nam tu dobrze - rzekł Barwani. - Grobowiec ten bywa odwiedzany tylko raz do roku, a więc nikt nam nie przeszkodzi.

- I może nam służyć za fortecę w razie ataku - dodał Sitama. - Wystarczyłoby zabarykadować bramę i wejść na mur.

Ponieważ zabrali ze sobą zapasy znalezione w haudzie Bangavadięgo, posilili się śniadaniem, potem poszukali sobie miejsca, gdzie mogli odpocząć; kilku zaklinaczy zostało rozstawionych w pobliżu grobowca, aby żołnierze radży nie mogli ich napaść zniemacka.

Wbrew ich przewidywaniom, dzień minął spokojnie, gdyż w tej części wyżyny nie zjawił się ani jeden radżput. Pod wieczór przyłączyli się do nich dwaj zaklinacze, którzy zostali wysłani w ślad za Tobym, aby go szpiegować. Przynieśli wiadomość o aresztowaniu myśliwego i jego dwóch towarzyszy.

- Tymczasem możemy żyć spokojnie - rzekł Dhundia. - Niełatwo będzie Toby'emu i Indriemu wytłumaczyć się z popełnionej kradzieży i nikt nie uwierzy, że z kolei i oni zostali okadzeni.

- A my tymczasem pojedziemy spokojnie do Gondwany - rzekł Sitama. - Po zaaresztowaniu złodziei każą cofnąć się strażom granicznym rozstawionym w przesmykach, a my przejedziemy, podając się za spokojnych kupców w podróży do Dżabalpuru lub do Damoh. Byłbym nawet zdania, żeby zatrzymać się tutaj, dopóki droga nie będzie wolna.

- Podzielam twoje zdanie - zauważył Barwani. - Tutaj nie potrzebujemy się niczego obawiać. W przesmyku zaś moglibyśmy zostać zatrzymani. Co o tym myślisz, sahibie?

- Niech tak będzie - odpowiedział Dhundia. - Nie spieszo nam ze sprzedażą Koh-i-Nura. Jeżeli jednak tej nocy straż opuszcza dolinę, ruszymy dalej. Wolę znajdować się w dżunglach i lasach Gondwany niż na terytorium radży.

Nadzieje jego okazały się wnet płonne, gdyż kilku zaklinaczy wysłanych w dolinę wróciło z wiadomością, że załogi strażnic nie opuściły brzegów rzeki. Wobec tego bandyci wyciągnęli się pod portykami mauzoleum, aby się parę godzin przespać. Dla ostrożności rozstawili kilka posterunków na zewnątrz muru.

Noc już prawie minęła, kiedy około czwartej Dhundia, Sitama i Barwani zostali nagle zbudzeni kilkoma strzałami. W chwilę później posterunki wpadły do grobowca, krzyżąc:

- Do broni!... Radżpuci!...
- Żołnierze radży? - zawołał Dhundia, blednąc.
- Ilu ich jest? - zapytał Barwani, który stracił wiele ze swego zwykłego spokoju.
- Tego nie wiemy - odparł strażnik - ale z pewnością dużo. Widzieliśmy znaczną ilość

koni.

- Czy są daleko? - zapytał Sitama.
- Załedwie w odległości pół mili.
- Uciekajmy - rzekł Dhundia.
- Uciekać!... A dokąd? - zapytał Barwani. - Lepiej zostańmy tutaj, ukryci przed ich kulami.

Na otwartym polu nie zdołamy im się oprzeć.

- Spróbujmy sforsować przesmyk.
- Dostaniemy się w dwa ognie.
- A zostając tutaj, stracimy życie i Koh-i-Nura. Ach! Gdybym mógł przedostać się do

Gondwany, a potem do mojego szczepu!

- Co byś wtedy zrobił, sahibie? - zapytał Sitama.
- Zwerbowałbym trzystu lub czterystu górali i wróciłbym tutaj.
- Sądzę, że jeden lub dwóch sprytnych ludzi mogłoby się z pewnością niepostrzeżenie

przedostać przez przesmyk. Chcesz spróbować, sahibie? zdołamy się bronić przez kilka dni.

- A Koh-i-Nur?
- Zostawiłbyś go tutaj, w naszym ręku.
- Aby ci go zabrali?
- Nie obawiaj się tego, sahibie, ponieważ w najgorszym razie kazałbym się zakopać

żywcem razem z Górą Światła.

Dhundia obrzucił fakira ponurym spojrzeniem.

- Zdażę jeszcze? - zapytał.
- Mam nadzieję.
- Jeżeli uda mi się przekroczyć granicę, będę tutaj z góralami w przeciągu dwunastu lub

piętnastu godzin.

- A ja każę się zakopać żywcem, aby nam nie odebrano diamentu.
- Gdzie? Chciałbym wiedzieć, zanim odejdę.
- Przed wieżą wschodnią, pod tamaryndą, którą już zauważyłeś.
- Przysięgasz mi, że się nie dasz schwytać?
- Na Śiwę, mojego obrońcę.
- Daj mi zaufanego człowieka, który by znał drogę.

Sitama wybrał spośród swoich ludzi kuglarza tego samego wzrostu co Barwani, ale przeraźliwie chudego.

- Przeprowadzisz sahiba przez przesmyk - rzekł do niego, wskazując Dhundię. - Od ciebie zależy ratunek nasz i zachowanie Góry Światła.

- Przeprowadzę go tak, że załogi strażnic nie spostrzegą tego - odparł Indus.

- Idźcie już, słyszę galopujących radźputów.

- Czy zdołacie się bronić aż do mojego powrotu? - zapytał Dhundia.

- Mam nadzieję - odparł Sitama.

- I nie oddacie Koh-i-Nura?

- Więcej wart od naszej wolności.

- Zatem do zobaczenia.

- Dhundia i kuglarz wsiedli na dwa najlepsze konie bandy i opuścili galopem grobowiec, poganiając jak szaleni rumaki. Usłyszano kilka strzałów, po czym tętent oddalił się w stronę doliny Senaru, cichnąc szybko.

- Do broni! - krzyknął Barwani, nie słysząc już nic więcej.

- Mury są grube i zdołamy długo się opierać...

- A żywność? - rzekł Sitama.

- Będziemy jedli konie. Oto radźuci, gotują się do osaczenia nas. Ach!... Do stu tysięcy węży!...

- Co ci się stało, Barwani?

- Przysięgłbym, że pomiędzy radźputami jest jakiś biały człowiek.

- Niemożliwe!

- Słyszałem, jak ktoś krzyknął po angielsku: ognia!

- Czyżby to był biały myśliwy? - zapytał Sitama zdławionym głosem. - Jeżeli to on, jesteśmy zgubieni!

W tej chwili huk strzałów rozległ się w ciemnościach i kilka kul świsnęło nad murami, które zostały zajęte przez zaklinaczy i kuglarzy.

Barwani wydał ryk wściekłości. W błysku wybuchu ujrzał pomiędzy żołnierzami radży Toby'ego, Indriego i Bandhare.

Oddawszy salwę, aby się upewnić, czy złodzieje Koh-i-Nura znajdują się w grobowcu rani, żołnierze rozproszyli się po nizinie, tworząc wielkie koło mające uniemożliwić obleganym ucieczkę. Kazali położyć się koniom wśród wysokich traw, by nie narażać ich zbytnio na strzały wrogów, po czym ukryli się za nimi, opierając karabiny o siodła.

Na widok Toby'ego i Indriego, znajdujących się na czele jeźdźców, Sitama i Barwani

zostali jak gdyby rażeni gromem. Dlaczego byli wolni? Przecież powinni być zamknięci w więzieniach Pannahu, oczekując śmierci z rąk kata radży! Dla dwóch łotrów było to tajemnicą absolutnie niewytłumaczalną.

- To niemożliwe, żeby ich radża ułaskawił! - wykrzyknął Barwani.

- A jednak ci jeźdźcy są żołnierzami Pannahu - odparł Sitama. - Znam ich zbyt dobrze, żeby się mylić.

- Cóż więc stało się w domu?

- Tego się chyba nie dowiemy nigdy, bo nie wyjdziemy stąd żywi. Toby i Indri nie oszczędzą nas.

- Jestem również o tym przekonany.

- A ucieczka będzie niemożliwa.

Olbrzym zaklął.

- Schwytani!... - krzyknął ochrypłym głosem. - Schwytani teraz, kiedy mamy Koh-i-Nura!... Nie mogę się z tym pogodzić!...

- Koh-i-Nura nie dostaną. Każę się zakopać żywcem, zabierając ze sobą diament. Skoro ja zniknę, Toby i Indri będą sądzili, że udało mi się uciec z Górą Światła i może nie będą się mścili na was. Możesz im zresztą opowiedzieć, co ci przyjdzie do głowy.

- Tak - rzekł olbrzym, ożywiając się. - Wyprowadzimy ich jeszcze w pole.

- Każ przygotować dół - rzekł Sitama. - Radżpuci mogą przypuścić szturm do grobowca i nie miałbyś czasu mnie zakopać.

- Jak długo możesz wytrzymać?

- Chociażby czterdzieści dni.

- Jesteś pewny, że ożyjesz?

- Uczyniłem dwa razy próbę i, jak widzisz, jeszcze żyję - odparł Sitama. - Wiesz, co masz zrobić?

- Wiem, Sitamo - rzekł Barwani. - Ja także pomagałem raz fakirowi. Ale przedtem daj mi ostatnie polecenia.

- Opieraj się jak najdłużej atakowi radżputów, ażeby doczekać się posiłków obiecanych przez Dhundię.

- A czy on wróci?

- Góra Światła jest w naszych rękach, zbyt mu na niej zależy, aby chciał ją stracić.

- A gdybyśmy zostali zmuszeni poddać się przed przybyciem górali? - zapytał Barwani.

- Później ja i Dhundia spróbujemy cię wyratować. Jeśli ma się miliony, nie jest trudno przekupić dozorców więziennych, zwłaszcza naszego pokroju.

- Ufam ci... Ale miej się na baczności, Sitamo!... Jeżeli ty i Dhundia zdradzicie, nie zatrzymujcie się nigdzie, gdyż prędzej czy później dakoici pomściliby nas.

- Wiem, jak potężny jest nasz związek, i wiem, jak karze zdrajców. Nie traćmy dłużej czasu, Barwani; każ wykopać dół, a ja poczynię swoje przygotowania.

Wszedł do mauzoleum oświetlonego księżycem, którego promienie padały przez otwarte wielkie okna pod kopułą, zerwał ciężką tkaninę pokrywającą jedną ścianę i rozciągnął ją na ziemi, po czym położył się na niej.

- Teraz wyczyścimy sobie żołądek i wypróbujemy elastyczność języka - rzekł.

Wypruł z turbanu taśmę cieniutkiego płótna spojona z czerwonym materiałem i zaczął ją żuć z całej siły, potem połknął ją z pewną trudnością, przytrzymując jednakże jeden koniec zębami. Gdy mu się zdawało, że doszła już do żołądka, wyciągnął ją szybko, aby połknąć potem drugi i trzeci raz.

Powtórzywszy kilkakrotnie tę dziwną czynność, starał się ułożyć język w ten sposób, by koniec jego zatykał mu krtań. Zadowolony z wyniku, zdjął z siebie część szat, po czym wyciągnął się na plecach, mając oczy utkwione w czubek nosa, i czekał...

Po kilku minutach nagle znieruchomiał. Oczy jego zamknęły się, a członki mu zeszywniały. Ktokolwiek by go zobaczył, powiedziałby, że fakir umarł, gdyż pierś jego nie podnosiła się, a oddech nie wychodził z ust.

Zaledwie to nastąpiło, wszedł Barwani z czterema towarzyszami. Popatrzył uważnie na fakira, ciągle nieruchomego, położył mu rękę na ustach, aby się upewnić, że już nie oddycha; następnie zatkał mu starannie nozdrza dwiema kuleczkami z nasączonego tłuszczem płótna i odrobiną wosku.

- Możemy go pochować - rzekł. - Góra Światła ukryta jest za jego pasem.

Związał cztery rogi tkaniny, zakrywając nią ciało Sitamy, po czym dał znak zaklinaczom. Ci unieśli ostrożnie fakira i udali się do wschodniej wieżyczki, gdzie pod wielką tamaryndą został wykopany dół głęboki na dwa metry. Tam spuszczone ciało przykryte drugą tkaniną i gałęziami, żeby ziemia nie przygniatała go zbyt mocno, po czym zapełniono dół kawałkami darni.

Kiedy zrównano dokładnie grunt i usunięto wszystkie ślady, Barwani zdjął karabin z ramienia i rzekł:

- A teraz chodźmy walczyć z radżputami.

Rozdział XXIX - Atak na grobowiec

Fakirzy induscy, ci przedstawiciele najzarliwszego fanatyzmu religijnego, są niewątpliwie najniezwyklejszymi ludźmi na świecie. Obdarzeni nadzwyczajną cierpliwością i wytrwałością, umieją dokonywać rzeczy tak dziwnych, że mogą uchodzić za cudotwórców, i to nie tylko wśród ziomków.

W miastach induskich często widać pobożnych żebraków, którzy przez lata całe wyciągają w górę ramiona, nie opuszczając ich nigdy, nawet podczas snu; ćwiczenie to może wydawać się łatwe, jednakże my nie zdołalibyśmy z pewnością wytrzymać tego dłużej niż pół godziny, a może nawet mniej.

Pospolicie spotyka się innych, którzy zaciskają pięści, póki rosnące paznokcie nie przebiją całej dłoni, wychodząc drugą stroną; ćwiczenie to wymaga miesięcy długich cierpień, jednakże ci fanatycy znoszą je z niesłychaną cierpliwością. Są jeszcze tacy, co przez lata całe pozostawiają wbite w swoje członki noże albo poddają się długotrwałym postom, dopóki ich ciało nie stanie się zupełnie podobne do mumii - ci przewyższają wszystkich Succich i Merlattich na świecie.

Ale wśród tylu nadzwyczajnych rzeczy największym zdumieniem przejmuje uczonych europejskich i amerykańskich zakopanie człowieka żywego, który po krótszym lub dłuższym czasie powraca do życia, jakkolwiek przez kilka tygodni pozbawiony był powietrza. Rzecz ta zdawałaby się niemożliwą, a jednak podobne eksperymenty, naprawdę niezwykle, zostały dokładnie skontrolowane przez osoby wiarygodne, przez uczonych, gubernatorów, a nawet przez angielskich wicekrólów Indii.⁴⁵

Zdaje się, że fakirzy posiadli tajemnicę pogrążania samych siebie w stan kataleptyczny i hipnotyczny, gdyż inaczej nie mogliby znieść zakopania, trwającego czasami aż do czterdziestu dni. Jakkolwiek bądź rzecz się ma, potrzeba do tego cierpliwości, jaką tylko Indusi posiadają, aby móc przyzwyczaić się do powstrzymania oddechu, czego nikt z nas z pewnością nie mógłby dokonać.

Fakir, zanim dojdzie do tej doskonałości, która jest konieczna, aby wytrzymać próbę, musi się ćwiczyć długie lata. Najprzód wykopuje sobie dół, na jego dnie umieszcza materac lub kilka mat i zaczyna ćwiczyć zatrzymywanie oddechu. W pierwszych dniach każe się zamykać w dole tylko na minutę, tak jednakże, ażeby powietrze nie mogło się przedostać, potem na dwie,

⁴⁵ Między innymi takie eksperymenty odbyły się w Lahore pod okiem doktora Giblera, dyrektora szpitala włoskiego

później dodaje ciągle więcej czasu, przyzwyczajając się w ten sposób do odmawiania modlitwy w stosunku: sześć tysięcy sylab na każde dwanaście godzin.

Zanim jednakże zaczyna to niebezpieczne ćwiczenie, które może przypłacić śmiercią przez uduszenie, przebija sobie dla ostrożności mięsień łączący wewnętrzną stronę języka z dolną szczęką. Nacina go co tydzień troszeczkę, powtarzając to dwadzieścia cztery razy, a potem za pomocą specjalnych masaży i olejków ściągających zmusza język do ułożenia się w ten sposób, że zupełnie zatyka krtań.

trzymawszy takie rezultaty - a czasami wymagają one całych lat ćwiczeń - wykonuje swój eksperyment publicznie, pod kontrolą wybitnych dostojników, często radży, którzy muszą zamknąć grób pieczęcią, tę zaś wolno złamać tylko w chwili przebudzenia.

Istnieją fakirzy pozostający w grobach do czterdziestu dni!... A jednak nie umierają. Kiedy ich po tym długim pozostawaniu w ziemi odkopują, wyglądają zupełnie jak trupy, a raczej jak mimie. Tylko nie czuć od nich trupiego odoru. Nogi ich i ramiona są wyschnięte, serce już nie bije, ciało jest zimne z wyjątkiem głowy, ta bowiem zachowuje pewne ciepło. Wówczas obmywa się ich zimną wodą i masuje silnie całe ciało, a na głowę kładzie im się bardzo gorący kataplazm z mąki pszennej. Potem otwiera im się nozdrza i przemocą usta, ażeby ułożyć język w normalnej pozycji, w której już nie zatyka krtani - co nie zawsze jest rzeczą łatwą, gdyż początkowo ma on skłonność do podnoszenia się - naciera się go masłem, aby przywrócić mu giętkość, po czym powieki smaruje się letnim tłuszczem i otwiera mu się oczy.

Najczęściej przy przyłożeniu drugiego lub trzeciego kataplazmu fakir daje jakiś znak życia. Członki jego tracą sztywność i rozgrzewają się, nozdrza się rozszerzają, oczy nabierają znów blasku i ku ogólnemu zdumieniu fakir powraca do życia po czterech lub pięciu tygodniach spędzonych w ziemi!...

Po pochowaniu fakira Barwani zajął się przygotowaniem do obrony przed radźputami, ponieważ był przekonany, że niebawem atak się rozpocznie. Miał pod sobą dwudziestu pięciu zbójów, którzy niejednokrotnie narażali się na śmierć i dość zręcznie umieli obchodzić się ze strzelbami, jakkolwiek nie mogli współzawodniczyć z radźputami, zazwyczaj dobrymi strzelcami.

Zabarykadowawszy bramę odłamami kamieni, przez co powstał przykop mający dwa metry wysokości, ustawił za nim część swoich ludzi, a resztę rozmieścił na murze.

- Będziemy się opierali tak długo, jak tylko zdołamy, potem cofniemy się do grobowca - powiedział.

Jednakże radźpuci nie spieszyli się z atakiem. Leżeli za kołmi, ograniczając się chwilowo

do pilnowania całego zabudowania, aby żaden z oblężonych nie mógł uciec.

- Czekają na posiłki? - zastanawiał się Barwani z niepokojem. - A gdybym tak skorzystał z ciemności i próbował wypadu?

Świsnął na swoich ludzi, a zebrawszy ich, przedstawił im plan, na który zgodzili się wszyscy. Lepiej było zacząć rozpaczliwą walkę, póki radźpuci są nieliczni, niż dać się zamknąć w żelaznej obręczy i narazić na ogień, bez najmniejszego prawdopodobieństwa późniejszej wygranej. Poza tym wszyscy podejrzewali, że Toby i radźpuci czekają na załogi dwóch strażnic leżących w dolinie i ruszą do ataku po ich nadejściu.

- Nie strzelajcie, póki wam nie dam rozkazu - polecił Barwani. - Postaramy się zaskoczyć oblegających.

Ustawili się w kolumnę, wzięli w zęby talwary o szerokiej, zagiętej klindze, nabili karabiny i spuścili się bez szelestu po barykadzie, która tarasowała część bramy.

- Zdaje mi się, że niczego nie spostrzegli - powiedział Barwani do starego zaklinacza stojącego obok.

- Nikt się nie poruszył - odparł tamten.

- Zbliźmy się jednak bardziej, potem damy z bliska salwę, a korzystając z popłochu, rozproszymy się.

- Niech każdy myśli o sobie i bierze nogi za pas.

Zaklinacze i kuglarze ukryli się w wysokich trawach i zaczęli pełzać w kierunku pierwszych żołnierzy, którzy leżeli w odległości trzydziestu metrów od bramy. Już bandyci przebyli połowę odległości i gotowali się do napadu, kiedy usłyszeli rżenie kilku koni.

Czy ich zwietrzyły konie radźputów? Prawdopodobnie, gdyż w jednej chwili wszystkie te zwierzęta zerwały się z jeźdźcami na grzbiecie. Rozległ się okrzyk:

- Nieprzyjacieli!

Radźpuci, zebrawszy się w dwie kolumny, zaatakowali z szablą w rękę.

Zaklinacze i kuglarze skoczyli również na nogi.

- Ognia! - krzyknął Barwani.

Powietrzem wstrząsnęła salwa, lecz była pierwszą i ostatnią. Jeźdźcy radży, nie zważając na towarzyszy spadłych z siodła i ugodzonych kulami, rzucili się naprzód, siekąc niemiłosiernie szablami. Zaklinacze z kolei, zaskoczeni, nie mogąc się oprzeć wściekłemu atakowi, uciekali w popłochu w stronę grobowca rani pomimo piorunowania Barwaniego, pozostawiając pięciu rannych. Zatrzymali się dopiero za barykadą, podejmując na nowo ogień; ale radźpuci, nie chcąc się zbyt angażować, powrócili już na swoje miejsca, a konie ich położyły się

znowu na ziemię. Barwani był wściekły z powodu tej pierwszej porażki, która z pewnością nie dodawała odwagi.

- Nic nie zdołam zrobić z takimi babami!... - ryczał, wygrażając swoim ludziom. - Za pierwszym atakiem dacie się pozarzynać jak barany!...

O wschodzie słońca położenie oblężonych było nie zmienione; oblegający natomiast cofnęli się poza pole ostrzału.

- Na cóż, u licha, czekają? - zapytał się Barwani ze wzrastającym niepokojem.

W tej chwili od strony doliny Senaru rozległ się odgłos trąb.

- To posiłki, które przybywają radźputom - rzekł Barwani, zaciskając zęby. - Te łotry sprowadziły załogi hadi. Teraz już nasz los jest rozstrzygnięty; umrzemy tutaj wszyscy. Oby mógł także umrzeć ten pies Dhundia!... Sądzę, że uciekł, bojąc się, aby go Indri nie obdarł ze skóry!

Wszedł na wieżyczkę i spojrzał w kierunku doliny.

Nie omylił się. Wielki oddział radźputów, poprzedzany armatą, zbliżał się przez dolinę.

- Jest ich najmniej sześćdziesięciu - mruknął łajdak. - Starajmy się przedłużyć opór.

Radźpuci z hadi połączyli się z oddziałem pozostającym pod rozkazami Toby'ego i Indriego; armatę umieszczono naprzeciwko barykady.

Jakiś żołnierz, niosący przytwierdzoną do lufy swego karabinu białą chustę, zaczął się zbliżać do grobowca rani. Na jego widok złowrogi uśmiech przemknął po ustach Barwaniego.

- Przychodzi narzucić nam poddanie - rzekł. - Wiem, jaki los czeka dakoitów, którzy wpadną w ręce radży, i wolę śmierć na polu bitwy od szubienicy.

Podniósł karabin, dopełznął za barykadę i wziął na cel żołnierza, mówiąc:

- O jednego mniej.

Parlamentariusz runął na ziemię ze strzaskaną czaszką.

Na odgłos strzału karabinowego natychmiast zagrzmiała armata, na barykadę padł pocisk, usuwają mnóstwo kamieni i zmuszając zaklinaczy do ucieczki. Drugi i trzeci uderzyły w bramę, niszcząc węgry i rozrzucając nagromadzone kamienie.

Po zburzeniu przeszkody czterdziestu radźputów rzuciło się odważnie do ataku, dziko krzyżąc. Towarzysze ich dali kilka salw na mury, aby uniemożliwić obleganym zajęcie tam stanowisk.

Zaklinacze wbiegli pędem na stopnie prowadzące do mauzoleum, a ukrywając się za dwoma olbrzymimi lwami z czerwonego granitu, rozpoczęli tak gwałtowny ogień, że zatrzymali od razu impet atakujących, chociaż dowodził nimi Toby i Indri. Oddawszy dwie salwy, zaklinacze schronili się jednakże do wnętrza grobowca, zatraskując drzwi z brązu.

Toby i Indri, podejrzewając jakąś niespodziankę, kazali radźputom cofnąć się za mury.

- Należałoby wysadzić drzwi - rzekł pierwszy.

- Nic łatwiejszego, sahibie - odparł oficer, który otrzymał od radży polecenie pomagania im w odzyskaniu Koh-i-Nura. - Podłożymy petardę i wysadzimy je w powietrze.

Wysłano dwóch radźputów po petardę.

W tym czasie oblężeni, jak gdyby domyślając się zamiarów przeciwnika, rozpoczęli ponownie ogień. Strzelali z dwóch okien otwierających się po obu stronach drzwi. Kule przelatowały wszędzie, odłamując kawałki muru i świszcząc ponad barykadą, gdzie rozłożyli się radźpuci.

Toby i jego towarzysze odpowiedzieli natychmiast silnym ogniem, jednakże bez większych rezultatów, gdyż zaklinacze starannie unikali zbytniego pokazywania się. Tylko kule myśliwego trafiały w głowy łotrów, którzy ukazywali się za balustradą okien.

- Sto rupji temu, kto podłoży petardę!... - krzyknął Indri.

Radźputa ujął bombę i rzucił się odważnie w podwórze; lecz nie postąpił dziesięciu kroków, kiedy runął na ziemię, ugodzony kilkoma strzałami.

Inny spróbował to samo i padł również ze strzaskaną nogą.

- Do stu piorunów! - krzyknął Toby wściekle. - Na mnie kolej.

Już chciał skoczyć naprzód, ale powstrzymał go Bandhara.

- Pozwól mnie to zrobić, sahibie - rzekł kornak.

Niedaleko leżał trup kuglarza zabitego wybuchem jednego z trzech pocisków. Podniósł go z ziemi, a przyciskając silnie do siebie, tak że się nim zasłaniał, ruszył naprzód. Ujął petardę, wbiegł pędem na stopnie uniknąwszy paru salw i rzucił się pomiędzy łapy kolosalnego lwa z kamienia.

Zagrzeni tym przykładem radźpuci wpadli za ogrodzenie, zasypując oba okna przyspieszonym, bardzo gwałtownym ogniem i zmuszając zaklinaczy do ich opuszczenia.

Umieściwszy petardę przed drzwiami i zapaliwszy lont, Bandhara przesunął się wzdłuż ściany, chroniąc się za wieżyczkę, aby nie narazić się ponownie na strzały oblężonych.

- Gotowi do ataku! - krzyknął oficer do swych ludzi.

Głos jego został stłumiony strasznym wybuchem, po którym nastąpił głuchy huk.

Drzwi z brązu, wysadzone skutkiem wybuchu, wpadły z ogłuszającym łoskotem do środka mauzoleum.

- Do ataku! - krzyknęli Toby, Indri i oficer.

Czterdziestu radźputów, nie zważając na salwy nieprzyjaciół, rzuciło się naprzód z szablą w rękę. Błyskawicznie przesadzili stopnie i wpadli do sali z impetem zrywającej brzegi rzeki.

Powalili pierwszych, jakich znaleźli przed sobą, po czym rzucili się na innych, co w zbitej masie opierali się o sarkofag rani.

Na przedzie wszystkich Barwani, uchwyciwszy karabin za lufę, bronił jak lew. Obdarzony niezmierną siłą, za każdym uderzeniem powalał przeciwnika.

Jednakże radźpuci usuwali szybko skupionych dookoła niego zaklinaczy, którzy ogarnięci przerażeniem, bronili się słabo. W kilka minut później pozostał tylko jeden Barwani. Jakkolwiek kilkakrotnie ranny i broczący krwią, nie przestawał walczyć, przeskakując leżące wokół trupy...

- Poddaj się! - krzyknął Toby, mierząc do niego z karabinu.

- Oto moja odpowiedź! - ryknął olbrym, rzucając się z całej siły na myśliwego.

Byłby mu roztrzaskał czaszkę kolbą karabinu, lecz oficer radźputów wpakował mu dwie kule z rewolweru w pierś. Barwani upuścił karabin i podniósł obie ręce do ran; potem runął na kolana z rykiem rozjuszonego tygrysa.

- Gdzie Dhundia? - krzyknął Toby, który nie spostrzegł był zdrajcy wśród walczących.

- Dhundia - zacharczał olbrym, a oczy jego rozgorzały ponurym ogniem. - Do... lina...

Senar... za... bij... cie... go...

Potem strumień krwi napłynął mu do gardła, tłumiąc głos, i padł pomiędzy trupy, aby już więcej nie powstać.

Olbrym nie żył.

Rozdział XXX - Pościg za zdrajcą

Stwierdziwszy ze zdumieniem i niepokojem, że pomiędzy zabitymi nie było ani fakira, ani Dhundii, Toby, Indri i Bandhara rzucili się ku wieżyczkom przypuszczając, że schronili się na nie, oficer zaś i radźpuci przeszukiwali zaklinaczy w nadziei, że znajdą przy nich Koh-i-Nura.

Jak można było przewidzieć, nie znaleźli ani tych, o których im chodziło, ani sławnego diamentu. Nikt nie mógł się domyślić, że fakir znajdował się tak blisko, pogrzebany w cieniu ogromnej tamaryndy.

- Gdzie oni mogli się ukryć - zapytał Toby, obszedłszy dwadzieścia razy mauzoleum, przeszukawszy cztery wieżyczki i kazawszy opukać wszystkie ściany, aby się upewnić, że nie było w nich żadnego wyłobienia. - Czy uciekli przed naszym przybyciem? Co sądzisz o tym, Indri?

- Myślę, że tym razem Koh-i-Nur jest dla mnie stracony na zawsze - odparł z westchnieniem były ulubieniec gaikwara.

- Co mogły znaczyć słowa olbrzyma Barwaniego? - zapytał oficer radźputów. - Dolina... Senar... Czyżby Dhundia schronił się w okolicę rzeki?

- Właśnie myślałem o tym - rzekł Toby. - Jestem prawie pewny, że Dhundia i ten szelma fakir uciekli przez dolinę Senaru.

- Pogonimy za nimi nawet przez dżungle i góry Gondwany - odparł oficer. - Mamy dobre konie i dzielnych ludzi.

- Zostawmy tutaj kilku żołnierzy, aby pochowali zabitych i pilnowali mauzoleum, i jedźmy zbadać dolinę. Jeżeli zaś...

Słowa jego przerwał strzał, który padł poza obrębem zabudowania, a po nim rozległ się okrzyk:

- Stój!...

- Kto strzelił? - zapytał Indri.

- To strzał z naszego posterunku - odparł oficer.

Wszyscy trzej wypadli z gmachu, a radźpuci zbroili się pospiesznie.

Strażnik, czuwający przy zewnętrznych narożnikach zabudowania, strzelił i powalił konia, który leżał wśród wysokich traw, rzucając rozpaczliwie nogami.

- Do kogo strzelałeś? - zapytali jednocześnie Toby i Indri.

- Do jakiegoś chłopca, który się nie chciał zatrzymać.

- Do chłopca! - wykrzyknęli myśliwy i były ulubieniec gaikwara, spoglądając na siebie zdumieni.

Potem ten sam okrzyk wydarł im się z ust.

- Sadras!...

Rzucili się w stronę konia, krzycząc na całe gardło:

- Sadrasie! Sadrasie!

Trawy rozsunęły się gwałtownie i chłopak skoczył naprzód, wołając z radością:

- Sahibie!... Panowie!...

- Skąd jedziesz? - zapytał Toby, ściskając go.

- Sahibie... Dhundia... nadchodzi... ma wiele ludzi...

- Ten łotr?

- Ścigałem go... szybko... ukryjcie się...

Wszyscy wrócili pospiesznie do budynku, a oficer kazał odwołać strażę i artylerzystów, którzy pozostali przy armacie.

- Mów, Sadrasie - rzekł Bandhara, który nadbiegł natychmiast. - Myśleliśmy, żeś zginął.

- Tak, mów! Mów! - wykrzyknęli Toby i Indri. - Dlaczego nas opuściłeś?

- Żeby ścigać złodziei diamentu - odparł dzielny chłopiec. - Widząc, że uciekają, wskoczyłem na konia biednego Thermatiego i puściłem się w ślad za nimi, nie zajmując się wami, przekonany, że znajdę was później. Gonilem za nimi aż do doliny Senaru, potem widząc, że się cofnęli, ukryłem się w tej okolicy.

Chciałem już udać się na poszukiwanie waszego domu, kiedy spostrzegłem, że Dhundia ucieka z jakimś zaklinaczem. Pojechałem za nimi przez dolinę, uniknąwszy czujności załóg hadi, i dotarłem aż do Gondwany. Tam właśnie Dhundia zwerbował górali, których teraz prowadzi z sobą.

- A w jakim celu zebrał tych ludzi?

- Tego nie wiem, sahibie.

- Ja się domyślam - rzekł Indri. - Aby uwolnić zaklinaczy obleganych przez nas.

- A więc musiał uciec, zanim zaczęliśmy oblegać grobowiec rani.

- Tak, sahibie - rzekł Sadras. - W chwili, kiedy stąd odchodził, usłyszałem trąby waszych żołnierzy.

- Czy widziałeś fakira razem z Dhundią? - zapytał Indri.

- Nie, sahibie. Był z jakimś zaklinaczem, ale nie był to fakir.

- Dokąd ten pies mógł uciec?

- Dowiemy się tego od Dhundii - rzekł Toby. - Powiedz mi, Sadrasie, ilu ludzi ma ten łotr?

- Mniej więcej czterdziestu.

- Wszyscy na koń - rozkazał Toby - i bądźmy gotowi otoczyć sprzymierzeńców Dhundii.

Jeżeli się nie poddadzą, stoczemy walkę.

- I rozbijemy ich w puch naszą armatą - dodał oficer.

Radżpuci dosiedli koni i ukryli się za murem, artylerzyści przygotowali armatę. Toby i Indri weszli na wieżyczkę, skąd mogli dokładnie widzieć wielki obszar wyżyny.

Zaledwie stanęli na szczycie, kiedy ujrzeli wysuwający się z doliny oddział Dhundii.

- Nie oprą się ani jednej salwie - rzekł Toby.

- Czy sądzisz, że Dhundia ma przy sobie Koh-i-Nura? - zapytał Indri.

- Mam pewne wątpliwości. Gdyby zdołał odebrać go zaklinaczom, nie byłby pewnie powrócił. Ten człowiek musi być tak podły, że zdradziłby nawet swoich przyjaciół i sprzymierzeńców.

- A jak myślisz, gdzie się znajduje?

- Ukryty tutaj, takie jest moje zdanie, Indri.

- A może jest w ręku Sitamy?

- Ach! Zapomniałem o fakirze!... Gdzie się ten łotr mógł schować? Jego zniknięcie jest istotnie zagadkowe, lecz Dhundia odsłoni nam tajemnicę.

Gdy zamieniali te słowa, górale zbliżali się szybko, poprzedzani przez współnika Sitamy i Barwaniego. W odległości pięciuset metrów zwolnili jednak biegu. Prawdopodobnie cisza panująca w grobowcu rani nie bardzo uspokajała Dhundię, który sądził, że oblegają go oddziały radży.

- Zejdźmy, gdyż ten szelma jeszcze się cofnie i ucieknie tam, skąd przyszedł - rzekł Toby.

Zaledwie przyłączyli się do radżputów gotowych przejść do ataku, kiedy rozległy się ostre dźwięki turji (rodzaj trąbki).

- Niech nikt nie odpowiada - rzekł Toby. - Bądźcie gotowi do ataku!...

Głos turji zabrzmiał powtórnie na wyżynie, głośniejszy niż przedtem. Dhundia zwoływał zaklinaczy.

- Do ataku! - ryknął Toby.

Sześćdziesięciu radżputów, podzielonych na dwa szwadrony, wypadło z budynku w szalonym galopie, wydając dzikie krzyki i wymachując błyszczącymi w słońcu ostrymi szablami. Za nimi posuwali się artylerzyści, ciągnąc w szybkim biegu armatę.

Na widok dwóch rzucających się na nich oddziałów górale zatrzymali się, sięgając za broń; jednakże po krótkim wahaniu zawrócili konie i uciekli z przerażeniem ku dolinie. Dhundia pierwszy dał przykład, rozpoznawszy natychmiast pomiędzy radżputami Toby'ego, Indriego i Bandharę.

- Zajmijmy się tylko tym psem! - krzyknął myśliwy. - Dajcie spokój innym!

Ponieważ konie radżputów były wypoczęte, a konie górali musiały być zmęczone, żołnierze radży doganiali ich szybko.

Ażeby lepiej ująć przed pościgiem, rozproszyli się po wyżynie w rozmaitych kierunkach, tak że Dhundia pozostał sam. Zdrajca galopował ku dolinie sądząc, że dotrze do granicy, ale Toby, Indri i Bandhara, którzy mieli dobre konie, dopędzali go szybko.

- Stój, łotrze! - ryknął Toby. - Stój albo cię zabiję!

Dhundia obrócił głowę, po czym spiął konia ostrogami, raniąc mu boki.

- Stój! - powtórzył Toby.

Potem ściągnął gwałtownie konia i zeskoczył na ziemię susem godnym jeźdźca cyrkowego, chwytając szybko broń. Zatrzymał się na małym, odkrytym pagórku, skąd mógł objąć spojrzeniem zarówno wyżynę, jak i uciekającego.

Tymczasem Indri i Bandhara oraz ośmiu lub dziesięciu radźputów pędzili dalej.

Opierając dobrze karabin na dłoni i zginając ramię ku biodru, aby mieć punkt oparcia, Toby mierzył z nadzwyczajną uwagą. Nagle padł strzał. Koń, ugodzony w kręgosłup, wspiął się gwałtownie, głucho zarżał, po czym opadł ciężko na ziemię, wysadzając jeźdźca z siodła. Zanim Dhundia mógł się zerwać, dognał go Indri i przyłożył mu lufę karabinu do piersi.

- Poddaj się, łotrze! - krzyknął do niego, a Bandhara i radźpuci otoczyli go, gotowi powalić kolbami strzelb.

- Łaski, Indri - wyjąkał nędznik, blady, z szalonym przerażeniem w oczach. - Nie zabijaj mnie.

- Gdzie jest Koh-i-Nur?

- Skradziony, Indri, skradziony przez Sitamę.

- Łziesz, psie! - krzyknął Toby nadjechawszy w galopie. - Wiemy wszystko!

Dhundia poruszył się gwałtownie, ogarnięty wściekłością.

- Czy odkopaliście Sitamę? - zapytał, zgrzytając zębami.

Toby, Indri i Bandhara spojrzeli na siebie zdumieni. Co miały oznaczać te słowa?

- Zwiążcie tego człowieka - rzekł Toby, zwróciwszy się do radźputów - i zaprowadźcie go do grobowca rani.

- Chcecie mnie zabić? - zapytał Dhundia, szczękając zębami.

- Tak, zabijemy cię, tak jak zabiliśmy już Barwaniego i wszystkich jego bandytów, jeżeli nie będziesz mówił - rzekł Indri.

- Barwani zabity! A więc jestem zgubiony!...

- Widzisz to teraz? - zapytał Toby.

Nędznik zgnębiony wiadomością, która odbierała mu ostatnią nadzieję ratunku, pozwolił się związać bez oporu.

Kiedy przybyli do budynku, znaleźli górali związanych i rozbrojonych, z wyjątkiem

dziesięciu czy dwunastu, którzy zdołali zbiec w dolinie dzięki szybkości rumaków.

- Sahibie - rzekł oficer, zbliżając się do Toby'ego - co mamy zrobić z tymi jeńcami?

- Wróćcie im wolność - odparł myśliwy. - To biedni ludzie, nie mają nic wspólnego z Koh-i-Nurem. Rozbrójcie ich, oddajcie im konie i niech wracają do siebie.

- Zrobimy tak, sahibie. Będą błogosławili twą wspaniałomyślność.

Toby, Indri i Bandhara zaprowadzili Dhundię do mauzoleum, a Toby, rozkazawszy mu usiąść, rzekł:

- A teraz, jeżeli zależy ci na życiu, mów! Gdzie jest Koh-i-Nur?

- Jeżeliście odkopali Sitamę, to zbyteczne wskazywać wam, gdzie się znajduje.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

Dhundia popatrzył ze zdumieniem na Toby'ego i Indriego, po czym w oczach jego zabłysnął ponury płomień.

- Ach! Nie znaleźliście Sitamy! - krzyknął. - Głupim! Byłbym się zdradził. Ja umrę, ale ty, Indri, staniesz się pariasem, gdyż Góra Światła pozostanie tam, gdzie się znajduje.

- Do tego stopnia nienawidzisz mnie, Dhundio? - zapytał Indri.

- Tak, teraz cię nienawidzę, bo straciłem Koh-i-Nura i stracę także życie; ale Parvati mnie pomści.

- Parvati! - wykrzyknął Indri. - A więc byłeś z nim w zмовie, aby mnie zgubić!...

Nędznik milczał. Może pożałował, że powiedział za wiele.

Toby zwrócił się do dwóch radźputów, którzy pilnowali drzwi, i rzekł do nich:

- Wykopcie dół na dziedzińcu; trzeba kogoś zastrzelić.

Dhundia podniósł gwałtownie głowę.

- Wy nie możecie mnie sądzić; tylko gaikwar ma do tego prawo, ponieważ jestem jego poddanym.

- Jesteśmy na terytorium radży Pannahu, a władca Barody nic tu nie znaczy - odparł zimno Toby. - Okradłeś nas i zdradziłeś, byłeś współnikiem dakoitów, kazałeś zabić moich służących, a teraz my zastrzelimy ciebie.

Radźpuci wykopali szybko dół, posługując się długimi dzidami zabranymi góralom, a dziesięciu stanęło w odległości dziesięciu kroków z karabinami w ręku.

Dhundia został zaprowadzony, a raczej zanieiony na dziedziniec. Nędznik szczękał konwulsyjnie zębami i nie mógł się prawie utrzymać na nogach. Na widok dołu i uzbrojonego oddziału, który miał go zastrzelić, zbladł strasznie i spojrział na Toby'ego i Indriego wzrokiem błędnym i przerażonym.

- Łaski! - wybełkotał.

- Postawcie go związanego blisko dołu - odezwał się Toby. - Celujcie dobrze i zabijcie go od razu.

- Ja nie chcę umierać! - ryknął Dhundia, odchodząc od zmysłów. - Będę mówił...
Dam wam Koh-i-Nura...

- Postanawiasz mówić? - zapytał Toby, zbliżając się do niego.

- Tak, ale pod jednym warunkiem.

- Jakim?

- Że mnie oddacie pod sąd gaikwara.

- Zgadzą się na to - rzekł Indri.

- Koh-i-Nur jest zakopany razem z fakirem pod tamaryndą rosnącą przed wieżą wschodnią.

- Czy Sitama umarł? - zapytał Toby.

- Nie, żyje.

- Rozumiem - rzekł Indri. - Ten drab kazał się zakopać, aby ukryć Koh-i-Nura.

Widziałem fakirów, którzy pozostawali pod ziemią kilka tygodni. Chodźmy go odszukać.

Rozwiązali Dhundii ręce i zmusili go, aby poszedł aż do tamaryndy.

Bandhara zbadał uważnie teren i spostrzegł natychmiast dół.

- Tutaj musi być zakopany - rzekł. - Ziemia została usunięta, a potem zrównana.

- Kopcie - rozkazał Toby radzputom. - Uważajcie, żeby go nie zranić, gdyż zależy mi na tym, żeby mieć go żywego.

Żołnierze zaczęli ostrożnie wyrzucać ziemię, posługując się dzidami i rękoma, nareszcie odkryli warstwę splecionych ze sobą gałęzi, mających zapobiec przygnieleniu fakira przez ziemię.

- Powoli - rzekł Indri.

Unieśli ostrożnie gałęzie i odsłoniли fakira.

Sitama wydawał się martwy, gdyż był sztywny. Jednakże znajdując się w ziemi dopiero od czternastu godzin, nie stracił ogorzalej cery, a członki jego zachowały jeszcze nieco ciepła.

Wyjęto go z dołu i rozebrano. Kiedy usunięto szeroką wstęgę opasającą mu biodra, diament upadł na ziemię, rozbłyskując w promieniach słońca. Indri podniósł go natychmiast z okrzykiem radości.

- Oto moje zbawienie!

Potem rzucił się w ramiona Toby'ego i Bandhary, przyciskając ich do piersi.

- Przyjaciele - rzekł głosem przerywanym ze wzruszenia. - Dzięki!... Nie będę już pariasem!...

- Parvati jest jeszcze potężny - odezwał się Dhundia złowrogim głosem.

- Powalimy go w proch, możesz być tego pewien - odparł Toby. - Zdrajcy zapłacą za podłe sprawy.

Dhundia schylił głowę, nic nie odpowiedział. Zaczynał powątpiewać o swoim protektorze.

Indri, ogarnięty szalem radości, napawał się widokiem iskrzącego się w słońcu diamentu, a dwóch radźputów rozcierało silnie ciało fakira. Wyprostowali mu język, aby nie zamykał już krtani, otworzyli mu oczy, nacierając lekko powieki, po czym obmyli go letnią wodą. Nie upłynęło pięć minut, gdy Sitama odetchnął głęboko. Dłuższą chwilę pozostał jeszcze nieruchomy, potem wstał nagle, tocząc dokoła siebie błędnym spojrzeniem. Spostrzegł radźputów, Indriego, Toby'ego i wreszcie Dhundię.

- Gdzie jestem? - zapytał zdławionym głosem.

- W naszych rękach - odparł Toby szyderczo. - To brzydka niespodzianka, nieprawda, Sitamo?

- Koh-i-Nur! - ryknął fakir, szukając wstęgi, której już nie miał na sobie.

- Nie obawiaj się, jest bezpieczny.

Sitama przeszył Dhundię jadowym spojrzeniem.

- Nędzniku! - krzyknął. - Zdradziłeś mnie!...

- Albo raczej wszyscy zostaliśmy zdradzeni - odparł Dhundia - bo ja także jestem więźniem i nie wiem, czy ujdę z życiem.

- A Barwani?

- Zginął - odpowiedział Toby.

- Bądźcie przeklęci przez Śiwę!

- Dziękuję, ale Śiwa jest tak daleko i tak zajęty, że nie myśli w tej chwili o nas - odrzekł myśliwy, nie przestając szydzić. - Zwiążcie tych dwóch zbójów i wracajmy do Pannahu. Zadanie nasze jest skończone.

Rozdział XXXI - Ucieczka fakira

Poleciwszy żołnierzom granicznym, aby pochowali trupy, które zaczynały się już rozkładać, Toby, Indri i towarzysze, eskortowani przez radźputów, opuścili wkrótce potem grobowiec rani, aby powrócić do Pannahu, gdzie ich oczekiwał radża. Dhundię i Sitamę, przygnębionych i ponurych, umieszczono pomiędzy żołnierzami eskorty, ażeby uniemożliwić im ucieczkę. Dla większej ostrożności przywiązano ich mocno do siodła koni.

W cztery godziny później, to jest na krótko przed zachodem słońca, oddział wkroczył do Pannahu i udał się natychmiast do pałacu książęcego.

Radża, uprzedzony o ich powrocie, oczekiwał przybyszy w sali tronowej, otoczony ministrami i faworytami.

- Jestem zadowolony, że widzę was powracających jako zwycięzców - rzekł, ściskając rękę Toby'ego i Indriego. - Byłoby mi niewymownie żal, gdyby Koh-i-Nur pozostał w ręku tych łotrów.

- Nikt nam go już nie odbierze, Wasza Wysokość - odparł Toby. - Dakoci zostali wszyscy zabici, z wyjątkiem dwóch.

- Których mi wydacie, abym ich ukarał, jak zasługują - rzekł radża. Wyświadczyliście mi ogromną przysługę, uwalniając moje państwo od tych niebezpiecznych zbójów, którzy od pewnego czasu dopuszczali się licznych zbrodni.

- Zostawimy Waszej Wysokości tylko jednego, gdyż obiecaliśmy naszemu byłemu towarzyszowi, że zostanie osądzony przez gaikwara Barody.

- Kiedy wyjeżdżacie?

- Jutro rano - rzekł Indri. - Spieszno nam wrócić do Barody.

- Rozumiem waszą niecierpliwość. Moi radźpuci odstawią was do granicy.

Przywoławszy pierwszego ministra, radża wydał mu stosowne rozkazy, po czym zwrócił się znowu do Indriego i Toby'ego, mówiąc:

- Dom, który wam przeznaczyłem, jest do waszej dyspozycji. Odpocznijcie sobie i wracajcie szczęśliwie do domu.

Powstał i wziął w rękę złotą szkatułkę, którą mu przyniósł minister; otworzywszy ją, wyjął z niej dwa pierścienie, ozdobione dwoma diamentami wielkości małego orzecha, rozsiewającymi cudowne blaski.

- Zachowajcie je na pamiątkę - rzekł. - Jutro otrzymacie sto tysięcy rupji przeznaczone dla was jako nagroda za zabicie dwóch tygrysów.

Uściskał im dłonie i rzekł, wstając:

- Nie zapomnijcie o mnie; uważam was za przyjaciół.

Po spokojnie spędzonej nocy zbudził ich nad ranem potężny ryk, rozlegający się tuż pod oknami domu.

Wspaniały słoń, tak wysoki jak ów biedny Bangavadi, stał przed stopniami domu, okryty czerwonym, haftowanym złotem czaprakiem; na grzbiecie miał bogatą haudę. Dokoła niego stała eskorta radźputów.

- Czyj to słoń? - zapytał zdumiony Toby rządcy, który wnosił śniadanie.

- Jest wasz, sahibie - odparł Indus. - To podarunek radży.

- Książę zasypuje nas dowodami wspaniałomyślności - mruknął dzielny myśliwy. - Naprzód Koh-i-Nur, potem sto tysięcy rupji i pierścienie, mające wartość ładnej sumki, a teraz słoń!... Oto państwo, w którym szybko doszłoby się do majątku!

Gdy wyszli, znaleźli Dhundię w haudzie pod strażą małego Sadrasa i Bnandhary. Był tak mocno skrepowany, że nie mógł się ruszyć.

- Jedźmy, sahibie - rzekł dowódca eskorty do Toby'ego. - Odprowadzimy was aż do granicy.

Weszli do haudy i usiedli na aksamitnych poduszkach, Bandhara zaś objął znowu funkcje kornaka razem ze służącym radży, który już znał dobrze słońia.

Książę dotrzymał obietnicy. Oprócz zapasów kazał umieścić w haudzie stalową szkatułę zawierającą sto tysięcy rupji.

- Jedźmy - odezwał się Toby wesoło. - Mam nadzieję, że powrót nasz do Barody odbędzie się szczęśliwie.

Słoń ruszył natychmiast naprzód, mając po bokach żołnierzy eskorty. Szybkim krokiem przebiegł główne ulice Pannahu, o tej godzinie prawie puste, gdyż słońce dopiero co wstało, i zwrócił się do bramy południowej.

Dzieliło ich od niej już tylko parę kilometrów, kiedy dopędził ich posłaniec radży zbliżający się galopem.

- Jaką wiadomość przynosisz? - zapytał Toby, dając znak kornakowi, aby zatrzymał olbrzymiego gruboskórca.

- Sahibie - rzekł jeździec, zwracając się do białego myśliwego - pan mój prosi was, żebyście opuścili miasto przez bramę zachodnią, nie południową.

- Z jakiego powodu każe nam zmieniać drogę? - zapytał Indri, zdumiony tym dziwnym rozkazem.

- Powiem wam, gdy wyjedziecie z miasta - odpowiedział jeździec z uśmiechem.

- Bądźmy posłuszni - rzekł Toby. Jednakże słowa posłańca zaniepokoiły go trochę. - Co o tym sądzisz, Indri?

- Czyżby radza chciał nam zgotować jakąś niespodziankę?

- Albo może pożałował, że odstąpił nam Górę Światła?

- To niemożliwe, Toby; w to nie uwierzę nigdy.

- A jednak jestem niespokojny; nie można nigdy polegać na tych strasznie kapryśnych księżątkach.

- Nie byłby nam podarował tego wspaniałego słonia ani pieniędzy i klejnotów.

- Zobaczymy - zakończył Toby, kręcąc głową.

Słoń zmienił kierunek, zwracając się ku bramie zachodniej, która zresztą nie była bardzo oddalona.

Dhundia słyszał był rozkaz posłańca, ale pozostał niewzruszony. Jednakże w oczach jego widniało głębokie przerażenie. Może obawiał się, że radza pożałował, iż go zostawił w rękach Toby'ego i Indriego i chciał go ukarać, zanim słoń opuści miasto?

O szóstej rano gruboskórzec i eskorta przebyli basztę i długi, mocny most zwodzony, strzeżony przez oddział sikhów.

Podniósłszy oczy ku starej, oblankowanej wieży, która broniła krańca miasta, Toby i Indri spostrzegli z pewnym wzruszeniem ciało człowieka, zwisające z żelaznego haka, a nad nim krążyła już gromada ptaków drapieżnych.

- Panowie - rzekł posłaniec radży, wskazując trupa - czy poznajecie go? Oto dlaczego mój pan życzył sobie, żebyście wyjechali przez tę bramę.

- Czy to jaki morderca? - zapytał Toby, spoglądając na niego uważnie. - Nie, nie znam go.

- Przyjrzyj mu się dobrze, sahibie.

- Powtarzam, że nigdy nie widziałem tej twarzy.

- Ani ja.

- To jest fakir?...

- Sitama - krzyknęli jednogłośnie Indri i Toby.

- Tak, to on!... O północy został powieszony.

Były ulubieniec gaikwara i łowca tygrysów spojrzeli po sobie z przerażeniem.

- Oszukano radzę!... - krzyknęli.

Posłaniec radży machnął ręką, jak gdyby chciał powiedzieć:

- Albo zwariowali, albo go nie poznają!...

Oficer eskorty zatrzymał się pod wisielcem. Z ust jego wybiegł również okrzyk:

- Oszukano nas!... Ten człowiek nie jest Sitamą!...

Rzecz, jakkolwiek dziwna, była jednakże prawdziwa. Wisielec, którego ptaki drapieżne już zaczynały dziobać, miał wzrost fakira, a twarz jego, tak samo chytra, przypominała nieco rysy Sitamy, nie była jednakże tak chuda. Toby i Indri mieli fakira w swoich rękach, nie mogli się zatem mylić.

W jaki sposób została dokonana ta zmiana? Czy jakiś oddany współnik zdjął z szubienicy fakira, aby go przyzwoicie pochować, podstawiając za niego jakiegoś nieszczęśliwca, czy też zuchwały zbrodniarz podszedł dozorców więziennych radży, każąc powiesić zamiast siebie kogoś innego? Lub, co gorsza, czyżby udało mu się uciec?

Opanowany gwałtownym niepokojem Toby zsiadł ze słonia a za jego przykładem poszli natychmiast Indri i Bandhara.

- Każcie zdjąć tego człowieka - rzekł do sikhów, którzy strzegli mostu. - Dam wam sto rupji, jeżeli się pospieszycie.

Dwaj żołnierze weszli na wieżę i przecięli sznur, a wisielec runął na ziemię.

- Obejrzyj go, Bandharo - rzekł Toby.

- To nie on - odparł kornak. - Znałem go zbyt dobrze, abym mógł się mylić.

- Na wszystkie tygrysy Indii!... - ryknął Toby z wściekłością. - Czy człowiek ten jest szatanem?

Zwrócił się do sierżanta dowodzącego sikhami na posterunku.

- Nie widziałeś, czy kto zbliżał się wczoraj wieczorem do wieży?

- Nie, sahibie - odparł zapytany.

- Jesteś tego pewien?

- Dwóch żołnierzy stało na warcie na końcu mostu właśnie pod wisielcem i gdyby ktoś się zbliżył, byliby go widzieli i zaarrestowali.

- Czy twoi ludzie są wierni?

- Ręczę za nich jak za siebie samego.

- Kto powiesił tego człowieka?

- My, sahibie.

- Kto wam go wydał?

- Czterech strażników radży.

- Znasz ich?

- Tak, sahibie.

- A czy człowiek, którego wam przyprowadzili, był istotnie tym oto człowiekiem?

- Och!... nie mogę się mylić.

- Nie protestował i nie opierał się?

- Nie mógł, gdyż był pijany opium i wódką.

- Indri - rzekł Toby z niepokojem w głosie - Sitama uciekł, ja ci to mówię.

- A zatem nie wytępiłszy wszystkich jego współników!

- Sahibie - rzekł oficer eskorty, wysuwając się naprzód. - Ja wracam do miasta i każę aresztować czterech strażników, którzy przyprowadzili tutaj tego nieszczęśnika i kazali go powiesić zamiast fakira. Wy możecie jechać dalej, dogonię was, zanim opuścicie wyżynę.

- Dziś wieczorem rozłożymy się obozem w dolinie Senaru - rzekł Toby. - Tam będziemy cię oczekiwali.

- Jeżeli Sitama znajduje się jeszcze w więzieniu, poproszę radzę, aby kazał go natychmiast powiesić i zabiorę wam jego głowę, żebyście nie mieli żadnych wątpliwości co do śmierci tego nędznika.

Toby wszedł do haudy, wyjął z niej kasetkę, która wydawała się dosyć ciężka, po czym zszedł znowu na ziemię, a wręczając ją oficerowi, rzekł:

- Jest tutaj dziesięć tysięcy rupji; podzielisz się nimi ze wszystkimi zuchami, którzy pomogli nam w zdobyciu Koh-i-Nura.

- Niech żyje książę Barody! Niech żyje biały myśliwy! - krzyknęli radźpuci, strzelając w powietrze.

- Do doliny Senaru! - krzyknął Toby, wchodząc ponownie na słonia wraz z Indrim i Bandharą.

- Dotrzymam słowa - odparł oficer.

- Jedźmy - rzekł Indri. - Jedźmy natychmiast, nie zatrzymując się ani chwili. Lękam się, Toby, i nie będę spokojny, dopóki nie ujrzę murów Barody.

- Nie niepokój się zbytnio, przyjacielu - odparł Anglik. - Może Sitama nie zdążył jeszcze uciec.

Chwilę milczał, potem, przesywając nieomal okrutnym spojrzeniem Dhundię, który leżał skulony, jak zawsze, w rogu haudy, mając oczy na pół zamknięte, odezwał się do niego:

- Ty mógłbyś mówić.

Zaprzędaniec ministra nie odpowiedział.

- Gdybyśmy obiecali ci życie, czybyś mówił? - zapytał Toby po dłuższej chwili daremnego wyczekiwania.

Lekki dreszcz przebiegł po członkach Dhundii.

- Możesz nam powiedzieć, czy Sitama miał w Pannahu innych współników.

- Tego nie wiem - odparł więzień.

- Nie chcesz powiedzieć? Nawet sobie nie wyobrażasz, jaka w Barodzie oczekuje cię kara, a Parvati podzieli ją z tobą.

Dhundia zbladł; jednakże milczał dalej.

Słoń tymczasem przebiegał szybkim krokiem dolinę Senaru, gdzie widniały szerokie zakręty rzeki o tej samej nazwie. O dziesiątej znajdował się już przy grobach, dokoła których widać było jeszcze ogromne stada przelatujących marabutów, a o jedenastej schodził z pierwszych skał bronionych przez dwie strażnice. Zwolnił kroku, gdyż zejście stawało się niezmiernie niebezpieczne. Słoń posuwał się naprzód z tysiącnymi ostrożnościami, upewniając się najpierw o solidności gruntu, aby się nie stoczyć. Dolina zacieśniała się coraz bardziej, tak że z trudnością tylko można było przejechać. Z jednej strony płynęła rwącym prądem rzeka, przerywana od czasu do czasu wspaniałymi wodospadami, z drugiej nieomal prostopadle wznosiły się góry.

Biada, gdyby Sitama - zakładając, że udało mu się uciec i wyprzedzić ich - spróbował ataku w tym miejscu tak bardzo niebezpiecznym. Słoń runąłby niechybnie do rzeki, przepływającej więcej niż pięćdziesiąt metrów poniżej ścieżki.

Zdawało się jednakże, że żadna istota ludzka nie zamieszkuje tego dzikiego jaru poza obrębem strażnic. Tylko na najbardziej stromych stokach gór ukazywały się czasem dzikie barany lub wielkie koty, zgoła nie niebezpieczne.

Bieg słońca trwał aż do piątej po południu, po czym zwierzę stanęło na polance o szerokości około pięćdziesięciu metrów, pozwalającej rozłożyć się obozem.

- Zaczekajmy tutaj na oficera radzy - odezwał się Toby, zsiadając z grzbietu gruboskórca. - Ponieważ jechaliśmy wolno, nie jest on zbyt daleko.

- Czy będziemy bezpieczni w tym miejscu? - zapytał Indri nieufnie.

- Któż by miał nas tu zaczepić? Zakładając nawet, że Sitama zdołał uciec, to nie mógł mieć dosyć czasu, aby zgromadzić drugą bandę i puścić się w ślad za nami. Chwilowo nie mamy się czego obawiać, mój drogi Indri, a Górze Światła nie grozi żadne niebezpieczeństwo.

Kazali rozpalić ognisko z suchych gałęzi nazbieranych w rozpadlinach i małych parowach gór, spadających nieomal pionowo ku równinie i ścieżce, i zaczęli się posilać zapasami otrzymanymi od radzy.

Dhundii nie wyniesiono jednakże z haudy, a nawet zawsze podejrzliwy Bandhara skrępował mu nogi obawiając się, aby chytry zbój nie spróbował uciec, korzystając z chwili nieuwagi strażników. Nie czując się jeszcze dostatecznie bezpiecznym, przykazał małemu Sadrasowi, aby nie zostawiał go samego nawet na minutę.

- Nigdy nie wiadomo, co się może stać - powiedział poczciwy kornak. - Sitama mógłby go

uprowadzić na naszych oczach.

Zaledwie ukończyli wieczerzę, kiedy w oddali usłyszeli tętent kilku galopujących koni. Jacyś ludzie pędzili przez dolinę, zbliżając się szybko.

- Może to oficer radży? - zapytał Indri, który powodowany ostrożnością chwycił natychmiast za karabin.

- To może być tylko on - odparł Toby. - Kto odważyłby się nocą przejeżdżać przez ten wąwóz?

Bandhara, wdrapawszy się na skałę, z której szczytu widać było znaczną część doliny, uprzedził ich, że trzech jeźdźców spuszcza się z ostatniego złomu skalnego. Ponieważ nie było jeszcze zupełnie ciemno, mógł ich dokładnie dojrzeć.

- Czy to radżpuci? - zapytał Toby.

- Tak mi się zdaje.

- Chodźmy na ich spotkanie, Indri. Lepiej, żeby Dhundia nie dowiedział się o losie swego współnika.

Zabrawszy ze sobą broń, polecili dwom kornakom, aby nie oddalali się z obozu, i wkroczyli na ścieżkę biegnącą wzdłuż rzeki.

Tętent zbliżał się ciągle, coraz szybszy. Widocznie jeźdźcom bardzo było spieszo dotrzeć do obozowiska, którego ognisko musieli już zauważyć.

- Otóż i oni! - krzyknął Toby.

Na skrócie ścieżki ukazały się pokryte pianą aż do brzucha trzy konie, a na nich trzech radżputów, uzbrojonych w strzelby i szable.

Ujrawszy tych dwóch ludzi, szarpnęli tak gwałtownie końmi, że mogli wypaść z siodła do rzeki, i wyciągnęli szable z okrzykiem:

- Z drogi, albo przejedziemy przez was!

- Przyjacielu! - ryknął Toby, który w jednym z nich rozpoznał był oficera radży. - Nie poznajesz nas?

- Białe myśliwy! - krzyknął oficer, zeskakując szybko na ziemię. - A słoń?

- Jest daleko, nie obawiajcie się. A zatem? Przynosicie nam głowę Sitamy?

Oficer spojrział na niego bez słowa odpowiedzi, czyniąc ruch zniechęcenia.

- Uciekł? - zapytał Indri, rzucając się ku niemu.

- Tak, sahibie, uciekł.

- Przekleństwo! - ryknął Toby.

Rozdział XXXII - Potrójne morderstwo

Usłyszawszy tę wiadomość, Toby i były ulubieniec gaikwara opanowani zdumieniem i gniewem, umilkli. Sitama na wolności mógł im zgotować nowe niespodzianki, nowe podstępny, niebezpieczeństwa wszelkiego rodzaju. Trzeba było powtórnie podjąć długą, nieubłaganą walkę z zastępcą i współnikiem Dhundii. Koh-i-Nur, który kosztował tyle ofiar im przedstawiał ratunek i okup Indriego, nie był więc nadal zabezpieczony, gdyż Baroda wciąż leżała zbyt daleko.

- Uciek! - rzekł wreszcie Indri ponurym głosem. - Tego człowieka spotkamy jeszcze na drodze.

- Ale w jaki sposób udało mu się odzyskać wolność? - zapytał Toby, poblądłszy z gniewu.

- Czy więc więzienia radży są tak mało pewne, a jego dozorczy tak niegodni zaufania?

- Dopomagali mu jacyś tajemniczy współnicy.

- należący również do niecnej sekty dakoitów?

- Niewątpliwie, sahibie - odparł oficer.

- Czy znikł sam?

- Nie, razem z dwoma dozorcami i czterema strażnikami; ci sikhowie przy bramie zachodniej wydali człowieka, któregośmy widzieli powieszzonego.

- A kim był ten nieszczęśliwy?

- Jakieś biedaczysko aresztowany w kopalniach za to, że połknął diament, aby go sobie przywłaszczyć. Dozorcy spoiłi go do tego stopnia, że nie mógł ani mówić, ani opierać się, po czym wydali go strażnikom.

- A sikhowie powiesili go sądząc, że to fakir? - zapytał Indri.

- Tak, sahibie.

- A nam zdawało się, żeśmy wytepełili wszystkich dakoitów w Pannahu! - wykrzyknął Toby, przygryzając sobie z wściekłości paznokcie. - Czy przynajmniej wiadomo, dokąd uciekł ten pies Sitama?

- Nikt go już potem nie widział. Radża kazał dziś rano przeszukać wszystkie domy stolicy i rzucił swoje najlepsze oddziały poprzez całą wyżynę, bez żadnego wyniku. Nie znaleziono ani Sitamy, ani dwóch dozorców, ani czterech strażników. Jedynie...

- Ach! Mów dalej.

- Stwierdzono nagle zniknięcie bandy kuglarzy, która od trzech tygodni dawała przedstawienia na placu przed wielką świątynią.

- Czy to może współnicy Sitamy?

- Nie wiadomo, jednakże są pewne poszlaki, że tak, gdyż kuglarze zniknęli nocą, porzucając namioty i narzędzia.

- Może puścili się za nami? - zapytał Indri ze drżeniem.

- Czy nie spotkaliście nikogo? - spytał Toby.

- Nie, sahibie - odparł oficer. - Droga była pusta.

- Indri, skoro tylko słoń odpocznie trochę, ruszymy dalej - rzekł Toby. - wszelka niespodzianka w tej dolinie byłaby dla nas zgubna. Kiedy znajdziemy się w Gondwanie, nie będziemy potrzebowali obawiać się do tego stopnia.

Panowie - rzekł oficer - ja wracam, aby przeszukać wyżynę, gdzie są moi radźpuci. Wydałem także rozkaz załogom strażnic, aby pilnowały wszystkich przejść i strzelały do każdego, kto by próbował zejść ku dolinie. Panowie, życzę wam szczęśliwej podróży i proszę, abyście liczyli na mnie.

Dosiadł znowu konia, skinął na pożegnanie szablą i oddalił się razem z towarzyszami.

- Nie traćmy nadziei, przyjacielu mój - rzekł Toby, widząc przygnębienie Indriego. - Może ten łotr jest jeszcze na wyżynie i próbuje daremnie przedrzeć się między jeźdźcami radży. Wracajmy, Indri, i opuśćmy dolinę.

W pół drogi spotkali Bandharę; zaniepokojony ich przedłużającą się nieobecnością, nie mógł wytrzymać w obozie. Usłyszawszy wiadomość przywiezioną przez oficera, zachmurzył się.

- Tak - rzekł potem. - Sitama nie zostawi nas w spokoju, ale ja będę czuwał, i kto wie, czy nie odkryję jego zamiarów, zanim zdoła wprowadzić je w czyn.

Kiedy wrócili do obozu, słoń jeszcze nie był się położył. Pochłonął wieczerzę i bawił się z kornakiem, już to podnosząc go trąbą aż do wysokości pobliskich skał, już to turlając go po ziemi, nie czynił mu jednakże nic złego.

- Jeżeli się bawi, nie może być bardzo zmęczony - rzekł Toby. - Będziemy mogli jeszcze jechać kilka godzin, prawda, kornaku?

- Sihor nie odmawia swojemu opiekunowi niczego - odparł zapytany. - Aż do północy może wytrzymać, byleby dostał dobrą porcję cukru.

W tej chwili kilka strażów rozległo się na drugim końcu doliny, odbijając się długo wśród jarów i gór Senaru.

- Strzały! - krzyknął Indri nadbiegając. - Do kogo strzelali?

Toby nic nie odpowiedział. Podeszedł do rzeki i nachylił się nad przepaścią, wyciągając słuch.

Usłyszano dwa dalsze strzały, a potem jeszcze cztery, których głuchy odgłos dolatywał

wzdłuż biegu rzeki.

- Sześć strzałów - rachował Toby - a pięć przedtem, to razem jedenaście. Strzelali do oficera i jego dwóch towarzyszy.

- A może to żołnierze fortecy strzelali do jakiej bandy?

- Hadi są zaopatrzone w inną broń, a to były strzały karabinowe.

- A zatem Sitama zgotował oficerowi jakąś zasadzkę.

- Obawiam się tego - mruknął Toby z lękiem.

- Panie, uciekajmy - odezwał się Bandhara. - Znajdujemy się w niedobrej pozycji, źle by się dla nas walka tutaj skończyła.

- I mielibyśmy opuścić oficera, może już konającego?

- Może już skonał!

- Nie - rzekł Indri. - Nie możemy go opuścić. Chodź Toby!

- A jeżeli podczas naszej nieobecności ci bandyci napadną na słońca? Kto obroni Koh-i-Nura? - zapytał Toby.

- Ja odpowiadam za niego - odrzekł Bandhara. - Pognam słońca i będę czekał na was przy wyjściu z doliny, tam gdzie się wznosi stara strażnica. Bandyci nie zdołają nas dogonić.

- Idź - odpowiedział Indri. - Uważaj na Dhundię.

- Zabiję go raczej, a nie pozwolę uprowadzić.

Nie czekając dłużej, Indri i Toby pobiegli przez dolinę. Oprócz karabinów mieli ze sobą długie dalekonośne pistolety.

Strzały umilkły i w dolinie słychać było tylko głuchy szum fal, rozbijających się o kamieniste łóżysko Senaru. Po kwadransie szalonego biegu Toby i Indri zatrzymali się zziębnięci, aby zaczerpnąć oddechu.

Znajdowali się wówczas na innej płaszczyźnie, szerszej od tej, gdzie rozłożyli się obozem; opadała ona ku rzece nieco łagodniej, tak że można było dotrzeć do niej, nie narażając się na niebezpieczeństwo złamania sobie karku. Od strony gór zbocze też było mniej strome, przerywane głębokimi rozpadlinami, które zdawały się sięgać aż do szczytu.

- To w tej okolicy musiano oddać strzały - rzekł Toby. - Czy napastnicy ukryli się w jarach?

- Albo może poszli wzdłuż rzeki, żeby łatwiej ująć załogom strażnic. Mogli też wdrapać się na górę po skałach nadbrzeżnych - zauważył Indri, rzucając dokoła siebie niespokojnym wzrokiem. - Chcesz iść dalej?

- Wiesz, Indri, że nie można mnie wziąć za tchórza, a jednak wolałbym wrócić. Tutaj podejrzewam zasadzkę.

- Tylko jeszcze dwieście kroków.

- Dobrze, ale nie więcej.

Naciągnęli kurki karabinów i pistoletów, spojrzeli na rzekę wtłoczoną pomiędzy strome brzegi, potem na skaliste ściany gór, i ruszyli naprzód, kryjąc się w cieniu rzucanym przez granitową ścianę.

Już prawie przebiegli owe dwieście kroków, kiedy nad brzegiem rzeki spostrzegli jakąś ciemną masę.

- Co to jest? - zapytał Indri, chwytając karabin.

- Można by mniemać, że to koń - odparł Toby, zatrzymując się.

- W takim razie to tutaj napadli na oficera.

- Nie widzisz nic w pobliżu gór?

- Nie, Toby.

- Ja też nic nie widzę na skałach rzeki.

- Konie drażputów były czarne, prawda?

- Tak, Indri.

- Chodźmy zobaczyć.

Naprzód nasłuchiwali dłuższą chwilę, a gdy uszu ich nie doszedł żaden dźwięk oprócz szumu fal, wyszli z cienia i przebiegli szybko ścieżkę, kierując się ku rzece.

Nad brzegiem Senaru istotnie leżał koń - piękne zwierzę o czarnej, lśniącej sierści, całe pokryte pianą; na grzbiecie miał bardzo niskie siodło i czerwony czaprak ze złotymi frędzlami, po bokach znajdowały się krótkie strzemiona. Otrzymał w czaszkę dwie kule, które zmiażdżyły mu skronie; z ran wydobywała się oprócz krwi także masa mózgowa.

- To jeden z koni radżputów! - zawołał Indri, wstrząsany dreszczem. - Gdzie mógł paść jego pan?

- I zdaje mi się, że to koń, na którym jechał oficer - dodał Toby poruszony.

- Czy został zabity?

- Cicho!

- Coś usłyszał?

- Jakiś jęk.

- Gdzie?

- Na dole, w rzece.

- Czyżby nędznicy, którzy zabili konia, wrzucili jeźdźca do Senaru?

Jakiś głos, słaby, zaledwie dosłyszalny, dobiegł w tej chwili spośród nadbrzeżnych skał.

- Na pomoc...

- Indri, zejdźmy - rzekł Toby.
- Czy się tylko da?
- Widzę tam rozpadlinę, może dotrzemy tamtędy do rzeki.
- A jeżeli napadną na nas z tyłu?
- To prawda, Indri. Ty zostań tutaj, ukryj się za koniem i osłaniaj mnie, ja schodzę.

Nie czekając na odpowiedź towarzysza, Toby dotarł w dwóch susach do rozpadliny, która, jak sądził, spadała aż do samego brzegu.

Zejsście z początku zdawało się bardzo trudne, ale w rzeczywistości nie sprawiło mu większego kłopotu. Wystarczyło się zsunąć, aby dostać się na dół, co też Toby uczynił.

W niespełną pół minuty Anglik znalazł się na złomach skalnych, o które rozbijały się fale rzeki. Natychmiast zauważył ciało ludzkie leżące przy brzegu z nogami zanurzonymi w wodzie, a rękoma przyciśniętymi do głowy.

- Kim jesteś? - zapytał Toby, zbliżając się.

Usłyszawszy jego głos, ranny usiłował powstać, wydając przy tym głuchy jęk.

- To ty! - wykrzyknął Toby, poznając w nieszczęśliwym oficera radży Pannahu.
- Tak... sahibie... - wykrztusił konający.
- Kto cię wrzucił do rzeki?
- On... dakoici...
- Sitama?

Oficer skinął potwierdzająco głową.

- Widziałeś go?
- Tak - szepnął ranny gasnącym głosem.
- Gdzie?

Oficer wskazał rzekę.

- Płynęli wzdłuż Senaru?
- Tak... sahibie...
- A potem uciekli?
- Tak... tak...
- A twoi towarzysze - zapytał jeszcze Toby z wysiłkiem.
- Zgi... nę... li... w rze... ce...
- Przekleństwo!

Nieszczęśliwy nie odpowiedział. Opadł zupełnie, zamykając oczy. Ciałem jego wstrząsał przez chwilę dreszcz, który nagle ustał.

Toby odkrył mu piersi i położył rękę na sercu: nie biło już.

- Umarł! - szepnął. - Pomścimy cię, przysięgam ci to.

Wyciągnął trupa, aby go prąd rzeki nie uniósł, i złożył w zagłębieniu; potem wdrapał się na górę przez rozpadlinę i dołączył do Indriego, który ukrywał się ciągle za ciałem konia, rozglądając się uważnie po okolicy.

- Sitama tutaj! - wykrzyknął były ulubieniec gaikwara, wysłuchawszy opowiadania Toby'ego.

- Tak, dakoci płynęli z biegiem rzeki, aby ominąć strażnice.

- W jaki sposób zdołali dokonać tego nocą wobec tylu katarakt?

- Tego nie wiem - odpowiedział Toby - ale zaczynam przypuszczać, że ci ludzie są prawdziwymi demonami.

- Przyjacielu, wracajmy do słońca. Może się zdarzyć, że Sitama i jego towarzysze napadną na niego niebawem.

- Tak, wracajmy, i to pędem.

Chcieli już powstać, kiedy spostrzegli kilka cieni, które zsuwały się ze skał ciągnących się wzdłuż łańcucha gór. Schodziły cicho, pomagając sobie wzajemnie, dając czasami susy, jakich mogłyby im pozazdrościć najzręczniejsze małpy.

- Ludzie czy małpy? - zapytał Toby, kryjąc się szybko za konia.

- Wydają mi się ludźmi.

- A skąd, u licha, zesli?

- Z gór.

- Mimo że mają ściany prawie gładkie i prostopadłe?

- Mówię ci, że to ludzie, Toby.

- Towarzysze Sitamy?

- Tak przypuszczam.

- W takim razie musieli się podzielić na dwa oddziały, aby łatwiej ujść przed żołnierzami radży i strażami hadi. Jeden płynął z prądem rzeki, drugi spuszczał się z gór, posuwając się przez złomy skalne i wąwozy.

- Indri, przyjacielu, tutaj wieje wiatr niekorzystny dla nas i obawiam się porażki.

- Czy myślisz, że ci ludzie już nas spostrzegli i że schodzą aby nas zaatakować?

- Zobaczymy, Indri; tymczasem nie opuszczajmy tego konia, za którym możemy się schronić. Jesteśmy dobrze uzbrojeni, strzelamy niezawodnie i zalejemy tym zbrojom jeszcze dużo stadła za skórę, jeżeli nas zaczepią.

Ludzie, którzy przeszli przez góry, nadal igrali z niebezpieczeństwem, aby się dostać na

ścieżkę biegnącą wzdłuż Senaru. Było ich mniej więcej piętnastu, wszyscy niemal nadzy, tylko w małych lungi, które im zaledwie osłaniały biodra. Każdy uzbrojony był w strzelbę i sztylet.

Znajdowali się jeszcze na wysokości około czterystu stóp i musieli zsunąć się z prawie prostopadłych skał, jednakże nie ulegało wątpliwości, że uda im się dotrzeć do ścieżki, sądząc po pewności i zręczności ruchów. Po gładkich skałach pełzali na czworakach naśladowując małpy i bardzo szybko docierali do niższych miejsc, gdzie tworzyli piramidy z ludzi, aby pomóc zejść ostatnim. Czasami jednak posługiwali się linami, które zostawili potem zawieszony ze skał.

- To diabły nie ludzie - mruknął zdumiony Toby.

- Są to kuglarze i linoskoczki - odpowiedział Indri. - Znasz zresztą zadziwiającą zręczność Indusów.

- I mamy im pozwolić zejść? A gdybyśmy tak zaczęli strzelać do nich?

- Nie, Toby; może nas nie spostrzegli i unikniemy walki, której skutki mogłyby być dla nas fatalne. Jest ich piętnastu czy szesnastu, a nas dwóch. A są w dodatku sami? Sitama może być bliżej, niż przypuszczamy.

- Masz słuszość, Indri. Czekajmy.

Dakoci, dotarłszy do ostatniej platformy, zatrzymali się na kilka minut, aby odpocząć i znaleźć sposób zejścia z ostatniego złomu skalnego, który spadał pionowo ku ścieżce, bez szpar i rozpadlin. Wahanie ich nie trwało długo; związali kilka pasów przytrzymujących ich lungi, a utworzywszy z nich linę, spuścili ją. Koniec nie dotykał jeszcze ścieżki, ale cóż znaczył skok z wysokości czterech metrów dla tych ludzi tak zręcznych i zwinnych?

Pierwszy zsunął się po linie, po czym odważnie skoczył. Upadł, potem wstał, wydając okrzyk triumfu. Inni wykonali za jego przykładem ten śmiały manewr, nie zważając, że gdyby padli źle, mogliby połamać sobie nogi.

Zebrawszy się wszyscy na ścieżce, rzucili się na ziemię i zaczęli pełzać jak węże, ukrywając się za odłamami skalnymi spotykanymi po drodze.

- Zwracają się ku nam! - szepnął Indri. - Nie widzisz ich?

- Do pioruna! - odparł Toby. - Zostaliśmy odkryci!

- Stoczymy walkę?

- Tak, Indri.

- Ja strzelę pierwszy!

Indus podniósł się na kolana, wyglądając zza konia. Dakoici znajdowali się już tylko w odległości pięćdziesięciu kroków i pełzali dalej po ziemi, kierując się w stronę konia.

- Kto idzie? - krzyknął Indri.

- Żołnierze hadi - odparł jakiś głos.

- A więc niech dowódca postąpi naprzód sam, abyśmy się mogli przekonać, czy jest żołnierzem radży.

- Oto jestem!

Jakiś człowiek podniósł się zza głazu, ale zamiast iść naprzód, wyciągnął szybko karabin i strzelił do byłego ulubieńca gaikwara. Równocześnie huknął drugi strzał. Toby wypalił do zdrajcy i, jak zawsze, trafił.

Dakoita podniósł obie ręce do piersi, wypuszczając broń z ręki, i runął do rzeki.

- Ranionys? - zapytał Indriego łowca tygrysów.

- Nie, kula przeszła nade mną.

- Nie narażaj się zbytnio. Nie wiemy, z kim mamy do czynienia.

- Nie odsłonię się, Toby.

Dakoici, przerażeni matematyczną celnością strzału, zatrzymali się, przylepiając się, jeżeli można tak powiedzieć, do ziemi, aby utrudnić strzelanie do siebie.

- Przestraszyli się - zauważył Toby.

- Ale wcale nie mają zamiaru się cofnąć.

- Jak zabijemy siedmiu czy ośmiu, zobaczysz, że zdecydują się zostawić nas w spokoju.

- Patrz!

- Co widzisz?

- Kilku dakoitów próbuje wejść do rzeki, aby zająć nas z tyłu.

- Zobaczymy jeszcze, poznają mój karabin!

Toby podniósł głowę, rzucając szybkie spojrzenie w stronę rzeki. Czterech ludzi pełzło wzdłuż brzegu, starając się dotrzeć do rozpadliny, przez którą chwilę przedtem byli zeszli.

- Widzę ich - rzekł. - Teraz są bardziej odsłonięci.

Wysunął się tak daleko, jak tylko mógł, nabił karabin, mierząc w stronę dwóch skał, pomiędzy którymi czterej dakoici musieli przejść. Pokazała się jakaś głowa cofając się natychmiast.

- Boją się - mruknął Toby. - Spostrzegli, że czekam, aż będą przechodzili.

Minęło kilka sekund, potem głowa ukazała się ponownie. Szybki jak błyskawica, łowca tygrysów nacisnął cyngiel. Rozległ się huk, a po nim nastąpił krzyk.

Trzej pozostali, zostawiając za sobą trupa, skoczyli naprzód, aby dotrzeć do rozpadliny, lecz Indri również uważał na nich. Usłyszano znowu strzał i padł następny człowiek.

- To trzeci - rzekł Toby, podczas gdy towarzysze zabitych cofali się pospiesznie. - Zostało ich trzynastu, a my mamy jeszcze sto dziewięćdziesiąt siedem naboí.

Dakoici wściekli, że dwóch ludzi trzyma ich w szachu, otworzyli gwałtowny ogień. Z głuchym odgłosem kule uderzyły w ciało konia, nie mogąc go przebić.

Toby i Indri, wyciągnięci na ziemi, nie bronili się, obawiając się odsłonić. Kiedy jednak strzały stały się rzadsze, podnieśli na chwilę głowy, aby zobaczyć, czy napastnicy się nie zbliżają.

Strzelanina trwała pięć minut, potem umilkła. Kilku ludzi, sądząc, że Toby i Indri zostali zabici, opuściło kryjówki i posuwało się naprzód.

- Uważaj! - rzekł łowca tygrysów do swego towarzysza. - Nadchodzą! Strzelimy równocześnie!

Dakoici zbliżali się ostrożnie, cichym krokiem, pochylając się i ściskając w rękę strzelby. Co dwa lub trzy kroki zatrzymywali się, nadsłuchiwali, potem uspokojeni ciszą posuwali się znowu parę kroków naprzód. Było ich pięciu; na czele szedł, jak się zdawało, dowódca, który od czasu do czasu dawał swoim towarzyszom jakiś rozkaz.

Toby i Indri wstrzymali oddech: czekali, aż przeciwnicy jeszcze się zbliżą, aby wypalić do nich z całkiem bliska.

- Stój! - rzekł nagle człowiek, który ich prowadził.

- Szybko, Indri - szepnął Toby.

Równocześnie skoczyli na nogi, strzelając w sam środek grupy, która zatrzymała się piętnaście kroków od nich.

Rezultat tej małej salwy był straszny. Trzech ludzi runęło; inni, przerażeni niespodzianym przyjęciem, uciekali na łeb, na szyję, a tymczasem dwaj przyjaciele posłali za nimi jeszcze dwie kule z pistoletu.

Tego było za wiele dla bandytów. Nie myśląc wcale czynić użytku ze strzelb, rzucili się jak szaleni przez rozpadlinę, pędząc aż do rzeki, gdzie ukryli się wśród skał.

- Teraz możemy odejść - rzekł Indri. - Ścieżka jest wolna.

- Powoli, przyjacielu - odrzekł Toby. - Nie pozwólmy, aby nas widzieli.

- Dlaczego?

- Żeby nie szli za nami. Podpełznij za konia, dotrzyj do kamieni i oddal się, kryjąc się ciągle. Będą myśleli, żeśmy nie opuścili tego miejsca i nie odważą się chwilowo pokazać. A my tymczasem ich wyprzedzimy.

Przesunęli się ostrożnie dokoła cielska konia, po czym cofnęli się aż do złomów skalnych, nie spuszczać oczu z rzeki, gdyż obawiali się, że dakoici opuścili swoje kryjówki. Skoro tylko znaleźli się w cieniu skalnej ściany, wstali i zaczęli pędzić co sił w dół ścieżki. W ten sposób przebiegli bez przystanku dobry kilometr, przyspieszając ciągle kroku, po czym zatrzymali

się, spoglądając na rzekę.

- Widzisz ich? - zapytał Toby.

- Tak - odparł Indri.

- To ci sami, co napadli na nas, czy inni?

- To właśnie chciałbym wiedzieć; obawiam się, że to inni. Nie ruszaj się, zobaczymy, czy między nimi jest ów przeklęty fakir.

Rozdział XXXIII - Pościg dakoitów

Inna banda dakoitów kroczyła w tej chwili przeciwległym brzegiem w górę Senaru. Było ich czternastu, tak samo nagich i w ten sam sposób uzbrojonych jak i tamci, i z pewnością nie mniej zręcznych, gdyż skakali z jednego głazu na drugi z nadzwyczajną pewnością, nie wpadając nigdy do wody. Nie mogli być tymi, którzy zaczepili Indriego i Toby'ego, gdyż zamiast iść w górę rzeki, szliby z prądem w nadziei, że odetną jeszcze odwrót uciekającym. Przypuszczalnie była to banda dowodzona przez Sitamę, która, jak to powiedział oficer, ucieka wzdłuż Senaru. Na odgłos salw, rozlegających się niezmiernie daleko w tej głębokiej dolinie zamkniętej pomiędzy ogromnymi skałami, nadbiegała z pomocą drugiemu oddziałowi, co przedostał się przez góry.

- Czy fakir znajduje się pomiędzy nimi? - zapytał Indri, padając na ziemię, aby go nie zauważono.

- Prawdopodobnie - odparł Toby.

- Czy przechodzą na ten brzeg?

- Życzyłbym sobie tego; ale zdaje mi się, że na razie nie mają zamiaru. Ach!... Gdybym mógł dostrzec fakira!... Jak chętnie bym go zastrzelił!... Tymczasem wracajmy do słonia. Ta dolina może stać się naszym grobem.

Pobiegli znowu dalej, trzymając się ciągle ścieżki, która wiła się kapryśnie pomiędzy górami i rzekami. Ogarnął ich żywy lęk, gdyż obawiali się, że idąca w górę rzeki banda napadnie na słonia.

O północy, przebiegłszy jeszcze dalsze cztery czy pięć kilometrów, dotarli do końca doliny Senaru. W tym miejscu góry oddalały się od siebie, a rzeka rozszerzała się, płynąc mniej wartko. Dalej zaczynały się pojawiać gęste lasy dzikich bananów i tektonii, a na skraju rozległej polanki wznosiły się oblankowane mury starej, na wpół zrujnowanej strażnicy.

- To tutaj - rzekł Toby, zwalniając biegu. - Nie mogę dalej.

- Czy są tam nasi towarzysze? - zapytał Indri z obawą.

W tej chwili usłyszeli potężny ryk słonia i głos wiernego Bandhary, który krzychał:

- Kto idzie? Odpowiedzcie albo strzelam!...

- Spuść karabin, przyjacielu - rzekł Indri - to my.

- Wy, panie!... Nareszcie!...

- Jesteście wszyscy?

- Wszyscy, sahibie.

- A Dhundia?

- Pilnują go Sadras i kornak.
- Nie spostrzegłeś nikogo podczas naszej nieobecności?
- Owszem, panie; jacyś ludzie zaczęli się kręcić wokół strażnicy, lecz znikli po pierwszym strzale.

- Ilu ich było? - zapytał Toby.
- Nie mogłem ich policzyć, gdyż ukrywali się w gęstwinie.
- Czy słoń może iść dalej?
- Jest zmęczony, panie.
- Trzeba natychmiast opuścić tę dolinę i schronić się do Gondwany, Sitama nas goni.

Bandhara zbladł.

- Widzieliście go? - zapytał.
- Odparliśmy atak jednej jego bandy - odparł Indri.

Weszli do strażnicy; składała się z małego, dawno zbudowanego budynku, na wprost leżącego w gruzach, oraz z obłankowanego obramowania, zupełnie zrujnowanego, które nie mogło już służyć do obrony.

- Na nic nam się nie przyda - rzekł Toby, rozglądając się dokoła.
- Chciałbyś zatrzymać się tutaj? - zapytał Indri.
- Tak, gdyby strażnica była w dobrym stanie.
- Jest cała w gruzach.

- Widzę, dlatego będziemy czekali na Sitamę w lesie. Jestem pewny, że uczyni wszystko, aby nie pozwolić nam uciec do Sagaru.

Słoń położył się obok kornaka i chrapał zadowolony, nie przypuszczając wcale, że po tym męczącym marszu po stokach wyżyny będzie znowu miał puścić się w drogę.

Dhundia tymczasem, nadal skrępowany, leżał przy ognisku, strzeżony przez małego Sadrasa, który trzymał na kolanach parę pistoletów. Poczciwy chłopiec nie zamknął jeszcze oczu, śledząc uważnie najmniejszy ruch więźnia, gdyż obawiał się ciągle, że ten mu ucieknie.

Zbudzono kornaka i wytłumaczono mu niebezpieczeństwo, jakie zagrażało wszystkim, gdyby dłużej pozostali w strażnicy.

- Sihor jest dobry i uczyni jeszcze jeden wysiłek - odparł kornak. - Biedne zwierzę nie będzie zbyt zadowolone, że przerywamy mu sen; jednakże dwie lub trzy godziny iść będzie, ale nie więcej.

- To wystarczy - rzekł Toby.

Słoń, zbudzony wylanym mu na głowę wiadrem wody, podniósł się mruczając i potrzęsając niecierpliwie uszama, jednakże uspokoił się natychmiast, gdy usłyszał głos

wiernego kornaka. W niespełna minutę połknął kilka kilogramów cukru, opróżnił wiadro wody, w którą wiano pół butelki dzinu, a kiedy wszyscy ulokowali się na jego potężnym grzbiecie, wyszedł ze strażnicy, burząc uderzeniem łopaty kawał muru. Mruczał i sapał, kiwając ogromną głową, aby okazać zły humor; ale skoro tylko znalazł się poza strażnicą i odetchnął świeżym powiewem nocy, wpadł w drobny galop, kierując się w stronę lasów rozciągających się wzdłuż prawego brzegu Senaru.

Nikogo nie spostrzeżono ani na zewnątrz strażnicy, ani nad brzegami rzeki. Można więc było mieć nadzieję, że odjazd ich nie miał żadnego świadka. Niemniej Toby, a przede wszystkim Bandhara, którzy znali niezmierną zręczność fakira w odnajdywaniu tropu i posuwaniu się długi czas za nim, nie łudzili się zbytnio. Byli pewni, że prędzej czy później ten łotr odnajdzie ślady pozostawione przez słonia.

Tymczasem dolina rozszerzała się ciągle i droga była coraz łatwiejsza. Stoki stawały się łagodniejsze, zaczynały się pojawiać płaszczyny pokryte bardzo wysokimi trawami i olbrzymimi bambusami, osiągającymi czasem szesnaście, a nawet osiemnaście metrów wysokości; z ich czubków zwisały olbrzymie kiście w kształcie szczotki, chwiejące się w powiewie wiatru.

Słoń, poganiany ciągle przez kornaka, który go głaskał, szepcząc mu do ucha pieszczotliwe wyrazy, puścił się odważnie w trawy, dochodzące mu aż do piersi, a płoszył przy tym stada pawi i białych synogarlic. Szedł w stronę czerniących się na horyzoncie lasów, gdzie niewątpliwie znajdzie dla siebie pod dostatkiem owoców i delikatnych liści.

Zaczynało świtać, kiedy dotarł do pierwszych drzew, do olbrzymich bananów o gęstym ulistnieniu, z setkami i setkami gałęzi. Szeroką, potężną piersią torował sobie drogę, usuwając po prawej i po lewej stronie gałęzie i pnie; potem, przebiegłszy pięćset metrów, zatrzymał się, poruszając uszama, wymachując trąbą i wydając równocześnie długi ryk.

- Jest zmęczony i wzbrania się iść dalej - rzekł kornak, zwracając się do Toby'ego.
- Ile, myślisz, przebiegł do ostatniego postoju? - zapytał tenże.
- Sześć mil, sahibie.
- Możemy mu dać dwie lub trzy godziny wypoczynku. Czy to wystarczy?
- Tak, jeżeli znajdzie tutaj pod dostatkiem żywności.
- Zsiadajmy - rzekł Indri. - Na razie nie potrzebujemy się obawiać żadnej niespodzianki ze strony Sitamy.

Usłyszawszy te słowa, co nieopatrznie wyrwały mu się z ust byłego ulubieńca gaikwara, Dhundia, który podczas tego marszu nie otworzył ust ani oczu, drgnął gwałtownie.

- Sitama - rzekł, spoglądając na Indriego. - Ach! Żyje jeszcze!...

- A ty masz nadzieję, psie, że przyjdzie cię uwolnić, prawda? - zapytał Toby.

Dhundia przygryzł sobie wargi zły, że wypowiedział te słowa, ale potem odezwał się znowu, patrząc wyzywająco na myśliwego:

- Sitama mnie przynajmniej pomści.

- Jest dalej, niż sądzisz.

- Dogoni was mimo to.

- I zabije nas?

- Przynajmniej zrobi wszystko, co w jego mocy, żeby to uczynić - odparł Dhundia ze złośliwym uśmiechem.

- Nie zobaczysz naszej porażki, mówi ci to Toby, łowca tygrysów, bo przy pierwszym ataku ze strony tych zbójów roztrzaskam ci głowę strzałem z pistoletu.

- Więc pomści mnie Parvati, jeżeli Sitama nie będzie mógł tego uczynić.

- Zobaczymy - odparł Indri z ironią - sądzę jednak, że Parvati będzie mógł uczynić bardzo mało dla ciebie, co więcej, nie chciałbym znaleźć się w jego skórze.

- Ja zaś...

- Dostyc tego, albo każę ci zakneblować usta - rzekł Toby groźnym głosem. - Mamy dość twojej gadaniny.

Dhundia wiedząc, że Toby nie jest człowiekiem, z którego można sobie żartować, nie pisnął już ani słówka i pozwolił znieść się na ziemię; Bandhara i kornak już ustawili tutaj małą prowizoryczną szopę, utworzoną z liści bananów podtrzymywanych przez kilka skrzyżowanych ze sobą gałęzi.

Na śniadanie zjedli część pozostałych zapasów, do czego dodali pomarańcze i banany, a ponieważ byli bardzo znużeni i pewni, że im nikt nie przeszkodzi, wyciągnęli się na warstwie świeżych liści obok śpiącego już małego Sadrasa.

Bandhara tymczasem, skrępowawszy Dhundii ręce i nogi i polecivszy go uwadze kornaka, wziął ze sobą karabin i znikł pomiędzy drzewami.

Dzielny i wierny sługa Indriego nie był wcale spokojny i chciał się przekonać naocznie, czy żadne niebezpieczeństwo nie grozi jego panu i towarzyszom. Wiedział, że fakir nie jest człowiekiem, który by się wyrzekł zamiaru przywłaszczenia sobie sławnego diamentu i który by zostawił współnika w ręku nieprzyjaciół. Był więc przekonany, że każdej chwili może nadejść razem ze swoimi łotrami.

- Im mniej będziemy się go spodziewali, tym pewniej Sitama rzuci się na nas - powiedział sobie kornak. - Starajmy się zatem go uprzedzić.

Lasy nie miały dla niego tajemnic; umiał przedzierać się przez nie bez obawy zabłądzenia i

nie czyniąc więcej hałasu od węża. Ruszył odważnie w sam środek najgęstszych zarośli, gdzie słońce nie mogło przeniknąć, i szedł szybko przed siebie, unikając z nadzwyczajną zręcznością korzeni i niskich gałęzi. Gdy spotykał warstwy suchych liści, czepiał się lin i małpim ruchem przesuwał się ponad nimi, unikając w ten sposób szelestu, który go mógł zdradzić.

Przebył tak mniej więcej kilometr, kiedy do uszu jego doleciał jakiś szmer i prawie natychmiast się powtórzył. Padł szybko na ziemię, ukrywając się pod ogromnymi liśćmi banana, i nabił po cichu karabin.

“Czyżby ci zbóje już tu zaszli? - pomyślał, - Jeżeli tak jest, musieli galopować jak konie, żeby dogonić słonia.”

Z zapartym oddechem nadśluchiwał i uchwycił znowu trzask łamanej gałęzi.

- To może być tygrys lub pantera - szepnął. - Miejmy się na baczności, gdyż jest to sąsiedztwo tak samo niebezpieczne jak Sitama i jego bandyci.

Przyłożył ucho do ziemi, po czym podniósł znowu głowę, rzucając dokoła siebie niespokojne spojrzenie.

“Zbliży się dwóch ludzi - stwierdził. - Może to zwiadowcy bandy?”

Wypełznął spod liści bez najmniejszego szelestu i zeszywniał natychmiast, opadając znowu na ziemię.

Dwaj Indusi przechodzili wolno przez las, pochylając się od czasu do czasu ku ziemi, jak gdyby szukali śladów. Byli zupełnie nadzy, złani potem, a w ich zmierzwionych brodach widniało pełno błota; dyszeli głośno, jakby długi czas biegli. Jeden z nich miał na głowie czapkę żółtą, drugi czerwoną, z wymalowanym na niej małym niebieskim wężem. W jednej ręce trzymali strzelby, w drugiej rodzaj jataganu, którym posługiwali się, aby usuwać przeszkadzające gałęzie i korzenie.

“To ludzie Sitamy - pomyślał Bandhara. - Gdybym tak ich zabił?”

Dwaj Indusi zatrzymali się w odległości tylko dwudziestu kroków od niego, siadając na ogromnym korzeniu banianu.

- Zatrzymajmy się chwilę - rzekł ten, który miał żółtą czapkę. - Jesteśmy już na dobrej drodze.

- Jadą na swoim słoniu czy na jakimś innym? - zapytał drugi.

- Sitama powiedział mi, że opuścili Pannah na słoniu ofiarowanym im przez radzę.

- Jak się o tym dowiedział?

- Od strażników, którzy pomogli mu w ucieczce - odparł ten w żółtej czapce.

- Jeżeli nasi ludzie nie nadejdą szybko, ci wymkną nam się. Kto może tak długo biec za

słoniem?

- Ulubieniec gaikwara musiał się gdzieś zatrzymać. Nie może przemęczać zwierzęcia.

- Łotry! - szepnął Bandhara. - A jednak to my was zaskoczymy. Dojdę przed wami do obozu i zgotuję wam zasadzkę, której nie zdołacie uniknąć.

Zrezygnował z myśli zastrzelenia ich. Jakkolwiek był dobrym strzelcem, obawiał się, że jakaś gałąź zmieni kierunek jego kuli, a mógł wypalić tylko jeden raz. Nawet przypuściwszy, że powaliłby jednego przeciwnika, to towarzysz jego mógł mu stawić czoła i odpowiedzieć natychmiast na jego strzał.

“Trzeba uprzedzić sahiba - pomyślał. - Dostanę ich tak czy tak.”

Właśnie chciał wypełznąć z zarośli, kiedy w odległości kilku kroków spostrzegł zwiniętego okularnika; przeszywał Bandharę błyszczącymi oczkami, nad którymi widniał rysunek żółtych okularów dających tym niebezpiecznym gadom przerażający wygląd.

“Tego tylko brakowało! - pomyślał Bandhara z drżeniem. - Jeśli rzuci się na mnie, zginąłem.”

Zdawało się, że wąż nie ma wojowniczych zamiarów. Zadowalał się tym, że patrzył na kornaka, jak gdyby chciał go obezwładnić, i poruszał szybko rozszczępionym językiem.

Bandhara pokrył się zimnym potem: przed sobą i za sobą miał śmierć, a żadnej możliwości ucieczki. Jeżeliby wąż rzucił się na niego, a on spróbował się bronić, dwaj Indusi, zwabieni hałasem, nadbiegliby niewątpliwie i zabili go albo przynajmniej wzięliby go do niewoli.

Ten śmiertelny lęk trwał dwie minuty, które nieszczęśliwemu kornakowi wydały się dwiema godzinami, potem jadowity gad rozwinął z wolna pierścienie i znikł w krzaku.

- To męka, jakiej nie życzyłbym nawet Sitamie - szepnął kornak, ocierając sobie czoło. - Czuję już, jak zęby kobry wbijają mi się w ciało, a jad krąży w żyłach.

Spojrzał za siebie, lecz nie spostrzegł już dwóch Indusów.

“Oddalili się, idąc śladem słonia - pomyślał. - Postaram się wyprzedzić ich niepostrzeżenie.”

Przedarł się szybko przez gęstwinę, spoglądając na krzak w obawie, że dostrzeże znowu straszego węża, potem zaczął biec co sił przez las; starał się trzymać jak najdalej od ścieżki utorowanej przez słonia, na której musieli się znajdować obaj bandyci.

W dwadzieścia minut później, jeszcze przerażony spotkaniem, dobiegł zmęczony do obozu.

Słoń spał, Indri, Toby i Sadras również; tylko kornak czuwał, siedząc naprzeciw Dhundii, który udawał, że śpi.

- Jakież wiadomości? - zapytał kornak, widząc zmienioną twarz Bandhary. - Wydajesz się

przerażony.

- Trzeba jechać dalej.

Znowu?

- Odkryli nasze ślady.

- Słoń nie wstanie tak szybko. Potrzebuje wypoczynku.

- Staraj się nakłonić go, żeby się ruszył.

- Spróbuję.

Bandhara wpadł do małej szopy i zbudził Toby'ego i Indriego, powiadamiając ich o zbliżaniu się dwóch wywiadowców Sitamy.

- Ten fakir jest okrutniejszy od tygrysa! - wykrzyknął Toby, - Czy nie da nam chwili spokoju?

- Nie będziemy spali spokojnie, dopóki nie zabijemy go lub dopóki on nie odbierze nam Koh-i-Nura - rzekł Indri.

- Sahibie - odezwał się w tej chwili kornak, zbliżając się do nich. - Słoń wzbrania się wstać. Boję się użyć przymusu.

- Wiedziałem, że tak będzie - odpowiedział Indri. - Nie można wymagać rzeczy niemożliwych.

- A jednak nie możemy zatrzymać się tutaj, w środku lasu - rzekł Toby. - Byłoby lepiej, gdybyśmy byli zostali w strażnicy.

- Niedaleko stąd znajduje się zrujnowana świątynia - rzekł kornak.

- Czy nada nam się do obrony? - zapytał Indri.

- Otaczający ją mur jest w gruzach, ale wewnątrz musi być w dobrym stanie.

- Chodźmy ją obejrzeć - rzekł Toby

- A słoń?

- Skoro nie zobaczy przy sobie kornaka i posłyszysz pierwsze strzały, przyjdzie do nas - rzekł Bandhara.

- Weźmy Koh-i-Nura, nasze pieniądze, broń i zapasy i przenieśmy się - rozkazał Toby. - Może dakoici weszli już do lasu i przyłączyli się do wywiadowców.

Opróżnili haudę, obładowali się jej zawartością, nie zapominając przede wszystkim o nabojach, rozwiązali nogi Dhundii i weszli między drzewa, poprzedzani przez kornaka. Widząc, że jego kornak odchodzi, słoń ryknął dwa czy trzy razy, po czym zdecydował się ruszyć za nim, pomrukując ciągle. Toby, który niósł broń, szedł z tyłu, ażeby osłaniać ten mały oddział.

Rozdział XXXIV - Głowa fakira

Las stawał się coraz gęstszy, jednakże widoczne było, że w dawnych czasach musiał być zamieszkiwany, a nawet że znajdowała się tam jakaś wielka wieś lub małe miasto, bo w miarę jak uciekający zagłębiali się w gąszcz, napotykali rzeźbione odłamy kamieni, resztki kolumn, niezupełnie jeszcze pokryte mchami i roślinami pasożytniczymi, głowice, zwalone arkady i kawałki muru. W Indiach nieraz spotyka się, nawet w najgęstszych dżunglach, które stały się już kryjówkami węży, tygrysów i panter, resztki miast, co zniknęły przed dziesiątkami wieków. W chwili, kiedy podróżni lub myśliwi najmniej się tego spodziewają, stają nagle przed pałacami w gruzach, niegdyś siedzibami możnych radzów, meczetami lub świątyniami w ruinach, zakrytymi ogromnymi krzakami. W słonecznych krajach roślinność jest zresztą tak bujna, że pole od roku dopiero leżące odłogiem, zmienia się zupełnie. Drzewa i krzaki rozrastają się z nadzwyczajną szybkością, usuwając wszelki ślad ziemi uprawnej.

Kornak, znający doskonale las, który nie wiadomo ile razy przebiegał, szedł za jakimś śladem, niewidocznym dla innych, bez najmniejszego wahania, chociaż nie miał busoli. Polegał na swoim instynkcie człowieka leśnego i był pewny, że się nie omyli.

Słoń szedł za nimi torując prawdziwą ścieżkę przez tysiączne rośliny, odrzucając na prawo i lewo młode drzewa, rośliny pasożytnicze, korzenie i pęki bambusów.

- Szkoda, że nie idzie przed nami - rzekł Toby. - Ułatwiłby nam przynajmniej drogę, a tak toruje drogę dla zbójów towarzyszących Sitamie.

Pół godziny później kornak, minawszy przestrzeń zasypaną kupami gruzów, zatrzymał się przed małą polanką; na środku wznosiła się olbrzymich rozmiarów świątynia w kształcie kopuły, ze wspianymi stopniami, marmurowymi arkadami, ogromnymi oknami i mnóstwem posągów przedstawiających wcielenia Wisznu.

Cały otaczający ją mur, z wyjątkiem małego kawałka, był w ruinie i leżał na ziemi pomiędzy roślinami, jakie zarosły polankę; kopuła natomiast oparła się znakomicie niszczącym wpływom czasu, a w ścianach jej nie widniała żadna szpara.

- Co o niej sądzicie? - zapytał kornak, zwracając się do Toby'ego i Indriego, którzy podziwiali tę wspianą budowlę, wzniesioną prawdopodobnie przed trzema lub czterema wiekami.

- Wspianiała - rzekł były sierżant. - To prawdziwa forteca, gdzie będziemy się mogli znakomicie bronić.

- A czy słoń będzie mógł wejść? - zapytał Indri.

- Stopnie go nie przerażają i pójdzie za mną - odparł kornak.
- Chodźmy zwiedzić tę fortecę - dodał Toby.

Weszli głównymi schodami do wnętrza świątyni, poświęconej, zdaje się, Saraswati, małżonce Brahmy, ponieważ na szczycie bramy znajdowała się figura tejże bogini, przedstawiająca kobietę, która w jednej ręce trzyma książkę, a w drugiej kinnari, rodzaj lutni.

Świątynia była ogromna, prostokątna, ale ogołocoła ze wszystkiego. Tylko na ścianach widniały płaskorzeźby, przedstawiające Brahme w rozmaitych pozycjach, oraz uszkodzenia spowodowane czasem i wilgocią.

Mury były grube, jeszcze w dobrym stanie i mogły się oprzeć nawet armacie, tylko część ogromnej kopuły runęła, a szczątki jej znajdowały się w rogu. Również i brama, cała z cyzelowanego brązu, ozdobiona figurami Śiwy, Wisznu i Brahmy oraz Kinara, czyli złośliwego demona indyjskiego, była tak gruba, że mogła się oprzeć każdemu taranowi.

- To nieoczekiwane szczęście dla nas - rzekł Toby. - Tutaj będziemy się mogli długo bronić przed atakiem Sitamy i jego bandy.

- Nie ma otworów w murze, przez które można by strzelać - zauważył Indri.

- Wejdziemy na kopułę - odparł były sierżant. - Widzę tutaj schody, one nam pozwolą dostać się na nią.

Gruboskórzec nie widząc kornaka wszedł po stopniach, które zresztą były bardzo wygodne, nawet dla zwierzęcia tych rozmiarów. Sapał, obracał się często w stronę bramy, strzygł uszami i pomrukiwał głucho.

- Sahibie - odezwał się kornak, zwracając się do Toby'ego. - Sihor coś spostrzegł lub dosłyszał jakiś szelest.

- Zamknijcie bramę! - rozkazał były sierżant grmiącym głosem. - A ty, Indri, chodź za mną na kopułę razem z Bandharą.

- A Sadras?

- Niech zostanie tutaj i razem z kornakiem pilnuje Dhundii. Aha!

- Czego chcesz jeszcze, Toby?

Były sierżant przywołał chłopca.

- Mój dobry Sadrasie - odezwał się do niego - może się zdarzyć, że zostaniemy zabici, bo nigdy nie wiadomo, co się może stać w bitwie. Jak zobaczysz, że padamy na ziemię, uciekniesz do Pannahu z Górą Światła i opowiesz radży wszystko, co się z nami stało. Przynajmniej on nas pomści.

- Tak, sahibie, Sadras jest mały i może się ukryć przed oczyma dakoitów, a nawet Sitamy.

- A teraz, Indri, wytoczmy walkę tym łotrom - rzekł Toby. - Pokażemy im, że były sierżant sipajów i były ulubieniec gaikwara nie boją się. Do nas, Bandharo! Przynies tyle naboju, ile tylko zdołasz.

Zamknęli bramę, postawili przy niej słonia, po czym wskoczyli na schodki wijące się wokół kopuły i kończące się u jej szczytu. Tam znajdował się zupełnie okrągły otwór, który wychodził na mały taras otoczony murowanym parapetem wystarczającym, aby zatrzymać kule oblegających.

- Stąd będziemy mogli strzelać na wszystkie strony, nie narażając się na kule dakoitów - rzekł Toby.

- I ogarniemy wzrokiem całą okolicę świątyni - dodał Indri. - To będzie dla nich twardy orzech do zgryzienia.

- Damy im taką nauczkę, że zapamiętają ją sobie na zawsze, mój przyjacielu. Ach! Zachciało wam się Góry Światła! Damy wam ołowiu zamiast diamentu.

- Jeszcze ich nie widać.

- Mylisz się, panie - odezwał się Bandhara, który od pewnego czasu przypatrywał się gęstej grupie bananów rosnących naprzeciwko schodów. - W tej chwili dojrzałem pomiędzy liśćmi błysk strzelby lub szabli.

- I ja spostrzegłem strzelby połyskujące pod liśćmi bananów - dodał Toby. - Spróbujmy wykurzyć przednią straż, zanim nadejdą inni.

Właśnie chciał pociągnąć kurek strzelby, kiedy spod zarośli padły trzy strzały. Toby i jego towarzysze mieli tylko tyle czasu, żeby się rzucić za parapet. Pociski przeleciały nad ich głowami, a jeden trafił w szczyt muru.

- Ho! Ho! - wykrzyknął Toby spokojnie. - Te łotry nieźle strzelają! Ale my lepiej celujemy. Indri, chcesz zacząć? Widzę tam jednego z tych bandytów, jak pełźnie pomiędzy krzakami, aby...

Głos jego zagłuszył przeraźliwy hałas, który rozległ się nagle wśród gęstwiny otaczającej świątynię. Nadzy jak robaki ludzie wyskoczyli raptem z krzaków, podnosząc w górę strzelby i szable i wymachując nimi groźnie. Była ich przynajmniej setka. Rzucali się jakby opanowani szałem, ryczeli jak demony, zderzali się, skacząc jak rozjuszone tygrysy. Pędząc jak rozhukane konie, okrążyli starą świątynię ciągle złorzecząc, potem znikli w gęstwinie, zanim jeszcze Toby, Indri i Bandhara, zdumieni nieoczekiwanym wypadem, pomyśleli o tym, żeby ich przywitać strzałami.

- Gdzie Sitama mógł znaleźć tylu ludzi? - zapytał Toby przygnębiony.

- I czy zdołamy im się oprzeć? - dodał Indri z przerażeniem.

- Brama jest mocna, a ściany grube - rzekł Bandhara.

- Tak, ale ja zaczynam powątpiewać o naszym zwycięstwie - odparł Toby. - Stu ludzi! A kto wie, czy to wszyscy.

- I uzbrojeni w strzelby.

- A nas jest tylko pięciu, w tym jeden chłopiec. Ech! Jeżeli mamy umrzeć, zabijemy wielu z nich, nim padniemy! Bandharo, idź zawołać jeszcze kornaka. Będzie to jedna trzeba więcej.

- A Dhundia? - zapytał Indri.

- Sadras wystarczy, żeby go pilnować. Ma dwa pistolety i nie zawaha się strzelić do zdrajcy.

W tej chwili potężny głos, który poznali natychmiast, rozległ się wśród zarośli bananów:

- Niech biały myśliwy i ulubieniec gaikwara posłuchają mnie.

- Sitama! - wykrzyknęli jednogłośnie były sierżant i Indri, opanowani drżeniem.

- Słyszeliście mnie? - krzyknął fakir.

- Mów - rzekł Toby, gotując się do strzału.

- Chcecie pokoju, czy wojny?

- Czego żądasz, aby dać nam pokój?

- Góry Światła i uwolnienia Dhundii - odpowiedział fakir.

- Przyjdź po jedną i drugą, jeżeli masz dosyć odwagi - odparł Toby z ironią.

- Odmawiacie?

- Tak, dopóki będziemy mieli nadzieję, że strzaskamy ci głowę kulą i oczyścimy ziemię z takiego nędznika jak ty.

- Mam stu ludzi.

- A my mamy pięćset naboí.

Nastąpiła krótka cisza, a potem tych stu demonów wypadło nagle po raz drugi z gęstwiny, wyjąc się jak dzikie zwierzęta; rozproszyli się dokoła świątyni i wszczęli piekielny ogień skierowany na szczyt kopuły.

Toby, Indri, Bandhara i kornak, który przyłączył się do nich, ukłękli za parapetem zdecydowani drogo sprzedać życie i nazabijać tylu ludzi, ilu tylko zdołają.

- Ty zajmij się nabijaniem zapasowych strzelb - rzekł Toby do kornaka.

Indusi strzelali ciągle jak szaleni, skacząc już to na prawo, już to na lewo, aby nie wystawiać się na cel, i dodawali sobie odwagi przeraźliwym krzykiem.

Toby i Indri zaczęli wkrótce odpowiadać im dzielnie, pomagał im Bandhara, niezły strzelec. Po pierwszych strzałach napastnicy zrozumieli natychmiast, z jak strasznymi

przeciwnikami mają do czynienia.

Toby i Indri nie marnowali naboju. Każdy ich strzał zwiastował śmierć przeciwnika. Nie mogli jednak strzelać zbyt szybko, bo kule oblegających docierały do szczytu kopuły, objając się o parapet i przelatując często obok głów obrońców.

- Po dziesięciu minutach jakiś tuzin Indusów leżał na ziemi, a inni, mniej lub bardziej ranni, czołgali się, pozostawiając za sobą smugi krwi.

Sitama nie pokazywał się jednak. Od czasu do czasu słyszano jego głos rozlegający się w gęstwinie bananów, ale ukrywał się dobrze za ogromnym pnem. Toby wypalił kilkakrotnie w sam środek gąszczy w nadziei, że go trafi, lecz zawsze daremnie.

Ta strzelanina, stając się coraz gwałtowniejszą, trwała bez przerwy dwadzieścia minut, potem Indusi zaczęli się wahać i cofać ku zaroślom. Ogromne straty, jakie ponieśli, zmniejszyły ich odwagę. Mimo to chcieli dokonać jeszcze ostatniego wysiłku mając nadzieję, że znajdą obleganych od tyłu. Piętnastu lub dwudziestu najodważniejszych, podniósłszy ogromny pień tektonii, który upadł z powodu wyczerpania soków żywotnych lub też został powalony uderzeniem piorunu, rzuciło się ku stopniom, w zamiarze uutorowania sobie drogi wyważając bramę.

- Strzelać do nich! - krzyknął Toby, który to spostrzegł.

Indri i Bandhara, nie zważając na kule, które ciągle przelatywały, wstali i wymierzyli do tej grupy. Dwóch ludzi padło, potem trzech innych; ale Indusi posuwali się wciąż naprzód, weszli szybko po stopniach i uderzali o bramę z taką siłą, że cała kopuła zadrgała, jak gdyby wstrząsana trzęsieniem ziemi.

We wnętrzu świątyni rozległ się przeraźliwy ryk: to Sihor wpadł w gniew. Brama, wyważona gwałtownym uderzeniem, runęła na grzbiet słonia. Zwierzę podniosło się ślepe z wściekłości. Spostrzegłszy Indusów chcących wtargnąć do świątyni, rzuciło się w sam środek napastników, usuwając ich uderzeniami trąby.

Usłyszano przeraźliwe krzyki, z którymi mieszał się ryk gruboskórca, po czym kilku ludzi zbiegło w szalonym pędzie ze stopni, uciekając w zarośla.

- Dzielny Sihor! - krzyknął Toby. - Oto przyjaciel, na którego liczyłem!

- Ale brama jest wyważona - rzekł Indri.

- Sihor podejmie się bronić wejścia.

- A jeżeli go zabiją? I na dole jest Dhundia z małym Sadrasem!

- Do stu piorunów! Zapomniałem o tym zdrajcy! Bandharo, kornaku, szybko zejdźcie i przynieście go tutaj!

Dwaj Indusi zbiegli ze schodów, a tymczasem Toby i Indri strzelali ciągle do wszystkich przeciwników, jacy odważyli się pokazywać.

Nie upłynęła jeszcze minuta, a dwaj słudzy wchodzili znowu na górę, niosąc związanego Dhundię. Za nim szedł Sadras, trzymając w ręku pistolety, które mu dał Toby.

- Czy brama padła na ziemię? - zapytał Indri.

- Tak - odparł Bandhara.

- A słoń?

- Broni przejścia.

- Czy będzie mógł się oprzeć?

- Zdaje mi się, że zabił jakieś pół tuzina ludzi, panie. Pozostali z pewnością nie będą chcieli zapoznać się z jego trąbą.

- Hm! - odezwał się Toby, kręcąc głową. - Znajdą jakiś sposób, żeby go oddalić. Zobaczycie.

Dakoici, zorganizowawszy się powtórnie, zaczęli się znowu pokazywać, strzelając w dalszym ciągu. Nie narażali się jednakże tak bardzo na kule przeciwników, poznali już bowiem niezawodną celność strzałów Toby'ego i byłego ulubieńca gaikwara. Korzystali z krzaków i z nierówności gruntu, aby się ukrywać. Inni toczyli pnie drzew, starając się zbliżyć do schodów.

- Przewiduję, że wtargną w końcu do świątyni - odezwał się Toby, nieco zniechęcony.

Indusi, którzy toczyli pnie drzew, dotarli do stopni i zaczęli rzucać do wnętrza świątyni kłęby zapalanej bawełny, aby wypłoszyć słońca. Sihor ryczał coraz przeraźliwiej, nie odważając się wyjść i rzucić na napastników, a nawet cofał się w głąb świątyni przed tym ognistym deszczem, szukając innego wyjścia.

Toby i jego towarzysze skupili swoje strzały na grupie ludzi, którzy chcieli wdrzeć się na stopnie; nie osiągali jednakże wielkich wyników, gdyż pnie drzew zasłaniały napastników. Oni sami nie mogli się zbytnio odsłaniać, reszta bandytów bowiem mierzyła ciągle w kopułę i parapet małego tarasu.

Nagle kopuła znowu się zatrzęsa. Na dole w świątyni rozległ się jak gdyby strzał, a po nim nastąpił przeraźliwy łoskot metalu.

- Bandharo! - krzyknął Toby. - Co to takiego wyleciało w powietrze?

- To słoń wyważył drzwi znajdujące się na drugim końcu świątyni - odparł kornak.

- I ucieka?

- Już sobie poszedł, sahibie.

- Nadeszła straszna chwila! Mój drogi Indri, nie pozostaje nam nic innego jak tylko śmierć.

- Jestem gotów umrzeć - odparł były ulubieniec gaikwara spokojnym głosem. - Wolę

zginąć walcząc, niż żyć jako parias.

Widząc uciekającego słonia, dakoici wpadli do świątyni i powitali to pierwsze zwycięstwo ogłuszającym krzykiem.

Toby ukazał się na tarasie i wystrzelił w środek tej ryczącej hordy, kładąc trupem bandytę. Odpowiedziało mu dziesięć strzałów.

- Skończone - szepnął Anglik, skacząc szybko wstecz. - Za dziesięć minut wtargną także na taras.

- Ach! Chcecie Dhundii! - krzyknął nagle dzikim głosem. - Znajdźcie go nieżywego!

Wydarł Sadrasowi pistolet, odciągając szybko kurek.

- Co robisz? - zapytał Indri.

- Zabiję tego nędznika, to on był główną przyczyną twego nieszczęścia!

W chwili, kiedy Toby miał się rzucić na zdrajcę, w lesie rozległ się dźwięk kilku trąb.

- Trąbią do ataku! - wykrzyknął Indri, zatrzymując mu ramię.

- Trąby radżputów! - krzyknął kornak uradowany. - Jesteśmy ocaleni!...

Wśród dźwięków trąb słyszano także strzały karabinowe i rzenie koni. Zdawało się, że wielki oddział żołnierzy konnych gna przez las jak huragan.

Dakoici, zdumieni i przerażeni, przestali strzelać, spoglądając pomiędzy drzewa, a ci, którzy weszli do świątyni, przerwali ogień i w bezwładnej ucieczce zeskakiwali ze stopni. Ze wszystkich stron rozbrzmiewały okrzyki przerażenia.

- Radżpuci z Pannahu! Uciekajcie!

Za późno. Szwadron wspaniałych jeźdźców z rozwianymi płaszczami i w różnobarwnych turbanach wpadł w pełnym biegu na polankę, rąbiąc szablami dakoitów, którzy już nie myśleli o oporze. Drugi oddział nadbiegł z przeciwnej strony, odcinając im odwrót, i natarł na nich z bliska.

- Dzielni radżpuci! - krzyczał Toby. Niech żyje radża Pannahu!

Słyszając te słowa oficer, który dowodził drugim oddziałem, podniósł głowę i pozdrowił Toby'ego ruchem szabli, potem zeskoczył na ziemię, odczepił od siodła jakieś ociekające krwią zawiniątko i rzucił się ku świątyni.

- Poznałeś go, Indri? - zapytał myśliwy.

- Tak, to oficer, który powiedział, żebyśmy wyjechali przez bramę zachodnią sądząc, że pokaże nam trupa fakira.

Dowódca radżputów wszedł szybko po wewnętrznych schodach świątyni i stanął na tarasie. Otworzył zawiniątko, wyciągnął z niego dopiero co odrąbaną głowę, a ukazując ją Toby'emu i Indriemu, odezwał się z okrutnym uśmiechem:

- Teraz już mi nie powiecie, że to nie głowa Sitamy. Spójrzcie na nią!

- Fakir! - wykrzyknęli myśliwy i były ulubieniec gaikwara, cofając się ze wstrętem.
- Zaskoczyłem go w chwili, kiedy chciał uciekać, i odrąbałem mu głowę jednym cięciem szabli.

- Ale kto ci doniósł, że bandyci oblegają nas w świątyni? - zapytał Toby.

- Posterunki strażnic spostrzegły dakoitów spuszcających się z gór i idących wzdłuż Senaru. Uprzedzeni o tym, kiedyśmy przeszukiwali wyżynę, nadbiegliśmy, przypuszczając, że was ścigają, aby wam odebrać Koh-i-Nura. Jak widzisz, sahibie, nie omyliliśmy się.

- Potem, uchwyciwszy ociekającą krwią głowę fakira, zrzucił ją z kopuły, mówiąc:

- Idź! Nie jesteś godna grobu!

Zakończenie

Porażka dakoitów była zupełna. Większa część napastników padła pod szablami i kulami radżputów i tylko bardzo niewielu zdołało się schronić do lasów. Jednakże, ażeby nie pozwolić im połączyć się znowu i niepokoić jeszcze właścicieli Koh-i-Nura, kilka oddziałów jeźdźców zdecydowanych wytepić ich zupełnie rzuciło się na nimi.

Toby i Indri wynagrodzili hojnie tych dzielnych ludzi, co wybawili ich od pewnej śmierci, a wieczorem tegoż dnia wsiedli znowu na słonia, którego znaleziono niedaleko, pośrodku kępy tamarynd.

W dwa dni później zatrzymali się w Sagarze, mieście Gondwany leżącym najdalej na północy, po czym, po bardzo krótkim odpoczynku przebyli krainę Sindh, mijając kolejno Bhilę, Bhopal i Dhar. W trzy tygodnie później wjeżdżali do Barody, stolicy państwa gaikwara, najbogatszego i najświetniejszego księcia zachodnich Indyj.

Był to wjazd rzeczywiście triumfalny, gdyż radża - poinformowany przez Bandharę, który wyprzedził swego pana na szybkim koniu - wysłał na ich spotkanie oddział wspaniałych jeźdźców. Wiadomość, że Indri wraca z Koh-i-Nurem, przebiegła natychmiast całe miasto, a ludność, która żywiła zawsze wielką sympatię dla szlachetnego i rycerskiego ulubieńca gaikwara, wylała się jak rzeka za jeźdźcami.

Skoro tylko przybyli do pałacu książęcego, Toby i Indri odbyli długą rozmowę z radżą, aby mu wykazać niecną zdradę uknutą przez pierwszego ministra oraz Dhundię w porozumieniu z dakoitami Bundelkhandu.

- Otrzymasz natychmiast zadośćuczynienie - rzekł gaikwar, ściskając ulubieńca.

Tegoż dnia Dhundia został stratowany kopytami słonia, który pełnił funkcje kata gaikwara, a Parvatiego wygnano w państwa pod groźbą, że spotka go los współnika, jeżeli odważy się wrócić do Barody. Indri został wyniesiony do godności pierwszego ministra.

A Toby? Poczciwy myśliwy wrócił do swego domku, zabierając ze sobą małego Sadrasa, którego uznał za syna.

- Powrócę czasem - powiedział do Indriego, zanim go pożegnał - lecz moje miejsce nie jest tutaj. Muszę jeszcze pomścić moją żonę, a tygrysy nie lubią miast.

Góra Światła nie pozostała długo w świątyni Śiwy w Barodzie. Wskutek rozmaitych wypadków, o których zbyt wiele mówić, przeszła później w ręce Anglików i błyszczy teraz w koronie króla Anglii i cesarza Indyj (Od roku 1877 do 1947, tj. do chwili uzyskania przez Indie niepodległości, królowie Anglii byli równocześnie cesarzami Indii).

Posłowie

Emilio Salgariego

przepis na powieść

Czy można, nie opuszczając praktycznie kontynentu europejskiego, przenieść czytelnika swych powieści w barwny, egzotyczny świat, oddalony o tysiące kilometrów? Czy możliwe jest, aby autor tak zręcznie połączył fantazję z encyklopedycznym przygotowaniem, iż potrafimy go dojrzeć podążającego w ślad za swymi bohaterami poprzez góry i doliny odległych krain? Odpowiedź na te pytania dali już Karol May i Juliusz Verne. Dziś przekonuje nas o tym również pisarz włoski Emilio Salgari swoją „Górą Światła”.

Urodził się 25 sierpnia 1863 roku w Weronie. Jako młody chłopak został słuchaczem Instytutu Techniki Morskiej w Wenecji, lecz rozpoczętej w nim nauki nie ukończył. Krótkie rejsy na statku szkolnym, opływającym wybrzeża Adriatyku i Morza Śródziemnego, miały być jego jedynym kontaktem z upragnionym morzem i wystarczyć mu na całe życie. Nie o tym marzył ten niewysoki, wątłego zdrowia chłopiec, słuchając mrożących krew w żyłach marynarskich opowieści. Zresztą, może tak było, a może inaczej - młodzieńcze bowiem lata otoczył pisarz legendą nieustraszonego żeglarza ciepłych mórz; przypisał sobie wręcz udział w walkach ludności rodzimej Borneo przeciwko angielskim kolonistom. Dali się wywieść w pole nawet autorzy poważnych encyklopedii, które podają, iż od osiemnastego do dwudziestego piątego roku życia młody Salgari opływał świat na statkach floty handlowej. Pewna jest za to kolejna data w jego biografii, gdyż w roku 1882 widzimy go na powrót w rodzinnej Weronie, gdzie zakłada objazdową bibliotekę.

Szybko wciąga go praca dziennikarska i literacka, próbuje się w poezji, zaczyna swe pierwsze opowiadania. Debiut następuje rok później: mediolańskie czasopismo o wdzięcznym tytule „Walizka”. Ilustrowana gazeta podróży rozpoczyna druk w odcinkach powieści „Dzicy Papuasi” (I selvaggi della Papuasias). Egzotyczna historia z antypodów zostaje życzliwie przyjęta przez amatorów literatury przygodowo-podróżniczej, szczególnie zaś przez młodych czytelników. Następną powieść, zatytułowaną „Tygrys Malezji (La tigre della Malesia) przynosi mu już znaczną popularność; syją się nowe zamówienia, pisarz staje się sławny. Kolejno powstają „Faworyta Mahdiego” (La favorita di Mahdi), „Szabla Buddy (La scimitarra di Budda) oraz liczne opowiadania. W roku 1892 Salgari żeni się i wyjeżdża do Turynu. Z tego okresu pochodzą między innymi: „Łowcy wielorybów” (I pescatori di balene), „Tajemnice czarnej dżungli” (I misteri della giungla nera), „Dramat na Oceanie Spokojnym” (Il dramma nell'Oceano Pacifico). Poszukując

nowych motywów do swych powieści, w roku 1898 pisarz przenosi się nad Zatokę Genueską, do Ligurii, w nadziei spenetrowania tamtejszego środowiska marynarskiego. Po dwóch latach wraca jednak do Turynu, by osiąść tu na stałe. Pisze między innymi "Czarnego Korsarza" (Il Corsaro Nero) i "Królową Karaibów" (La regina dei Caraibi). W sumie było tych powieści 85. A do tego dochodzi jeszcze 130 opowiadań, wszystkie o podobnej, awanturniczo-podróżniczej tematyce.

Tłumaczono Salgariego na francuski, hiszpański, niemiecki, czeski, angielski. Sława znanego pisarza nie szła jednak w parze z sukcesami w życiu osobistym: nieustanne problemy finansowe, kłopoty rodzinne i zdrowotne doprowadziły go w końcu do samobójczej śmierci w dniu 24 kwietnia 1911 roku w Madonna del Pilone koło Turynu. Pozostały po nim wciąż wznawiane i czytane powieści, z których kilka posłużyło do zrealizowania wcale udanych filmów przygodowych ("Zielony Korsarz", "Kartagina w płomieniach" czy znany także w Polsce serial telewizyjny "Sandokan").

Twórczość Salgariego stanowiła w ówczesnej literaturze włoskiej zjawisko wyjątkowe. Nie była to wielka proza, która przeszła do historii literatury. Daleko jej do artyzmu "Serca" Amicisa czy "Pinokia" Collodiego, ich liryzmu i ciepła. Jednakże w ramach tzw. literatury popularnej należy się jej miejsce poczesne.

Salgariemu przyświecała bowiem inna gwiazda. Salgari to wena marzycielska, awanturnicza, to pasja przygody i odkrywania tajemnicy; a wszystko to w barwnej dekoracji egzotycznych krain. Jego pisane wręcz taśmowo powieści mają jednak charakter wyraźnie dydaktyczny; bawiąc - uczą, oprowadzają młodego czytelnika po najciekawszych zakątkach globu. I to na ogół w zgodzie z ówczesnym stanem wiedzy geograficznej czy przyrodniczej; na ogół - bo na przykład występujący w "Górze Światła" olbrzymi pyton, który atakuje dorosłą panterę, jest oczywistym wytworem fantazji autora, także węże indyjskie nie są zdolne "rozkoszować się" muzyką płynącą z fletu zaklinacza, a to z prostego powodu - są głuche. Ale te i inne legendy literatury podróżniczej nie umniejszają walorów książek Salgariego. Tym bardziej że na owym egzotycznym tle pojawiają się postacie bohaterów uosabiające tak bliskie młodemu czytelnikowi cechy, jak odwaga, braterstwo, przyjaźń.

Salgari nie przywiązuje większej wagi do rysunku psychologicznego swych bohaterów. Są to postacie typowe, wyposażone w uniwersalne cechy, niezmiennie od pierwszej aż do ostatniej stronicy. I rzecz oczywista - szlachetne pobudki zwyciężają zawsze złe instynkty. Lecz taka jest główna teza tych powieści; młody czytelnik od razu identyfikuje się z bohaterem pozytywnym i staje wraz z nim po stronie przyjaźni, honoru i pomocy słabszym. W istocie, twórczość Salgariego odegrała niemałą rolę w wychowaniu młodego pokolenia na przełomie XIX i XX

wieku, dając wzory godnych naśladowania postaw moralnych.

“Fenomen Salgariego” przyszedł dopiero po drugiej wojnie światowej, kiedy młodzież otrzymała, wraz z coraz popularniejszą literaturą fantastyczno-naukową, nowe możliwości podboju - kosmicznych tym razem przestrzeni.

Zwano go “włoskim Verne'em”. Zbyt wiele powiedziane, pomijając już niedostatki artystyczne autora “Góry Światła”. Przede wszystkim Salgariego zgoła nie interesowała technika. Wokół panowała fascynacja nowymi odkryciami i wynalazkami, nauka obiecywała prawie wszystko. Dla Salgariego zaś najważniejsza pozostawiła zawsze przygoda, zmagania człowieka z przeciwnościami losu, z okrutną nieraz przyrodą, z nieprzyjaciółmi. Spośród bohaterów Juliusza Verne'a wielu stało się współczesnymi gigantami ujarzmiającymi siłą nauki przyrodę; kapitan Nemo skonstruował łódź podwodną, pozwalającą mu odbyć “20000 mil podmorskiej żeglugi”; Cyrus Smith z “Tajemniczej wyspy” stał się twórcą nowego świata, cywilizując ową małą, zagubioną na Pacyfiku wysepkę, a wszystko to dzięki znajomości dorobku nauki i techniki; sympatyczni panowie z Klubu Puszkarzy (“Wokół Księżyca”) mogli rozprawiać o locie na Księżyc zaopatrzeni w poważny bagaż najnowszych osiągnięć nauki.

Nie znajdziemy nic z tych rzeczy u Salgariego. Dla niego liczy się tradycyjna eskapada podróżnicza, czyste przeżycie, awanturnicze doznanie, poddanie próbie samego człowieka. Jego sojusznikiem nie jest wyrafinowana - jak na tamte czasy - technika, lecz wierny, wypróbowany przyjaciel. Nacisk kładzie na prawdziwą przyjaźń i Męstwo. I to bez względu na kolor skóry: do walki z sektą okrutnych morderców ramię w ramię stają biały myśliwy i Indus. Salgari jest może bardziej szablonowy i nie dane mu było - jak w przypadku Verne'a - w sposób genialny przeczuć wielkich wynalazków XX wieku. Ale, przy zachowaniu wszelkich proporcji, wydaje się przez to bardziej ludzki, bardziej ponadczasowy.

Oczywiste jest, że z artystycznego punktu widzenia, powieści Emilio Salgariego nie sięgają wyżyn. Ale nierozważnie byłoby doszukiwać się walorów artystycznych tam, gdzie w pierwotnym założeniu autora nie było dla nich miejsca. Salgari postawił na rozrywkę - w dobrym tego słowa znaczeniu, ucząc jednocześnie historii, geografii, zoologii, przekazując uniwersalne wzorce osobowe. Zdaje się nie tylko mówić: i ty zostaniesz dzielniejszym obywatel, ale wskazuje również, jak można stać się popularnym pisarzem. Wszystko bowiem, o czym dotąd mówiliśmy, składa się na przepis na książkę przygodową, i to bez ruszania się z miejsca swego pobytu. Zasada jest prosta: weź kilka książek podróżniczych relacjonujących przeżycia naocznych świadków, np. w indonezyjskiej dżungli lub w afrykańskim buszu. Rozłóż przed sobą w miarę dokładne mapy regionów, w których chciałbyś rzecz całą umieścić; nie

zapominaj o gruntownym przygotowaniu z literatury tyczącej tamtejszej fauny i flory. Pamiętaj, że cała historia zasadza się na odwiecznym konflikcie między dobrem a złem - spróbuj stworzyć dwie grupy bohaterów dążących do osiągnięcia jakiegoś w miarę ekscytującego celu; najlepiej będzie, jeśli wykorzystasz do tego jakiś przyczynek historyczny - konflikt zbrojny, opowieści poszukiwaczy złota, zdobywców, eksploatatorów czy dzieje pogoni za legendarnym diamentem. Wlej wszystko do jednego garnka i mieszaj tak długo, na ile zapał i talent literacki ci pozwalają. Bacz pilnie na zachowanie właściwych proporcji: podstawą twego dzieła ma być zawsze żywy, pełen dramatyzmu dialog. Doprawiaj ciągle, a to szczyptą pachnącej egzotyki, a to ząbkiem mocnego heroizmu...

Otrzymasz powieść, która zawsze zainteresuje czytelników od lat dziesięciu do siedemdziesięciu, a po latach będzie można ją śmiało wznosić ku uciesze Wielkiej Przygody czytelnika. Rozrywka wszak to jedna z najpierwszych funkcji literatury.

Marek Baster